

Powieść sensacyjna o prawdzie, zdradzie i pokusach życia poza prawem



JOAKIM ZANDER

UCZCIWE ŻYCIE

Najlepsza powieść sensacyjna, jaką czytałem w tym roku.

- Jens Lapidus



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

JOAKIM ZANDER

UCZCIWE ŻYCIE

Z języka szwedzkiego przełożył
Wojciech Łygaś



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Ett ärligt liv

Copyright © Joakim Zander 2022

Published by agreement with Ahlander Agency

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2023 for the Polish translation by Wojciech Łygaś

(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autora: © Sofia Runarsdotter

Redakcja: Mariusz Kulan

Korekta: Joanna Habiera, Iwona Wyrwisz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8230-639-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2023

Spis treści

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

CZĘŚĆ DRUGA

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

CZEŚĆ TRZECIA

25

26

27

28

EPILOG

Przypisy

Je suis avec les bandits!
„L'Anarchie”, grudzień 1911

Zawsze mówimy prawdę. Siedzimy tu, bo dłużej nie możemy wytrzymać z zakłamaniem.
Ulrike Meinhof

PROLOG

Pamiętam tylko pojedyncze chwile z lat młodości, kiedy nie byłem znudzony. Moja książka zaczyna się od tych słów, bo tak właśnie było.

Dziennikarz ze „Spiegla” kiwa głową i spogląda w kierunku wypełnionej prawie po brzegi sali w centrum kultury Kampnagel w Hamburgu. Przez sześć kolejnych wieczorów występowałem na różnych scenach, brałem udział w festiwalach kultury, podróżowałem po całych zachodnich Niemczech. Dziś wieczorem scena jest większa niż zwykle, bo niemieckie wydawnictwo posadziło mnie na niej wraz z dwójką bardziej znanych szwedzkich autorów. Wieczór poświęcono gatunkowi nazywanemu *nordic noir*, a ja jestem jednym z pisarzy reprezentujących cud zwany szwedzką powieścią kryminalną. Można by powiedzieć, że obdarzył on swoją czarodziejską mocą moją debiutancką powieść i wysłał mnie potem w tournée po Europie.

– Chce pan powiedzieć, że wydarzenia opisane w książce są reakcją na nudę? – pyta dziennikarz. – Interesujący pomysł. A nie należałoby raczej powiedzieć „bardzo gwałtowną reakcją”?

– Nie chodzi o wydarzenia same w sobie, tylko o to, jak przedstawiony w książce protagonista został w nie wplątany – wyjaśniam.

Dziennikarz odwraca się do publiczności i przechodzi na niemiecki. W tym tygodniu odświeżyłem swoją szkolną znajomość tego języka, dzięki czemu większość rozumiem.

– Akcja książki bazuje na wydarzeniach, które miały miejsce w Szwecji kilka lat temu – kontynuuje. – Doszło wtedy do szeregu głośnych, spektakularnych przestępstw. Zastanawiano się, w jaki sposób są ze sobą powiązane, jaki jest ich polityczny kontekst, a zwłaszcza kto za nimi stoi.

Ktoś otwiera drzwi na końcu sali i wchodzi chyłkiem. Przez chwilę odnoszę wrażenie, że znam tę osobę, ale kiedy próbuję skupić na niej uwagę, znika mi z oczu. Dziennikarz odwraca się do mnie i mówi:

– Udziela pan odpowiedzi na pytanie, kto za tymi przestępstwami stoi, ale nie opowiada się pan po żadnej ze stron. Pański narrator jest przede wszystkim obserwatorem. Czy można powiedzieć, że książka jest z tego powodu niemoralna?

– A pan uważa ją za niemoralną? – pytam. Próbuję przebić się wzrokiem przez oświetlenie, żeby widzieć publiczność, i słyszę w uszach słaby szum. Na spotkanie

przyszło ponad pięćset osób. Musiało mi się przywidzieć. – Nie zastanawiałem się nad tym.

– Chodzi mi o to, że nie potępia pan wprost opisanych w książce przestępstw – tłumaczy dziennikarz. – Czy pan sympatyzuje z ich sprawcami? Można odnieść wrażenie, że ich pan broni albo przynajmniej próbuje usprawiedliwić.

Zwlekam z odpowiedzią. Dziennikarz zadał mi pytanie, o którym marzyłem, ale kiedy je słyszę, nie potrafię na nie odpowiedzieć. Rozglądam się po widowni.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy moralność to interesujący temat – odpowiadam po pewnym namyśle. – Czy to nie Camus powiedział, że jedynym celem moralności jest usprawiedliwienie zbrodni? A może te słowa pochodzą z Instagrama?

Dziennikarz tłumaczy na niemiecki moją odpowiedź. Tu i ówdzie rozlega się śmiech.

– Interesuje mnie tylko prawda, a ona brzmi tak, że jedni mają wszystko, a inni nie mają nic – kontynuuję. – Czy to źle, że ci, którzy posiadają niewiele, chcą ten stan zmienić? Czy to niemoralne, gdy ktoś nie chce respektować niesprawiedliwych reguł gry?

– A jeśli ten ktoś posługuje się przemocą?

– To zależy od tego, jak to pojęcie zdefiniujemy.

Pochyliłam się i sięgam po szklankę stojącą na stoliku. Wypijam trochę chłodnej wody. Jak zwykle nie jestem pewien, ile wolno mi powiedzieć, a ile pozostawić książce. Zanim się ukazała i zaczęto zadawać mi takie pytania, myślałam, że nie można tego zagadnienia nie rozumieć. Bardziej niepokoiło mnie, że książka formułuje pewne twierdzenia zbyt jasno i bezpośrednio.

– Jeśli ktoś jest chroniony przez swoją klasę społeczną albo był przez nią chroniony w okresie dorastania, nie postrzega społeczeństwa w kategoriach przemocy – wyjaśniam. – Osoba chroniona przez różne przywileje nawet nie zauważa, że też się przyczynia do stosowania przemocy.

Nabieram głęboko powietrza i pochylam się w stronę dziennikarza. Być może powinienem zareagować trochę bardziej na luzie, ale zależy mi, żeby zrozumiał to, co chcę powiedzieć.

– Przemoc jest niezbędnym warunkiem utrzymywania fundamentalnej niesprawiedliwości, w której jedni rodzą się w bogactwie i przepychu, a drudzy nie mają prawie nic. W mojej powieści ów stan ulega całkowitemu odwróceniu. Przemoc stosowana jest wobec tego, kto nie potrafi się z nią pogodzić.

Przypominam sobie, że to słowa Charlesa. Byłby ze mnie dumny, słysząc, że je tu wypowiadam.

– Nie tylko – odpowiada dziennikarz.

Czuję w piersi znajome napięcie. Staram się go pozbyć, zanim mnie dopadnie. Patrzę dziennikarzowi w oczy.

– To prawda – odpowiadam. – To sprzeczność. Wiele o tym myślałem.

– I mimo to nie przechodzi pan na właściwą stronę? Nie potępia tego, co się stało?

– Nie do mnie należy potępienie czegokolwiek. To pan wciąż mówi o winie i moralności. Ja tylko próbuję opowiedzieć uczciwie o tym, co widziałem.

– To znaczy, że jest pan anarchistą – stwierdza dziennikarz i marszczy czoło. Wygląda przez to na starszego, niż jest w rzeczywistości.

– Jestem pisarzem, a każdy pisarz jest anarchistą.

Wypijam łyk wody i znowu się rozglądam po sali.

– Jedne rzeczy opisane w książce były piękne i prawdziwe, inne straszne. Nie wiem, czy opowiadanie o tym, co się wydarzyło, bez upiększania lub moralizowania jest szczególnie wywrotowe. Chcę opisać prawdę i tylko to mnie interesuje.

Rozglądam się po widowni i nagle widzę osobę, która przed chwilą weszła do sali. Siedzi na schodkach, które prowadzą na scenę. Ma piegi i kręcone włosy, a na nogach te same buty co kiedyś.

– Twierdzi pan, że interesuje go tylko prawda – kontynuuje z uśmiechem dziennikarz. Może myśli, że jestem młody, naiwny albo pretensjonalny? Niewykluczone, że ma rację, ale prawie go nie słyszę. – Prawda to wielkie słowo i tłumaczenie jej na ludzki język musi być dużym obciążeniem.

– Niekoniecznie. Właściwie żadnym. Chodzi tylko o to, żeby ją głosić.

– Ale przecież rozumiemy to słowo na różne sposoby, bo dla każdego człowieka oznacza ono coś innego.

Patrzę na siedzących na widowni ludzi, ale tak naprawdę patrzę na nią. Oślepiają mnie światła, a mimo to jestem pewien, że to ona.

– Być może jest tak dlatego, że pojęcie prawdy mieszamy z naszymi wyobrażeniami o niej – tak jak to się dzieje teraz. Wiele osób chce, żeby prawda miała charakter umoralniający albo wychowawczy, ale moim zdaniem to dość sentymentalne podejście. Prawda to po prostu prawda. Niekiedy bywa gwałtowna, czasem coś wymyślonego wydaje się bardziej prawdziwe od tego, co wydarzyło się w rzeczywistości. Jedynym sposobem na bycie prawdziwym jest czasem głoszenie kłamstw. Kiedy rozmawiamy o prawdzie, czepiamy się szczegółów, chociaż są nieistotne. Etyka prawdy wykracza poza zwykłą uczciwość.

Dziennikarz tłumaczy moją odpowiedź na niemiecki i znowu się do mnie odwraca.

– Prowadzi nas to do pytania, które sobie zadajemy w czasie lektury tej książki. Akcja bazuje na faktach, a przed chwilą usłyszeliśmy, że prawda jest dla pana ważna, więc...

Dziennikarz chrząka i robi sztuczną pauzę, żeby przejść do końcowej fazy wywiadu, podczas gdy ja odnoszę wrażenie, że siedząca na schodach osoba uśmiecha się do mnie.

– Ile z tego, o czym pan opowiedział w książce, przeżył pan osobiście? Ile z tego, o czym pan napisał, jest prawdą?

CZEŚĆ PIERWSZA

Pamiętam tylko pojedyncze chwile z lat młodości, kiedy nie byłem znudzony. Nie skarżę się, bo działo się tak tylko z mojej winy, ponieważ wychowywałem się w zwykłym miasteczku w prowincji Östergötland. Dzieciństwo spędziłem w wybudowanej w latach siedemdziesiątych willi z brązowej cegły, a szkoła, do której uczęszczałem, była wzniesiona z cegły czerwonej. Szkołę zamknięto dwa lata po tym, jak poszedłem do liceum. Z popiołów, które po niej zostały, odrodził się niczym Feniks – sklep spożywczy ICA Maxi – zrobiony z prefabrykatów i oświetlany rtęciówkami.

Z dawnej podstawówki oprócz nudy zapamiętałem niewiele: wilgotne buty, zapach gumki do ścierania, oczy, które musiałem trzymać otwarte, strogonow z kiełbaskami i to, że kiedy w przerwie na lunch wychodziliśmy na szkolne boisko pograć w piłkę i uzgadnialiśmy składy obu drużyn, mnie zawsze wybierano jako trzeciego.

Najlepiej zapamiętałem to, co się wydarzyło jesienią w trzeciej klasie. Którejś nocy plac przed huśtawkami został dosłownie zalany deszczem. Żółte, mokre liście spadały na wietrze i tańcząc w powietrzu, przyklejały się nam do ubrań i butów. Nagła zmiana, jaka się dokonała w naszym bezpośrednim otoczeniu, wprowadziła całą klasę w prawdziwe szaleństwo. Na pierwszej przerwie wypadliśmy z szatni na dwór, jedni w butach, inni na bosaka, i ogłosiliśmy wojnę klasy A z klasą B. Być może zrobiliśmy to dlatego, że ciągle dochodziło między nami do kłótni, a może przyczyną był po prostu nasz wiek. Mieliśmy wtedy po dziewięć lat. Przerwa trwała dziesięć minut, a w walce chodziło o to, żeby ochlapać przeciwnika błotem i zmusić go do ucieczki. Jakby akurat to było w życiu najważniejsze. Dziś już nie pamiętam, jak się ta bitwa zaczęła, ale nagle, jak na dany znak, obie małe armie rzuciły się na siebie z dwóch końców szkolnego boiska. Dobiegliśmy do kałuży i woda od razu nam się wlała do butów. W ułamku sekundy mieliśmy przemoczone skarpetki i zimne stopy, ale nie zwracaliśmy na to uwagi, bo dla większości z nas ten nagły chaos był po prostu fajny. W tej wspólnej walce nie posunęliśmy się za daleko, bo potraktowaliśmy ją jak zabawę.

Byłem zdolnym i pilnym uczniem, nauka szła mi łatwo. Miałem czas na marzenia i na odrabianie lekcji, a opisywanie tak zwanych ślepych map szło mi szybciej i lepiej niż większości moich kolegów i koleżanek z klasy. Mimo to niczym się spośród nich nie wyróżniałem. Jednak w czasie tamtej bitwy w przerwie między lekcjami, kiedy na

chwile zapomnieliśmy o niekończących się godzinach spędzanych w klasach, ogarnęło mnie dzikie szaleństwo. Poczułem się tak, jakby pozytywne cechy, którymi każdego dnia wykazywałem się w szkole, były czymś w rodzaju przebrania, maski albo zasłony, jakbym nie miał odwagi pokazać, że tak naprawdę jestem potworem.

Na początku stałem się bohaterem naszej klasy, Herkulesem, który walczył w pierwszym szeregu. Nie miało znaczenia, jak bardzo przemokłem, bo nic nie było w stanie mnie zatrzymać ani zmusić do odwrotu. Nogami i rękami ochlapywałem naszych przeciwników tak energicznie, że w końcu zmusiłem Vegę i Omara, a wraz z nimi całą resztę tamtej klasy, do ucieczki.

– Rozbić ich! – krzyczałem. – Nie brać jeńców!

Zebrałem wszystkie siły i od razu poczułem się twardszy i odważniejszy niż cierpiący na ADHD Theo i Emil, którzy uchodzili za chuliganów. Wpadłem w uniesienie, przekroczyłem pewną granicę, stałem się nieustępliwy, nierozważny i dziki, przestałem się hamować. Czułem się prawie wolny.

Nagle dostałem w policzek ulepioną z mokrego piasku kulka. Zatrzymałem się i krzyknąłem z bólu, a kiedy się odwróciłem, ujrzałem rudowłosego Antona z klasy naszych przeciwników, który ze śmiechem uciekał przez kałużę.

Anton podjeżdżał każdego ranka pod szkołę czarnym, świeżo umyтым bmw. Każdy z nas marzył o tym, żeby dostać zaproszenie na jego urodzinowe przyjęcie, ale Anton rozdzielał je z taką samą precyzją i pieczołowitością, jakby wręczał komuś dyplom z tytułem szlacheckim.

– Dostałeś, gnoju! – zawołał swoim piskliwym głosem.

I wtedy nie wytrzymałem. Do dzisiaj nie wiem, skąd w mojej dłoni znalazł się okrągły kamień i jakim cudem wykonałem tak perfekcyjny rzut. Pamiętam tylko, że trafiłem Antona w tył głowy. Poleciał do przodu i zasłaniając twarz rękami, wpadł do brudnej kałuży. Wydałem z siebie okrzyk triumfu, bo poczułem smak zemsty i prawdziwie boską dumę.

Przypomniała mi się cała niesprawiedliwość, którą kojarzyłem z Antonem. Wreszcie wymierzyłem mu należytą karę. Uniosłem ręce i ruszyłem na niego z głośnym krzykiem. Ogarnęła mnie euforia, a moja nieproporcjonalna do sił agresja tak bardzo przestraszyła naszych przeciwników, że postanowili się wycofać i wzięli nogi za pas.

– Za nimi! – wrzasnąłem. – Uciekają!

I nie czekając na odzew, rzuciłem się na Antona, który ze łzami w oczach stał po kolana w wodzie. Popchnąłem go tak mocno, że z krzykiem znowu wpadł do kałuży.

– Masz nauczkę! – krzyknąłem. – Więcej ze mną nie zadzieraj!

Uniosłem pięść, żeby uderzyć go z całej siły w twarz, ale coś mnie tknęło i w ostatniej chwili się powstrzymałem. Starcia ustały, głosy i pluskanie wody ucichły,

ale ja tego nie zauważyłem. Zawołałem więc przez ramię:

– Nie bójcie się! Nie widzicie, że uciekają? Za nimi! Zmiażdżymy ich!

Odwróciłem się i dopiero teraz zobaczyłem, że reszta mojej klasy wycofała się pod daszek nad prowadzącymi do szatni drzwiami, a w kałuży zostaliśmy tylko my obaj, to znaczy ja i Anton, który szlochał i jęczał u moich stóp. Nogi miałem przemoczone, ale za to policzki rozgrzane.

– Wystarczy tego!

W drzwiach stała pani Lena, nasza wychowawczyni, która prowadziła nas od pierwszej klasy. Miała zmęczoną twarz i oburzoną minę. Podeszła do nas, weszła do kałuży, objęła Antona i pomogła mu się podnieść.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła do mnie. – Rozum ci odjęło? Nie poznaję cię!

Wolnym krokiem ruszyłem do klasy. Towarzyszył mi tłumiony chichot moich kolegów. Ogarnął mnie nagły wstyd, bo na ich oczach zostałem przyłapany na dzieciнным, gwałtownym zachowaniu, przez które całkowicie się przed nimi obnażyłem. Mimo to mój wstyd zblaknął w obliczu innego uczucia wywołanego tym, że zostałem porzucony przez tych, za których – jak mi się wtedy wydawało – walczyłem.

Lata wczesnego dzieciństwa przeszedłem bez większych problemów, za to pod koniec podstawówki sam zacząłem ich szukać kierowany naiwnością kogoś, kto nigdy niczego nie stracił ani nie przegrał. Moje codzienne marzenia na jawie pełne były aktów terroru i myśli o tym, że któreś z rodziców umrze, może nawet popełni samobójstwo, a wywołany ich śmiercią smutek doprowadzi mnie do szaleństwa. Myślałem, że ten rodzaj smutku zmieni mnie ze sparaliżowanego traumą człowieka w kogoś ciekawego. Niestety, do żadnych takich nieszczęść ani wypadków nie doszło. Mijały dni, jesień przeszła w zimę, po wiosnie przyszło lato, a ja popadłem w marazm. Czekałem na chwilę, która nigdy nie miała nadejść.

Trzy razy w tygodniu chodziłem na treningi, w weekendy rozgrywałem mecze i w zupełności mi to wystarczało. Taki styl życia zapewniał mi status, który pozwalał na pewną swobodę. Polegała ona na tym, że nie musiałem się aż tak ściśle stosować do małomiasteczkowych konwencji. Byłem dobrym uczniem i nosiłem zieloną, wojskową kurtkę, którą kupiłem w second-handzie Myrorna w Norrköpingu. Zacząłem też słuchać muzyki takich zespołów jak The Clash, Wu-Tang Clan czy Refused.

Kiedy poszedłem do liceum, rzuciłem futbol i skupiłem się na nauce. W pierwszej klasie, w semestrze jesiennym, przez kilka tygodni mieliśmy zastępstwo na szwedzkim. Nauczyciel miał na imię Mats i stanowił pewnego rodzaju kliszę. Ubierał się w dżinsową koszulę, nosił okulary w czarnej oprawce i czesał się na samuraja. Taką

fryzurę nazywano *man bun*. Ponieważ byłem już na końcu mojej szkolnej edukacji, postanowiłem wykorzystać, na ile się da, jego wiedzę. Mats opowiadał nam o takich pisarzach jak Hesse i Kerouac i to też była w pewnym sensie klisza. Mimo to z nudów połąknałem *W drodze* i *Wilka stepowego*, a potem poprosiłem o więcej.

Wszystkie lektury szkolne, które do tej pory omawialiśmy, opowiadały o lasach i biedzie. Ich akcja rozgrywała się na szwedzkiej prowincji, na przykład w Smalandii albo w Värmlandzie. Zawierały sporo motywów nawiązujących do dzieł Frödinga, pojawiały się w nich leśne skrzaty i domy ludowe, co śmiertelnie mnie nudziło. W książkach, które polecał nam Mats, doznałem bliskości uczuć, o których marzyłem. Przeczytałem całą kolekcję wchodzącą w skład tak zwanej czerwonej serii. Zaczytywałem się w takich pisarzach jak Hemingway i Joyce, marzyłem o ucieczce, zasypiałem nad Proustem, a budziłem się przy Williamie Gibsonie.

Nie uważałem się za człowieka samotnego, chociaż brakowało mi kogoś, z kim mógłbym porozmawiać. Nie czułem się jednak wykluczony, ponieważ swoją samotność wybrałem sam. Utrzymywałem kontakty z pewnym starszym ode mnie o rok punkiem i z kilkoma skejtami z naszej klasy. Czasem szedłem na imprezę do czyjegoś domu, w którym można się było rozsiąść na wygodnej, skórzanej białej kanapie – ulubionym meblu matki gospodarza. Chadzaliśmy też do Skönbergi albo do Dockgårdet. Obserwowałem, jak inni robią sobie kreski na świeżo wmytym szklanym stoliku i słuchałem szwedzkiego hip-hopu. Uczestniczyłem w tym wszystkim, ale nic to dla mnie nie znaczyło. Wszystko było jakieś przytępione i niewystarczające, bo nie umiałem poczuć tego naprawdę.

Podobno Jean-Paul Sartre napisał kiedyś, że człowiek sam nadaje sobie sens, który go potem określa. Ja zamierzałem się określić przez pisanie, ale to, co stworzyłem, było dziecinną, niecierpliwą karykaturą tego, co chciałem osiągnąć, pozbawioną talentu namiastką czegoś, co intensywnie czułem, ale nie byłem w stanie tego opisać bez popadania w sentymentalizm i bolesne skrajności. Problem polegał przede wszystkim na tym, że nie miałem o czym napisać, bo niczego ciekawego nie przeżyłem. Wieczorami grywałem w FIFA albo podrywałem dziewczyny z naszej szkoły, komunikując się z nimi anonimowo za pośrednictwem mediów społecznościowych. Ale i na tym polu poniosłem porażkę.

Swoje życie postrzegałem jako przedłużenie życia moich rodziców. Praca w gminie albo w biurze jakiejś firmy produkcyjnej, willa, pudełko ze świątecznymi ozdobami, samochód w garażu, dzieci, treningi i wspólne spędzanie czasu w piątkowy wieczór. Do tego bezgraniczne i tak bezsensowne poczucie bezpieczeństwa, że aż trudne do opisania. Pewnego dnia, kiedy to sobie uświadomiłem, z bijącym ze strachu sercem usiadłem w łóżku. Dotarło do mnie, że jestem po prostu nikim.

Winą za to obarczyłem książki, bo właśnie po ich lekturze nabrałem przekonania, że ja też mam do przekazania coś ważnego, że będę o tym latami pisał, cierpiał i żył na krawędzi. Rozpocznę pracę nad dziełem, które wyrazi moją wizję świata. Będzie ono miało jakiś sens i ujawni moje poglądy, a przy okazji pokaże, w którym miejscu się znajduję.

Niestety, ambicji wystarczyło mi tylko na marzenia.

Świadomość faktu, że jako nastolatek marnowałem czas na takie rzeczy jak granie w FIFA, Snap i książki, podczas gdy moi koledzy z klasy imprezowali, chodzili na wagary i dokonywali drobnych kradzieży w sklepach, wywoływała we mnie panikę. Zazdrościłem im tej odwagi, choć z drugiej strony ich zachowanie mnie niepokoiło. Czy to możliwe, że chcieli tylko tego? Olać matkę, zrobić wypad do Norrköpingu, zwędzić markowy T-shirt w galerii handlowej Domino? Palić trawkę albo popijać bimberek u kumpla w kawalerce? To niewiele. Uznałem, że w taki sposób nie da się podpalić świata, a oni nigdy nie wyjadą z Söderköpingu. Ja chciałem więcej. Nieskończenie więcej. Świadomość tego faktu działała na mnie wprost paralizująco.

W trzeciej klasie coraz częściej myślałem o pieniądzach, których w naszej rodzinie nigdy nie było za dużo, zwłaszcza po tym, jak jesienią tata stracił posadę. Był zatrudniony w jakiejś firmie w dzielnicy przemysłowej w Norrköpingu, ale praca, którą wykonywał, najzwyczajniej go zabijała. Kiedy został bezrobotnym, pieniądze stały się u nas bezustannie poruszonym tematem. Przedtem nie byliśmy biedni. Stać nas było na zakup ubrań, jedzenie i piątkową pizzę. Rodzina taty miała letni domek na wyspie Norra Finnö i tam spędzaliśmy większość wakacji. Dwa razy, kiedy ja i moja siostra byliśmy młodszy, całą rodziną pojechaliśmy z biurem podróży Vingresor na Kretę. Mieliśmy też czteroletni samochód. Niestety, pensja, jaką tata otrzymywał w firmie zajmującej się montażem i naprawą urządzeń wentylacyjnych, nie była stała i nie wystarczała na uzupełnienie tego, co do domu przynosiła nasza mama, która pracowała na pół etatu jako nauczycielka w zerówce. Kiedy firma zmniejszyła etat, a potem po prostu zwolniła tatę, musieliśmy żyć tylko z tego, co zarobiła mama. Pieniądze zawsze stanowiły pewną przeszkodę znajdującą się poza głównym torem, po którym toczyło się życie naszej rodziny. Dopóki utrzymywaliśmy kierunek, nic złego nam nie groziło, ale wszyscy mieliśmy świadomość, że najmniejsze zboczenie z kursu doprowadzi do katastrofy.

Taką właśnie przeszkodą była utrata pracy przez tatę. Wprawdzie nie znaleźliśmy się przez to na samym dnie, ale nie mieliśmy czym zatkać przecieku. Mijały miesiące, a ja obserwowałem, jak z moich rodziców uchodzi życie. Nie miało to sensu, z trudem na to patrzyłem. Właśnie wtedy podjąłem decyzję, że nie chcę takiego życia, że

w przyszłości nie zdam się na kaprysy losu. Postanowiłem opuścić rodzinne miasto, i to jak najszybciej.

Pod koniec października spiknąłem się z Lydią, która grała na gitarze oraz chodziła do klasy o profilu humanistycznym. Lydia była nieśmiałą i wycofaną dziewczyną, ale to ona zabrała mnie na doroczny bal halloweenowy dla trzecich klas. Przebrana była za Wednesday, dziewczynkę z *Rodziny Addamsów*. Chyba tak miała na imię... Ja się przebrałem za Zombie Pussy Riot, a na głowę włożyłem żółtą kominiarkę podobną do tych, jakich używają włamywacze. Kupiłem ją w drugiej klasie, kiedy pojechaliśmy na wycieczkę szkolną do Sztokholmu. W tamtych czasach młodzież jeszcze jeździła na takie wycieczki. Wokół oczu namalowałem czarne obwódki, żeby wyglądać jak ofiara gwałtownej śmierci. Niestety, nic to nie dało, bo wszyscy i tak mnie ciągle pytali, za kogo się przebrałem. Musiałem im to wyjaśniać tyle razy, że w końcu straciłem rachubę. Odpowiedzią był tylko tępy wzrok i niepewne „Aha, rozumiem...”. Poza tym kominiarka mnie drapała i było mi pod nią gorąco. W końcu ją zrolowałem i nosiłem jako zwykłą czapkę. Oboje z Lydią trochę wypiliśmy, ona więcej niż ja. Impreza odbywała się w ponurym lokalu w piwnicy budynku przy ulicy Ringvägen. W pewnej chwili Lydia podeszła do mnie i lekko bełkocząc, spytała:

– Ty też jesteś nieśmiały? Powinniśmy się trzymać razem.

I tak się stało, ale byliśmy ze sobą tylko dwa miesiące, bo w końcu odkryła, że wcale nie jestem taki nieśmiały ani tajemniczy, tylko znudzony i skupiony na książkach, pieniądzach i planach związanych z wyjazdem z miasta.

– Czasem odnoszę wrażenie, że stale jesteś nieobecny – powiedziała Lydia na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. – Za każdym razem, kiedy coś do ciebie mówię, odpowiadasz „Co?” albo „Nie wiem”. Pewnie się uważasz za kogoś lepszego od innych?

Ale ja wcale tak nie myślałem. Przeciwnie, żałowałem, że nie mogę czuć tego, co ona i wszyscy inni. Chciałem być obecny myślami tu i teraz, zamiast błędzić nimi gdzie indziej.

– Mogę się zmienić – odparłem. – Nie chcę uchodzić za aroganta, sprawiać ci przykrości ani cię denerwować.

Lydia westchnęła i mnie pocałowała. Leżeliśmy w łóżku, w świeżo wypranej pościeli, w jej czarnym mieszkanku urządzonego w stylu emo. W tle leciał przebój zespołu The Cure. Kiedy w nią wszedłem, wiedziałem, że to nasz ostatni raz. Poczułem taką rozpacz, że kiedy było po wszystkim, wypłakałem się w jej miękką szyję. Moja rozpacz była jak nóż, który przeciął obojętność, a ja chciałem wyssać z niej każdy gram uczucia. Lydia odepchnęła mnie od siebie i stwierdziła:

– Nawet jak płaczesz, myślami jesteś gdzie indziej.

W tamte święta wypłakiwałem sobie oczy i robiłem wszystko, żeby moja żałoba po stracie Lydii trwała jak najdłużej. Wysyłałem mailem na jej szkolny adres wiersze i długie listy, ale na żaden nie odpisała. Poza tym na okrągło słuchałem przez słuchawki muzyki zespołu The Cure, chociaż nic dla mnie nie znaczyła. W końcu zareagowała moja młodsza siostra Emma, która miała po dziurki w nosie takiego zachowania.

– Może byś wreszcie z tym skończył? Długo jeszcze będziesz tkwił w tej kwarantannie?

Leżałem wtedy na niezaścielonym łóżku, a mój pokój tętnił muzyką. Akurat leciał utwór *In Between Days*. Zdjąłem słuchawki. Emma stała oparta o futrynę drzwi z kubkiem herbaty w ręce. Chodziła wtedy do dziewiątej klasy podstawówki, ale ponieważ robiła sobie wyrazisty makijaż, a włosy wiązała w kucyk, wyglądała na starszą. Moja siostra nigdy nie miała problemu z tym, żeby być tu i teraz. Znała mnóstwo ludzi, którzy kilka razy na tydzień przychodzili do niej z wizytą. Wpadali do dużego pokoju jak rój szarańczy. Emma grała w piłkę ręczną, przystawiał się do niej chłopak z drugiej klasy liceum.

– Przecież ty nawet nie lubisz muzyki emo! Lydii też nie lubieś.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – odparłem. – Zamknij drzwi i wyjdź!

Emma wzruszyła ramionami i wypita trochę herbaty, ale nie zareagowała, jakby nie zamierzała zostawić mnie w spokoju.

– Jesteś żaloszny. Wiesz o tym?

Bez słowa wstałem z łóżka, wypchnąłem ją na korytarz i zatrzasnąłem za nią drzwi. Potem rozejrzałem się po pokoju, w którym panował bałagan. Żaluzje były zaciągnięte, na podłodze i na szafce nocnej leżały ubrania i talerze z resztkami jedzenia. Tak, Emma miała rację. Byłem naprawdę żaloszny.

Czemu poszedłem na prawo, i to akurat w Lundzie? Dlaczego postanowiłem pójść na studia tuż po ukończeniu liceum? Nie lepiej byłoby wyjechać gdzieś na rok? Na przykład do Londynu albo Berlina. Mógłbym też robić parę innych rzeczy: pracować w kawiarni, zażywać ecstasy albo amfetaminę w Berghain, zostać młodym punkiem albo zamieszkać w brudnym mieszkaniu z kilkoma włoskimi studentami z programu wymiany. Mógłbym też żyć w trójkącie, a nocą pisać swoją pierwszą powieść. Akurat ten pomysł wydał mi się tak kuszący, że prawie przyprawił mnie o zawrót głowy. Mógłbym pracować latem jako telefoniczny konsultant sprzedaży, mieszkać w domu i odłożyć trochę pieniędzy. Potem wsiadłbym do samolotu i poleciał ze Skavsty do Brandenburgii, mając za cały dobytek portfel, plecak i ubranie na grzbiecie.

Marzyłem o tym wszystkim wieczorami i czasem nie mogłem zasnąć, bo nie pozwalały mi na to myśli, które tym marzeniom towarzyszyły. Kiedy jednak budziłem

się rano, żadnej z nich już nie było. Ich miejsce zajmowała obawa, że jeśli nie będę podążał przed siebie prostą drogą wytyczoną przez jakieś mętne rojenie o szczęściu, stracę rozpęd i zgubię kierunek, który sam sobie wyznaczyłem.

Dzięki dobrym stopniom dostałem się na wydział prawa uniwersytetu w Lundzie, chociaż z takim świadectwem mógłbym pójść na każdy kierunek. Interesowały mnie sprawy społeczne, ale prawo wydało mi się pewne i bezpieczne. Uznałem, że uratuje mnie przed życiową nudą i nieszczęściami, którym nie potrafię zaradzić. Moi rodzice nie mogli zrozumieć, dlaczego nie chcę kontynuować nauki w Linköpingu.

– Przecież tam też można studiować prawo – stwierdziła mama.

Akurat pielęła grządki przy płocie od strony ulicy, a ja leżałem na kocu na trawie i czytałem książkę Tobiasa Wolffa pod tytułem *Old School*. Wyobrażałem sobie, że uniwersytet w Lundzie przypomina opisaną w książce i pachnącą gotykiem szkołę z internatem i wypielęgnowanymi trawnikami, w której kwitły skomplikowane przyjaźnie. Była połowa kwietnia, nastały pierwsze ciepłe dni tego roku.

– W Linköpingu wykładają prawo handlowe – mruknąłem w odpowiedzi. – To nie to samo.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego wszystko zawsze utrudniasz – powiedziała. – Mógłbyś mieszkać z nami i nie musiałbyś brać pożyczki na studia. Nie sądzisz, że prawo handlowe to świetny kierunek?

Mama popatrzyła na mnie. W jednej ręce trzymała wiadro z chwastami, w drugiej szpadel. Uniosłem głowę i też na nią spojrzałem. Wychowywała się w Östra Husby, małej wsi w Vikbolandet. Po kilku latach spędzonych w Norrköpingu rodzice przeprowadzili się do domu, w którym później dorastałem. Tata urodził się na wyspie. Dla nich nawet przeprowadzka do Linköpingu stanowiłaby ważny krok w życiu. Söderköping miał tylko siedem tysięcy mieszkańców, ale im to nie przeszkadzało.

– Prawo na uniwersytecie w Linköpingu to studia kategorii „B” – wyjaśniłem. – Po tym kierunku nikt nie zostaje adwokatem ani sędzią, nie może też zasiadać w sejmiku samorządowym.

– Chcesz zostać sędzią? – spytała mama. – Nie lepiej jest wyznaczać sobie bardziej realistyczne cele? Nie można się brać za coś, z czym człowiek sobie nie poradzi.

Realistyczne cele.

Nie powinieneś się wywyższać.

Przecież otrzymałeś dobre wychowanie?

Dlaczego tak ci zależy na tym, żeby się od nas wyprowadzić?

Sam się przekonasz, że życie nie jest takie proste, jak ci się wydaje.

Kiedy mama miała zły humor, robiła się agresywna. Zdradzała w ten sposób, co myśli naprawdę. Na szczęście była to agresja pasywna.

Całe szczęście, że jesteś lepszy od innych.

Pewnie znowu nie mam racji, bo zachowujesz się tak, jakbyś wszystko wiedział.

Wydaje ci się, że tylko ty chcesz czegoś od życia?

– Twierdzisz, że chcesz zarabiać pieniądze – kontynuowała. – A czy prawnicy handlowi pracują za darmo?

Przez pozbawioną liści jabłoń przebijały promienie słońca. Nadal jednak były blade i słabe.

– Na pewno nie – odparłem z westchnieniem i zamknąłem książkę. Nie miałem zielonego pojęcia, czym się zajmuje prawnik handlowy, ale byłem pewien, że to strasznie nudne zajęcie. – Ale ja już wysłałem formularz zgłoszeniowy i termin minął.

Wstałem z trawnika i zwinąłem koc.

– Z Lundu do Norrköpingu jedzie się pociągiem niecałe cztery godziny. Pożyczkę na studia dostałem w CSN, więc nie musicie się o mnie martwić.

– A gdzie będziesz mieszkał? – spytała mama, kiedy szedłem do zbudowanej przez tatę altanki.

– Coś znajdę – rzuciłem przez ramię.

I rzeczywiście, kłopot z mieszkaniem rozwiązał się na tydzień przed początkiem pierwszego semestru. Nieoczekiwanie pomógł mi tata. Właściwie nie było w tym nic dziwnego, bo tamtego lata dużą część czasu spędzał w hamaku i przeglądał wiadomości w telefonie komórkowym. Któregoś dnia natknął się na Facebooku na pewien wpis. Siostrzeniec jego dawnego kolegi miał zacząć trzeci semestr na prawie, ale w ostatniej chwili zmienił plany. Postanowił zrobić sobie przerwę i pojechać do Francji, żeby się nauczyć języka. Niestety, zapomniał poinformować o tym swoich kumpli, z którymi wspólnie wynajmował mieszkanie. Kolega taty poprosił więc swoich znajomych na Facebooku o pomoc w znalezieniu kogoś, kto z nimi zamieszka i dołoży się do czynszu. Mój tata odpowiedział na to ogłoszenie, nie pytając mnie o zgodę.

– Wygląda na to, że mieszkanie znajduje się w centrum miasta – powiedział. – Zamieszkaś z dwoma kolegami. Fajna sprawa.

Przez chwilę miał taką minę, jakby mi zazdrościł, jakby nagle do niego dotarło, co stracił i jak mogłoby to wyglądać w jego przypadku. Pewnie sobie wyobraził, że też mógł mieszkać z kumplami, pić piwo i grać w gry komputerowe. Ciekawe, czy takie życie by mu odpowiadało. Zamknąłem oczy, bo nagle zrobiło mi się go żal. W pewnym sensie było dość poniżające, że współczułem ojcu, który zmarnował sobie młodość.

– Świetny pomysł – odparłem. – Dzięki za pomoc.

Czynsz wynosił cztery tysiące pięćset koron miesięcznie, co oznaczało, że z przyznanej mi przez CSN pożyczki zostanie mi na życie prawie sześć tysięcy koron na miesiąc. Poza tym zaoszczędziłem dziesięć tysięcy z pensji za wykonywaną latem

pracę, kiedy sprzedawałem ludziom przez telefon abonamenty telefoniczne. Moje wynagrodzenie składało się z niskiej pensji stałej i z prowizji od zawartych umów abonenckich. Biorąc pod uwagę fakt, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach ludzie od razu się rozłączali, a połączenia telefoniczne z potencjalnymi klientami programował komputer, było rzeczą niewiarygodną, że udało mi się wypracować jakąkolwiek prowizję. Pieniądze, które odłożyłem, stanowiły dla mnie prawdziwy majątek. Strach, jaki mój tata wywołał swoim spojrzeniem, zbladł, a jego miejsce zajęło coś, czego nigdy wcześniej nie czułem. Może euforia? Założyłem na rękę zegarek marki Certina, który dostałem jako prezent maturalny, i spakowałem książki.

– Nie leż tak ciągle i nie czytaj, nerdzie – powiedziała Emma, ale prawie jej nie słyszałem, bo myślami byłem już w innym życiu.

Bylem w Lundzie. Szedłem Niels Bjelkegatan, ciągnąłem za sobą walizkę i słuchałem, jak kółka stukają o chodnik. Walizka miała z dziesięć lat, kupiłem ją w jakimś dużym centrum handlowym przed wylotem z rodzicami na Krete. Było mi wstyd, że się jej wstydzilem, ale nazbyt jaskrawo świadczyła o moim niskim statusie – człowieka pochodzącego z prowincjonalnego podglebia niezbyt licznej klasy średniej, należącego do świata, który się zaopatruje w sieciach handlowych takich marek jak Willy's czy Circle K, których budynki widać przez brudne płatki śniegu w żółtym świetle ulicznych latarni, kiedy się koło nich przejeżdża autostradą. Nic dziwnego, że nie chciałem takiej obciachowej walizki, bo marzyłem o wolności, żeby móc robić to, co chciałem. Planowałem nowe życie, a walizka była obciążeniem, bo cofała mnie do sensnej przeszłości.

Zatrzymałem się przed wysokimi drzwiami prowadzącymi do wnętrza pięknego domu z czerwonej cegły. Budynek ciągnął się aż do Karl XI gatan i kończył w miejscu, w którym rósł cienisty park. Sierpień nadal był ciepły, a pogoda ładna. Temperatura wynosiła przynajmniej dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Cieszyłem się, że pod jasnoniebieską koszulę włożyłem biały T-shirt. Dzięki temu nie będzie na niej widać plam potu.

Poprzedni dzień poświęciłem na wybór ubrania, które zamierzałem dzisiaj włożyć. Byłem pewien, że to, jak w czasie naszego pierwszego spotkania ocenią mnie Ludvig i Victor, z którymi miałem dzielić mieszkanie w czasie półrocznej nieobecności ich kumpla, zdefiniuje nie tylko mój pobyt w Lundzie, ale także całe moje przyszłe życie. Chciałem, żeby mnie uważali za bystrego, eleganckiego światowca. Zdecydowałem się na jasne chinosy, biały T-shirt i jasnoniebieską, zapinaną na guziki koszulę od Ralphi Laurena. Kiedyś poprosiłem mamę, żeby mi taką kupiła w sklepie Johnells w Norrköpingu, bo akurat ogłosili obniżki. Koszula była ponadczasowa i podobna do tej, którą w latach sześćdziesiątych nosił John Coltrane. Widziałem ją na zdjęciach z tamtych lat. Teraz byłem zafascynowany jazzem i blue note, chociaż trochę się bałem, że kiedyś wyjdzie na jaw, iż bardziej mnie interesuje estetyka niż muzyka. Tak czy inaczej, koszula pasowała do białego T-shirta, dzięki czemu niczym się nie wyróżniałem w tłumie. Głęboko odetchnąłem i pchnąłem ciężkie drzwi.

Moje nowe mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze. Pięć minut zabrało mi wstawienie walizki do ciasnej windy i zamknięcie za sobą drzwi. Guziki były grube i niewygodne, kiedy nacisnąłem trójkę, winda ruszyła. W drodze na górę kabina mruzczała i kołysała się jak na starych filmach. To dobrze, pomyślałem. Czułem, że jestem w mieście.

Kiedy winda się zatrzymała, wysiadłem i podszedłem do drzwi mieszkania, które miałem dzielić z dwójką nowych kolegów. Wcisnąłem mały mosiężny dzwonek i czekałem. Serce waliło mi jak młotem, spościłem się bardziej niż na ulicy. Porównałem nazwisko widniejące na tabliczce z tym, które podał mi Ludvig, kiedy przed tygodniem czatowałem z nim na Facebooku. Zrobiłem to na wszelki wypadek, bo przecież trudno zapomnieć nazwisko Rehnskiöld.

Nikt nie otwierał, więc zapukałem. Postanowiłem, że jeśli w ciągu dziesięciu sekund nikt się nie zjawi, zjadę na dół i wrócę do domu. Myśl była absurdalna, ale w przeszłości często robiłem podobne rzeczy. Mówiłem na przykład:

Jeśli autobus nie przyjedzie w ciągu dwóch minut, zrezygnuję z wyjazdu do Norrköpingu.

Jeśli nie przeczytam tej książki przed spaniem, przez cały tydzień nie będę grał w Fifę.

Jeśli nie dostanę z matematyki szóstki, przebiegnę maraton.

Ale tamtego dnia stawka była o wiele wyższa. Naprawdę wierzę, że gdyby Ludvig nie otworzył mi drzwi, po prostu bym stamtąd poszedł. Na szczęście zrobił to od razu, jakby czekał na mnie w przedpokoju.

– *Sorry* – powiedział. – Zdemontowaliśmy dzwonek, bo musieliśmy oddać go do naprawy.

Wyciągnął do mnie suchą, mocną dłoń, a ja ująłem ją niezgrabnie z nadzieją, że moja nie jest zbyt wilgotna.

– Jesteś Ludvig, prawda? – spytałem.

Mój nowy kolega był wysoki, chyba nawet wyższy ode mnie, chociaż miałem sto osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, a przy dobrym dniu o centymetr więcej. Swoje jasne, gęste i niezbyt długie włosy zaczesywał zgodnie ze sztokholmską modą do tyłu. Do ich ułożenia użył tylu drogich produktów, że cała fryzura wyglądała naturalnie. Ludvig miał wydatne kości policzkowe, wysportowaną sylwetkę i jasne oczy. Patrzył na mnie z obojętną ciekawością, przez co czułem się jeszcze bardziej prowincjonalny niż moja walizka.

– *Yes*, to ja – odparł. – Fajna koszula.

Skinął mi głową, a ja odniosłem wrażenie, że jego ostatnie słowa zabrzmiały ironicznie. Dopiero po chwili zauważyłem, że był ubrany w taką samą koszulę jak ja. Różnica polegała na tym, że wpuścił ją niedbale w granatowe krótkie spodnie,

a rękawy miał podwinięte. Oznaczało to, że nie wyglądałem jak Coltrane, tylko jak kandydat na prawnika.

– Będziemy musieli uzgodnić, w które dni będziemy je nosić – powiedział Ludvig, mając na myśli koszule. Odwrócił się w ciemnym przedpokoju i dodał: – Chodź, pokażę ci twój pokój.

Chwilę później weszliśmy do dużego, pełniącego funkcję salonu pomieszczenia ze skośnym sufitem. Na ławie przed wychodzącym na ulicę wykuszem stał ogromny telewizor. Akurat leciał kolejny odcinek prowadzonego przez Marię Conti reality show. Czasem odnosiłem wrażenie, że emitowany od wielu lat program jest puszcany przez całą dobę na wszystkich kanałach. Conti była jedną z najbardziej znanych postaci należących do młodej szwedzkiej elity, znanych, bogatych, podróżujących dla samej przyjemności ludzi. W kolejnym odcinku swojego programu ubrana była w biały dres i stała w nowo urządzonej kuchni swojego domu w West Hollywood. Conti związała się ze starszym od niej anonimowym amerykańskim miliarderem z branży IT. Była wysportowana, w każdym szczególe perfekcyjna i miała na koncie wiele sukcesów. Kilka miesięcy wcześniej zaręczyła się ze wspomnianym miliarderem na plaży w Kalifornii podczas czegoś w rodzaju współczesnej wersji hipisowskiej ceremonii, której finansowa otoczka miała wprost astronomiczny wymiar. Media wyceniły zaręczynowy pierścionek Conti na dwa miliony dolarów. Naszyjnik, który wraz z nim tworzył komplet, kosztował pewnie tyle samo.

– Niezła, seksowna laska – skomentował Ludvig to, co się działo na ekranie. – A wiesz, że była taka bogata z domu? Ojciec zostawił jej spore aktywa.

Dzięki tej krótkiej wypowiedzi Ludviga nauczyłem się, że na seksowną dziewczynę mówi się „laska”, a duże zasoby finansowe to „aktywa”.

Conti włożyła ciemne okulary i wsiadła do czarnego jak węgiel SUV-a. Nad Los Angeles łagodnie świeciło słońce, ale Conti miała kwaśną minę.

– To stary odcinek – stwierdził Ludvig i wyłączył telewizor. – Jej facet uruchamia jakiś start up... Chodzi o globalny serwis przesyłu streamingowego dla gazet. Całą jesień spędzą w Szwecji, co jakiś czas będą się przenosić z hotelu do hotelu. Conti jest dokładnie taka jak w telewizorze. Zwykła suka, ale niezła.

– Znasz ją?

– Jej siostra chodziła z Victorem do klasy w Enskilda Gymnasiet. Osobiście jej nie znam, ale co jakiś czas widywałem ją na mieście.

To, co usłyszałem, przyprawiło mnie o zawrót głowy. Conti była najbardziej pożądaną kobietą w Szwecji, a ci, z którymi miałem dzielić mieszkanie, obracali się w tych samych kręgach co ona. Byłem rozczarowany swoją postawą, bo zbyt łatwo mi to zaimponowało.

Przed telewizorem stała szara, lekko poplamiona kanapa narożna i duży, niski stolik, na którym stał szejker. Domyśliłem się, że Ludvig przyrządza jakiś napój proteinowy.

– To nasz salon – wyjaśnił, robiąc zamaszysty ruch ręką. – Kiedy zacznie się nowy semestr, mnie i Victora nie będzie zbyt często w domu, więc możesz z niego spokojnie korzystać. Mamy tu Netflix i HBO, abonament jest wliczony w czynsz. Jest też PlayStation z trzema padami, więc czuj się swobodnie.

Po tych słowach przeszedł obok mnie do przylegającej do salonu kuchni. Była na tyle pojemna, że stał w niej duży stół z sześcioma krzesłami. Wykuszek okienny wychodził na zielone podwórze. Ludvig otworzył lodówkę.

– Środkowa półka jest twoja. Przedtem używał jej Totte, nasz kumpel, który wyjechał do Francji. Zostały po nim jakieś resztki, możesz je wyrzucić.

Zanim Ludvig zamknął drzwi, zdążyłem zauważyć słoik z konfiturami i masło orzechowe.

– A teraz pokażę ci twój pokój – powiedział.

Wrócił do salonu, a ja podążyłem za nim.

– Kto jest właścicielem mieszkania? Podnajmujecie je?

– Należy do rodziny.

Słowo „rodziny” zabrzmiało tak, jakby Ludvig mówił o jakimś państwie albo odrębnej cywilizacji.

– Kupiliśmy je, gdy moja siostra przyjechała tu na studia. Potem przez pewien czas je wyjmowaliśmy, aż przyszła kolej na mnie. Victor pochodzi ze Sztokholmu, ale nasze rodziny znają się od dawna. Kiedy byliśmy młodszy, jeździliśmy razem na obozy żeglarskie do Falsterbo. Tottego poznaliśmy na pierwszym roku w Lundzie, więc można o nas powiedzieć, że jesteśmy jak trzej muszkietierowie. A właściwie byliśmy, bo ten gnojek wyjechał do Francji uczyć się języka. Mieszka teraz w Aix-en-Provence.

– A skąd ty jesteś? Ze Skanii?

– Z Malmö.

– Czy twoi rodzice też są prawnikami?

Nie zamierzałem być wścibski, ale nie wypadało też pozostać obojętnym. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o Ludvigu, bo nie miałem pojęcia ani o prawie, ani o tych, którzy je studiowali. Mogło się przecież okazać, że jestem jedynym studentem, w którego rodzinie nikt nie studiował prawa. Czułem się tak, jakby mnie rzucono na głęboką wodę, więc musiałem się czegoś dowiedzieć, żeby się dostosować do nowej sytuacji.

– Ojciec studiował tu prawo, ale nigdy nie pracował w zawodzie – odparł Ludvig.

– Co robi teraz?

– Zarządza funduszem inwestycyjnym. W Azji i w Europie Wschodniej. Zielona energia i zrównoważony rozwój.

Wypowiadając te słowa, Ludvig uśmiechnął się ironicznie i wykonał palcami znak cudzysłowu.

– Rozumiem – odparłem, chociaż prawdę mówiąc, nic nie rozumiałem. Miałem nadzieję, że nie spyta, czym zajmują się moi rodzice.

Otworzył drzwi po drugiej stronie salonu i powiedział:

– To twój pokój.

Zajrzałem do środka. Pomieszczenie było tak małe, że miejsca wystarczyło tylko na łóżko, małe biurko i komodę, która stała pod skośnym dachem i wyglądała tak, jakby ją tam wbudowano. Przez małe okno dachowe na materac padał strumień światła.

– Podejrzewam, że Totte zostawił w tej komodzie niezły bałagan, ale jak przełożysz wszystko do pudełek, zwolni się miejsce na twoje rzeczy.

– Spokojnie – odparłem i skinąłem głową. Zależało mi, żeby już na samym początku nie wyjść na kogoś, kto będzie sprawiał kłopoty.

– To tyle – stwierdził Ludvig i podał mi klucze. – Możesz się rozpakować. Muszę lecieć, mam coś do załatwienia na uczelni. Zobaczymy się później.

W pokoju było gorąco, więc wszedłem na łóżko, żeby sprawdzić, czy można otworzyć okno.

– Jest jeszcze jedna sprawa. – Usłyszałem nagle głos Ludviga. Obejrzałem się i zobaczyłem, że stoi w progu. – Nie pamiętam, czy ci mówiłem, ale musisz wpłacić depozyt za dwa miesiące z góry.

Wszedł do pokoju i położył na łóżku kartkę.

– Tu jest umowa – dodał i mrugnął. – Jakkolwiek by patrzeć, jesteście prawnikami, prawda?

Uderzył dwa razy dłonią w futrynę i wyszedł. Stałem na łóżku i wsłuchiwałem się w odgłos jego kroków, aż usłyszałem trzaśnięcie drzwiami. Pochyliłem się i spojrzałem na kartkę, którą Ludvig zostawił na łóżku. Był to mój pierwszy kontrakt napisany suchym, prawniczym językiem. A przecież dopiero co wysiadłem z pociągu.

Zobowiązuje się do wpłaty depozytu...

Miesięczny czynsz...

Nie widziałem samych słów, ale rozumiałem ich treść. Miałem nie tylko uiścić czynsz za pierwszy miesiąc, ale także wpłacić kwotę równą jego dwumiesięcznej wysokości. Zakręciło mi się w głowie i usiadłem na łóżku.

Ludvig oczekiwał ode mnie trzynastu tysięcy pięciuset koron, co dla mnie było kwotą wprost astronomiczną. Siedziałem i gapiłem się w widoczny przez okno w dachu skrawek niebieskiego nieba, na którym nie było ani jednej chmurki. Dopiero

po wielu minutach do mnie dotarło, że jeszcze przed rozpoczęciem nowego semestru zostałem bez grosza.

Wyjąłem telefon i zalogowałem się na swoje konto bankowe. Przez całe lato żyłem oszczędnie, dzięki czemu uzbierałem piętnaście tysięcy koron. Kwota obejmowała to, co zarobiłem, pieniądze, które dostałem w prezencie po zdaniu matury, i dwa tysiące koron, które rodzice wygospodarowali przed moim wyjazdem. Obliczyłem, że jeśli wpłacę Ludvigowi całą żadaną przez niego sumę, zostanie mi na życie półtora tysiąca koron, bo pożyczka z CSN jeszcze nie wpłynęła.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do rodziców, ale uznałem, że byłoby mi wstyd, chociaż zapewne większość osób zrobiłaby to bez wahania. Być może rodzice niektórych studentów mieli wypracowane metody radzenia sobie z podobnymi sytuacjami, bo zdawali sobie sprawę, że taki nieprzewidziany wydatek może się kiedyś pojawić. Niestety, moi rodzice takich możliwości nie mieli.

Dwie minuty temu byłem pewien, że jestem bogaty, bo nigdy wcześniej nie miałem na koncie tylu pieniędzy. Teraz chciało mi się płakać. Ludvig pewnie w ogóle tych moich pieniędzy nie potrzebował i nawet by mu do głowy nie przyszło, że mógłbym nie wpłacić swojej części czynszu. Dla niego była to zwykła formalność, symboliczna kwota, coś, nad czym tacy jak on się głębiej nie zastanawiają, tylko po prostu płacą. Dla mnie oznaczało to, że będę musiał wydać prawie wszystkie uzbierane pieniądze. Mimo to postanowiłem nikomu o tym nie mówić. Wyjąłem telefon i kilkoma kliknięciami przelałem żadaną sumę na wskazane konto. Czekало mnie życie o suchym chlebie. Oby tylko nikt tego nie zauważył.

Pierwsze dni spędzone w Lundzie poświęciłem na załatwianie różnych formalności. Zapisałem się na kurs adaptacyjny, wstąpiłem do bractwa Östgöta Nation i przez cały czas się zastanawiałem, jak przeżyć bez pieniędzy z pożyczki. Wpisałem się w moim bractwie na listę chętnych do pracy i już w niedzielę razem z jakimś studentem z Chin spędziłem sześć godzin w kuchni. Nasza praca polegała na wkładaniu do zmywarki brudnych i wyjmowaniu z niej czystych naczyń. Obserwując Chińczyka, doszedłem do wniosku, że nie do końca wie, gdzie się znajduje i jak tu trafił. Dostałem za to zlecenie kilkaset koron i obiad – załapałem się na niego przed końcem zmiany. Kiedy godziny urzędowania bractwa dobiegły końca, nalaliśmy sobie piwa z beczki i urządziliśmy skromną kolację po kosztach własnych. I chyba to było w tej pracy najważniejsze: dzięki niej mogłem się spotykać z ludźmi i stać częścią wspólnoty. Ale i tak potrzebowałem kasy, bo nie stać mnie było nawet na to, żeby za tę marną wypłatę, którą dostałem, zaprosić kogoś na piwo i bliżej się z nim poznać.

Jedyną rzeczą, którą kupiłem od przyjazdu do Lundu, był używany podręcznik za sześćset koron. Stanowił jedyny dowód na to, że faktycznie jestem studentem pierwszego roku prawa. Przez całe popołudnie leżałem na łóżku, patrzyłem na niego i gładziłem płócienną okładkę.

– Wszystkie podręczniki możesz kupić w dobrej cenie ode mnie albo od Victora – zaproponował Ludvig, a ja wyliczyłem, że łączna suma przekroczyłaby tysiąc pięćset koron, które mi zostały na koncie.

– Kupię raczej nowe – odparłem.

– Wolisz świeże i czyste zamiast starych. Rozumiem.

Pieniądze skończyły mi się na początku września, a od piątku przez trzy kolejne dni stać mnie było jedynie na płatki owsiane. Zjadłem nawet konfitury i masło orzechowe, które w lodówce zostawił Totte. Moi koledzy z roku dobrali się w grupki i codziennie chodzili do biblioteki uniwersyteckiej albo do siedzib bractw, żeby się wspólnie uczyć. Słyszałem, jak ze sobą rozmawiają, żartują i coraz bardziej zacieśniają więzi. Moje ubóstwo odbijało się na kontaktach towarzyskich, a kiedy nocą nie mogłem zasnąć, coraz częściej dochodziłem do wniosku, że stanie się ono permanentne. Wiedziałem, że pieniądze w końcu przyjdą i stać mnie będzie na to, żeby się z kimś umówić na kawę albo na piwo, ale bałem się, że wtedy na cokolwiek będzie już za późno. Jeśli ktoś nie trzymał się ze wszystkimi od samego początku, był załatwiony. Zastanawiałem się, czy przetrwam pięć lat w samotności albo w takim dziwnym wyobcowaniu jak w liceum.

Był wrześniowy piątek. Obudziłem się i od razu się zalogowałem do mojego banku. Robiłem to każdego dnia, bo ciągle czekałem na pożyczkę. Byłem jeszcze zaspany, cyfry skakały mi przed oczami i zacząłem się bać, że coś mi się poplątało, więc zmrużyłem oczy, żeby lepiej widzieć. Na koncie miałem prawie piętnaście tysięcy koron. Usiadłem na łóżku i przetarłem twarz. Oczekiwane pieniądze w końcu wpłynęły, a na dodatek dostałem prawie pięć tysięcy więcej, niż się spodziewałem. Zalogowałem się do CSN i przeczytałem, że wpłata obejmuje półtora miesiąca, ponieważ nauka na uczelni zaczęła się piętnastego sierpnia. Poczuję ogromną ulgę i bezwładnie opadłem na łóżko.

Po raz pierwszy od przyjazdu do Lundu poszedłem do kawiarni Love Coffee przy placu Clemenstorget. Chciałem ją odwiedzić od samego początku. Zamówiłem śniadanie złożone z cappuccino i croissanta. Kawiarnia sprawiała nowoczesne, nawet kosmopolityczne wrażenie. Nie była zapuszczona i nie śmierdziało w niej starym piwem, jak w tej w bractwie. Wypiłem kawę i zamówiłem następną. Świat za oknami odzyskał barwy, przyszłość znowu się stała w pełni realna. Teraz będę mógł kupić

nowe podręczniki akademickie, znajdę przyjaciół i codziennie będę się najadał do syta. Właśnie taka jest moc pieniądza. Z tego powodu poszedłem na prawo, po studiach chciałem dostać dobrze płatną pracę. Już nigdy nie będę oszczędzał na wydatkach ani jadł płatków owsianych.

Przy barze siedzieli stali klienci i rozmawiali z barmanką. Dziewczyna była w moim wieku, miała kolczyk w nosie i jasne, zebrane w kok włosy. Od przyjazdu do Lundu nie zwracałem uwagi na to, jak ludzie się tu noszą, bo przez cały czas byłem skupiony na pieniądzach i finansach. Fakt, że zacząłem się zastanawiać, czy dziewczyna jest seksowna, był dla mnie jak wyzwolenie.

– Ty też jedziesz do Malmö? – spytała, kiedy podszedłem do lady, żeby zapłacić.

Przeciągnąłem kartę przez terminal, a gdy transakcja została zaakceptowana, odetchnąłem z ulgą.

– Czemu tam? – spytałem.

Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie i podała mi paragon, ale pokręciłem głową na znak, że nie jest mi potrzebny.

– Na demonstrację nazistowską. Chyba wszyscy się tam wybierają.

Malmö dzieliło dziesięć minut jazdy pociągiem od Lundu, ale przez ostatnie tygodnie mogło się znajdować w innym świecie. Przypomniało mi się jak przez mgłę, że naziści dostali zgodę na urządzenie demonstracji w Limhamn na obrzeżach Malmö. Lekko poczerwieniałem i spojrzałem dziewczynie w oczy.

– Myślałem, że to dopiero jutro – odparłem. – Ostatnio miałem mnóstwo nauki i pewnie mi umknęło, że to dzisiaj.

– Oficjalna demonstracja odbędzie się jutro, ale naziści chcieli ją urządzić w centrum miasta, więc teraz wszyscy mówią, że się odbędzie dzisiaj, nielegalnie.

Zawahałem się, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Powinieneś tam pojechać, chyba że masz coś innego do roboty. Demonstracja zacznie się około trzeciej i na pewno dojdzie do rozróby.

Dziewczyna spojrzała na mnie swoimi jasnoniebieskimi oczami, a ja przez ułamek sekundy wyobraziłem sobie, że pytam ją o numer telefonu albo mówię: „Kończ już, pojedziemy tam razem”. Może właśnie tego oczekiwała? Skinąłem głową i włożyłem kartę do portfela.

– Mówię poważnie – zapewniała dziewczyna. – Idą ponure czasy, każdy powinien wnieść swój wkład.

Zabrzmiało to bardzo górnolotnie, a ja byłem szczęśliwy, że dostałem długo oczekiwane pieniądze. Poczuję, że nie wysiedzę w moim pokoiku ani dnia dłużej.

– Masz rację – odparłem. – Pojadę tam.

Kiedy dojechałem na dworzec w Malmö i wysiadłem z pociągu, nie zauważyłem nic, co mogłoby wskazywać na to, że dojdzie do rozróby, o której wspomniała barmanka. Nie żebym wcześniej uczestniczył w większych demonstracjach. Na protestach antyrasistowskich w Norrköpingu zjawiali się zazwyczaj dwaj aktywiści: przychodzili na plac Tyska Torget z wykonanym w domu banerem. Przez kilka ostatnich lat widziałem ich ze dwa razy, więc miałem nadzieję, że w Malmö zobaczę coś innego. Wychodząc z dworca, spojrzałem na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej. Kiedy w drodze na Duży Rynek szedłem wzdłuż kanału, wydawało mi się, że słyszę dobiegające z centrum słabe dudnienie bębnow. Przechodząc przez ulicę, zauważyłem duży cień i usłyszałem hałas. Zadarłem głowę i zobaczyłem policyjny helikopter, który krążył niebezpiecznie nisko nad dachami domów. Huk jego wirnika był coraz głośniejszy. Ludzie zatrzymywali się i pokazywali go sobie palcami. Spojrzałem w głąb mijanej przecznicy i zobaczyłem dwa oddziały policji. Inna, mniejsza grupa, wyjmowała z wnętrza wozów używane w czasie demonstracji tarcze ochronne. Puls mi przyspieszył, poczułem, że coś się zaraz zacznie.

Na Dużym Rynku stała mniej więcej pięćdziesięcioosobowa grupa osób w dredach i z czerwonymi banerami. Na początku poczułem się podbudowany ich widokiem. Wydali mi się szczerzy, jakby pochodzili ze świata pełnego haszu i debat o pułapkach globalizacji. Być może przyjechali z Kopenhagi albo z Berlina. Kiedy jednak podszedłem bliżej, stwierdziłem, że w swoich szerokich, krótkich spodniach, postironicznych fryzurach i o nieokreślonej przynależności płciowej wyglądają jak starsze wersje naszych moralistów z Norrköpingu. Ich flagi i bębny były raczej nostalgiczne niż ekscytujące i bardziej pasowały do nudnego pochodu pierwszomajowego niż buntu, który spodziewałem się zobaczyć. Helikopter zataczał nad nami koła, a kiedy się odwróciłem, ujrzałem policjantów, którzy szli w tę stronę w kombinezonach używanych podczas rozpędzania demonstracji i w białych hełmach z pleksiglasowymi przyłbicami – wszyscy wyglądali niemal tak samo. Na nogach mieli czarne buty z goreteksu pokryte kevlarom. Być może byli to ci, którzy przed chwilą wyładowywali sprzęt i uzbrojenie z samochodów. Przeszli koło mnie, a ja odprowadziłem ich wzrokiem.

Miałem już za sobą kryzys finansowy, który całą swoją banalnością pokazał mi granicę przebiegającą przez mieszkanie, w którym wynajmowałem pokój. Przepaść,

którą ta granica wyznaczała, sama w sobie była wersją w pigułce tej samej niewidzialnej niesprawiedliwości, na której zbudowany był świat. Nikt i nic nie mogło obronić tego, co reprezentowały sobą pieniądze, pochodzenie i przynależność klasowa razem wzięte. Zdziwiło mnie, że tak bardzo chciałem nagle zobaczyć, jak wygląda podpalony przez kogoś świat.

Do Dużego Rynku przylegał Mały Rynek. Panował tam zupełnie inny nastrój, ponieważ nie było na nim bijących w bębny i wymachujących flagami moralistów. Na środku stała kilkusetosobowa grupa ubranych na czarno demonstrantów. Wielu z nich miało na twarzach maski, które sprawiały, że wyglądali jak relikty i skamieliny z czasów, gdy na świecie szalał śmiertelny wirus. Na samym przodzie, naprzeciwko policyjnych tarcz, stali protestujący w motocyklowych kaskach i naciągniętych na twarze kominiarkach. Niektórzy z nich byli uzbrojeni w kije albo proce, zauważyłem też przywiązane do plecaków maski przeciwgazowe. To właśnie takich jak oni pokazywały telewizje relacjonujące odbywające się w stolicach różnych państw wymierzone w globalizm zgromadzenia. Tworzyli gotową do walki armię uliczną. Otaczał ich nieliczny oddział policji. Gdyby demonstranci chcieli, bez problemu mogliby wydostać się z placu.

– To Niemcy i Duńczycy – powiedział ubrany w garnitur i stojący obok mnie mężczyzna. Wyglądał na maklera giełdowego, a swoje słowa skierował do innego mężczyzny. Wskazał palcem demonstrantów i dodał: – Pieprzona hołota, są niewiele lepsi od nazistów.

– Psychopaci – stwierdził drugi z mężczyzn. – Zaraz dojdzie do zadymy. Dlaczego nie ma tu więcej policjantów?

Słyszając te słowa, poczułem, że puls mi przyspieszył. Właśnie po to tu przyszedłem, chociaż wtedy tego nie rozumiałem albo nie chciałem się do tego przyznać. Dziwiło mnie, że byłem pełen nadziei i oczekiwań. Niczego się nie bałem i byłem gotów na to, co zaraz miało się wydarzyć.

Demonstranci skandowali hasła, które ginęły w huku krążącego nad nimi helikoptera. Sam nie wiem, jak i kiedy wszystko się zaczęło. Być może ktoś sprowokował jednego z policjantów albo manifestant z anonimowego tłumu rzucił butelkę lub kamień? Tak czy inaczej, nagle ujrzałem, jak policjanci unieśli tarcze i zaczęli uderzać w nie pałkami. W chwili, kiedy się zwrócili w stronę, z której zostali zaatakowani, tłum jakby zafalował. Na policjantów poleciały płonące butelki z benzyną, więc ci znowu uderzyli pałkami o tarcze. Wydawało mi się, że słyszę dźwięk syren przebijający się przez huk helikoptera. Stojący obok mnie dwaj mężczyźni odwrócili się i poszli na Duży Rynek. Obaj filmowali przebieg wydarzeń telefonami.

Ja też powinienem był się oddalić, żeby zacząć nagrywać, ale nie czułem strachu. Przeciwnie, czułem się dziwnie spokojny. Stałem z szeroko otwartymi oczami, pulsowały mi skronie i nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby stamtąd odejść. Nie zamierzałem stracić choćby jednej sekundy z tego, co się rozgrywało przed moimi oczami.

Na początku odniosłem wrażenie, że policjanci zapanowali nad sytuacją. Pierwsze starcia ustały, tłum się uspokoił i wydawało się, że napięcie opadło. Nagle, nie wiadomo skąd, nadleciała butelka z koktajlem Mołotowa i rozbiła się o kask jednego z policjantów, a jej zawartość wylała się na jego kombinezon, ale się nie zapaliła. Policjant najpierw się cofnął, ale kiedy ujrzał, że ogień zgasł, zrobił krok do przodu i pomachał pałką w kierunku stojących naprzeciwko niego w pierwszym rzędzie demonstrantów. Wiadomo było, że żaden z nich nie rzucił tej butelki, policjant zareagował impulsywnie. Może uważał, że to bez znaczenia, kto i skąd rzucił butelkę, bo wszyscy demonstranci byli dla niego tacy sami. Niewykluczone, że wpadł w złość albo w panikę. Któryś z jego kolegów próbował go zatrzymać i uspokoić, ale było już za późno. W reakcji na jego zachowanie tłum eksplodował.

Ludzka masa ruszyła jak stado w stronę miejsca, na które wycofali się policjanci. W odpowiedzi na reakcję tłumy funkcjonariusze unieśli tarcze, próbując uformować coś w rodzaju muru. Wszedłem na krzesło stojące w jednym z ogródków przed restauracją, żeby lepiej widzieć. Znajdowałem się jakieś dwadzieścia metrów od epicentrum rozgrywających się na placu scen. W powietrzu latały kamienie i koktajle Mołotowa, nad nami huczał helikopter. Policjanci wycofali się pod ściany otaczających rynek budynków z siedemnastego wieku. Źle to wróżyło wystawie jednego ze sklepów dla majsterkowiczów, którą mieli za plecami. Dziwnie to wyglądało: kevlar i pleksiglas na tle drewna i motków przędzy. Nagle dwaj policjanci unieśli coś, co wyglądało jak strzelby. Skuliłem się i krzyknąłem:

– Nie strzelać!

Niestety, mój głos utonął w kakofonii innych dźwięków. Policjanci unieśli strzelby i strzelili. Z luf nie wyleciały jednak kule, lecz dymiące metalowe przedmioty o cylindrycznych kształtach. Kilka sekund później poczułem szczypanie w oczach i w nosie, po policzkach popłynęły mi łzy, z trudem oddychałem. Domyśliłem się, że to gaz łzawiący. Obserwowałem przez załzawione oczy, jak część tłumy się cofa, a niektórzy demonstranci zasłaniają usta i twarze szmatami. Byli też tacy, którzy mieli na twarzach maski przeciwgazowe. Płuca skurczyły mi się od gazu, który do nich wniknął, co oznaczało, że im głębiej oddychałem, tym więcej trucizny wchłaniał mój organizm. Dłużej nie mogłem tu zostać. Bałem się, że zaraz się uduszę.

Ruszyłem ulicą i przy sklepie z płytami Folk & Rock Malmö skręciłem za róg. Po drodze minąłem siłownię i Espresso House. Ulicą biegli policjanci, którzy kierowali się na Mały Rynek, gdzie nadal trwały starcia. Oczy tak mi łzawiły, że ledwo ich widziałem. Coś do mnie krzyczeli, ale nic nie słyszałem, bo wokół mnie panował ogromny hałas. Dźwięki, które do mnie dobiegały, brzmiały jak krok marszowy ze skandowanymi w tle hasłami. Zgiełk coraz bardziej się nasilał. Słyszałem, jak tłuczone są szyby sklepów. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że przed chwilą panował tu spokój, a teraz dochodzi do takich scen. Od chwili, kiedy zobaczyłem stojącą na rynku grupę, minęło nie więcej niż dziesięć minut, a od momentu, gdy któryś z demonstrantów rzucił butelkę z benzyną, minuta. Dzielnica przypominała strefę wojny. Z trudem oddychałem, próbowałem głębiej zaczerpnąć powietrza.

Nie wiedziałem, dokąd idę, ale po pewnym czasie skręciłem w prawo i znalazłem się na trochę szerszej ulicy. Postanowiłem się oddalić poza zasięg gazu, chociaż w zasadzie już teraz byłem poza nim. Niestety, przestałem myśleć trzeźwo. Przez załzawione oczy zobaczyłem, że ulica jest zablokowana. Przede mną stali w zwartym szyku i odwróceniu do mnie plecami policjanci. Po drugiej stronie ulicy dostrzegłem nazistów. Mieli na sobie białe koszule i wpuszczone w nie krawaty. Powiewały nad nimi zielone flagi z czarnymi symbolami, w tym skandynawskimi runami. Było ich nie więcej niż pięćdziesięciu. Policja nie pozwalała im się ruszyć z miejsca, żeby nie pozabijali ich kontrademonstranci z Małego Rynku. Jeden z policjantów, który stał przodem do mnie, dał mi znak ręką, żebym zawrócił i nie szedł w stronę skrzyżowania, do którego się kierowałem. Oczy tak mi łzawiły, że prawie go nie widziałem.

– Nie możesz tu zostać! – zawołał policjant. – Ulica jest zablokowana!

Spojrzałem przez ramię w kierunku Małego Rynku. Demonstranci napierali na policjantów z taką siłą, że ci ostatni zaczęli się cofać. Widać było, że tłum chce ruszyć w tym kierunku, żeby dobrać się nazistom do skóry.

– Kazałem ci się stąd oddalić! – krzyknął policjant. – Natychmiast!

Naziści zaczęli się zbliżać do blokujących przejście policjantów, podeszli pod ich tarcze. Wydawało mi się, że na prawo ode mnie na szeregi innych policjantów nacierają antynaziści. Nie miałem innej możliwości, musiałem wbiec w odchodzącą w lewo ulicę.

Pędem minąłem sklep z czekoladą i salon barberski. Gdy słyszałem za sobą tupot nóg, skandowanie haseł, brzęk tłuczonych szyb i huk krążącego nad ulicami helikoptera, oba te symbole klasy średniej wydały mi się w tym momencie pod prostu głupie i nic nieznaczące. Bolały mnie oczy, szczypało w gardle.

Ulica, którą szedłem, sprawiała wrażenie dziwnie pustej. Za sobą słyszałem skandowanie haseł i gwar zbliżającego się tłumu. Policjantów było zbyt mało i nie udało im się zatrzymać demonstrantów na rynku. Serce waliło mi coraz szybciej, ale nie ze strachu, tylko z podekscytowania. Nie mogłem się doczekać tego, co miało się wkrótce zdarzyć. Wiedziałem, że w każdej chwili może dojść do bardziej drastycznych starć, a wtedy zjawi się więcej policjantów, w końcu opanują sytuację i do wieczora wszystkie ślady po tym, co tu się działo, zostaną usunięte. Jednak w tej chwili światu, który mnie otaczał, groziła eksplozja. Nie chciałem być nigdzie indziej, tylko tu, w samym sercu wydarzeń.

Zatrzymałem się i rękawem koszuli otarłem szczypiące, zażawione oczy, a kiedy je znowu otworzyłem, po drugiej stronie ulicy ujrzałem ubraną na czarno zamaskowaną postać, która wyjmowała z plecaka pojemnik ze sprejem. Z jednej z przecznic wybiegły dwie inne postacie w takich samych czarnych dżinsach, czarnych bluzach i ciężkich butach.

– Zostaw to, bo nie zdążymy! – krzyknęła jedna z nich przez ramię.

Jednak postać ze sprejem w ręku – nie wiedziałem: kobieta czy mężczyzna, chłopak czy dziewczyna – zdawała się tego nie słuchać. Wspięła się na palce i uniosła rękę.

Dwie przecznice dalej słychać było brzęk tłuczonego szkła, dudnienie kroków i ludzkie głosy. Na ceglanej żółtej ścianie ubrana na czarno osoba napisała dużymi czerwonymi literami słowa:

MAMY SZNURY I SZTYLETY

Potem zaczęła się rozglądać, jakby szukała następnego miejsca, na którym będzie mogła umieścić kolejny napis.

Hałas, jaki robili demonstranci, był coraz bliżej. Kątem oka zauważyłem wybiegającego z bocznej ulicy policjanta. Uniósł pałkę i zamachnął się na ubraną na czarno postać, która stała tyłem do niego i do mnie. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie miałem czasu się zastanowić nad tym, co robię.

– Uważaj! – zawołałem.

Dlaczego krzyknąłem? Czemu stanąłem po stronie zamaskowanej postaci? Bo uznałem, że policjant ma oczywistą przewagę, a przemoc, do której zamierzał się uciec, jest przesadzona? Postać zerknęła przez ramię i go zauważyła. Kiedy krzyknąłem, funkcjonariusz zatrzymał się w pół kroku i spojrzał w moim kierunku. Ten moment wystarczył, bo postać odeszła od ściany i wbiegła w jedną z bocznych ulic. Policjant przez chwilę się wahał, a gdy uznał, że nie zdąży jej dopaść, ponownie na mnie popatrzył. Wzrok miał gniewny i twardy.

Oczy nadal mnie szczypały i łzawiły i ciągle mrugałem powiekami. Nagle poczułem się tak, jakby czas stanął w miejscu. Zanim się zorientowałem, w lewym nadgarstku

poczułem silny ból. Krzyknąłem i osunąłem się na kolana. Byłem zdumiony tym, co się stało, i nie wiedziałem, co o tym myśleć.

– Na ziemię! – zawołał policjant i unióś pałkę.

Zawahałem się i wyciągnąłem ręce na znak, że nie stanowią dla niego zagrożenia. Bolała mnie dłoń, bałem się, że jest złamana. Domyśliłem się, że to on uderzył mnie pałką.

– Nic nie mam! – krzyknąłem. – Ja tylko tędy przechodziłem.

Drugie uderzenie trafiło mnie w ramię. Było tak mocne, że upadłem na ziemię i przewróciłem się na bok.

– Ręce na plecy! – krzyknął policjant.

Byłem zszokowany, nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Bolała mnie ręka, oczy łzawiły i szczypały. Słyszałem za sobą głosy demonstrantów. Były coraz bliżej.

– Nic złego nie zrobiłem! – zawołałem.

Ale policjant mnie nie słuchał, tylko przycisnął mi głowę do chodnika. Szurnąłem policzkiem o ziemię, a gdy wykręcił mi ręce, krzyknąłem z bólu.

– Co ty, kurwa, robisz?! – zawołałem z twarzą na chodniku.

Nagle obok nas usłyszałem kroki i chwilę później policjant przestał mnie przygniatać. Odwróciłem się na bok i zobaczyłem, że leży obok mnie na plecach. Zgiełk i tupot nóg były coraz bliżej i nagle znalazłem się w samym środku tego zamieszania. Wyglądało to tak, jakby na ulicę wylała się ludzka fala. Zaroilo się od policjantów oraz demonstrantów, słychać było krzyki i rozkazy, uderzenia pałek i brzęk pękających butelek. Nad nami nadal unosił się helikopter.

Ktoś szarpnął mnie za ramię i pomógł mi się podnieść na kolana. Zobaczyłem czarne džinsy, czarną bluzę i buty z logo firmy Adidas – trzy charakterystyczne czarne kreski z boku. Ktoś pomógł mi wstać z ziemi. Uniosłem głowę i przed oczami zamigotał mi wykonany jaskrawą czerwienią napis na ścianie budynku po drugiej stronie ulicy:

MAMY SZNURY I SZTYLETY

Była to ostatnia rzecz, która utrwałała mi się w pamięci, bo chwilę później spadła na nas chmura gazu łzawiącego. Leżący obok policjant, który najwyraźniej był lekko zamroczony, próbował wstać z chodnika. Zdążyłem już się wyprostować, a osoba, która przed chwilą mnie uratowała, chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Zostawiliśmy policjanta i ruszyliśmy biegiem przed siebie. Skręciliśmy w przecznicę i znaleźliśmy się na pustej ulicy.

Dźwięki, które do nas dochodziły, stały się jeszcze bardziej intensywne, gdy obie oddzielone kordonem policji grupy stanęły naprzeciwko siebie. Im dalej byliśmy od

tamtego miejsca, tym bardziej dźwięki cichły. Towarzyszka mi ubrana na ciemno postać zatrzymała się, spojrzała na mnie i wydała mi polecenie:

– Usiądź i oprzyj się o ścianę.

Głos nie był głęboki ani twardy, jak się spodziewałem, tylko jasny i melodyjny. Domyśliłem się, że to dziewczyna. Pod zakrywającą twarz czarną maską widziałem tylko oczy. Były intensywnie zielone i lśniły jak wodorosty. Zawahałem się i rozejrzałem wokół siebie. Dziewczyna podeszła i mnie zmusiła, żebym usiadł na ziemi i oparł się plecami o ścianę.

– Mamy niewiele czasu, więc rób, co ci każę – powiedziała, a ja poczułem na twarzy kawałek wilgotnego materiału. – To na gaz. Podaj mi rękę.

Faktycznie, oczy przestały mi łzawić. Materiał złagodził skutki użycia gazu łzawiącego. Dziewczyna wzięła mnie za rękę, a gdy dotknęła dłonią mojej skóry, poczułem chłodny goretęk jej rękawiczki. Odśloniłem twarz i zobaczyłem, że drugą ręką szuka czegoś w czarnym plecaku. Po chwili wyjęła biały bandaż, który kontrastował z jej czarną ręką.

– Ten gliniarz zwichnął ci rękę – powiedziała, obwiązując mi nadgarstek. – To może być pęknięcie kości. Musisz zrobić prześwietlenie.

– Kim jesteś? – spytałem, ale dziewczyna nie odpowiedziała, zajęta opatrunkiem. – Dlaczego mi pomagasz?

Dopiero teraz uniosła głowę i odparła:

– Bo wyglądałeś na kogoś, kto potrzebuje pomocy. Poza tym ty też mi pomogłeś.

Siedziałem jak sparaliżowany, pozwoliłem jej opatrzyć mój nadgarstek. Nadal buzowała we mnie adrenalina, z oddali dobiegały te same dźwięki: huk helikoptera, podniesione głosy, uderzenia i biegania. Czułem się tak, jakbyśmy przebywali w innym świecie. Nie byłem pewien, czy to, co przeżywam, dzieje się naprawdę.

– Należysz do którejś z naszych grup? – spytała dziewczyna. Puściła moją rękę i spojrzała na mnie. Wzrok miała tak intensywny, że musiałem popatrzeć ponad jej głowę, żeby nie stracić gruntu pod nogami. Obserwowałem promień słońca, który schodził po blaszanym dachu i ścianie stojącego po drugiej stronie ulicy domu. – Chciałbyś się z kimś skontaktować? Może ktoś się o ciebie martwi, bo nie wie, gdzie jesteś?

– Jestem sam – odparłem.

Zabrzmiało to szczerzej, niż zamierzałem, jakby miało to cokolwiek wspólnego z czymś więcej niż tylko z samą manifestacją. W oddali zawyły syreny: najpierw jedna, potem następne. Brzmiały jak niedostrojona symfonia, ale po pewnym czasie wszystkie ucichły. Dziewczyna skinęła głową i pogłaskała mnie po policzku. Jej dłoń okrywała szorstka i chłodna w dotyku rękawiczka. Kiedy ją uniosła, podwinął jej się

rękaw kurtki i w miejscu między końcem rękawa a rękawiczką zauważyłem fragment wykonanego prostą czarną kreską tatuażu. Przypominał profil kobiecej twarzy i wyglądał tak, jakby go zrobiono w starożytności, choć był w pełni nowoczesny. Kojarzył się z egipską królową Nefretete.

– Mieszkasz w Malmö? – spytała.

– W Lundzie. Studiuję prawo. Dopiero zacząłem pierwszy semestr. Na manifestację trafiłem przypadkowo. Chciałem tylko zobaczyć, jak coś takiego wygląda.

Dziewczyna spojrzała na mnie tak poważnym wzrokiem, że przez chwilę nie miałem wyjścia i popatrzyłem jej prosto w oczy.

– Trafiłeś w sam środek zadymy i musiałeś uciekać?

Wzruszyłem ramionami i odparłem z nonszalancką miną:

– Nie wiem. Po prostu byłem ciekaw.

Dziewczyna wzięła mnie za rękę i owinęła mi nadgarstek dodatkową warstwą bandażu. Opatrunek wzmocniła taśmą chirurgiczną, którą też miała w plecaku. Po tym wszystkim znowu na mnie spojrzała.

– Nie kłam. Nie musisz się wstydzić.

Nie jestem pewien, ale chyba się zaczerwieniłem.

– *Sorry* – odparłem. – Chyba masz rację.

– Nie przepraszaaj.

Wrzuciła taśmę do plecaka i spojrzała w kierunku wyłomu prowadzącego na ulicę, jakby na kogoś czekała. W jej plecaku zauważyłem czerwony pojemnik ze sprejem.

– Dlaczego napisałaś na ścianie „Mamy sznury i sztylety”?

– Bo tylko to mamy – odparła. – Niewykluczone, że nam to wystarczy.

Pokręciłem głową, bo jej odpowiedź zabrzmiała tajemniczo.

– Jak się nazywasz? – spytała.

Przedstawiłem się, a wtedy ona wstała z ziemi, spojrzała w kierunku ulicy i zaciągnęła zamek w plecaku. Wyglądała na zniecierpliwioną, jakby czekała na kogoś, kto powinien już przyjść.

– Nie pasuję do was – stwierdziłem cichym głosem. – Myślałem, że w Lundzie będę się czuł lepiej, ale jest inaczej.

Mówiłem prawdę, bo właśnie tak się czułem, chociaż przyznałem się do tego w dziwnych okolicznościach. Być może pozostawałem w szoku. Dziewczyna zaopiekowała się mną. Od dawna nikt tego nie robił.

– Mieszkam z dwoma bogatymi kolesiami ze Sztokholmu. Grywają w tenisa i prowadzą życie, w którym dla kogoś takiego jak ja nie ma miejsca. Na dodatek studiuję zupełnie inny kierunek, niż zamierzałem.

Spojrzałem w jej zielone oczy i pokręciłem głową.

– Przepraszam, ale chyba nie wiem, o czym mówię.

Dziewczyna kucnęła przede mną i chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo w tej samej chwili ktoś zawołał ją po imieniu.

– Max! Co jest grane?

Oboje popatrzyliśmy w tamtą stronę. Dwadzieścia metrów od nas, w wyłomie prowadzącym na ulicę, stał mężczyzna w kurtce pilotce, czarnej kominiarce i rękawiczkach. Przez ramię miał przewieszony czarny plecak. Takich ludzi widziałem w wiadomościach telewizyjnych i na YouTube. Zawsze szli w pierwszym szeregu. Zawodowi demonstranci, anonimowi i autonomiczni.

– Pospiesz się! Musimy się zmywać! Natychmiast!

Dziewczyna o imieniu Max pochyliła się i jeszcze raz obejrzała moją rękę. Nadal czułem pulsowanie, ale jakby mniejsze. Dłoń była owinięta bandażem.

– Kim wy jesteście? – spytałem. – Antifa? Czarny blok?

– Ruszaj się! – zawołał mężczyzna. – Co ty tam, do cholery, robisz?

– Nikim szczególnym – odparła dziewczyna. – Po prostu nikim.

Cofnęła się o krok, jakby jeszcze chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła i ruszyła w kierunku swojego towarzysza. Helikopter nadal krążył po okolicy, zagłuszając wyjące syreny. Na ścianach domów podskakiwały i pływały promienie niebieskiego światła.

Nie wiem, jak długo siedziałem na asfalcie. Pewnie do momentu, aż ucichły syreny i odleciały helikoptery. Zniknęło też niebieskie światło ze ścian domów. Ci, którzy mieli zostać aresztowani, trafili do aresztu, inni, których trzeba było wywieźć, zostali wywiezieni. W mieście znowu zapanował spokój, więc wstałem z ziemi i otrzepałem dżinsy z kurzu. Nadal czułem pulsowanie w dłoni, więc ją uniosłem i trzymałem w tej pozycji. Gdyby nie ona, to, co się wydarzyło po moim przyjeździe do Malmö, mógłbym uznać za sen albo wytwór fantazji. Najpierw zostałem bez przyczyny pobity i zatrzymany przez policję, potem uwolniony przez demonstrantów. Pokręciłem głową. To mnie po prostu przerastało.

Całe dotychczasowe życie spędziłem w bezwładzie i stagnacji i nagle dostałem potężną dawkę adrenaliny, z którą nie wiedziałem, co zrobić. Może powinienem się martwić, że zaczną mnie szukać policja? Jakkolwiek by patrzeć, uciekłem policjantowi, który chwilę przedtem mnie zatrzymał. Nie mogłem jednak pójść na komisariat i się zgłosić. Naiwny pomysł! Przecież policja i tak ma teraz mnóstwo roboty.

Powoli ruszyłem tą samą drogą, którą niedawno biegłem z ubraną na czarno dziewczyną. Ulice zasypane były drobinami szkła z szyb i butelek. W pewnej chwili zauważyłem leżący pod ścianą domu pusty granat łzawiący. Policyjne blokady nadal

stały tam, gdzie przedtem, ale po demonstrantach nie pozostało śladu. Policja rozciągnęła przed sklepem jubilera żółtą taśmę, przed wejściem parkowały dwa radiowozy. Serce mocniej mi zabiło. Wiedziałem, że niczym nie ryzykuję, ale co będzie, jeśli faktycznie mnie szukają? Odwróciłem się i pobiegłem w drugą stronę, w kierunku dworca kolejowego.

Kiedy dojechałem do Lundu i wyszedłem na ulicę, miasto było skąpane w promieniach letniego słońca i panował w nim tak melancholijny nastrój, że graniczyło to z nieszczęściem. Przeszedłem przez Clemenstorget i ruszyłem do mojego nowego lokum. W jednym z mieszkań na piętrze trwała impreza, przez otwarty balkon słychać było głośną muzykę. Obok mnie przemknęła dziewczyna na zardzewiałym rowerze. Miała krótkie spodnie i długie, świeżo umyte włosy. Na kierownicy trzymała *bag-in-box*. Wiatr sprawiał, że sukienka opinała się wokół jej ciała. Żałowałem, że tak jak ona nie zmierzam do jakiegoś celu.

Dłoń nadal mnie bolała, ale nie miałem ochoty wracać do mojego małego ciasnego pokoju, w którym mieszkałem jakby z cudzej łaski. Był piątek i chciałem opowiedzieć komuś o tym, co się stało. Nagle ogarnęło mnie znane uczucie. Zamarłem w bezruchu. Euforia i radość z powodu otrzymanych pieniędzy ustąpiły miejsca temu, czego doświadczyłem niedawno. Jednak w porównaniu z tamtymi uczuciami było to coś mocniejszego. Uczestniczyłem w czymś ważnym, znalazłem się w samym środku buntu i ognia, ale zamiast się przyglądać i stać biernie z boku, wziąłem w tym czynny udział. Teraz, kiedy było już po wszystkim, poczułem znaną pustkę. Wróciłem do tego, co się składało na moje zwykłe, żałosne życie. Pieniądzy wystarczy mi pewnie na zakup podręczników i na jedzenie, ale przyszły za późno, życie towarzyskie na moim roku trwało już w najlepsze. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Zmarnowałem życie. Zostałem sam.

Kiedy wszedłem do mieszkania, poczułem słaby zapach piwa i perfum marki Byredo. Podłoga była zastawiona brązowymi pantoflami marki Crockett & Jones. Idąc do swojego pokoju, ostrożnie rozsunałem je tenisówkami. Domyśliłem się, że trwa jakaś impreza.

– Djoković kontra Nadal! – usłyszałem czyjś krzyk. Wydawało mi się, że to głos Victora. – Dwaj prawdziwi mistrzowie!

Ludvig i Victor siedzieli z trzema innymi kolesiami na kanapie i grali w ATP World Tour. Ubrani byli w dżinsy i białe albo jasnoniebieskie koszule.

– Zagrajcie tylko jednego seta – zaproponował Victor. – Oglądanie waszych zmagania to żadna przyjemność.

– Faktycznie, żaden z was nie jest mistrzem – zgodził się z nim jeden z jego kumpli.

Stałem w drzwiach przedpokoju i żałowałem, że tu wszedłem. Powinienem być od razu wyjść z mieszkania i poczekać, aż skończą, spędzić ten czas w siedzibie Stowarzyszenia Prawników albo w bractwie Östgöta Nation. Niestety, zauważył mnie Ludvig i nie mogłem się już wycofać.

– Oto i on! – zawołał. – Nasz król!

Pozostali też na mnie spojrzeli. Ludvig machnął mi niecierpliwie ręką.

– Nie stój tak, wchodź.

– Muszę się czegoś napić – odparłem i poszedłem do kuchni.

W telewizji leciały wiadomości, z pokoju dobiegały szydercze komentarze i okrzyki radości. Musiałem trochę poczekać, aż z kranu pocieknie zimna woda, ale mi to nie przeszkadzało, bo dzięki temu zyskałem na czasie. W końcu szklanka napełniła się wodą. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem Victora, który stał w progu kuchni.

– Masz jakieś plany na wieczór? – spytał. – Domyślam się, że dostałeś kasę z CSN i pewnie pójdziesz w miasto, żeby zaszaleć?

– Umówiłem się z dwoma kumplami z roku – skłamałem. – Zobaczymy, dokąd nas drogi zaprowadzą.

Victor skinął głową. Ręką, w której trzymał butelkę włoskiego piwa Peroni, wskazał moją dłoń. W promieniach słońca, które wpadały do kuchni przez okno w dachu, błysnęły guziki na mankietach jego koszuli. Zauważyłem na nich coś, co wyglądało jak herb rodowy.

– Co ci się stało? – spytał.

Uniosłem rękę i spojrzałem na nią takim wzrokiem, jakbym był zdziwiony, że jest zabandażowana. Nadal mnie bolała, ale miałem nadzieję, że nie jest złamana.

– Przewróciłem się, kiedy przechodziłem przez drzwi obrotowe w sklepie Gleerups – odparłem. – Poszedłem tam po podręczniki dla pierwszego roku.

Zabrzmiało to jak kłamstwo, ale przecież skłamałem. Na szczęście Victor nie zwrócił na to uwagi. Wypił trochę piwa i spytał ze zdziwieniem:

– Jeszcze ich nie kupiłeś? Po co ci nowe? Kup ode mnie używane. Oddam za dobrą cenę.

– Okej – skinąłem głową. Ucieszyłem się, że rozmowa zeszła na inny temat i nie musimy rozmawiać o mojej ręce. – Tak chyba będzie najlepiej.

– Wow! Ale backhand!

– Prawdziwy mistrz!

Okrzyki dobiegły z kanapy w pokoju. Domyśliłem się, że Nadal wygrał finał Wimbledonu jednym setem. Victor wskazał kciukiem przez ramię.

– Kasę możesz mi przelać na konto, tysiąc siedemset koron. Książki stoją na dolnej półce, koło PlayStation. Odstąpię ci je za połowę ceny, którą musiałbyś zapłacić za nowe. Albo nie: dostaniesz zniżkę i oddam ci je za półtora tysiąka. W końcu należysz do naszego bractwa!

Wiedziałem, gdzie ich szukać. Były elegancko ustawione razem z podręcznikami do przedmiotów, które Victor i Ludvig studiowali w poprzednich latach. Poza nimi w całym mieszkaniu była jeszcze tylko jedna książka, którą znalazłem w swoim pokoju, gdy pakowałem rzeczy należące do Tottego. Nosiła tytuł *Styl i etyka gentlemiana* i opowiadała o zegarkach, wiązaniu krawata na kilka sposobów, samochodach marki Porsche, kroju koszul i zastawie stołowej. Zawierała też przepisy na koktajle. Chyba nie tylko ja musiałem się sporo nauczyć, żeby nie odstawać od tego towarzystwa.

– Super! – stwierdziłem. – Kasę od razu ci prześlę.

Dolałem wody do szklanki i duszkiem ją opróżniłem. Potem ją opłukałem i odstawiłem na suszarkę. Kiedy wszedłem do salonu, Victor siedział przy konsoli i grzebał w wazie z chipsami.

– Kurde! Nic już nie ma! Kto zżarł wszystkie chipsy?! – zawołał. Uniósł wazę i spojrzał na swoich kumpli, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Nasypię nowych – zaproponowałem. – W podziękowaniu za zniżkę na podręczniki.

Uśmiechnąłem się krzywo, zabrałem wazę i poszedłem do kuchni.

– Chipsy są w dużej torbie w szafce nad kuchenką! – zawołał Victor.

Nasypałem chipsów do wazy i włożyłem torbę z powrotem do szafki.

– Przynieś też pięć browarów, bo tym dupkom nie chce się ruszyć tyłka! – zawołał Ludvig.

Na jeden raz mogłem wziąć tylko wazę i dwa piwa, więc musiałem wrócić do kuchni po resztę.

– Nadal to prawdziwy król, brachu! – powiedział Ludvig, ale kiedy stawiałem na stoliku trzy ostatnie piwa, nawet na mnie nie spojrzał.

Wyjąłem telefon i przelałem pieniądze na konto Victora. W ręce nadal czułem pulsujący ból. Poszedłem do swojego pokoju.

Minął tydzień, a po nim następny. Na zajęcia musiałem nosić ciężki podręcznik, więc byłem zadowolony, że do Juridicum i Pufendorfsalen, gdzie odbywały się wykłady, seminaria i symulowane procesy sądowe, z mojego mieszkania nie miałem daleko. Ręka przestała mnie boleć już po dwóch dniach, więc zdjąłem bandaż. Odetchnąłem z ulgą, że nie była złamana. Ogarnął mnie lekki sentyment, ponieważ razem z bandażem zniknęła jedyna więź łącząca mnie z tamtym niezwykłym popołudniem w Malmö i szaleństwem, którego miałem okazję posmakować.

Na zajęciach dyskutowaliśmy o podziale kompetencji między parlamentem, rządem, państwem i samorządem. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego coś, co w gruncie rzeczy było proste i nieskomplikowane, zamieniono w coś, czego zrozumienie przychodziło z trudem. Dokonał tego Strömberg w swoim podręczniku sprzed prawie pół wieku, poświęconym aktom normatywnym. Roiło się w nim od przypisów, odniesień i skrótów, z którymi ledwo sobie radziłem. Niemniej z pewnych względów mi się to podobało: prawo posługuje się własnym językiem, pełnym słów i określeń, które potrafią zrozumieć jedynie osoby wtajemniczone.

– Kiedy się tego uczysz, wyobraź sobie, że przyswajasz zasady ujęte w nieskończonej liczbie gier towarzyskich – skomentował Fredde, kiedy po kolejnym wykładzie wychodziliśmy z auli na ulicę.

Fredde dołączył do nas dwa dni po rozpoczęciu roku akademickiego. Pochodził z okolic Oskarshamn, miał lekką nadwagę i często dostawał zadyszki. Symbolizował sobą wszystko, co wiąże się z tamtym regionem, zwłaszcza jeśli chodzi o dialekt. Z oczywistych względów nie miał bliskich przyjaciół, a fakt, że się do mnie garnął, stanowił najlepszy dowód na to, że wszystko jest już stracone. Nikt bowiem nie potrafi wyczuć nieudacznika tak dobrze jak inny nieudacznik. Mimo to fajnie było mieć kogoś, z kim mogłem pogadać, chociaż jego pragmatyczne podejście do prawa silnie kontrastowało z moimi mityczno-romantycznymi wyobrażeniami o tym, czym powinno ono być.

– Prawo przypomina nieskończoną liczbę instrukcji i zawiłych reguł gry – mawiał Fredde. – Problem polega na tym, że musisz się nauczyć na pamięć wszystkich szczegółów i zasad obowiązujących w każdej z tych gier. Musisz umieć przewidzieć każde możliwe posunięcie i każdą sytuację, chociaż w przyszłości w niektórych z tych gier nie wolno ci będzie uczestniczyć. A jeśli już, to dopiero po egzaminach, ale

i wtedy będziesz mógł grać tylko w jedną albo w dwie z nich. Dopiero wtedy do ciebie dotrze, że wszystkie inne reguły, których się nauczyłeś, nie są ci do niczego potrzebne. Właśnie na tym polega bycie prawnikiem.

Fredde mlasnął językiem, a ja przypominałem sobie, że robi to zawsze wtedy, gdy jest zadowolony ze swoich wypowiedzi.

– Dobra przemowa – odparłem. – Dopiero teraz wszystko nabiera sensu.

Przez kilka ostatnich tygodni prawie po każdych zajęciach ciągałem go ze sobą do różnych bractw, żeby przy kawie marnować kolejne popołudnia na dyskusje o tym, że prawo jest niepotrzebnie skomplikowane i jakimi łatwymi baranami są nasi koledzy z roku. Zazwyczaj kończyło się na tym, że zniecierpliwiony Fredde brał plecak i szedł do biblioteki, żeby się przez kilka godzin pouczyć. Najczęściej ruszałem tam z nim.

Tego popołudnia, we wtorek, Fredde skutecznie przeciwstawił się moim namowom do takiego beczynnego spędzania czasu i po zajęciach zabrał mnie na kawę do stołówki w Juridicum. Bałem się, bo zbliżał się termin naszego pierwszego egzaminu i dostaliśmy tematy prac zaliczeniowych. Mnie trafiły się konstytucyjne konsekwencje aktów normatywnych. Brzmiało to dość pompatycznie, ale nie przeszkadzało mi to, bo w prawie najbardziej podobały mi się takie uroczyste słowa i dawne, skomplikowane sformułowania pełne prawdziwej magii. W zależności od tego, w jakiej kolejności się ich używało, dawały skutki nie tylko na papierze, ale także w prawdziwym świecie: konsekwencje, zobowiązania, oskarżenia. Wzięte razem tworzyły prawo, które było równie magiczne jak zaklęcia w Harrym Potterze.

Fredde miał metafizykę w nosie, a tego dnia po południu zajęty był naszym wspólnym wystąpieniem przed kolegami z roku, którzy z pewnością będą siedzieć i robić wielkie oczy. Teraz, kiedy znaleźliśmy tematy prac zaliczeniowych, najbardziej ambitni z nas zaczęli szturmować piękną bibliotekę uniwersytecką, żeby wyprzedzić innych i znaleźć odpowiednie książki, precedensy sądowe i przykłady śledztw. Krążyły pogłoski, że niektórzy studenci po prostu kradli książki, żeby ich koledzy, którzy pisali prace na ten sam temat, nie mogli umieścić w nich odniesień do najważniejszych źródeł.

– Gdybyś im powiedział, że na dzień przepaści czeka na nich jakiś ważny precedens orzeczony przez Sąd Najwyższy, bez chwili wahania by tam zeszli – stwierdził Fredde i jak zwykle cmoknął. – Wydłubaliby sobie oczy, żeby poczytać o nim przed innymi.

Jego stwierdzenia nie brały się z niczego. Nasi koledzy z roku byli zmotywowani i zestresowani w sposób, który budził we mnie instynktowną antypatię. Bycie prymusem liczyło się w liceum, bo nikomu innemu na tym nie zależało. W Söderköpingu zamartwianie się o oceny szkolne było czymś subwersywnym, ale

mnie dodawało sił. Stało się też czymś w rodzaju załączka mojego przyszłego celu i tożsamości. Jeśli jednak w klasie wszyscy byli najlepsi, ujawniało się to w całej swojej żalostnej śmieszności. Czemu to miało służyć? Mieliśmy przed sobą dziewięć semestrów, żeby się nauczyć reguł gry, i całe życie na ich stosowanie. Przeprowadzić się do Sztokholmu, dostać pracę w uznanej kancelarii adwokackiej, harować sześćdziesiąt godzin na tydzień, kupić dom, założyć rodzinę, biegać maratony i w końcu umrzeć. Wyglądało na to, że prawo nie zawiera magicznej formuły, która pomoże uniknąć całkowitego bezsensu życia. Przeciwnie.

Fredde siorbał kawę i w roztargnieniu bębnił palcami po podręcznikach o prawodawstwie Unii Europejskiej. Po poprzednich tematach, takich jak normy konstytucyjne czy podział kompetencji między organa państwa i administracji, było to jak powiew świeżego powietrza z wielkiego świata.

– Chyba się domyślasz, że żartowałem? – spytał Fredde, nie unosząc głowy nad książki. – Prawo chciałem studiować od zawsze. Kocham je.

– Ja też – odparłem, chociaż to stwierdzenie było bardziej prawdziwe w jego przypadku niż w moim. Nawet jeśli Fredde żartował, miał wrodzony talent do prawa. Szybko łapał każdy wywód i nawet nie musiał się w niego za bardzo zagłębiać, jakby posiadał kabel łączący poczucie sprawiedliwości i racjonalności podpięty bezpośrednio do szpiku kostnego. Czasem odnosiłem wrażenie, że Fredde ma stalowy tyłek, ponieważ nad książkami potrafił spędzić dowolną liczbę godzin, jakby wkuwanie paragrafów i przeżuwanie ich treści było dla każdego prawnika najważniejszą czynnością.

Wypiłem trochę kawy i spytałem:

– A po co studiujesz prawo? Jakie masz w związku z nim marzenia i oczekiwania? Gdybyś miał swobodę wyboru, gdzie chciałbyś pracować?

Ale Fredde nawet na mnie nie spojrzał. Przesunął palcem po spisie treści podręcznika o fundamentach prawa europejskiego i mruknął coś pod nosem.

– Słyszałeś, o co pytałem?

Fredde uniósł głowę i spojrzał na mnie swoimi małymi, mądrymi oczami.

– Mówiłeś coś?

– W czym chcesz się specjalizować po studiach, kiedy poznasz wszystkie mądre paragrafy?

Fredde wziął łyk kawy i wzruszył ramionami.

– W prawie podatkowym albo w prawie spółek handlowych. Ogólnie w czymś, co jest cholernie trudne. Ktoś, kto się na tym zna, będzie mógł zażądać każdego wynagrodzenia.

– Sprytne, ale zabrzmiało to cholernie nudno.

– Mam w nosie to, czym się będę zajmował. Moja przyszła praca ma spełniać dwa podstawowe warunki: być cholernie trudna i dobrze płatna.

Fredde umilkł i znowu napił się z kubka.

– Tak naprawdę zależy mi na tym, żeby zapieprzać tyle, ile tylko się da.

Po tych słowach znowu się pochylił nad podręcznikiem o fundamentach prawa europejskiego.

– To była najbardziej dołująca rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałeś – stwierdziłem. – Odchodzę, żeby się rzucić w przepaść.

Wstałem z krzesła i zarzuciłem plecak na ramię.

– Widzimy się jutro na wykładzie – rzucił Fredde, nie odrywając wzroku od książki.

– *Don't be late, honey*¹.

Idąc w dół po schodach, czułem gęste powietrze i wilgoć, która wywoływała ból głowy. Nawet światło wydawało się gęste i nasycone. Było tak żółte i intensywne, że z trudem dało się przez nie cokolwiek zobaczyć. Rozejrzałem się po ulicy i w pewnej chwili coś przykuło mój wzrok. Zatrzymałem się więc na schodach, żeby to zjawisko zanalizować, ale wszędzie widziałem tylko ubranych w dżinsy i koszulki polo chłopaków, którzy stali oparci o rowery, albo dziewczyny w letnich sukienkach, chociaż był już późny wrzesień. Właśnie tak to wyglądało w Lundzie na co dzień.

Dopiero gdy spojrzałem na drugą stronę ulicy, poczułem lekki skurcz żołądka. Oparta o skrzynkę transformatorową stała dziewczyna o intensywnie zielonych oczach. Przed chwilą się zatrzymała, żeby poszukać czegoś w swoim dużym czarnym plecaku. Kiedy wyszedłem na schody, uniosła wzrok i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Dziewczyna się zawahała, ale zaraz się do mnie uśmiechnęła i zdziwiona moim widokiem uniosła rękę, żeby mnie pozdrowić. A ja? Po prostu stałem jak skamieniały, jakbym zdumiony jej widokiem doznał chwilowego paraliżu.

Czy taka jest właśnie Max? Kiedy o niej myślałem, wyobrażałem sobie, że bez maski wygląda na bardziej twardą. Nie myślałem, że ma krótkie, kręcone włosy, okrągłą piegowatą twarz, pełne wargi i oliwkową skórę, a jej pochodzenie będzie trudne do zdefiniowania. Mogła pochodzić z Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej lub Francji, a zwłaszcza z przyszłości, kiedy nikt nie będzie zwracał uwagi na pochodzenie człowieka.

Była ubrana w czarne wytarte dżinsy, czarny luźny T-shirt i czarne adidas. Nie wyglądała na studentkę, tylko na gwiazdę rocka na urlopie, która postanowiła zrobić sobie wolne od dystopicznej, alternatywnej rzeczywistości.

Uniosłem rękę, żeby ją pozdrowić, i niepewnym krokiem ruszyłem w jej kierunku. Max przewiesiła plecak przez ramię i też zrobiła kilka kroków w moją stronę. Uśmiechnęła się do mnie, a ja zwróciłem uwagę na jej równe zęby. Miała wąską

szczelinę między przednimi górnymi jedynekami. Taka kombinacja – piegowata twarz, gęste, krótkie i niesforne włosy – sprawiała, że Max wyglądała seksownie, ale i trochę głupkowato. Zaschło mi w ustach, poczerwieniałem na twarzy. Czułem, że w swojej jasnoniebieskiej koszuli i ze zwykłym plecakiem przewieszonym przez ramię wyglądam niepoważnie. Właśnie to mi przyszło na myśl, kiedy Max mnie zobaczyła: że w jej oczach wyglądam jak dobrze wychowany, biały nudny chłopiec. Prawiczek.

– Poznałeś mnie, chociaż w czasie naszego ostatniego spotkania byłam zamaskowana? – spytała takim tonem, jakby była zdziwiona. Wypowiadając ostatnie słowa, ściszyła głos i przesadnym gestem wskazała swoją twarz.

Skinąłem głową. Te jej oczy... Poznałbym je wszędzie.

– Co tu robisz? – spytała.

– Wracam z wykładu o prawie europejskim, czyli o tym, z czego składa się Unia Europejska, Rada Europy, Parlament i...

Nie dokończyłem zdania. Co to za brednie, pomyślałem. O czym ja gadam?

– Nieważne – dokończyłem.

Max się roześmiała i położyła dłoń na moim ramieniu. Nawet nie zauważyłem, jak pociągnęła mnie za sobą i razem ruszyliśmy chodnikiem.

– Kontynuuj – powiedziała. – Parlament i co?

Też się roześmiałem, ale usta nadal miałem suche.

– Lepiej powiedz, co ty robisz w Lundzie.

Max nie odpowiedziała, jakby nie usłyszała pytania albo uznała je za nieistotne. Nagle niedaleko nas rozległ się grzmot. Chwilę później nad dachy domów napłynęły chmury i zrobiło się ciemniej. Pierwsze krople deszczu były duże i ciężkie i spadły tak nagle, że z początku nawet mi do głowy nie przyszło, że to deszcz. Max przyspieszyła kroku i wzięła mnie za rękę.

– Chodź za mną, zanim przemokniemy do suchej nitki – powiedziała.

Szliśmy ulicą, mijając po drodze antykwiariaty i galerie z obrazami. Przez ostatnie tygodnie widziałem je wiele razy. Kusiły mnie swoim widokiem, ale ponieważ nie miałem pieniędzy, poprzestawałem na zaglądaniu do środka przez okna wystawowe. Na Klostergatan Max skręciła w prawo w kierunku Bantorget. Deszcz padał coraz intensywniej, byłem coraz bardziej przemoczony. Zdjąłem plecak i uniosłem go nad głowę. Rozległ się kolejny grzmot.

– Szybciej! – zawołała Max, ale nie zwolniła tempa, tylko spojrzała przez ramię, jakby chciała się upewnić, czy za nią nadążam. Nie wyglądała na kogoś, kto się martwi deszczem, nawet nie próbowała się przed nim osłaniać.

– Proponuję przeczekać w Grandzie, aż przestanie padać.

Nigdy wcześniej tam nie byłem, chociaż wiele razy obok niego przechodziłem. Kompleks hotelu Grand zajmował teren ograniczony kilkoma przecznicami i kończył się przy małym parku. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, żeby bez konkretnego powodu czy pozwolenia wejść do środka po wyściełanych grubym czerwonym dywanem schodach. Teraz to zrobiłem, bo byłem z Max. Przeszliśmy przez ciężkie drzwi i znaleźliśmy się w wysokim holu z nisko zawieszonym oświetleniem, grubymi dywanami, żyrandolami i szerokimi schodami, na których mógłby się zmieścić amatorski teatr studencki. Czułem się jak intruz, podczas gdy Max zachowywała się swobodnie. Przeciągnęła dłonią po mokrych włosach i uśmiechnęła się do mnie.

– Chodźmy do baru – zaproponowała.

Usiadłem w głębokim fotelu i zacząłem się zastanawiać, jak długo obsługa hotelu będzie nas tolerować, zanim zdecyduje się nas wyrzucić. Niepokoiłem się, co będzie, kiedy ktoś nas zauważy, a mnie pod wpływem czujnych spojrzeń ogarnie wstyd. Na szczęście pomarszczony kelner skinął mi tylko grzecznie głową i zajął się zapalaniem stojących na stolikach w holu świec.

– Brzydka pogoda – zauważył. – I to z niczego.

Restauracja była prawie pusta. Zauważyłem jedynie kilku spóźnionych gości, którzy po zjedzeniu lunchu pili kawę. Była też grupa turystów, chyba Amerykanów. Wszyscy siedzieli jednak daleko od nas, więc się domyśliłem, że kelner skierował swoje słowa do mnie.

– Faktycznie – odparłem i wyprostowałem się w fotelu. – Ale to dobrze, że będzie burza. Powietrze było już ciężkie i duszne.

Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, gdzie jest Max. Po chwili zobaczyłem, jak wraca, lawirując między stolikami z dwoma kieliszkami wina musującego.

– Mam nadzieję, że pijesz szampana? – spytała, stawiając je na stoliku. – Jeśli zaprzeczysz, nie będziemy mogli się spotykać.

Wzięła kieliszek i dała mi znak, żebym zrobił to samo.

– Szampana? – spytałem zdziwiony. – A co to za okazja?

– Najlepsza okazja do wypicia szampana jest wtedy, gdy nie ma żadnej okazji – stwierdziła. – Zwłaszcza po południu.

Stuknęła swoim kieliszkiem o mój i wypita spory łyk. Zawahałem się i zamoczyłem usta, żeby poczuć trunek. Wypiłem trochę i lekko ścierpły mi wargi. Potem jego smak zrobił się jeszcze bardziej intensywny, jak ogród jesienią. Smakował jabłkami i wolnością, chociaż czułem też nutkę nietrwałości. Słodki, prawie niewyczuwalny smak śmierci.

– Szczerze mówiąc, rzadko mam okazję pić szampana – odparłem.

Nie przesadzałem. Przypomniało mi się musujące wino Freixenet, które w sylwestra chłodziło się w lodówce w naszym rodzinnym domu, i włoski aperol, który kilka lat temu piłem z rodzicami. Było lato, urządziliśmy grilla w ogrodzie. Tyle że ani freixenet, ani aperol nie były szampanem. Bałem się, że Max każe mi za siebie zapłacić. Wprawdzie miałem przy sobie trochę pieniędzy, ale wiedziałem, że w takim miejscu jak to na pewno mi ich nie wystarczy.

– Szampana trzeba pić często – stwierdziła Max. – Nie rozumiem, dlaczego ludzie tego nie robią.

– Może dlatego, że jest cholernie drogi?

Zerknąłem na nią dyskretnie, tak, żeby tego nie zauważyła. Zastanawiałem się, ile ma lat. Pewnie była niewiele starsza ode mnie. Najwyżej o dwa lata. Ocenilem, że ma nie więcej niż dwadzieścia trzy.

– To miejsce przypomina Sickler's – rzuciłem, rozglądając się po holu.

– Co takiego? – spytała Max, a ja od razu pożałowałem swoich słów.

– Przepraszam, to nic ważnego.

Ale ona pochyliła się w moją stronę i odparła wyzywającym tonem:

– Daruj sobie! Co mi chciałeś powiedzieć? Chcę wiedzieć.

Westchnąłem i się zaczerwieniłem. Nawiązałem do literatury, żeby jej zaimponować. Zachowałem się żałośnie.

– *Franny and Zooey* – mruknąłem w odpowiedzi. – To powieść albo jakieś opowiadanie Salingera.

Mocno się zaczerwieniłem, więc szybko wypilem trochę szampana.

– A co to znaczy Sickler's? – spytała Max.

Nie miałem odwagi na nią spojrzeć. Czułem, że sobie ze mną pogrywa, jakby chciała zrobić ze mnie zarozumiałego frajera, który odstawia wobec niej mansplaining². Niestety, nie miałem wyboru i musiałem kontynuować.

– Akcja rozgrywa się w college'u na amerykańskim Wschodnim Wybrzeżu w latach pięćdziesiątych. Facet o imieniu Lane czeka na stacji na dziewczynę o imieniu Franny. Lane to paskudny typ, Franny jest przygnębiona. Lane chce jej zaimponować, więc zaprasza ją na lunch do drogiego lokalu dla miejscowej bohemy, w którym przeintelektualizowani studenci piją martini i jedzą ślimaki.

– *Przeintelektualizowani studenci piją martini i jedzą ślimaki* – powtórzyła Max. – Podoba mi się to określenie.

– Salinger miał dobre teksty.

– Czy tak samo wygląda w Grandzie? – spytała Max.

Rozejrzałem się, ale głównie po to, żeby nie patrzeć jej w oczy.

– Rzadko bywam w miejscach, w których ludzie piją martini – odparłem.

– Albo objadają się ślimakami.

– No właśnie.

– A jak oceniasz *Opowieści pielgrzyma*? – spytała Max, patrząc na mnie lekko rozbawionym wzrokiem. – Książka jest dosyć nudna, ale wiesz, dlaczego tak pociąga Franny?

Odniosłem wrażenie, że w kącikach jej ust czai się słaby uśmiech.

– Żartujesz ze mnie? – spytałem.

– Nie chodzi tylko o to, że książka, którą czyta, należała do jej brata – kontynuowała Max. – Wygląda na to, że modlitwa z *Opowieści* jest dla niej swego rodzaju ucieczką albo rodzajem terapii. A jakie jest twoje zdanie?

– Rozumiem, co masz na myśli – odparłem. – Po prostu znasz *Franny and Zooey*.

Max uśmiechnęła się szeroko i uniosła kieliszek w moją stronę.

– Wyglądasz rozkosznie, kiedy oblewasz się rumieńcem.

– Dlaczego udajesz, że nie wiesz, co to jest Sickler's?

Max wzruszyła ramionami.

– Zapomniałam, że to nazwa restauracji. Zresztą niewiele z tej książki pamiętam. Zapamiętałam tylko, że Franny czytała *Opowieści pielgrzyma*. Świetnie się bawiłam, widząc, jak się katujesz.

Max wypita resztę szampana, zaśmiała się i wstała z krzesła. Deszcz przestał padać, chmury zaczęły się rozstępować, ale z oddali nadal dobiegały głuchoe odgłosy grzmotów.

– Wypij do dna, coś ci pokażę – powiedziała, wskazując mój kieliszek.

Wziąłem go do ręki i się zawahałem. Przypomniałem sobie, że przed chwilą się ośmieszyłem, tak samo jak wszyscy faceci od niepamiętnych czasów. Zastanawiałem się, po co ta dziecinada. Wyobraziłem sobie symboliczny mur, który się wznosił na umownej, niewidzialnej granicy wyznaczającej termin oddania pracy zaliczeniowej i termin pierwszego egzaminu. Mur nie był już na odległym horyzoncie, tylko znacznie bliżej.

– Muszę już wracać, mam dużo nauki – odparłem.

Mówiąc o nauce, miałem na myśli to, że po powrocie do swojego pokoiku rzucę plecak na podłogę i resztę popołudnia prześlę w łóżku, podczas gdy Ludvig i Victor będą gadać za ścianą o dziewczynach, dyskutować o prawie i praktykach w kancelariach adwokackich.

– Nauka nie jest ci do niczego potrzebna – zaprotestowała Max i popatrzyła na mnie rozbawionym wzrokiem, jakby wiedziała, że jestem spragniony czegoś nowego. A może nie chciała już słuchać tej mojej gadaniny o książkach.

– Masz rację – odparłem.

Wziąłem duży łyk szampana i poczułem bąbelki w ustach. Picie go w środku dnia wydało mi się dekadentkie. Alkohol zaszumił mi w głowie.

– Pojedźmy do Kopenhagi – zaproponowała Max.

Do Kopenhagi? Nawet by mi do głowy nie przyszło, że mógłbym tam pojechać, ale szybko sobie uświadomiłem, że to zaledwie godzina jazdy pociągiem. Odstawiłem kieliszek na stolik.

– Niech będzie. Jedziemy do Kopenhagi.

– Yes! – zawołała Max i walnęła mnie w ramię. – Strasznie mi się to w tobie podoba. Po prostu coś mówisz i to robisz.

Czy ja naprawdę taki jestem? Nie wiedziałem. Max wyjęła z plecaka telefon.

– Muszę tylko zmienić plany – wyjaśniła. Kilka razy stuknęła w ekran i znowu spojrzała mi w oczy. – Załatwione. *Let's go!*³

Zajęło nam to czterdzieści pięć minut, ale odniosłem wrażenie, jakby trwało dłużej... albo znacznie krócej. Czułem się tak, jakbyśmy podróżowali przez jakiś tunel czasoprzestrzenny. Zanim się zorientowałem, wjechaliśmy na most nad Sundem. Uporałem się już z zakłopotaniem, które czułem od rozmowy o książkach w hotelu Grand. Ciekawiło mnie, co Max czytała i co ją interesowało, ale przeważnie to ona zadawała pytania i pozwalała mi się wypowiedzieć, podczas gdy sama milczała i uważnie się przysłuchiwała. Nigdy wcześniej nie rozmawiałem z nikim o rzeczach, które tak bardzo zajmowały mój umysł. W pewnej chwili przestałem mówić, zrobiłem to niechętnie, ale nie chciałem, żebyśmy cały czas skupiali się na mnie. Bałem się, że Max weźmie mnie za snoba, który ciągle kłapie dziobem.

– Kiedy cię słucham, odnoszę wrażenie, że rozmawiam z pisarzem, nie z prawnikiem – stwierdziła Max.

To, co powiedziała, powinno mnie wprawić w zadowolenie i tak też się stało, ale słowo „pisarz” było tak wielkie i pełne jakiegoś niepokoju, że nagle poczułem, iż tracę grunt pod nogami.

– Sam nie wiem – odparłem. – Chciałem nim zostać w szkole, ale nie umiem pisać.

Patrzyłem na umykające za oknem wagonu filary mostu nad Sundem. Zawieszane nad cieśniną czarne chmury zaczęły się powoli przeredzać. Tak, to była prawda. Naprawdę nie potrafiłem pisać.

– Ale kiedy studiujesz prawo, marzysz – stwierdziła Max. – Jesteś zdolnym studentem.

Zabrzmiało to jak zwykłe stwierdzenie, trochę prowokujące, ale nie złośliwe. Max przeciągnęła dłonią po włosach i znowu mignął mi przed oczami tatuaż, który

zauważyłem w czasie demonstracji.

– Czy to Nefretete? – spytałem, wskazując go palcem. Max podsunęła rękę w moją stronę. Linia tatuażu była cienka i wyraźnie się wyróżniała na tle jej oliwkowej skóry.

– Dlaczego właśnie ona?

Max zrobiła taką minę, jakby nie wiedziała, jak zareagować: odpowiedzieć na moje pytanie czy pominąć je milczeniem.

– Bo to najpiękniejsza osoba, jaka kiedykolwiek żyła, a uroda jest jak sprawiedliwość: trwa na wieki – odparła po namyśle.

Spojrzała na mnie i nagle na jej twarzy zaszła zmiana. Rysy jej stwardniały, nabrały pewnej stanowczości, jakby z tego, co powiedziała, chciała usunąć to, co pretensjonalne. Widząc w jej oczach powagę, lekko się wzdygnąłem i odwróciłem wzrok. Serce zaczęło mi mocno walić. Max była taka intensywna.

– Czy widziałeś ją kiedyś na własne oczy? – spytała.

Pokręciłem głową. Nefretete znałem jedynie z obrazka w książce do historii w liceum.

– Jej mumia znajduje się w Neues Museum w Berlinie – kontynuowała Max. – Byłam tam z moją starszą siostrą Dinah, kiedy miałam czternaście lat. Tego samego wieczoru pojechaliśmy do Neuköln i zrobiliśmy sobie ten tatuaż.

– Kiedy miałaś czternaście lat? W tak młodym wieku pojechaliście do Berlina same?

– Nie same, tylko z tatą, który tam pracował.

– A co powiedział na widok tatuaży?

Max wzruszyła ramionami.

– Ujmę to tak: nie był ich świadomy.

Chciałem ją spytać, w jaki sposób jej rodzice starali się ją wpasować w tę matrycę finansów, klas społecznych i przywilejów, która definiowała społeczeństwo – prawdziwe zarysy tej struktury zacząłem dostrzegać dopiero po przyjeździe do Lundu. Stopniowo rosło we mnie podejrzenie, że ten system od samego początku był zmanipulowany. Być może tylko ja w swojej bezgranicznej naiwności wierzyłem, że dzięki ambicji i ciężkiej pracy można przezwyciężyć swoje uwarunkowania. Może powinienem był posłuchać mamy, która próbowała mi wbić do głowy, że każde społeczeństwo tworzy zbiór naturalnych reguł i praw i jeśli ktoś się wychowywał w willi przy autostradzie E22, studiowanie prawa handlowego na uniwersytecie w Linköpingu pozwoli mu rozbić niewidzialną bańkę uniemożliwiającą dążenie do wyznaczonych sobie celów, podczas gdy studiowanie prawa w Lundzie doprowadzi jedynie do rozczarowań. Zrozumiałem, że mama próbowała mnie chronić.

– Mój tata jest z pochodzenia Francuzem – wyjaśniła Max. – Dużo pił i często musiał zmieniać pracę. Kiedy byłam mała, wiele razy się przeprowadzaliśmy. W końcu mama miała tego dosyć. Zabrała mnie i moją siostrę i wróciła z nami do Szwecji.

– To znaczy, że znasz francuski? – spytałem i poczułem, jak w głowie zawirowała mi matryca społeczna.

– *Bien sûr*⁴ – odparła, ściągając usta na francuską, arogancką modłę. – Ale po rozwodzie rodziców spotykałyśmy się z ojcem zaledwie przez kilka tygodni każdego lata. Jest biznesmenem czy kimś w tym rodzaju. Obserwując jego styl życia, można jednak dojść do wniosku, że nie powodzi mu się najlepiej. Nasza mama jest pielęgniarzką. Wychowywała nas bez ojca, mieszkaliśmy na typowym przedmieściu. Na szczęście raz do roku przenosiłyśmy się na kilka tygodni z naszego blokowiska do jego domku w Bretanii.

Zabrzmiało to romantycznie, jak w *Call me by your name*⁵. Max zauważyła chyba po moich oczach, jak odebrałem jej słowa, bo położyła mi dłoń na udzie i się zaśmiała.

– Być może brzmi to super, ale nasza sytuacja finansowa była często nie najlepsza. Brakowało nam pieniędzy i mieszkaliśmy w małym nędznym domu pośrodku niczego. Był tylko tata, który „pracował”.

Wymawiając ostatnie słowo, Max wykonała znak cudzysłowu.

– Najczęściej pił pastis. To taki napój alkoholowy produkowany z lukrecji i anyżku. Potem zasypiał na trawniku. Jego matka, to znaczy nasza babcia, obwiniała o to nas. Podejrzewam, że nasza mama go zmuszała, żeby zabierał nas na letnie wakacje, bo miała wtedy chwilę oddechu. Dzięki temu nauczyłyśmy się surfować.

– Surfować? Na desce?

Musiałem sprawiać wrażenie zdezorientowanego, bo Max się zaśmiała.

– Tak, na desce, bo inaczej się nie da. Od czasu do czasu nadal to robimy.

– Czy można surfować w Szwecji? – spytałem, przypominając sobie, że chyba o tym czytałem.

– Mój ojciec zna parę miejsc, gdzie można to robić. Jeśli ktoś się orientuje tak jak on, może mieć z tego dużą frajdę. Nawet tutaj. – Spojrzała na cieśninę. – Któregoś dnia zabiorę cię ze sobą i posurfujemy razem. Pokażę ci, na czym to polega. Polubisz surfing.

Uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po dłoni.

– Niewykluczone, że kiedy będzie już po wszystkim, pojedziemy posurfować razem.

Max umilkła, jakby powiedziała za dużo albo jakby wbrew jej woli rozmowa zesłała na niewłaściwe tory.

– *Kiedy będzie już po wszystkim?* – spytałem, ale Max nie odpowiedziała, tylko spojrzała przez okno. Trwało to chwilę, po czym znowu się do mnie odwróciła.

– Nieważne – stwierdziła. – Wystarczy już tych rozmów o mnie. Powiedz mi lepiej, w co wierzysz.

Spojrzała na mnie tym swoim intensywnym wzrokiem, w którym kryły się zarówno zaciekawienie, jak i prowokacja. Zauważyłem, że lubi zadawać ważne pytania, żeby potem obserwować, jak osoba, do której je skierowała, wycofuje się i broni. A może rozmowy o sprawach bez znaczenia w ogóle jej nie interesują?

– Czy człowiek musi w coś wierzyć? – spytałem.

– Niekoniecznie, ale przynajmniej trzeba chcieć w coś wierzyć.

Opadłem na oparcie. Przez całe życie chciałem odbyć taką rozmowę z kimś, kto był mądry, jako dziecko nauczył się surfować we Francji i miał sensowne tatuaże. W końcu kogoś takiego spotkałem i nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Chcę wierzyć, że istnieją sprawy ważne – stwierdziłem po chwili namysłu. – Coś, co jest warte trudu. Najbardziej chciałbym robić rzeczy słuszne, ale nie wiem jakie. Dopóki ich nie znajdę, wierzę w pieniądze na koncie, żebym mógł robić to, co będę chciał.

Max znowu się uśmiechnęła, a twardość, która malowała się na jej twarzy, ustąpiła. Zostały piegi, grzywka, okrągła twarz, zielone oczy i kręcone, potargane włosy.

– W takim razie wierzymy w to samo – stwierdziła. – Od razu wiedziałam.

– Co robiłaś w Malmö? Ty i twój kumpel wyglądaliście na zawodowców. Należycie do Antify albo do jakiejś innej podobnej organizacji?

Max pokręciła głową.

– Jesteśmy tylko grupą nieprzystosowanych ludzi, którzy z trudem próbują wiązać koniec z końcem.

– Daj spokój. Nie wmówisz mi, że akurat tamtędy przechodziliście. Byłaś ubrana na czarno, miałaś zakrytą twarz i przyszłaś tam z konkretnych powodów. Opatrzyłaś mi ranę, zrobiłaś sprejem napis na ścianie i przewróciłaś policjanta.

Pociąg zwolnił, byliśmy na miejscu. Max mrugnęła do mnie, wstała i ruszyła do wyjścia. Poszedłem za nią zmieszany i uwiedziony jej intensywnym sposobem bycia i czarem, jaki wokół siebie roztaczała. Zaprowadziła nas do ruchomych schodów, przeszliśmy przez poczekalnię i znaleźliśmy się na ulicy. Przypomniały mi się kolejki górskie i karuzele w Tivoli. Na lewo od nas piął się w górę nowoczesny hotel SAS. Max popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Musimy się znowu napić szampana. Chodź ze mną.

Niebo zrobiło się jasne i błękitne, ale chodniki nadal były mokre od deszczu. Max poprowadziła mnie deptakiem Ströget. Przeszliśmy przez mały plac i dotarliśmy do centrum handlowego Illum. Zanim się zorientowałem, siedzieliśmy na niewielkim wąskim tarasie na czwartym albo piątym piętrze z widokiem na rynek i dachy domów. Byłem podekscytowany całą tą nieoczekiwaną i trudną do ogarnięcia sytuacją. Max kupiła nam w barze po lampce szampana, a potem jeszcze po jednej. Wokół nas kręciły się starsze panie, polujące na wino i smaczne wypieki, matki na urloпах macierzyńskich i japońscy turyści.

– Tym razem ja zapłacę – zadeklarowałem, ale Max zacisnęła powieki i pokręciła głową, jakby moja propozycja ją zirytowała. Mimo to poznałem po jej minie, że tylko udaje złość.

Oparłem się o szybę i obserwowałem, jak słońce schodzi coraz niżej między dwoma ceglanyimi domami po drugiej stronie rynku, zalewając nasz taras łagodnym, miodowym blaskiem. W tym momencie za nic nie opuściłbym tego miejsca ani nie pozbył się uczucia, które mnie ogarnęło po wypiciu trzech lampek szampana. Byłem lekko oszołomiony nie tylko alkoholem, ale także zachowaniem mojej nowej, lekko stukniętej znajomej.

Max miała głos, który nie pozostawiał nikogo obojętnym. Chłonałem każde jej słowo, żeby z tego, o czym mówiła, nie umknął mi najmniejszy szczegół. Przemawiała falującym tonem, a niektóre fragmenty jej wypowiedzi płynęły z jej ust łagodnie, co świadczyło o jej skupieniu. Przedstawiała sprawy, nad którymi najwyraźniej się zastanawiała i o których wcześniej rozmawiała. Sformułowania były przemyślane i sprawdzone, ale niektóre, wypowiedziane *staccato*, ze wzburzeniem, powstawały na bieżąco. Wyrzucała je z siebie jak próbne balony, jakby usiłowała się wstrzelić w cel, którego położenie dokładnie znała, ale jeszcze nie wiedziała, jak w niego trafić. Na końcu wyznała, że studiuje historię sztuki.

– Myślałam, że ją kocham, ale prawda jest taka, że jej nienawidzę – wyjaśniła. – Byłeś kiedyś w Rotterdamie?

Roześmiałem się i pokręciłem głową.

– Myślisz, że za dużo gadam? – spytała.

– Raczej za mało.

– Nieważne... Rotterdam to brutalne miasto. Tylko port i postmodernizm. Nie ma o czym opowiadać, bo wszystko jest tam dokładnie takie, jak wygląda. Sama przestrzeń i funkcja. To marzenie.

– A dlaczego nienawidzisz historii sztuki?

– Bo dawni mistrzowie przestali nas wzruszać. Weźmy na przykład Vermeera i Rembrandta. Wiąże się z nimi tylko piękna przeszłość, światło i technika, które tak naprawdę nic nie znaczą. Chciałabym podłożyć ogień pod to całe barachło, spalić muzea. Ten, kto twierdzi, że kocha to, co stare, w rzeczywistości kocha jedynie piękno i tradycję. To zwykła nostalgia i sentymentalizm, nudne poglądy leniwych ludzi na temat czegoś, co jest pobawione wartości.

– Ale Nefretete kochasz?

– To wyjątek – odparła Max i wzruszyła ramionami.

– Nie znam się na sztuce. Stare książki też chciałabyś spalić? – spytałem i uśmiechnąłem się do niej przekornie. Nie byłem pewien, czy naprawdę myśli to, co mówi, czy tylko chce mnie sprawdzić, testuje moją reakcję.

– Jeśli kogoś nie wzruszają, trzeba to zrobić – odparła.

Znów usłyszałem *staccato* słów wypowiedzianych podniesionym głosem. Zaczęła dowodzić, że większość miast wcale nie jest lepsza. Oczywiście z wyjątkiem Rotterdamu. Najlepiej byłoby je zburzyć, a na ich ruinach wznieść coś nowego, ponieważ istnienie starych miast czyni z nas więźniów. Perorując z zapamiętaniem, dała się ponieść emocjom tak bardzo, że jej piegowate policzki lekko poczerwieniały. Wymachiwała ręką, w której trzymała kieliszek, i uroniła na podłogę kilka kropli szampana.

– Najgorszym miastem spośród wszystkich jest Sztokholm. Jego centrum przypomina fort, jakby celem naszych władz było zachowanie dawnej tkanki miejskiej w kształcie, w jakim istniała ona przed stu laty. Teraz trzyma ona ludzi na przedmieściach, gdzie żyją jak więźniowie. Nadaje im to status sług i barbarzyńców. Nie potrzeba murów, żeby być izolowanym, wystarczy brak pieniędzy. Dzięki metru ci ludzie mogą przyjeżdżać do centrum, żeby sprzątać mieszkania i pałace leniwych, bezwartościowych ludzi z klasy średniej. Nie potrzeba drutu kolczastego, skoro istnieje cichy konsensus klasowy i rasowy.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się, widząc, jak bardzo Max się nakręciła. Im dłużej mówiła, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że ona naprawdę tak myśli. To nie była poza, a raczej nie tylko poza. Zamówiliśmy więcej szampana i usta jeszcze bardziej mi ścierpły.

– Czy to z tych powodów malowałaś hasła na ścianach budynków w Malmö? To stąd takie słowa jak „sznur” i „sztylet”?

Max spojrzała na mnie błyszczącymi oczami.

– Zrobiłam to, bo ludzi trzeba ostrzec.

W miejscu, w którym się znajdowaliśmy, nie zabrzmiało to zbyt groźnie, raczej milutko, a nawet czarująco. Max wstała z krzesła i spojrzała na ulicę.

– Ludzie o nic się nie martwią. Wszystko jest przedstawieniem, życie toczy się według scenariusza, w którym każdy odgrywa przypisaną mu rolę. Na tamtej demonstracji też tak było. Wyuczony schemat, nudna choreografia. Bazgranie po ścianach było niepotrzebne.

Max opróżniła kieliszek i teatralnie wykrzywiła twarz.

– Takie bazgroły to żenada. Żeby jakaś groźba nabrała mocy, powinna być realna.

– Co masz na myśli?

Ale ona chyba nie usłyszała mojego pytania. Usiadła z powrotem na krzesło, oparła się o nie i zamknęła oczy. Popołudniowe słońce sprawiało, że wyglądała, jakby się jarzyła. Trudno było uwierzyć, że przed godziną przeszła burza.

– A ja? Dlaczego mi pomogłaś?

– Bo najpierw ty pomogłeś mnie. Ostrzegłeś mnie przed tamtym policjantem. Należałoby raczej spytać, dlaczego ty to zrobiłeś.

– Mam na roku kolegę, który mawia, że prawo jest jak reguły wielu gier. Trzeba się ich nauczyć na pamięć, chociaż najprawdopodobniej w żadną z nich ani razu nie zagramy. Wynajmuję w Lundzie pokój, dzielę go z dwoma kolesiami z bogatych rodzin.

Umilkłem i zacząłem się zastanawiać, po co to powiedziałem.

– Wszyscy próbują być w naszych czasach tacy układni. Ciągłe komuś ustępujemy albo się do kogoś dostosowujemy. Najbardziej ze wszystkich robię to ja. Może musi tak być, ale... – Przerwałem na chwilę i napiłem się szampana. – Chciałem choć na sekundę zaprzeczyć tym zasadom, poczuć, jak to jest.

– I jak się z tym czułeś? – spytała Max.

– Tak, jak się spodziewałem. Jakbym był wolny.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Dlaczego mi wtedy pomogłaś? Czemu po prostu nie uciekłaś?

Max szeroko się do mnie uśmiechnęła.

– Bo się tam ciebie nie spodziewałam, *baby!* I to w takiej koszuli.

Max pochyliła się nade mną i pociągnęła mnie za kołnierz. Dotyk jej palców na skórze sprawił mi przyjemność. Jej twarz była tak blisko mojej, że poczułem bijący od niej zapach ciemnego asfaltu, zapalek, magnolii, burzy, buntu i dużego miasta letnią porą.

– Nie pasowałeś do tamtego miejsca. Wyglądałeś jak ktoś samotny i bardzo uporządkowany.

Upiłem trochę szampana i przypomniałem sobie tamten dzień: blokady i policjantów, którzy stali przed sklepem jubilerskim. Minęło kilka tygodni i większość faktów związanych z tym zdarzeniem zatarła mi się w pamięci.

Były jak sen, który się urzeczywistnił w innym śnie, tu i teraz, na tarasie domu handlowego w Kopenhadze.

– Wiesz, że ktoś okradł sklep jubilerski obok domu, na którym umieściłaś swój napis? To bezczelność, żeby kraść pod pozorem udziału w demonstracji.

– Potępiasz ich?

– A twoim zdaniem taki rabunek jest w porządku?

Max znowu wstała z krzesła, podeszła do barierki, wychyliła się i spojrzała w dół. Ja też się podniosłem i do niej podszedłem. Na dole roіło się od ludzi z torbami i reklamówkami pełnymi zakupów.

– Czy to grzech, jeśli głodny człowiek kradnie chleb?

Roześmiałem się głośno.

– To chyba nie to samo co napad na sklep jubilerski?

– Na pewno?

Max spojrzała na mnie spokojnym wzrokiem. Serce zabiło mi tak mocno, że musiałem odwrócić wzrok.

– To nie była odpowiedź na moje pytanie.

Max znowu spojrzała na tłum ludzi i wypіła trochę szampana.

– Domyślam się, że nie takiej odpowiedzi się spodziewałeś, ale innej nie będzie – odparła. Uśmiechnęła się do mnie i uniosła kieliszek, żeby go opróżnić, a kiedy się okazało, że jest pusty, rozczarowana postawiła go na ławce i powiedziała: – Muszę coś sprawdzić. Chodź ze mną.

Po wypiciu takiej ilości szampana czułem się lekki i wstawiony. Przeszliśmy przez całe centrum handlowe i znaleźliśmy się na parterze. Max prowadziła mnie krętymi korytarzami, po drodze mijaliśmy butik z torebkami i kosmetykami.

Szybko się okazało, że naszym celem był ekskluzywny sklep z zegarkami.

– Przyszłaś tu obejrzeć zegarki? – spytałem.

– Zaraz zobaczysz.

Zobaczyłem gabloty z wyłożonymi w nich zegarkami takich marek jak Tissot, Rolex i IWC. Podobne widywałem w wynajmowanym mieszkaniu, gdy do Ludviga i Victora przychodzili ich koledzy. Wcześniej znałem je tylko z reklam i lokowania produktów w filmach. Czułem się w tym sklepie jak w Grandzie. Myślałem, że z powodu swojego czarnego ubrania, nieokreślonej przynależności klasowej i pochodzenia Max powinna

się czuć obco w tym konwencjonalnym, nierzucającym się w oczy luksusie, ale było wprost przeciwnie: zachowywała się tak, jakby jej niedopasowanie zwalniało ją z przestrzegania konwenansów.

Stała przed wypolerowaną szklaną gablotą, w której na zielonym aksamitnym suknie lśniły równo poukładane zegarki. Po kilku sekundach zauważył ją sprzedawca – mężczyzna w średnim wieku, w okularach z prostymi rogowymi oprawkami. Kiedy usłyszał, że Max mówi po szwedzku, starał się dopasować swój duński do uproszczonego umownego języka skandynawskiego. Zachowywał się usłużnie, prawie jak lizus. Być może doszedł do wniosku, że wygląd Max oznacza, iż dysponuje ona taką gotówką, że nie musi się stosować do żadnych norm.

– W czym mogę pomóc? – spytał.

– My tylko oglądamy – odparła Max. Pochyliła się nad gablotą i wskazała jeden z zegarków. – To Nomos. Elegancki, prawda?

Pochyliłem się nad gablotą i popatrzyłem na białe cyferblaty, które lśniły na tle aksamitnych podkładek.

– Bardzo elegancki – potwierdził sprzedawca. – Za tę cenę klient otrzymuje produkt wysokiej jakości.

Max wyprostowała się i rozejrzała po sklepie. Popatrzyła na ściany i sufit, odwróciła się do sprzedawcy i odparła z uśmiechem:

– Domyśliłam się tego. Widzę, że macie też kilka zegarków marki A. Lange & Söhne. Zgadza się?

Mężczyzna chrząknął i spojrzał na nią uważnym wzrokiem.

– To są zegarki z zupełnie innej grupy cenowej – odparł.

– Oczywiście.

– Nie mamy ich na składzie, ale mogę je tu ściągnąć. Czy ma pani na myśli jakiś konkretny model?

Max pokręciła głową, jakby chciała pokazać, że nie jest zainteresowana jego ofertą.

– Nie dzisiaj – odparła. – Może innym razem.

Po wyjściu z centrum handlowego poszliśmy do baru obok dworca kolejowego i zajęliśmy miejsca w ogródku. Z parku rozrywki Tivoli dochodziły nas głośne dźwięki. Dzień był ciepły, przy ustawionych na chodnikach stolikach siedziało mnóstwo ludzi. Byli wśród nich zwykli Duńczycy, którzy po wyjściu z pracy spotykali się na piwie z kolegami, żeby się trochę odprężyć we własnym gronie. Max zamówiła nam po drinku. Smakował migdałami i był tak słodki, że pijąc go, musiałem mrużyć oczy.

– Jeden drink i wracamy do Lundu – zapewniła Max, a ja poczułem, że jestem już porządnie zawiany. – Smakuje ci? – spytała wskazując moją szklankę.

– Nie wiem – odparłem. – Ma taki smak, jakby ktoś dodał do wódki okruchy migdałów.

– Bingo! – zawołała Max i uniosła ręce. – To prawidłowe określenie, bo właśnie tym jest ten drink. To amaretto z whisky. Na każdy dzień przypada inny drink. Dzisiaj mamy dzień ojca chrzestnego.

Sączyłem powoli trunek i patrzyłem na nią.

– Po co był ten cyrk z zegarkami? – spytałem.

Max wzruszyła ramionami.

– To tak zwane *window shopping* – odparła. – Niektóre babki lubią oglądać buty, mnie pociągają zegarki.

– Nagle straciłaś zainteresowanie.

– Zobaczyłam to, co chciałam. Nie było sensu tkwić tam dłużej.

Zapaliła niebieskiego camela i podała mi paczkę z resztą papierosów, ale pokręciłem głową. Uznałem, że jeśli nie chce odpowiadać jak normalny człowiek, do niczego nie będę jej zmuszał.

– Opowiedz mi o bogaczach, z którymi mieszkasz – zaproponowała. – Jakim cudem zwykły chłopak z Söderköpingu trafił do snobów ze Sztokholmu, którzy należą do jednego procenta snobów i mieszkają w eleganckiej dzielnicy?

Opowiedziałem jej, jak do tego doszło, wspomniałem też o ich butach, koszulach i perfumach, a zwłaszcza o słownictwie. Max się zaśmiała.

– Rehnskiöld... znam to nazwisko – stwierdziła. – Ojciec twojego kolegi pracuje w funduszu inwestycyjnym, a twój kolega zdaje egzaminy z piwerkiem w rękę i między jedną a drugą wizytą w Stowarzyszeniu Prawników przesiaduje na kanapie przed telewizorem.

Wypuściła dym z ust i znowu się zaśmiała.

– Typowe, że grają na PlayStation w jakąś odmóźdzającą grę tenisową.

– Tylko tym się zajmują.

Opisywanie moich kolegów w tak karykaturalny sposób sprawiło mi przyjemność. Cieszyłem się, że ją rozbawiłem i że rozumiała, co miałem na myśli. Nie wspomniałem jednak, że obaj byli zwykłymi kumplami, nie zachowywali się jak gnojki i ostro zakuwali. Nie mogli przecież ponosić odpowiedzialności za to, z jakich środowisk się wywodzą. Podobnie jak ja. Ukryłem też przed Max, że w tajemnicy marzyłem o życiu, jakie prowadzili.

– Muszę się z nimi spotkać – powiedziała Max. – Uwielbiam takich koleśków.

Zgasiła papierosa, wypila resztę drinka i wstała. Zrobiło mi się przykro, że to wspaniałe popołudnie zaraz się skończy i każde z nas wróci do swojego życia.

– Muszę wracać do Lundu, mam tam sprawę do załatwienia – wyjaśniła Max i zrobiła taką minę, jakby nie mogła spełnić obietnicy, którą mi złożyła.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Ja też muszę wracać.

Dopiłem drinka i wstałem z krzesła.

– Następnym razem wybierzemy się na surfing – obiecała Max. – Nie zapomnij zabrać kąpielówek.

Kiedy wjechaliśmy do Lundu, zaczęło zmierzchać. W ustach miałem smak szampana i migdałów, bolały mnie stopy. Max wysiadła z pociągu pierwsza, a gdy stanąłem na peronie, powiedziała:

– Wiedziałam, że jesteś tego wart. Jakie to szczęście, że napadł cię tamten gliniarz, a ja cię uratowałam.

– Wart czego? – spytałem.

– Co robisz w sobotę wieczorem?

Wyjąłem telefon, żeby sprawdzić, co zaplanowałem na ten dzień, ale nie dlatego, że faktycznie coś miałem zamiar robić, bo nie miałem, tylko raczej po to, żeby pokazać, że nie jestem kompletnym nieudacznikiem. Przez chwilę udawałem, że przeglądam notatki w kalendarzu.

– Sobotę mam wolną – odparłem.

– W takim razie wieczorem będziesz mój. Spotkajmy się w południe. I jeszcze jedno.

– Co takiego?

Max pochyliła się i pocałowała mnie w oba policzki.

– Oczy ci się otworzą, a twoje życie nabierze sensu – odparła.

Po środowym wykładzie byłem tak wykończony, że od razu wróciłem do mieszkania przy Bjelkegatan. Otworzyłem drzwi, wszedłem do przedpokoju i jak zwykle zacząłem nasłuchiwać z nadzieją, że odpowie mi cisza i niezauważony wślizgnę się do swojego pokoju. Moja nadzieja zgasła w chwili, kiedy moich uszu dobiegła muzyka ze stojącego w salonie telewizora i zauważyłem strumień światła, który przechodził przez szczelinę w drzwiach i padał na podłogę w przedpokoju. Zdjąłem buty, głęboko odetchnąłem i ruszyłem do swojego pokoju.

– To ty, mistrzu? – odezwał się z kanapy Victor.

– Wielki mistrzu – sprecyzował Ludvig, który na wpół leżał po drugiej stronie kanapy z miską ramenu w ręku. Na ekranie leciał jakiś film wojenny. Z luf karabinów wydobywały się płomienie, główni bohaterowie mieli zawzięte miny, a akcja rozgrywała się na jakimś szarym polu uprawnym. Pokój wypełniały odgłosy huków emitowanych przez kino domowe.

– Co oglądacie? – spytałem.

– *Kompanię braci* Spielberga – odparł Victor. – Wojna to brutalna rzecz.

Przez chwilę się zastanawiałem, czy do nich nie dołączyć, napić się z nimi piwa, nawiązać bliższe relacje, pożartować i spróbować się stać jednym z nich. Nie miałem jednak nic konkretnego do powiedzenia, więc poszedłem do swojego pokoju, rzuciłem plecak na podłogę i położyłem się na łóżku. Po wykładzie byłem naprawdę zmęczony. Pragnąłem zamknąć oczy, ale usłyszałem znajome pukanie do drzwi. Nie zdążyłem się odezwać, gdy do pokoju wszedł Victor.

– Masz czas? Chciałbym z tobą pogadać.

Telewizor umilkł, prawdopodobnie skończył się kolejny odcinek serialu.

– Jasne – odparłem i usiadłem w łóżku. – O co chodzi?

– W najbliższy weekend organizujemy w naszym mieszkaniu wieczorną imprezę. Przyjdą starzy znajomi i ludzie z naszego roku. W sumie siedem osób. Byłoby fajnie, gdybyś do nas dołączył.

Jego słowa sprawiły mi przyjemność, bo nigdy przedtem mnie nie zapraszali.

– Okej, a konkretnie kiedy? – spytałem, chociaż nie miałem ochoty spędzać z nimi wolnego wieczoru. Pochlebiało mi jednak, że zostałem zaproszony.

– W piątek. Po imprezie idziemy w miasto.

– *Sure*. Wieczór mam wolny.

– No to załatwione. Zaczynamy mniej więcej o siódmej, ale czy mógłbyś być trochę wcześniej? Zamówiliśmy żarełko z Grandu i byłoby super, gdybyś był w domu, kiedy przyjdzie dostawa. Pomożesz nam wszystko przygotować. Jesteś w końcu jednym z nas, brachu. Powinniśmy sobie wzajemnie pomagać.

Victor wyciągnął do mnie rękę i przybiliśmy piątkę.

– Nie ma sprawy. Myślę, że będzie super.

– Jest jeszcze jedna rzecz...W ostatni piątek października urządzamy u nas imprezę halloweenową. Obowiązują kostiumy. Seksowne pielęgniarki, gorące diabełki z różkami i ogonkami i tak dalej. Kapujesz?

Mówiąc o różkach, Victor przyłożył palce do głowy i wymownie na mnie spojrział.

– Szczerze mówiąc nie bardzo.

Ale Victor nawet nie słuchał, co mówię.

– Byłoby *cool*, gdybyś też tu był. Będzie imprezka, ale nie chcemy bałaganu. Mógłbyś nam pomóc. Zajmiesz się serwowaniem drinków i piwa, wstawisz naczynia do zmywarki i tak dalej. Chodzi o to, żebyś nam pomógł zadbać o zachowanie czystości w mieszkaniu.

– Jasne, możecie na mnie liczyć.

Pomyślałem, że może być całkiem fajnie. Victor zapukał w futrynę drzwi i się odwrócił, żeby wyjść, ale nagle się rozmyślił. Spojrział na mnie i powiedział:

– Na tej pierwszej imprezie obowiązują eleganckie stroje. Chcemy trzymać styl. Impreza odbędzie się po południu, więc obowiązują krawaty, białe koszule i tak dalej. Nie ma mowy o codziennych ciuchach. Rozumiesz?

– Jasne – odparłem i oczami wyobraźni ujrzałem swój garnitur kupiony z przeceny w jednym ze sklepów sieci MQ w czasach licealnych. Zabrałem go ze sobą do Lundu i teraz wisiał w garderobie w przedpokoju. Na samą myśl o nim zadrżało mi serce.

– Nowy zegarek? – spytał Fredde, kiedy w piątek usiadłem obok niego w sali wykładowej.

Jego pytanie oznaczało, że nie jest spostrzegawczy, bo swoją certinę, którą dostałem w prezencie maturalnym, wkładałem co jakiś czas na wykłady, żeby się do niej przyzwyczać i sprawdzić, co sobą reprezentuje. Po powrocie z Kopenhagi i po wizycie w sklepie z zegarkami zacząłem ją nosić codziennie. Fredde chwycił moją rękę i przyciągnął ją do siebie, żeby dokładniej się przyjrzeć czasomierzowi. Właśnie na tym polegał jego problem: Fredde nie miał szacunku dla cudzej prywatności ani własności. Potrafił na przykład wziąć swoimi krótkimi, grubymi paluchami mój

długopis albo wyrwać bez mojej zgody kartkę z należącego do mnie notesu. Często mnie to irytowało, ale tym razem mi się spodobało, że zauważył mój zegarek.

– Właściwie nie – odparłem. – Po prostu rzadko go zakładam.

– Prezent maturalny?

Skinąłem głową, a Fredde stwierdził z westchnieniem:

– Ja dostałem w prezencie zestaw szklanek i kieliszków firmy Orrefors, a do tego kralajnicę do makaronu... Co mam z tym, kurna, zrobić?

– Przecież lubisz makaron.

– Mieszkam w akademiku w Vildanden. Gdybym postawił kralajnicę w naszej wspólnej kuchni, ci barbarzyńcy zniszczyliby ją w mgnieniu oka w czasie pierwszej lepszej imprezy.

Fredde pokręcił głową i zrobił tak zafrasowaną minę, że nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem śmiechem. Fredde nie znosił swojego akademika, ale w ogóle trudno byłoby określić, co tak naprawdę lubi oprócz prawa.

Wykład, na który przyszliśmy, był dość nudny. Nie mogłem się połapać, jak Europejska Konwencja Praw Człowieka ma się do prawa Unii Europejskiej i do szwedzkiej konstytucji. Trzy porządki prawne to za dużo, zwłaszcza że nie do końca się orientowałem, co oznaczają zawarte w nich terminy prawne. Co chwilę się dekoncentrowałem, bo wracałem myślami do wtorku, który spędziłem z Max w Kopenhadze. Wciąż miałem przed oczami jej piegowatą, oświetloną promieniami słońca twarz. Jutro znowu mamy się spotkać. Próbowałem sobie przypomnieć, co powiedziała, ale nie pamiętałem. Że zaprosi mnie na kolację?

Myślami byłem też przy piątkowej imprezie w naszym mieszkaniu. Trochę się denerwowałem, chociaż starałem się to przed sobą ukryć. Ciekawe, o czym będziemy rozmawiać... O zimowym urlopie w szwajcarskim Verbier? O funduszach inwestycyjnych? O praktykach w kancelariach adwokackich w Sztokholmie?

Po wykładzie wstałem z ławki i razem z innymi studentami wyszedłem z auli na ulicę. Byliśmy w świetnym nastroju. Poprzedniego dnia oddaliśmy prace zaliczeniowe i wszyscy postanowili, że zanim zaczną zakuwać do egzaminu, zrobią sobie wolny piątek, a w sobotnie przedpołudnie pozwolą sobie na pijaństwo. Może właśnie tak będzie wyglądać nasz wolny czas, kiedy zostaniemy prawnikami? Od czasu do czasu kilka wolnych godzin przed południem?

– Masz jakieś plany na wieczór? – spytał Fredde, a ja spojrzałem na niego ze zdziwieniem. On też? – Pomyślałem, że obalimy wspólnie piwerko i ułożymy plan przygotowań do egzaminu – wyjaśnił.

Poczułem, że wieczorna impreza to mój ratunek. Egzamin i prawo były ostatnimi rzeczami, o których miałbym ochotę dzisiaj myśleć. Po wysiłku, jaki włożyłem

w napisanie pracy zaliczeniowej, czułem się prawie wypalony.

– Jesteś prawdziwą maszyną, więc zaplanuj to sam – odparłem. – Dziś wieczorem idę na imprezę.

– W takim razie leć, ptaszku – mruknął Fredde. – Wiedziałem, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

Pożegnałem się z nim i poszedłem do domu. Było wczesne popołudnie, kumple Victora i Ludviga zaczęli się już pewnie schodzić, ale nie miałem ochoty zjawiać się tam zbyt wcześnie. Zwłaszcza że musiałem sobie kupić nową białą koszulę.

Nie chciałem się spośród nich wyróżniać, więc zacząłem sobie wyobrażać, jak kumple Victora i Ludviga przyjdą ubrani. Kluczowe słowa brzmiały: „Świeżo i czysto”. Wytarte džinsy, biała koszula, granatowa marynarka, spinki w mankietach, zegarek, eleganckie pantofle, drobne akcesoria w falujących włosach. Wszystko inne byłoby odstępstwem, na które mógłby sobie pozwolić jedynie ktoś bardzo odważny. Ja taki nie byłem, więc postanowiłem się zachować jak kameleon i miałem nadzieję, że świetnie sobie poradzę. Myślałem o tym wszystkim, oglądając koszule w sklepie Scandinavian Sportsmen przy Klostergatan. Wszystkie były dla mnie za drogie.

W końcu zdecydowałem się na obcisłą koszulę z grubszej wełny w sklepie H&M. Zapłaciłem za nią trzysta pięćdziesiąt koron. Nie chciałem, żeby mi ją spakowano do torby, tylko włożyłem ją do plecaka. Wolałem nie pokazywać, że to nowy nabytek, ani zdradzać, w którym sklepie ją kupiłem.

Kiedy wróciłem do domu, chłopaki siedziały w dużym pokoju. Przy drzwiach wejściowych stały stosy brązowych pantofli, a ich właściciele jak gdyby nigdy nic grali w tenisa.

– Ale as serwisowy!

– Taki jest Federer!

Wyjąłem z szafy swój garnitur, bo wiedziałem, że w niego wejdę. Włożyłem go tylko na maturę, więc wyglądał jak nowy. Uznałem, że powinno się udać. Przełożyłem go przez rękę, głęboko odetchnąłem i wszedłem do dużego pokoju. Zostałem w nim grupę sześciu, siedmiu chłopaków, którzy siedzieli przed telewizorem na kanapie i na krzesłach. Victor spojrzał na mnie, więc się zatrzymałem za ich plecami.

– Kto gra? – spytałem, bo coś musiałem powiedzieć. Byłem zadowolony, że wypowiedziałem tak neutralny komentarz, ale Victor zareagował tak, jakby mnie nie usłyszał. Odwrócił się do swoich kumpli i dokonał prezentacji.

– Panowie, to nasz nowy współlokator – powiedział, po czym wstał, wskazał mnie ręką i przedstawił z imienia i nazwiska. W drugiej ręce trzymał butelkę piwa Peroni.

Zauważyłem, że był już lekko wstawiony. – To nasza prawdziwa opoka. Zajmuje pokój po Tottem.

Nagle sięgnął nad kanapą i poczochnął mi włosy. Uchyliłem się zdziwiony i lekko zażenowany. Nasi goście wyglądali tak samo jak Ludvig i Victor. Ubrani byli w dzinsy albo w chinosy, koszule polo od Ralpa Laurena albo jasnoniebieskie, niewyprasowane i tylko częściowo wpuszczone w spodnie koszule bawełniane z zapinanym na guziki kołnierzykiem. Mieli wysoko osadzone kości policzkowe, opalone twarze i obiecujące, nieskomplikowane perspektywy na przyszłość. Wyglądali na dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat i przypominali swoich ojców, tyle że młodszych, ładniejszych i bardziej wysportowanych, którzy prowadzili kancelarie adwokackie, byli właścicielami apartamentów w centrum miasta albo mieszkali w Brommie w willach z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Latem żeglowali pośród szkierów, a ferie zimowe spędzali w Alpach. W sumie było to świetnie naoliwione i niezniszczalne kontinuum przywilejów. Skinęli mi głowami i unieśli w moim kierunku butelki w swego rodzaju geście pozdrowienia.

– Powiedz coś – zasugerował Victor. – Pozdrów naszych kumpli.

– Fajnie was poznać – odparłem i ogarnęła mnie złość, bo poczułem, że się zaczerwieniłem. Wszyscy byli ode mnie starsi, bogatsi i mieli lepsze geny.

– Fajnie was poznać? – powtórzył Victor, naśladowując mój akcent, którego używają mieszkańcy wschodniego Östergötlandu. Od dawna pracowałem nad tym, żeby inaczej wypowiadać niektóre głoski, które się różniły od wymowy standardowej. Victor podszedł do mnie i objął mnie ramieniem, a jego koledzy wybuchnęli śmiechem. Ktoś rzucił w moją stronę „Fajnie cię poznać”, ale wypowiedział te słowa w taki sposób, że mój akcent wybrzmiał jeszcze wyraźniej. Reszta znowu się zaśmiała.

– Chyba wiesz, że bardzo cię kochamy? – spytał Victor i pociągnął mnie za sobą do kuchni. Wyjął z lodówki dwie butelki piwa, jedną z nich otworzył, podał mi ją i spytał: – Browarek?

Poczułem do niego wdzięczność, mimo upokorzenia, jakiego przed chwilą doznałem z jego strony. W tym momencie byliśmy dwoma współlokatorami, którzy zgodnie popijali piwo.

– Dzięki – odparłem i wziąłem od niego butelkę.

Victor stuknął się ze mną, a ja chciwie pociągnąłem długi łyk. Chciałem się jak najszybciej upić.

– Fajnie, że zostałeś dzisiaj w domu – powiedział Victor. – To będzie superwieczór – wieczór mistrzów. Chyba wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Napiłem się piwa i skinąłem głową.

– Jasne. Superwieczór supermistrzów.

– Byłoby jeszcze bardziej super, gdybyś zabrał się za nakrywanie do stołu. Pomożemy ci, ale czy mógłbyś zacząć już teraz?

Po tych słowach uderzył dłonią o stół, na którym stały puste szklanki i torebki po chipsach.

– Obrus leży na łóżku Ludviga, my rozstawimy elegancką porcelanę. Możesz zacząć, ale pośpiechu nie ma.

Victor otworzył drzwiczki szafki przy stole. Nigdy przedtem jej nie otwierałem, bo nie miałem po co. Stały w niej białe jak kość słoniowa, odziedziczone po przodkach talerze ze złotymi tłoczeniami. Zanim Victor zamknął szafkę, chyba zauważyłem też wysokie, cienkie kieliszki do wina.

– Zgadzasz się? – spytał.

– Chcesz, żebym nakrył do stołu?

– Pomożemy ci, mistrzu, ale zacznij od obrusu – odparł, po czym wskazał przez ramię w kierunku salonu i szeroko się do mnie uśmiechnął. – Tylko nie od razu, bo najpierw muszę z nimi wygrać finał.

– Nie ma sprawy – odparłem i też się do niego uśmiechnąłem.

– Witam wszystkich na naszym kolejnym męskim wieczorze – powiedział godzinę później Victor. – Jak mawiają Anglicy: *You got male-evening*.

Victor stał przy krześle. W jednej ręce trzymał kieliszek z winem, w drugiej srebrny nóż. Uderzył nim o kieliszek i wszyscy ucichli, ale tylko po to, żeby na dany sygnał zawołać jednym głosem:

– *YOU GOT MALE!*

Pokój wypełniły ogłuszające okrzyki – unosiły się przez chwilę nad stołem. Miały taką siłę, że zachwiały płomieniami zapalonych świec. Hasło „You got male” było ich wspólnym zawołaniem, kiedy spotykali się w tym gronie kilka razy do roku. Kiedyś powiedział mi o tym Ludvig. „Stałeś się mężczyzną”. Całkiem możliwe, że było to świadome lub nieświadome nawiązanie do romantycznej amerykańskiej komedii zatytułowanej *You’ve got mail*⁶, ale wtedy nie umiałem jeszcze określić, jaki miało charakter: ironiczny czy zabawny. W każdym razie nie było to ani dowcipne, ani zabawne, jak większość rzeczy, które się tutaj działy.

Zdążyłem się zorientować, że niepisane zasady związane z przynależnością do tej grupy były proste i umowne: żadnych dziewczyn ani nowicjuszy, tylko przyjaciele z lat dzieciństwa z wyjątkiem kolesia, z którym Victor i Ludvig dzielili mieszkanie i który nakrył do stołu, odebrał zamówienie z Grandu i rozłożył jedzenie na talerzach. Tym kolesiem byłem ja.

– Będę się streszczał – oznajmił Victor. – Będziemy robić to, co zawsze: smacznie jeść, prowadzić przyjemne rozmowy i...

– DOBRZE PIĆ! – dokończyli pozostali gromkimi głosami i głośno się roześmiali. Potem wstali i wzniesli toast, trącając się kieliszkami z czerwonym winem. Uczynili to delikatnie, żeby ich nie rozbić, a jednocześnie w sposób od dawna wyuczony i imponująco skoordynowany.

Ja też wstałem i stuknąłem się kieliszkiem z moimi sąsiadami. Bardzo się przy tym starałem, żeby nie uронić z niego ani kropli.

Na przekąskę była wędzona pierś pieczonej kaczki z jabłkami. Zdjąłem plastikową folię z zamówionych potraw, przełożyłem je na małe talerze i rozstawiłem na stole. W tym samym czasie nasi goście wznosili w pokoju toast szampanem. Kiedy usiedli i zjedli to, co im przygotowałem, zrobiłem wokół nich rundkę, zebrałem talerze i wstawiłem je do zlewu, chociaż nikt mnie o to nie prosił. Byłem tu nowy i najmłodszy, więc rozumiało się *ex officio*, że ten obowiązek spadnie na mnie. *Ex officio* to termin prawny, którego się nauczyłem na jednym z wykładów. Oznaczał, że nikt nie musi wydawać jakichkolwiek poleceń ani rozkazów, ponieważ wszystko odbywa się jakby samo z siebie, jako że jest opakowane w ustalone zasady i umieszczone w określonym systemie. Udziec jeleni położyłem na dużym półmisku, a kieliszki z winem poustawiałem w rzędzie. Nie zapomniałem też o świecach. Zająłem się tym wszystkim nie tylko dlatego, że tak chciałem, ale także po to, żeby koledzy Ludviga i Victora mnie polubili i zaakceptowali.

– Czy mógłbym obejrzeć twój zegarek?

Powyższe pytanie zadał mi stojący po mojej prawej ręce jasnowłosy niewysoki chłopak. Miał falowane włosy, a na policzkach ślady po trądziku. Nazywał się William Rosenius. Odnosiłem wrażenie, że połowa gości, którzy przyszli na imprezę, nosiła to samo imię. Trochę go znałem, bo był na roku z Ludvigiem i Victorem i bywał w naszym mieszkaniu. Często na wpół leżał, na wpół siedział na kanapie i wrzeszczał wraz z nimi na cały głos: „Prawdziwy mistrz!”. Zostałem mu przedstawiony przynajmniej dwa razy – od razu nie spodobała mi się jego szydercza gęba.

Lekko poirytowany podsunąłem mu rękę, żeby mógł obejrzeć zegarek. Musiał go zauważyć w chwili, gdy stawiałem na stole półmisek z mięsem. Reszta rzeczy, które na sobie miałem, była na tyle anonimowa, że udało mi się między nich wszystkich jakoś wtopić. Pomyślałem, że jednym z elementów mojego wizerunku będzie zegarek, więc go włożyłem. Teraz żałowałem, że się przed tym nie powstrzymałem. Sądziłem, że będzie wyglądał elegancko. Powinienem był się domyślić, że stanie się inaczej.

– Dostałem go w prezencie po zdaniu matury – wyjaśniłem.

William dał mi znak, żebym zdjął zegarek. Zrobiłem to i mu go podałem.

– To certina – stwierdził William. – Kupili ci ją w Norrköpingu?

Pytanie, które mi zadał, wypowiedział w dialekcie używanym w regionie, z którego pochodziłem, jakby chciał mnie sparodiować. Zrobił to jednak w kiepski sposób. Po obejrzeniu zegarka obrzucił mnie pełnym wyższości spojrzeniem i szyderczo się uśmiechnął, czym zaskoczył mnie, chociaż już w czasie naszego pierwszego spotkania zauważyłem, że ma tendencję do ironicznych uśmieszków czających się w kącikach ust. Byłem zdziwiony, że okazywał mi to aż tak otwarcie, ponieważ myślałem, że jest lepiej wychowany i grzeczniejszy i nie afiszuje się swoim poczuciem wyższości. Niestety, pomyliłem się, ponieważ William był dokładnie tym, na kogo wyglądał: paskudnym, znudzonym gnojkiem, który lubi się znęcać nad młodszymi kolegami w pogoni za... no właśnie, za czym? Chyba za czymkolwiek.

Od razu zrozumiałem, że jego aluzja do Norrköpingu oznacza, iż mój zegarek jest w jego opinii bezwartościowy i na pewno nie uważa go za elegancki. William okazał mi to w sposób pozbawiony jakiegokolwiek subtelności. Zrozumiałem, że z powodu zegarka wyglądam na tego, kim naprawdę jestem, to znaczy kogoś, kto próbuje się dopasować, na arywistę, któremu można zarzucić, że wprawdzie nie pożycza nikomu swoich długopisów, ale przynajmniej spakował je do walizki, z którą przyjechał z prowincjonalnego, nudnego Söderköpingu przepełniony wiarą, że będzie funkcjonował w Lundzie na szczycie piramidy.

William czekał na moją reakcję, a ja się zastanawiałem, co zrobić. Mogłem się roześmiać i oznajmić, że to, co powiedział, było zabawne. Gdybym się zaśmiał, odsłoniłbym gardło i całkiem mu się podłożył, ale dzięki temu byłoby po sprawie. Niestety, wypłem już dwa piwa i sporo wina i tak duża dawka alkoholu sprawiła, że po szybkiej analizie kosztów, którą przeprowadziłem w głowie, wartość tego, żeby okazać pokorę, znacznie się zmniejszyła. Większego znaczenia nabrała chęć stawienia oporu.

– Tak – odparłem. – Chyba w Norrköpingu.

Przy stole zapadła cisza, a ja poczułem, że spoczęło na mnie siedem par oczu, które wyglądały tak, jakby je zrobiono z macicy perłowej. Ich właściciele byli już trochę pijani, ale jeszcze nad sobą panowali. Być może był to zwykły przypadek lub naturalny impuls, jakie się zdarzają w każdej rozmowie. Usta mieli na wpół otwarte w słabym, pełnym oczekiwania uśmieszku. Nagle poczułem wibrowanie telefonu w kieszeni – dostałem wiadomość. Uznałem jednak, że to nie najlepsza chwila, żeby sprawdzić jej treść.

– Czy możesz mi go oddać? – spytałem, wskazując zegarek, który William nadal trzymał w ręce.

Wyciągnąłem rękę, żeby mu go zabrać, ale William cofnął dłoń. Pozostali lekko się roześmiali, chociaż zauważyłem, że kilku z nich wymieniło między sobą lekko

zażenowane spojrzenia. William patrzył na mnie fałszywym, smutnym wzrokiem, jakby mu było mnie żal. Inni zachichotali na ten widok, a któryś z nich wyciągnął rękę, jakby też chciał obejrzeć zegarek. William szybko mu go podał.

– Czy możesz mi go zwrócić? – powtórzyłem spokojnym głosem.

Paliły mnie policzki, ale nie na skutek poniżenia, jakiego doznałem, tylko ze złości. Gdybyśmy tu byli sami, mógłbym bez problemu zmiażdżyć Williama, bo na pewno mi nie dorównywał. Pokonałbym go fizycznie albo słownie, ale od momentu, w którym wszedł do pokoju, wszystkich miał po swojej stronie. Zastanawiałem się, od ilu pokoleń trwa ich przyjaźń, ilu z ich ojców ze sobą współpracuje i ile przysług wyświadczyły sobie ich rodziny.

Miałem na sobie koszulę z H&M i kupioną w sklepie MQ w Norrköpingu marynarkę, a mój zegarek nie miał żadnej wartości. W sprawiedliwym, merytokratycznym świecie, o którym marzyłem, miałbym sporą szansę w potyczce z tym pryszczatym śmieciem. William nie był ode mnie ani lepszy, ani bystrzejszy, ani silniejszy, ani przystojniejszy, ani zabawniejszy. Za to ja byłem idiotą, który sobie wmówił, że którakolwiek z tych rzeczy ma jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy więc ujrzałem jego uśmiezek i popatrzyłem na jego kumpli, którzy obserwowali tę scenę z zażenowanymi minami, przyszłość otworzyła się przede mną na jedną sekundę w całej swej przeciętnej, deprymującej kompletności. Sartre nie miał racji, bo człowiek nie jest tym, za kogo chce uchodzić. Liczą się tylko przywileje i ewentualna przychylność ich posiadaczy wobec tych, którzy ich nie mają.

William machnął ręką sąsiadowi, żeby tamten oddał mu zegarek, a ja spojrzałem na Ludviga. Unikał mojego wzroku, a na jego ustach czał się słaby, sztywny uśmiech. Zauważyłem jednak, że wzrok ma mroczny i poirytowany. Odnosiłem wrażenie, że cierpliwość naszych gości i gospodarzy w odniesieniu do tego, co się tu rozgrywało, była na wyczerpaniu, ale nikt nie miał ochoty tego przerwać. William wziął do ręki mój zegarek i udawał, że go dokładnie ogląda.

– Prawdziwie mistrzowski wyrób – stwierdził. – Elegancka, szwajcarska jakość.

Skinął przesadnie głową i spojrzał na swoich kumpli, ale większość z nich odwróciła wzrok, żeby na niego nie patrzeć. Było to chyba jeszcze gorsze, niż gdyby chichotali i udawali, że nic nie widzą, tak jak to robili przed chwilą. Wyciągnąłem rękę, poczułem, że jest wilgotna.

– Oddaj mi go – zażądałem.

– William, daj mu spokój, wystarczy tego – powiedział Ludvig. W jego oczach ujrzałem wyraźne poirytowanie. Uśmiech całkowicie zniknął mu z twarzy. – Oddaj mu zegarek, nie bądź pieprzonym dupkiem.

W pokoju zapadła cisza, a William spojrzał na Ludviga zdumionym wzrokiem. Atmosfera zgęstniała.

– Wiemy, że masz fajniejszy egzemplarz – stwierdził z wymuszonym uśmiechem Ludvig. – Pokaż go.

– No właśnie – poparł go Victor. – Pokaż nam swojego Hulka.

Jego słowa rozładowały napiętą atmosferę, bo reszta zaczęła się śmiać i gwizdać. Siedzący naprzeciwko Williama ciemnowłosey chłopak w koszuli w granatową kratę i ze złotymi spinkami w mankietach pochylił się i pociągnął go za rękaw, żeby odsłonić duży zegarek, który tamten miał na nadgarstku. Okazało się, że to specjalny model przeznaczony dla nurków. Wykonany był z nierdzewnej stali i miał głęboko osadzony zielony cyferblat. Victor spojrzał na mnie ze współczuciem, które było gorsze od poniżenia, jakiego doznałem od Williama.

– Hulk! – zawołał siedzący naprzeciwko chłopak. – Ma na ręce Hulka!

Jego koledzy znowu się roześmiali, a niektórzy z nich się pochylili, żeby obejrzeć zegarek. William rzucił moją certinę na stół obok talerza i na chwilę o niej zapomniał, więc skorzystałem z okazji i bez słowa włożyłem ją do kieszeni. William skupił na sobie uwagę swoich kumpli, czego najwyraźniej pragnął. Zdjął swój zegarek i podał go chłopakowi, który o nim wspominał.

– Zielony rolex submariner – wyjaśnił. – Nazywam go Hulkiem.

Spojrzał na mnie z ukosa, podczas gdy jego kumple gwizdali i klaskali w dłonie. Domyśliłem się, że zegarek i sposób, w jaki William go prezentował, był nieodłącznym elementem takich wieczorów.

– Nie jest z Norrköpingu, ale kogo to obchodzi? Każdy robi, co może.

Wszyscy roześmiali się z ulgą. Ludvig i Victor też.

Po gruszce na ciepło, kawie i lodach, które Victor pomógł mi porozkładać na talerzyki i rozstawić na stole, towarzystwo się podzieliło. Większość została w salonie ze szklaneczkami do whisky i kieliszkami do koniaku, które Victor wyjął z kredensu. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś, kto ma mniej niż czterdzieści lat, pił oba te gatunki alkoholu naraz, może jedynie wówczas, gdy wchodziły one w skład piekielnie mocnych drinków, którymi młodzież raczyła się w parkach albo na domówkach z plastikowych butelek wypełnionych skradzionymi z barków swoich rodziców trunkami przywiezionymi z rejsów promowych do Finlandii. Jednak w naszym mieszkaniu picie obu tych trunków przez młodych mężczyzn, którzy nie ukończyli jeszcze dwudziestego piątego roku życia, nalewali sobie do szklanek małe porcje i na w pół ironicznie rozmawiali ze sobą o „dymnej whisky”, „wanilii” i „czekoladzie”, wydawało się czymś normalnym.

W salonie panowała coraz bardziej ożywiona atmosfera. Ze stereo leciał szwedzki hip-hop. Kiedy zaglądałem do salonu i widziałem, jak całe towarzystwo stoi na kanapie i rapuje o laskach, konopiach i broni, odwracałem ze wstydu wzrok. Byłem porządnie pijany, ale zacząłem sprzątać ze stołu i wkładać brudne naczynia do zmywarki. Czułem się podbudowany, że mam coś do zrobienia, że nie muszę siedzieć na kanapie i narażać się na kąśliwe uwagi Williama. Wziąłem otwartą butelkę, nalałem wina do kieliszka i od razu wypiliśmy połowę jego zawartości. Przy stole siedzieli dwaj kolesie w rozpiętych koszulach. Drżącymi dłońmi przyczesywali włosy i szykowali się mentalnie do wyjścia z imprezy. Było po dziesiątej, a oni rozmawiali o znanych kancelariach prawniczych Vinge i Mannheimer Swartling, w których zamierzali odbyć praktyki. Gadali też o dziewczynach, które poznali w Uppsali na studiach. Do Lundu przyjechali prawdopodobnie tylko na weekend, żeby się zabawić w „YOU GOT MALE”. Jeden z nich uniósł głowę, spojrzał na mnie i spytał:

– Jest jeszcze whisky?

Wyciągnął do mnie rękę ze szklanką i lekko nią potrząsnął. Powinienem go olać, ale nie przyszło mi to do głowy. Kątem oka zauważyłem butelkę, która stała obok mnie na ławce.

– Jasne – odparłem.

– Weź też tacę – dodał, wskazując srebrną tacę, na której na początku imprezy stały drinki powitalne. Wziąłem do ręki butelkę, obszedłem znajdującą się na środku kuchni wyspę, nalałem im whisky do szklanek i położyłem przed nimi tacę.

– Ty też jesteś prawnikiem? – spytał jeden z nich.

Jasnoniebieska koszula, wyraźnie zaznaczone barki, ciemnobrązowe oczy. Boże Narodzenie w Alpach, lato w południowej Francji albo na Gotlandii.

– Jestem na pierwszym roku – odparłem. – Dopiero zacząłem.

– Na pierwszym roku, mówisz... – powtórzył z przesadnym akcentem, parodiując mój rodzimy dialekt.

Moja wymowa nie była aż tak twarda, nawet po pijaku, ale tego wieczoru robiłem za prowincjusza, więc niczego więcej się w tych jego słowach nie doszukiwałem.

– Żartowałem – powiedział. Uniósł rękę i przybiliśmy piątkę.

– Nie ma sprawy – odparłem z przesadnym akcentem.

Obaj kolesie wybuchnęli śmiechem.

– Nie jesteś ze Sztokholmu ani z Malmö, więc skąd znasz Victora i Ludviga?

Usiadłem obok nich na krześle. Po raz pierwszy w czasie imprezy zagadał do mnie ktoś inny niż William.

– Mój tata pracował z ciotką Tottego – wyjaśniłem. – Totte mieszkał w pokoju, który teraz zajmuję. To długa historia. Victora i Ludviga poznałem dopiero po

przyjeździe do Lundu.

Niestety, żaden z nich mnie nie słuchał, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Zadawali pytania i czekali, czy odpowiedź będzie pretekstem do jakiegoś żartu, a jeśli tak nie było, rozmowa toczyła się dalej. Chłopak przyciągnął tacę i uśmiechnął się konspiracyjnie do swojego kumpla. W ręce trzymał niewielką plastikową torebkę wypełnioną białym proszkiem. Potrząsnął nią figlarnym gestem i spytał:

– Chyba już czas?

Jego kumpel zdążył już wypić całą whisky ze swojej szklanki i spojrzał na mnie z ożywieniem, jakby chciał sprawdzić moją reakcję.

– Jasne, kurna! – zawołał. – *You bet!*

Nigdy wcześniej nie widziałem kokainy, myślałem, że kiedy ujrzę ją pierwszy raz, na sam jej widok zakręci mi się w głowie. Funkcjonowała w moim umyśle w postaci mitu, symbolu hedonizmu, sam już nie wiem czego, podczas gdy w rękach tego kędzierzawego prawnika torebka z nią nie sprawiała wrażenia czegoś ekskluzywnego ani groźnego. Chłopak wyjął z portfela złotą kartę kredytową, usypał na tacy dwie kreski i podsunął ją swojemu kumplowi. Ten zwinął banknot w rulonik i wciągnął jedną kreskę. Potem głośno zakaszłał i złapał się za nos.

– Wow! – zawołał jego ciemnowłosy kolega. – Zwolnij tempo, mistrzu. Przed nami cały wieczór.

Potem spojrzał na mnie i spytał:

– Ty też dzisiaj z nami idziesz?

– Jeśli się nie boisz, zapraszam na imprezę – usłyszałem za sobą głos Victora. – *All inclusive*. Wstaw wszystko do zmywarki, a jak skończy zmywać, dołącz do nas. Wybieramy się do bractwa, a to twój teren.

Klepnął mnie z uśmiechem po plecach i pochylił się nade mną ze szklanką w ręce. Któryś z chłopaków rapował w salonie, przesadnie naśladując miejscowy dialekt. Brzmiało to jak muzyka blackface.

– Reflektuję na jedną małą – powiedział Victor, po czym wziął od chłopaka kartę i wprawnym ruchem wciągnął kreskę. Wyprostował się, potarł grzbiet nosa i dodał: – Wychodzimy, panowie. Wpisałem was na listę, ale musimy już iść, bo inaczej zamkną nam drzwi przed nosem.

Chłopak, który wcześniej przygotował dwie kreski kokainy, zrobił teraz trzecią, szybko ją wciągnął i wstał z ławy.

– *YOU GOT MALE!* – zawołał.

Jego kumpel pochylił się, przybił z nim piątkę i potoczył się do drzwi. Victor chwycił mnie za ramię i zatrzymał w kuchni.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Chodzi mi o naczynia. Zmywarka jest już włączona. Jak skończy, wyjmij to, co w niej jest, wstaw resztę naczyń i jeszcze raz ją włącz. Zajmie ci to najwyżej pół godziny. Rzadko się spotykamy w tym gronie, więc fajnie by było, gdybyś do nas dołączył. Rozumiesz?

– Nie ma sprawy – skinąłem głową. – Zajmę się tym.

– Super! Naprawdę. Mam na myśli to, jak przygotowałeś żarcie. Dobra robota. Jestem twoim dłużnikiem.

Spojrzałem mu w oczy i zauważyłem, że są czarne jak węgiel. Domyśliłem się, że jest pod wpływem narkotyku. A ja się upiłem. Nienormalne było to, że kiedy Victor to powiedział, wcale nie poczułem się gorszy od nich. Przeciwnie. W pewnym sensie wprawiło mnie w dumę, że zrobiłem to, czego ode mnie oczekiwano, i że Victor jest ze mnie zadowolony.

– Nie ma sprawy – stwierdziłem. – Fajnie było poznać twoich kumpli.

Ostatnie zadanie zabrzmiało dość fałszywie, ale co innego mogłem powiedzieć?

– Przepraszam za Williama – odparł Victor i poklepał mnie po ramieniu. – To fajny kumpel, ale jak sobie wypije, zachowuje się jak dupek. Chyba nie jesteś na niego obrażony?

– Ani trochę – powiedziałem, kręcąc głową.

– To dobrze. Mówię poważnie. Wpadnij później do siedziby bractwa, dopilnuję, żebyś był na liście.

– Okej, dzięki – rzuciłem, bo tylko tyle mogłem wykrztusić.

W tej samej chwili mój telefon zasygnalizował, że dostałem esemesa. Włożyłem rękę do kieszeni i chwyciłem komórkę.

– Wszystko, co jest z kryształu, umyj ręcznie – powiedział Victor. – Na pewno zrobisz to szybciej niż w zmywarce.

Słuchałem go nieuważnie, bo akurat sprawdzałem, co do mnie przyszło. Dostałem dwie wiadomości. Otworzyłem pierwszą.

Chyba nie zapomniałeś, że jutro zacznie się Twoje nowe życie?

Uśmiechnąłem się do siebie.

– Słyszałeś, co powiedziałem? – spytał Victor. – Nie wkładaj do zmywarki kryształowych szklanek ani kieliszków.

Będę czekać przed wejściem o 9.00. Jeśli nie odpiszesz, zadzwonię. Nie zawieź mnie.

– Halo! Słyszysz, co do ciebie mówię? – spytał Victor i z uśmiechem pstryknął palcami przed moją twarzą. Jego koledzy tłoczyli się w przedpokoju i po kolei wychodzili z mieszkania, żeby kontynuować swoje mało skomplikowane studenckie życie i udane kariery adwokackie, w których niczym nie ryzykowali.

– Okej, słyszałem – odparłem. – Pozmywam je ręcznie, wszystko jasne.

– Super! Mówiłem ci, że jesteś prawdziwym mistrzem?

Nagle zapragnąłem się ich wszystkich pozbyć. Cała grupa wytoczyła się na korytarz. Chwilę później usłyszałem, jak wchodzi do windy i zjeżdżają na parter.

W mieszkaniu panował spory bałagan. Usiadłem na kanapie i wyłączyłem telewizor – ktoś spauzował grę w tenisa. Wziąłem otwartą butelkę czerwonego wina, nalałem trochę do kieliszka i jeszcze raz przeczytałem obie wiadomości. Na myśl o piegach Max i jej wąskiej szczelinie między zębami ogarnęła mnie nadzieja połączona z oczekiwaniem. Chciałem z nią porozmawiać, usłyszeć, które balkony zamierza szturmować i jakie miasta zamierza budować. Zwłaszcza po tym wieczorze.

Odpisałem: *Myślałem, że się umówiliśmy na kolację.*

Odpowiedź przyszła błyskawicznie.

Change of plans⁷, spędzimy razem cały dzień. Nie odmawiaj.

Jeszcze raz nalałem wina do kieliszka i wklepałem treść odpowiedzi:

Zgadzam się na wszystko.

CZĘŚĆ DRUGA

Po przebudzeniu czułem się tak, jakbym tej nocy w ogóle nie przespał. Był wczesny ranek. Przez minutę leżałem w łóżku z zamkniętymi oczami. Za oknem szalała burza. Porywy wiatru uderzały o skośny dach nad moim pokojem. Powoli nadchodziła jesień.

Zaschło mi w ustach, miałem kaca i bolała mnie głowa. Kiedy poprzedniego dnia kładłem się spać, byłem wykończony. Mimo to nie mogłem zasnąć, bo po dużej dawce wypitego alkoholu waliło mi serce, miałem mętlik w głowie i przez cały czas myślałem o Victorze, Ludvigu i ich kumplach. W końcu zmorzył mnie sen. Obudziłem się o wpół do drugiej, bo lokal bractwa został zamknięty i Ludvig, Victor i ich kumple wrócili do mieszkania na poprawiny. Grali w gry komputerowe, słyszałem też głosy kilku dziewczyn, które się śmiały i piszczały. Zabawa trwała aż do piątej. Zakryłem uszy poduszką, ale niewiele to pomogło i do samego rana to zasypiałem, to się budziłem. O ósmej się poddałem. Wstałem z łóżka i poszedłem do łazienki wziąć prysznic.

Wiatr był tak silny, że kiedy wychodziłem z klatki schodowej na ulicę, musiałem użyć wszystkich sił, żeby otworzyć drzwi. Na dworze panował chłód, naciągnąłem kaptur na głowę. Drzewa uginały się smagane porywami wiatru, liście tańczyły w powietrzu i gromadziły się w kupkach przy ogrodzeniu przedszkola po drugiej stronie skrzyżowania. Oparłem się o ścianę i wystawiłem twarz na zimne powietrze. Podziałało to ożywczo na moją zmęczoną skórę i poczułem się lepiej. Z powodu silnych podmuchów nie usłyszałem nadjeżdżającego ulicą starego niebieskiego mikrobusu. Zauważyłem go dopiero w chwili, gdy się przy mnie zatrzymał. Ktoś opuścił boczną szybę.

– Wskakuj – usłyszałem.

Za kierownicą siedziała Max. Uśmiechała się, na jej blednącej letniej opaleniznie wyraźnie się odcinały piegi. Stałem nieruchomo i patrzyłem w jej lśniąco zielone oczy, tak jakbym był zmieszany jej nagłym przyjazdem. Pochyliła się w stronę fotela pasażera i spojrzała na mnie pytającym wzrokiem.

– Wskakuj, *baby* – powiedziała i pstryknęła palcami.

Otworzyłem drzwi i usiadłem w brązowym, wytartym fotelu. Powoli podjechaliśmy do skrzyżowania i skręciliśmy w lewo w Karl XII gatan. Max przyglądała mi się badawczo.

– Wiesz, co będziemy robić? – spytała.

– Nie mam pojęcia – odparłem i też na nią spojrzałem.

Max zatrzymała się przy skrzyżowaniu. Jej oczy lśniły jak szmaragdy.

– To najlepszy rodzaj uczucia – powiedziała. – Trwaj przy nim.

Przejechaliśmy powoli wzdłuż dolnego fragmentu cmentarza Stora Kyrkogården, minęliśmy Monumentparken, po czym ruszyliśmy w kierunku ringu i centrum handlowego Nova.

– Zamierzam cię porwać – oznajmiła Max. – Wsiadając do samochodu, wyraziłeś na to zgodę.

– Naprawdę? Nie pamiętam takiej umowy, a jeśli już ktoś się zgodzi na porwanie, to chyba nie można go tak nazwać?

– Wy prawnicy zawsze umiecie namieszać – mruknęła Max. Zatrzymała się na czerwonym świetle i spytała: – Chcesz być porwany?

– A jeśli odmówię? – odpowiedziałem pytaniem.

– Odwiozę cię do domu i nigdy więcej się nie spotkamy – odparła z uśmiechem.

Światła na skrzyżowaniu zmieniły się na żółte, a potem na zielone, ale my nadal staliśmy w miejscu. W końcu inni kierowcy, którzy byli za nami na tym samym pasie, zaczęli trąbić i mrugać reflektorami. Wiatr był już tak silny, że cały samochód się trząsał.

– W takim razie wyrażam zgodę – oznajmiłem. – Możesz mnie porwać.

Minęliśmy centrum handlowe i pojechaliśmy w kierunku autostrady E22. Kierowaliśmy się na północ, na Landskronę i Helsingborg. Nigdy wcześniej nie byłem w tej części Szwecji.

– Czy możesz mi zdradzić, dokąd jedziemy?

– Co by to było za porwanie, gdybym ci to wyjawiała? Powinnam ci zawiązać oczy. Jak się udała wczorajsza impreza?

– Było mnóstwo hałasu i zamieszania.

– To dobrze – stwierdziła z uśmiechem Max.

– Nie jestem taki pewien.

Z popękanych głośników leciał jakiś przebój Taylor Swift. Max śpiewała razem z nią, co wywołało uśmiech na mojej twarzy, ponieważ jej wykonanie znacząco odbiegało od oryginału. W końcu pochyliłem się i ściszyłem dźwięk.

Max spojrzała na mnie pytającym wzrokiem.

– Nie lubisz Taylor? – spytała.

– Przyznaj się, że nasze spotkanie przed aulą nie było przypadkowe – odparłem. Max wjeżdżała właśnie na autostradę. – Wiedziałaś, jak się nazywam, i że studiuję prawo. Specjalnie mnie odszukałaś.

Max się roześmiała i spojrzała na mnie prowokująco.

– Zgadza się, Sherlocku. Przyłapałeś mnie.

Na chwilę puściła kierownicę i rozłożyła ręce na znak, że się poddaje. Okolica za oknami była płaska, same pola uprawne, wiatr i szare niebo.

– A po co mnie odszukałaś? – drążyłem temat.

– Zaciekawileś mnie.

– Naprawdę?

Wiedziałem, że niczym nie mogłem zaimponować emanującej mistyczną aurą Max, która wakacje letnie spędzała w Bretanii. Było wprost przeciwnie. Max znowu na mnie spojrzała.

– Jesteś samotny – stwierdziła.

– Nie sądzę – odparłem po chwili zastanowienia. – Nie jestem teraz bardziej samotny niż zwykle. Zresztą lubię być sam – dodałem, chociaż nie byłem pewien, czy to prawda.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Chyba tak – westchnąłem.

– Odszukałam cię, bo chciałam ci pokazać, że jeśli nie chcesz, nie musisz być dłużej sam.

Oparłem się o zagłówek i spytałem:

– Skąd to zainteresowanie moją samotnością? Po twoich słowach czuję się jak jakiś nieudacznik. Ja naprawdę mam przyjaciół.

Max spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Opowiedz mi o imprezie – poprosiła.

Westchnąłem, ale o wszystkim jej opowiedziałem.

– Chcesz powiedzieć, że podawałeś do stołu jak jakiś służący?

Popatrzyłem na nią i pokręciłem głową.

– To nie tak – odparłem. – Być może tak to zabrzmiało, ale chłopaki są w porządku i nie o to im chodziło. Victor i Ludvig zaprosili na imprezę starych kumpi, więc pomyślałem, że mógłbym im pomóc. Gdyby mnie ktoś odwiedził, oni też by mi pomogli.

– Jesteś pewien?

– Tak myślę. Ludzie, którzy mieszkają razem, powinni sobie pomagać.

Wypowiedziałem te słowa z silnym przekonaniem, ale szczerze mówiąc, nie byłem tego taki pewny. Max miała rację, wiedziałem o tym od samego początku. Ludvig, Victor i ich kumple nie byli moimi przyjaciółmi.

– A kogo z twoich znajomych zaprosiłbyś na taką imprezę? – spytała Max i uśmiechnęła się do mnie prowokująco. – Może mnie?

Łany zbóż falowały za oknami jak morze. Opowiedziałem Max o Williamie i o tym, jak chciał mnie poniżyć z powodu mojego zegarka. To, że się jej z tego zwierzyłem, uznałem za nietypowe, ponieważ zwykle to, co było dla mnie przykre, zachowywałem dla siebie. Jeśli się jednak powiedziało A, należało powiedzieć B. Było w niej coś takiego, że postanowiłem być szczery, wiedziałem, że nie będzie się nade mną litować, przez co nie wprawi mnie w zakłopotanie. Prawie jej nie znałem, ale czułem, że jest po mojej stronie. Chciała mnie wspierać, zamiast się nade mną roztkliwiać. Kiedy skończyłem opowiadać o imprezie, popatrzyłem na Max i zauważyłem, że oczy jej rozbłysły.

– Pieprzony dupek – stwierdziła. – Pyszczaty blondas z zielonym roleksem? Ma na imię William?

– Nazywa się William Rosenius i oczywiście jest prawnikiem.

– Nic gorszego nie słyszałam.

– Obiecałem im, że będę na ich następnej imprezie, w Halloween. William też na pewno przyjdzie. Już się trzęsę ze strachu.

Max się roześmiała, ale od razu spoważniała.

– Przepraszam.

– To cię bawi? To fajnie, że poniżenie, które mnie spotkało, może wywołać czyjąś wesołość.

– Przyszła szwedzka elita przebrana w halloweenowe stroje w twoim mieszkaniu? Powinno ci to pasować, bo studiujesz prawo i jesteś jej częścią.

– Pochodzę z Söderköpingu, a to, co kto studiuje, nie ma znaczenia. Liczy się głównie to, gdzie kto mieszka, jakich ma przyjaciół w rodzinie, z kim jeździł w dzieciństwie na obozy żeglarskie do Falsterbo i tak dalej. Nikt, kto pochodzi z Söderköpingu, nie jest częścią tego wszystkiego, nawet jeśli tak to wygląda. Nikt.

Max skinęła głową.

– Widzę, że masz porządnego kaca. Prześpij się trochę. Mamy jeszcze kawałek drogi do przejechania.

– Nawet nie wiem, dokąd jedziemy – mruknąłem i spojrzałem przez okno. Przeżycia ostatniej nocy tak mnie wykończyły, że powieki zaczęły mi opadać.

– Wszystko ci wyjaśnię, a na razie śpij.

Kiedy się obudziłem, staliśmy na stacji benzynowej Circle K. Zerknąłem na zegarek. Przespałem zaledwie dwadzieścia minut, ale znów mogłem funkcjonować. Spojrzałem przez okno i zobaczyłem pole, które się ciągnęło aż do brzegu wzburzonego morza. Porywy wiatru uderzały o auto. Max wyszła ze sklepu i wracała skulona do samochodu. W jednej ręce trzymała kubek kawy, drugą przyciskała telefon do ucha. Pochyliłem się nad jej fotelem i otworzyłem drzwi. Kątem oka zauważyłem, że tylne

siedzenia są złożone. Odwróciłem się i zobaczyłem jej plecak. Obok niego leżały dwie krótkie deski, które przypominały deski surfingowe. Byłem tak zaaferowany spotkaniem z Max, że dopiero teraz je zauważyłem.

– Dzień dobry, śpiochu – powiedziała, podając mi kubek z kawą. – Duża czarna. Powinna cię przywrócić do życia.

Kawa była kwaśna i mocna, ale po jej wypiciu poczułem się lepiej.

– Deski surfingowe – powiedziałem, wskazując ręką do tyłu. – Muszę przyznać, że ciągle mnie zaskakujesz.

– Dopiero teraz je zobaczyłeś? – spytała. Uruchomiła silnik, wyprowadziła samochód z parkingu i wjechała na autostradę. – W drodze do Kopenhagi obiecałam, że zabiorę cię na surfing. Nie pamiętasz? Ile razy muszę ci to powtarzać?

Odwróciłem głowę i spojrzałem na rozkołysane morze u stóp wzgórza. Fale były silne, wprost agresywne. Nasz mikrobus kołysał się na wietrze.

– Musiałem cię błędnie zrozumieć.

– Dzisiaj trochę się odprężysz. Wkrótce zobaczysz, jakie to uczucie.

Przez pewien czas jechaliśmy piaszczystym traktem przez leśny zagajnik, aż zobaczyłem morze. Max zaparkowała na skraju drogi. Wszystko wokół nas było szare: morze, potężne fale, skały i niebo. Max wysiadła z samochodu i otworzyła pokrywę bagażnika.

– Weź tę mniejszą – powiedziała, wskazując jedną z desek.

Huk fal, które uderzały o skały, był wprost ogłuszający, drzewa nadal się ugiwały na wietrze. Max mrużyła oczy i zadowolona z tego, co zobaczyła, nuciła coś pod nosem. Skuliłem się pod wpływem wiatru i otuliłem szczelniej kurtkę.

– Chyba się domyślasz, że za nic nie wejdem do tej wody? – spytałem. – Żaden rozsądny człowiek tego nie robi.

Ale Max mnie nie słuchała. Wyjęła z bagażnika drugą deskę, przerzuciła plecak przez ramię i zaczęła schodzić z boczem ku morzu.

– Chodź ze mną – rzuciła przez ramię. Jej głos prawie ginął w szumie wiatru i huku fal. – Zostałeś porwany, więc masz mnie słuchać i robić, co ci każę.

Przeszła przez rzadki las iglasty w stronę skał, podczas gdy ja stałem przy mikrobusie i ją obserwowałem. Miałem nadzieję, że się odwróci, uśmiechnie albo machnie ręką, żeby mnie ponaglić, ale nic takiego się nie stało. Nadal szła przed siebie. Uśmiechnąłem się w myślach, po czym wyjąłem z bagażnika drugą deskę. Max naprawdę mnie ciekawiła i fascynowała.

– Poczekaj! – zawołałem.

– Pospiesz się, zanim fale się uspokoją.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym kończył się zagajnik i zaczynały skały. Max położyła deskę i plecak na ziemi i kucnęła, żeby rozpiąć zamek błyskawiczny.

– Nigdy wcześniej nie widziałem takich fal – przyznałem. Musiałem prawie krzyknąć, żeby mnie usłyszała. – Chyba nie mówisz poważnie? Chcesz surfować przy takiej pogodzie?

Max wyjęła z plecaka dwie pianki surfingowe i podała mi jedną.

– Nie tylko ja to zrobię – odparła. – Ty też.

Wyprostowała się i zdjęła czarną, uczelnianą bluzę. Zrobiła to tak nagle, że nie wiedziałem, jak zareagować, więc tylko grzecznie odwróciłem głowę. Mimo to kątem oka zauważyłem, że ma czarny biustonosz. Rozwiązała sznurówki butów i zdjęła ciasne džinsy. Włoski na jej udach i rękach nastroszyły się z zimna.

– Nie stój tak, tylko się przebierz – rzuciła w moją stronę. – Sam wiesz, że tego chcesz.

Rozpięła biustonosz i zaczęła wkładać piankę. Nie mogłem się powstrzymać i ukradkiem spojrzałem na jej piersi, ale zawstydzony szybko odwróciłem wzrok.

– Mówiłem poważnie – odparłem. – Na coś takiego się nie zgadzałem.

Max zdążyła w tym czasie włożyć nogi do pianki i zaczęła zaciągać zamek. Kiedy skończyła, podeszła do mnie i ujęła moją twarz w dłonie. Ręce miała zimne, ale ja poczułem ciepło i twarz mi poczerwieniała. Fale uderzały w znajdujące się poniżej nas skały, wiatr poruszał koronami drzew.

– *Baby*, chcesz być pisarzem, ale studiujesz prawo i mieszkasz z dwoma pieprzonymi dupkami – powiedziała. – Z własnej woli poszedłeś na demonstrację i pojechałeś ze mną do Kopenhagi. Dałeś się porwać i przywieźć w to miejsce. Nie sądzisz, że pora wrzucić na luz? – spytała. Rozpięła suwak mojej kurtki i ją ze mnie zdjęła. – Nauczę cię podstaw, a potem sam sobie radź.

Woda była tak zimna, że kiedy fale obmyły mi stopy, w pierwszym odruchu chciałem wrócić na brzeg. Niechętnie wszedłem do wody i od razu poczułem, jak chłód przenika przez gumowy materiał.

– Połóż się na desce i wypłynij w morze! – zawołała przez ramię Max.

Zrobiłem, jak kazała, i poczułem, jak moje ciało ogrzewa od wewnątrz piankę.

– Deska jest mała, więc nie próbuj od razu na niej stanąć – wyjaśniła, uderzając o deskę dłonią. – Po prostu płynij i czekaj na właściwą falę. Sam poczujesz, że cię niesie, kiedy cię pochwyci i porwie. Kiedy to się stanie, masz się jej poddać. Trzymaj się jak najdalej od skał i tylko leż na brzuchu, a wszystko będzie dobrze.

Wypowiadając ostatnie zdanie, wskazała ręką w lewo. Spojrzałem w tamtym kierunku i ujrzałem kamienie i strome skały. Skinąłem głową na znak, że

zrozumiałem, i wróciłem do poprzedniej pozycji.

– Mówię poważnie. To twój pierwszy raz. Zachowaj ostrożność.

Odwróciłem się na desce i spojrzałem za siebie. Czekałem na okazję i zbierałem się na odwagę. W chwili, gdy pojawiła się kolejna fala, zacząłem wiosłować rękami, ale zrobiłem to za późno i nie posunąłem się do przodu nawet o metr. Z trudem się odwróciłem i czekałem na następną, ale skończyło się tak samo jak poprzednio. Doszedłem do wniosku, że chyba za dużo o tym myślę i brak mi koordynacji ruchów. Potrzebowałem więcej wyczucia i musiałem działać szybciej.

Kolejna fala była większa od poprzednich. Wyglądało to tak, jakby w moim kierunku zbliżała się wysoka ściana wody. Tym razem zacząłem wiosłować, jeszcze zanim fala do mnie dotarła, a kiedy to się stało, byłem już w ruchu. Tak jak mówiła Max: poczułem, że fala mnie niesie. Dodało mi to prędkości, więc przez pewien czas z całych sił wiosłowałem, ale w końcu przestałem i po prostu dałem się nieść fali. Kiedy osłabła i dotarłem do płytszej wody, marzyłem już tylko o jednym: żeby się odwrócić i znowu móc wiosłować. Widząc, jak leżę na desce i walczę z falami, Max głośno się roześmiała.

– Pokochasz to! – zawołała. – Wiedziałam od początku!

Nie wiem, jak długo leżeliśmy na wodzie i ile fal pokonałem, ale w pewnej chwili postanowiłem spróbować stanąć na nogach, choć nie wiedziałem, czy dam radę. Za pierwszym razem nie byłem nawet w stanie przesunąć się po desce, a kiedy to w końcu zrobiłem, upadłem, zanim zdążyłem się wyprostować. Podejmowałem kolejne próby, ale wszystkie kończyły się niepowodzeniem. Było ich tyle, że w pewnym momencie straciłem rachubę.

Uniosłem głowę i zobaczyłem, że Max płynie w moją stronę. W pewnej chwili nasze spojrzenia się spotkały, a wtedy ona uniosła rękę, jakby chciała coś zasygnalizować. Kątem oka ujrzałem, jak za mną wznosi się fala. Słyszałem, że Max coś woła, ale jej głos utonął w huku wody. Fala zbliżała się do mnie jak w zwolnionym tempie, a ja uznałem, że jest wprost idealna. Poczułem znajome napięcie wzdłuż kręgosłupa, które sięgało od karku aż po kość ogonową. Tak samo czułem się dawniej, kiedy grając w piłkę, strzeliłem bramkę. Wiedziałem, że trafię, jeszcze zanim kopnąłem piłkę. Czas stanął w miejscu, wokół zapanowała cisza. Nagle usłyszałem, jak Max krzyczy:

– Puść ją!

Niestety, było już za późno. Fala wzięła moją deskę w posiadanie i popchnęła ze straszną siłą, a mnie wszystko wydało się nagle zwodniczo proste. Przesunąłem się po desce do przodu, trochę dalej niż poprzednio, i poczułem, jak szuram o nią kolanami. Trwało to sekundę. Chwyciłem dłońmi jej brzegi, zachwiałem się. Kucnąłem na drżących nogach i puściłem deskę, a kiedy już prawie stanąłem i się skuliłem, żeby

stawić czoła wiatrowi i prędkości, usłyszałem za sobą głośny szum fali. Ogarnęła mnie prawdziwa euforia. Miałem ochotę się odwrócić, spojrzeć triumfalnym wzrokiem na Max, wykrzyknąć jej, że jestem dumny i szczęśliwy, bo doznałem samospełnienia, ale kiedy uniosłem wzrok, zrozumiałem, że popełniłem błąd, ponieważ ujrzałem przed sobą skały, przed którymi ostrzegęła Max. Widziałem je tylko przez chwilę, ale zdążyłem dostrzec, że są czarne i ostre. Byłem blisko nich. Zbyt blisko. Chwilę później zalała mnie fala i pociemniało mi w oczach.

Najpierw usłyszałem głos Max, a potem inny, którego nie znałem. Oba były prawie obok mnie. Potem do moich uszu dotarł szum fal i wiatru, zrobiło mi się tak zimno, że zacząłem się trząść. Zmusiłem się do otwarcia oczu i najpierw ujrzałem drzewo, a potem szare niebo. Pulsowało mi w skroniach i pod okiem, szczypały mnie wargi. Próbowałem poruszyć prawą ręką i poczułem krótki, intensywny ból. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Max, która się nade mną pochylała.

– Powiedz coś – powiedziała. – Wiesz, gdzie jesteś?

– Boli mnie twarz i ręka – odparłem.

Chciałem się podnieść, ale Max mnie powstrzymała.

– Leż. Najpierw musimy sprawdzić, jakich doznałeś obrażeń.

Uniosła trzy palce i podsunęła mi je przed oczy.

– Ile ich widzisz? – spytała.

– Trzy – szepnąłem w odpowiedzi.

Max uniosła cztery palce, ale ją uprzedziłem.

– To nie był wstrząs mózgu. Lepiej mi powiedz, co się stało.

Ból był tak silny, że czułem go w całym ciele. Nagle usłyszałem czyjeś kroki pośród skał. Max odsunęła się na bok.

– Odzyskał przytomność – stwierdziła. – Chyba jest cały i zdrowy, ale wszystko go boli.

Obok mnie kucała nieznana dziewczyna, która patrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem. Miała ciemne, długie, mokre, związane w kitkę włosy, wysoko osadzone kości policzkowe i arogancko wydęte usta. Była ode mnie starsza, ale niewiele. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Zauważyłem, że jest przemoczona do suchej nitki, jakby poszła popływać w ubraniu. Obie dziewczyny przewróciły mnie na bok. Poczulem w głowie lekkie pulsowanie i zwymiotowałem na mokre skały.

– Wypiłeś mnóstwo słonej wody – powiedziała nieznajoma.

Spojrzałem na skały, ale widziałem tylko przezroczystą ciecz. Przewróciłem się z powrotem na plecy, bo kiedy leżałem na boku, było mi niedobrze. Czułem się trochę

lepiej niż przed chwilą. Max przyłożyła mi do ust butelkę z wodą, a kiedy zwilżyła mi wargi, poczułem, że wracam do życia.

– Nie pij, tylko wypłucz usta – poleciła.

Ciężyła mi głowa i nie mogłem sformułować prostego zdania.

– Może doznał wstrząsu mózgu? – zastanawiała się Max. – Chyba powinniśmy go zawieźć do szpitala.

Próbowałem się podnieść, ale dziewczyna pokręciła głową i stwierdziła:

– Kości czaszki są nienaruszone.

– To jest Dinah – powiedziała Max i pochyliła się nade mną tak nisko, że na policzku poczułem jej oddech. – Jest moją siostrą i chyba uratowała ci życie.

Siostry miały ciemną karnację, ale kilka cech sprawiało, że znacznie się różniły wyglądem. Twarz Max była okrągła i obsypana piegami, a twarz Dinah – podłużna, klasycznie piękna.

Chwyciły mnie za ramiona i ostrożnie podniosły z ziemi, żebym mógł stanąć. Bardziej widziałem, niż czułem, że od pasa w górę jestem nagi, bo siostry zdjęły mi górną część pianki. Zdołałem utrzymać się na nogach, ale bolała mnie ręka i było mi coraz bardziej niedobrze.

– Idź powoli, krok po kroku – powiedziała Max.

Odeszliśmy od brzegu, kierując się ku porośniętemu drzewami zbocz, gdzie stał nasz samochód. Dotknąłem dłonią policzka i zobaczyłem krew na palcach. Max chwyciła moją rękę i odsunęła ją od mojej twarzy.

– To nic groźnego – stwierdziła. – Niczego sobie nie złamałeś. Wygląda to gorzej, niż jest w rzeczywistości.

Sam nie wiem, jakim sposobem doszliśmy do mikrobusa i jak wsiadłem. Pamiętam tylko, że za nim parkował biały volkswagen. Dinah otworzyła drzwi pojazdu.

– Możesz siedzieć? – spytała. – Jeśli nie, przygotujemy ci z tyłu miejsce do leżenia.

Byłem tak przemarznięty, że szcząkałem zębami i cały się trząsałem. Marzyłem tylko o jednym: żeby zrobiło mi się ciepło.

– Usiądę tutaj – odparłem, wskazując fotel pasażera. – Gdzie moje ubranie?

Kątem oka zauważyłem, że Max zbiega zboczem. Dinah pomogła mi wsiąść do samochodu i zdjęła ze mnie drugą część pianki. Ona też cała się trzęsała z zimna.

Przekręciłem głowę i na jej lewym przedramieniu zauważyłem tatuaż, który przedstawiał Nefretete. Taki sam miała Max.

Dinah wyglądała na osobę kompetentną, bywała w świecie i lekko zblazowaną. Oczy miała ciemne i łagodne jak bawełna, zachęcające lub aroganckie, w zależności od tego, pod jakim kątem padało na nie światło. Kryła się w nich pewna obojętność, jakby Dinah znajdowała się na takim poziomie, z którego mogła obserwować

otoczenie bez konieczności odnoszenia się do niego. Jej wzrok nie poprawił mi humoru.

– Boli cię? – spytała.

Przykucnęła i spojrzała na mnie, ale ja unikałem jej wzroku.

– Jak cholera – odparłem.

Dinah wyprostowała się i odeszła. Usłyszałem, jak otwiera drzwi swojego samochodu. Minutę później wróciła i znowu przy mnie kucnęła.

– Mam środek przeciwbólowy – powiedziała. – Po zażyciu będziesz przez pewien czas lekko otumaniony, ale pod dwóch godzinach ten stan minie.

– A na chłód też mi pomoże? – spytałem.

Nie byłem przyzwyczajony ani do bólu, ani do środków przeciwbólowych i ciągle szcząkałem z zimna zębami. Gotów byłem przyjąć cokolwiek, byle tylko ból minął. Dinah trzymała w ręce pojemnik, który przypominał sprej do nosa. Wiatr poruszał gałęziami drzew, a mnie było tak zimno, że włoski zjeżyły mi się na całym ciele. Dinah podsunęła mi sprej pod nos.

– Działa jak zwykle lekarstwo do nosa, ale trochę lepiej – oznajmiła z uśmiechem. – Wciągnij, jakbyś był przeziębiony.

– Kupiłaś go w aptece? – spytałem dla pewności. Głupio to zabrzmiało, ale uznałem, że odniesienie do apteki potwierdzi jakość leku.

– *Sure*⁸ – odparła z dziwnym grymasem. – Sprej jest z apteki, jeśli to dla ciebie takie ważne.

Zawahałem się i spojrzałem w umieszczone za osłoną przeciwsłoneczną lusterko, żeby zobaczyć w nim swoją twarz. Szybko doszedłem do wniosku, że oprócz tego, że jestem sinożółty, niczym się nie różnię od dawnego siebie. Czułem się jednak tak, jakbym się unosił w powietrzu, bo zarówno samochód, jak i miejsce, w którym przebywaliśmy, były mi nieznane.

– Nie marudź – upomniała mnie Dinah. – Sprej na pewno cię nie zabije.

Przestałem się wahać. Pochyliłem się i poczułem przy nosie dotyk zimnego plastiku. Dinah nacisnęła sprej i usłyszałem ciche syczenie. Szybko wciągnąłem to, co trafiło mi do nosa. Poczułem słaby zapach ozonu i metalu.

Pierwszy efekt przyszedł tak szybko, że prawie się roześmiałem. Ból zelżał. Głowę miałem spokojną, przestałem odczuwać chłód i niepokój i o niczym nie myślałem. Oparłem się o fotel, a Dinah owinęła mnie kocem.

– Dzięki – mruknąłem. – Działa lepiej niż alvedon.

Dinah poklepała mnie po ramieniu.

– To prawda. Na pewno jest od niego lepszy.

Minęła chwila, ale może mi się tak tylko wydawało. Na dworze zrobiło się jasno, chmury nad morzem prawie całkiem się rozstały.

– Masz tego więcej? – spytałem.

Dinah spojrzała na mnie lekko rozbawionym wzrokiem.

– Chyba za bardzo ci się spodobał – odparła.

– Tak. Nagle poczułem się tak, jakbym sobie zrobił przerwę i o niczym nie musiał myśleć.

Minęła sekunda albo godzina i nagle poczułem, jak Dinah wkłada mi coś w dłoń. Uniosłem rękę do oczu i zobaczyłem sprej.

– Zażywaj go, ale tylko w razie konieczności, bo ma silne działanie – wyjaśniła, a jej głos dochodził do mnie jakby z oddali. – Wystarczy lekko psiknąć. Możesz go sobie aplikować co trzy godziny, ale nie codziennie i nawet nie co tydzień, tylko wtedy, gdy ból będzie naprawdę silny.

– Rozumiem – mruknąłem z uśmiechem.

Włożyłem sprej do kieszeni kurtki i zobaczyłem Max, która wróciła z moim ubraniem.

– *What the fuck?*⁹ – spytała na mój widok. Miała oburzoną i zaniepokojoną minę, ale w moim wolnym od niepokoju mózgu wydało mi się to tak komiczne, że cicho zachichotałem. Dinah wzruszyła ramionami.

– O co ci chodzi? – spytała. – Zmarł i wszystko go bolało, więc dałam mu pewien środek.

– Co to było? Fentanyl? Ma tylko pękniętą wargę i nie umiera na raka.

– Nie ma sprawy – mruknąłem. – Najważniejsze, że przestało mnie boleć.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Max jest tak niezadowolona. Może wolała, żebym dalej cierpiał?

– Nie złość się na nią – powiedziałem. – Uratowała mi życie.

Dinah rozłożyła ręce.

– Sama słyszałaś – westchnęła. – Nie złość się na mnie.

– Co teraz? – spytała Max. – Za dwie godziny mamy być w domu na kolacji. Jeśli zjawi się w takim stanie, pierwsze wrażenie będzie niekorzystne.

Dinah długo przyglądała się siostrze. W jej oczach, które pod wpływem chwilowej emocji zamieniły się w małe czarne kamyki, pojawił się błysk zniecierpliwienia.

– To nie ja wysłałam go między skały z głową wysuniętą do przodu – stwierdziła.

Max nie odpowiedziała. Wzięła ode mnie koc i pomogła mi się ubrać. Dinah podała mi kurtkę i mrugnęła do mnie okiem.

– Co to za kolacja i z kim mamy się spotkać? – spytałem, chociaż nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Równie dobrze mogłem zostać sam, bylebym tylko odzyskał

spokój.

– Z naszymi przyjaciółmi – wyjaśniła z zatroskaną miną Max. – Taki przynajmniej miałyśmy zamiar.

– Ma tylko parę siniaków – stwierdziła Dinah. – Zejdą mu w parę godzin.

– Ty wiesz najlepiej – mruknęła Max.

Dinah ściągnęła usta.

– Poprosimy Gustafa, żeby go obejrzał... *No big deal*¹⁰ – odparła.

Nie czekając na odpowiedź, wsiadła do swojego volkswagena polo, uruchomiła silnik i odjechała. Max ułożyła mi nogi i pomogła się usadowić w fotelu pasażera. Pod wpływem impulsu chciałem jej pomóc, ale tak naprawdę niewiele mnie to obchodziło, więc pozwoliłem jej robić, co chce. Jeśli to faktycznie był fentanyl, jego działanie okazało się dość przyjemne. W innych okolicznościach świadomość faktu, że zażywam taki środek, pewnie by mnie zaniepokoiła, ale w tym momencie czułem się lekki jak piórko, a nawet lżejszy. Wszystko inne mogło poczekać. Max obeszła samochód, usiadła za kierownicą i włączyła klimatyzację, żeby ogrzać wnętrze.

– Pamiętasz, co się stało? – spytała. – Kiedy Dinah wyciągnęła cię z wody, byłeś nieprzytomny.

– Dinah? – mruknąłem. Spojrzałem przez szybę i zacząłem obserwować mewę. Ptak wisiał nad wodą, próbując się utrzymać w powietrzu. – Ładne imię. Jak Dinozaur, a właściwie Dinahzaur.

Słyszając, jak to zabrzmiało, prawie zachichotałem, ale szybko doszedłem do wniosku, że nie mam powodu do śmiechu.

– *Fuck!* – skomentowała moje zachowanie Max. – Jesteś kompletnie zamulony.

Otworzyłem oczy i spojrzałem przez okno, żeby się zorientować, gdzie jesteśmy. Max skręcała właśnie na północną obwodnicę, kierując się na Smörlyckan i Szpital Uniwersytecki. Miałem wrażenie, że jestem w Lundzie pierwszy raz w życiu. Być może dlatego, że wjeżdżaliśmy do miasta od innej strony, niż robiłem to zwykle. Zresztą niewykluczone, że nadal byłem otumaniony lekarstwem.

Max minęła Obserwatorium, powoli zjechała ze wzgórza i skręciła w prawo w stronę Ogrodu Botanicznego, w którym rosły wysokie drzewa. Na niektórych liście zmieniły kolor z zielonego na żółty. Max popatrzyła na mnie i stwierdziła:

– Widzę, że już nie śpisz.

– Chyba nie – odparłem, chociaż nadal czułem się zamulony i ociężały. Kilka razy otwierałem i zamykałem usta, żeby się pozbyć tego uczucia. Max wskazała butelkę dietetycznej coli, która stała w pojemniku między fotelami. Wyjąłem ją i wlałem

w siebie zimny, spieniony napój. Piłem tak zachłannie, że dostałem czkawki. Jeszcze nic mi tak nie smakowało.

– Chce ci się pić? – spytała Max.

Skinąłem głową. Mój język odzyskał swoje poprzednie właściwości, ale nadal bolały mnie wargi i jeden policzek był sztywny. Max wzięła mnie za rękę, w której trzymałem garść papierowych serwetek i przytknęła mi ją do ust.

– Zabrudzisz mi samochód krwią. Lepiej było, gdy spałeś.

Nadal czułem duży spokój i cudowną obojętność, ale wróciłem do świata, w którym istniały czas i przestrzeń.

– Kiedy się zatrzymałaś, żeby kupić colę? – spytałem.

– Jakies pół godziny temu rozmawiałeś ze mną na parkingu – odparła. Przypomniałem sobie jak przez mgłę, że kiedy zwolniliśmy, uderzenia wiatru o karoserię ustały. Zapamiętałem też ciężarówkę i oświetlenie elektryczne. – Właśnie wtedy.

Znowu spojrzałem przez okno, żeby sprawdzić, gdzie jesteśmy. Max skręciła w jakąś uliczkę, która się wiała pośród wysokich prastarych drzew i razem ze zdziczałymi wzgórzami tworzyła ciemnozielony tunel. Przez gęste listowie ujrzałem wysypane żwirem ścieżki, wykusze okienne i wieżyczki ceglanej willi z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Po ścianach i szczeblinowych oknach piął się zielony bluszcz. Jabłonie i mokra trawa lśniły w słabym świetle.

– To tak zwane Miasteczko Profesorskie – wyjaśniła Max. – Byłeś tu kiedyś?

Pokręciłem głową i przysunąłem się do okna, żeby lepiej widzieć. Max zwolniła i zaparkowała na skraju chodnika.

– Czy to jeszcze Lund? – spytałem.

– Taki się właśnie staje – odparła, otwierając drzwi. – Kiedyś mieszkali tu profesorowie, ale to było w czasach, kiedy mogli sobie na to pozwolić. Niektórzy nadal tu żyją, bo część tych domów odziedziczyli. Idziemy do jednego z nich.

Max obeszła samochód i otworzyła drzwi od mojej strony, ale umysł nadal miałem tak otępiały, że zostałem na swoim miejscu.

– Co my tu robimy? – spytałem.

Powoli zsunąłem się z fotela i stanąłem na popękany chodniku. Przez cały czas przyciskałem do pękniętej wargi poplamione krwią serwetki. Wiatr zelżał, poruszał jedynie czubkami otaczających nas klonów i orzechów. Ich liście dopiero zaczynały żółknąć. Późne popołudniowe słońce oblewało całą ulicę złoto-zielonym kolorem.

– Mieszkam tutaj – odparła Max. – Czas, żebyś poznał moich przyjaciół.

Podeszła do zardzewiałej furtki znajdującej się w ciągu nieprzycinanego od dawna żywopłotu i skierowała się w stronę dużego podniszczonego budynku. Czerwoną

cegłę, z której był wzniesiony, prawie w całości porastał dziki bluszcz. Kiedy Max otwierała furtkę, zawiasy zaskrzypiały.

– Mieszkasz w Grey Gardens¹¹ ? – wymamrotałem.

– Aż tak źle nie jest, ale prawie trafiłeś – odparła Max i przecisnęła się przez szczelinę w ogrodzeniu.

Ruszyłem za nią popękana, porośnięta mchem kamienną alejką w kierunku imponujących kamiennych schodów i wykonanych z masywnego dębu drzwi wejściowych. Nie były wymieniane od ponad stu lat, to znaczy od czasu, gdy ten dom postawiono. Odchyliłem głowę i zacząłem oglądać fasadę. Bluszcz był tak gęsty, że prawie całkowicie zasłaniał okna i dosłownie musiałem ich wypatrywać. Max poszła przede mną i zatrzymała się przed drzwiami. Odwróciła się, spojrzała na mnie i spytała:

– Nadal jesteś gotów?

Warga ciągle bolała, sprej przestawał powoli działać. Z jednej strony przepełniło mnie to ulgą, z drugiej żalem.

– Gotów na co? – spytałem.

– Na wszystko.

Max spojrzała mi w oczy, jakby naprawdę miała na myśli to, co przed chwilą powiedziała, jakby chciała podkreślić, że nie gada bez sensu. Patrzyła na mnie, a ja czułem w piersi dziwne swędzenie albo łaskotanie.

– Tak – odparłem. – Jestem gotów na wszystko.

Drzwi powinny zaskrzypieć, ale otworzyły się bezszelestnie, jakby ktoś niedawno naoliwił zawiasy. W chwili, gdy wchodziliśmy do środka, z głębi domu wszedł do przedpokoju drobny mężczyzna po siedemdziesiątce. Ubrany był w szerokie spodnie z grubej bawełny w kolorze khaki i zbyt obszerną flanelową koszulę w czerwonej kratę. Na gładko ogolonej głowie miał zieloną czapkę z lekko zadartym daszkiem. Popatrzył na mnie z zaciekawieniem jasnoniebieskimi oczami znad okrągłych okularów w grubych oprawkach.

– Wydawało mi się, że słyszałem samochód – powiedział.

Max podeszła do niego i pocałowała go w oba policzki.

– Charles, to jest mój nowy przyjaciel – oznajmiła, pokazując mnie dłonią.

Charles podał mi rękę, a widząc, że w prawej trzymam poplamione krwią serwetki, chwycił mnie za łokieć i uważnie obejrzał moją zranioną wargę.

– Co wyście mu zrobili? – spytał.

– To mój błąd – mruknąłem. – Zrobiłem nie to, co Max mi kazała.

– Chcieliśmy posurfować, a on nie zrozumiał moich instrukcji.

Charles pochylił się w moją stronę, żeby dokładniej obejrzyć ranę.

– Nie wygląda to najlepiej – stwierdził. – Może trzeba będzie szyć?

– To nic groźnego. Gustaf ma w apteczce plaster. Zajmę się tym.

Max odwróciła się do mnie i wskazała prowadzące na piętro szerokie i piękne schody. Rozejrzałem się po holu wyłożonym popękany parkietem w szachowy wzór. Do przyległego pokoju prowadziła para oszklonych drzwi. Z zamocowanej na wysokim suficie rozety zwisał zakurzony żyrandol.

– W razie czego będę w ogrodzie – oznajmił Charles. – Nikogo jeszcze nie ma, ale spodziewam się, że wrócę przed szóstą, żeby przygotować kolację. Niech twój przyjaciel trochę odpocznie – zaproponował. Zmrużył oczy, uśmiechnął się i spojrzał na mnie znad okularów. – Miło cię poznać. Mam nadzieję, że do kolacji odzyskasz formę. Czekaliśmy na ciebie.

Po tych słowach się odwrócił i odszedł w głąb domu. Max pociągnęła mnie do prowadzących na piętro schodów.

– Chodź, zajmę się twoją raną.

Schody kończyły się w holu. Na podłodze z desek leżał wytarty perski dywan. Duże okno, które wychodziło na ogród, było oprawione w ołowianą ramę i składało się

z prostokątnych kratek wypełnionych barwionym, ustnie dmuchanym szkłem. Max poprowadziła mnie krótkim korytarzem i otworzyła pierwsze z dwojga drzwi.

– *Voilà* – powiedziała. – To będzie twoja komnata.

Pokój był duży i ciemny. Przy lewej ścianie stało łóżko z baldachimem. Leżała na nim gruba kołdra i pięć albo sześć porzrzucanych poduszek. Przy przeciwległej ścianie stało duże biurko, na którym leżały stosy równo poukładanych książek i folderów. Nad biurkiem wisiał duży czarno-biały plakat przedstawiający kobietę, która mierzyła z pistoletu w patrzącego na nią obserwatora. Podłogę zdobił wschodni dywan.

Max weszła do środka i rozsunęła grube czerwone kotary, które zasłaniały wysokie okna. Wszedłem za nią i zacząłem się rozglądać.

– Mieszkasz tutaj? – spytałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Pokój był urządzony w romantycznym, typowym dla bohemy stylu. O takim właśnie fantazjowałem w czasach, kiedy jako uczeń liceum zaczytywałem się w literaturze epoki romantyzmu. Może to było spełnienie marzeń? Wszystko wydawało mi się nieostre i zamazane. – Co to za miejsce?

Max do końca rozsunęła kotary i pokój zalało światło. Za oknem widać było trawnik, sad i dużą szklarnię.

– To dobre pytanie – odparła Max. – Dom należy do Charlesa, ale tego się chyba domyśliłeś. Każdego roku wynajmuje pokoje czterem, pięciu studentom. Robi to po części dla pieniędzy, ale głównie ze względów towarzyskich, jak przypuszczam. Dinah też tu przez pewien czas mieszkała, a kiedy rok temu zwolnił się pokój, ja się tu wprowadziłam.

– Charles nie ma rodziny?

– Rodziny? – odparła ze śmiechem Max. – Przed chwilą go widziałeś. Czy wyglądał na kogoś, kto chciałby mieć rodzinę?

Pokręciła głową i znowu się uśmiechnęła.

– Charles lubi młodych ludzi. Jego partnerzy czy jak ich tam nazwiemy, przychodzą i odchodzą. Twierdzi, że dla niego to najlepszy układ. Podejrzewam, że ci o tym powie.

Głowa nadal mi ciążyła, więc usiadłem na łóżku i lekko się skrzywiłem. Działanie narkotyku powoli słabło, ale ból nie był już tak silny, jak się obawiałem. Ogarnęła mnie senność. Max usiadła obok na łóżku i stwierdziła:

– Charles cię polubi. Jesteś w jego typie, ale będę cię przed nim chronić. Nie musisz się bać. Jesteś mój.

Zaszumiało mi lekko w głowie, a ona kontynuowała:

– Dziś wieczorem mamy tak zwaną sobotnią kolację. Kiedy ktoś się tu wprowadza, składa zobowiązanie, że będzie w nich uczestniczył. Żadnej nie wolno opuścić. Czasem zjawiają się dawni studenci. Charles zaprasza też gości spoza grona domowników. Dzisiaj moja kolej, żeby kogoś przyprowadzić. Wybrałam ciebie.

Poczochnęła mi włosy, a ja położyłem się na łóżku, przymknąłem oczy i spytałem:

– Kim on w ogóle jest? Jak trafił do tego domu?

– Kiedyś był profesorem nauk politycznych. Twierdzi, że się tu urodził i wychował. Dom należał do jego rodziców i po ich śmierci go odziedziczył.

Max zrobiła przerwę, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Ale kto to wie? W przypadku Charlesa prawda nigdy nie stała na drodze dobrej opowieści. Prawda jest taka, że kiedyś był profesorem. Teraz jest już na emeryturze, ale nadal wykłada dla któregoś roku przedmiot o nazwie „Anarchia polityczna w ujęciu historycznym”. Dzięki temu ci, którzy na te wykłady uczęszczają, nawiązują z nim kontakt i mają szansę się tu wprowadzić. Można by powiedzieć, że stanowią jego bazę rekrutacyjną.

Jej głos brzmiał tak, jakby Max znajdowała się daleko ode mnie.

– Jaką bazę?

– Charles chce, żeby ci, którzy tu mieszkają, podzielali jego światopogląd. Wykłady są dla niego okazją, żeby ich zweryfikować.

– A jaki on ma światopogląd?

Max usiadła obok mnie na łóżku.

– Później się tego dowiesz, a teraz odpocznij – odparła. Wskazała ręką drzwi prowadzące na korytarz i dodała: – Przyniosę coś na twoją wargę.

Wyszła z pokoju, a ja z trudem wstałem i podszedłem do okna, żeby obejrzeć bujny, ale zdumiewająco zadbane ogród pełny jabłoni. Zauważyłem też grządki, na których rosły różne warzywa: jarmuż, gorczyca, marchew i słonecznik bulwiasty. Na jednej z nich pojawiły się jesienne kwiaty w bladych, pięknych kolorach. To chyba astry, pomyślałem, chociaż mój umysł nie pracował jeszcze na pełnych obrotach. Przez lata myślałem, że przydomowy ogródek mojej mamy uczynił mnie obojętnym na te sprawy, ale najwidoczniej coś we mnie z tamtych czasów pozostało, bo skądinąd miałbym wiedzieć, jak się te rośliny nazywają?

Z roztargnieniem zacząłem przeglądać leżące na biurku książki, które należały do Max. Autorem jednej z nich, o Nowym Jorku, był architekt Rem Koolhaas. Znalazłem też dwa podręczniki do historii sztuki, a na wierzchu zaczytany egzemplarz powieści Rachel Kushner pod tytułem *The Flamethrowers*. Zauważyłem, że wiele rogów jest pozaginanych. Zapoznałem się z treścią tylnej okładki i nagle zobaczyłem czarny skoroszyt. Wewnątrz był plik wydrukowanych kartek formatu A4. W górnej części

pierwszej z nich znajdowało się zdjęcie pięknego domu, a raczej pałacyku z wykuszami i miedzianym dachem. Na innej fotografii było widać zakreślony ołówkiem balkon. Przejrzałem resztę kartek i znalazłem rysunki przedstawiające różne piętra tego samego budynku z ręcznie zaznaczonymi strzałkami i notatkami.

– Lubisz Kushner? – spytała Max.

Nawet nie słyszałem, jak weszła do pokoju. Wskazała książkę, którą nadal trzymałem w ręce i zamknęła skoroszyt, który przed chwilą przeglądałem.

– To podręcznik na zajęcia. *Historia sztuki. Zbieżność między architekturą a sztuką obrazową w epoce secesji*.

– Nie zamierzałem tu węszyć.

– Nic się nie stało. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, jaki jest cel tego projektu.

Max uśmiechnęła się i wskazała książkę, którą nadal trzymałem w ręce.

– *The Flamethrowers*. Czytałeś?

– Nie i nawet o niej nie słyszałem. O czym jest?

Max pociągnęła mnie ostrożnie na łóżko i lekko mnie popchnęła. Położyłem się na kołdrze z głową na jej poduszkach.

– O szybko mijającym czasie, o teraźniejszości i o tym, co to znaczy być artystą. Jeśli chcesz, mogę ci ją pożyczyć – odparła. Wyjęła cienki kawałek taśmy chirurgicznej i oznajmiła: – Leż i się nie ruszaj.

Po tych słowach przykleiła mi kilka kawałeczków taśmy do rany na wardze. Uważałem, że to zbędne, bo krew prawie przestała lecieć, ale dotyk jej dłoni sprawiał mi przyjemność. Poza tym byłem zbyt otumaniony, żeby zaprotestować. Kiedy skończyła, pogłaskała mnie z zadowoleniem po policzku.

– Jest już po piętnastej. Moją siostrę zdążyłeś poznać.

– Ma na imię Dinah – odparłem.

Przypomniałem sobie jak przez mgłę, że w samochodzie nazwałem ją Dinahzaurem, ale teraz było to już tylko bolesnym wspomnieniem. Max skinęła głową.

– Gustaf i Robin wrócą niedługo do domu. Teraz odpocznij, a gdy się obudzisz, przygotuję nam po drinku.

Chciałem zaprotestować, bo takie „odpoczywanie” wydało mi się po prostu głupie. Wolałem się dowiedzieć czegoś więcej o Charlesie, jego niezwykłej willi i ich przyjaciółach, ale surfowanie i sprej wyssały ze mnie resztkę sił.

Ledwo Max wstała, zamknąłem oczy. Łóżko było szerokie i głębokie, leżały na nim miękkie poduszki. Ja zawsze miałem tylko jedną i nawet by mi do głowy nie przyszło, że można mieć ich więcej. Spokojnie ułożyłem pośród nich głowę. Uświadomiłem sobie, że w moim życiu może istnieć więcej rzeczy, o których wcześniej nie myślałem. Usłyszałem, jak w głębi domu zamykają się drzwi pokoju, ale chwilę później śniłem

już o uderzających o brzeg falach, krwi, bluszczu i białych astrach rosnących
w słabym blasku słońca.

Kiedy otworzyłem oczy, w pokoju panował półmrok. Usiadłem w łóżku i ujrzałem kobietę, która mierzyła do mnie z pistoletu. Wstając, stopniowo sobie przypominałem wydarzenia całego dnia. Obudziłem się na kacu w swoim mieszkaniu, porwała mnie Max, w czasie surfowania wpadłem na skały, a na końcu trafiłem do tego pięknego domu, który w miarę jak do siebie przychodziłem, wydawał mi się coraz bardziej przerażający.

Przez oparcie krzesła leżała przerzucona moja kurtka. Wsunąłem dłoń do kieszeni, żeby sprawdzić, czy nadal jest w niej pojemnik ze sprejem, ale szybko ją cofnąłem, jakbym dotykał jakiegoś przedmiotu podłączonego do prądu. Czułem pulsowanie w wardze i lekki, ćmiący ból w ręce, co oznaczało, że sprej przestał działać. Naszła mnie pokusa, żeby go znowu użyć, choć raz nim psiknąć. Pomyślałem, że dzięki jego działaniu odzyskam spokój.

Pokręciłem głową. O czym ja w ogóle myślę?

Podszedłem do okna i wyjrzałem na ogród. Na dworze było już prawie całkiem ciemno. Odniosłem wrażenie, że szklarnia jest rozświetlona płonącymi świecami i że ktoś po niej chodzi. Kac zniknął, zarówno ten, który wywołało działanie spreju, jak i ten, którego się nabawiłem po alkoholu. Gdyby nie pulsowanie w wardze i ból w ręce, czułbym się nadspodziewanie dobrze.

Spojrzałem na kobietę, która celowała do mnie z pistoletu. Wyglądała tak, jakby wodziła za mną wzrokiem. Z biurka zniknął czarny skoroszyt, do którego wcześniej zaglądałem. Może Max nie chciała, żebym grzebał w jej papierach, bez względu na to, co w nich było? *Fair enough*¹². Usiadłem na łóżku, wziąłem do ręki książkę *The Flamethrowers* i otworzyłem ją na pierwszej stronie.

– Przestań się gapić – mruknąłem, kierując te słowa do kobiety z wiszącego na ścianie plakatu. Zdążyłem przeczytać pięć stron, na których autorka opowiadała o motorowerach, gdy drzwi się otworzyły i w progu stanęła Max.

– Widzę, że żyjesz! – stwierdziła. – Czas na drinka.

Szerokimi skrzypiącymi schodami zeszliśmy do holu. Ktoś zapalił świece w żyrandolu i blask płomieni tańczył na ciemnoczerwonych tapetach. Piękne, srebrne motywy roślinne wiły się aż do sztukaterii na suficie.

– Raz w miesiącu, w sobotę, jemy wspólnie kolację – przypomniała Max. – To jeden ze zwyczajów wprowadzonych przez Charlesa, który zwykł mawiać, że jedynym

usprawiedliwieniem czyjejś nieobecności może być tylko własny pogrzeb. I nie chodzi tu o to, że ktoś z nas się od tego obowiązku miga. Charles za wszystko płaci, serwuje też wino ze swojej piwniczki, a my pomagamy mu w przyrządzaniu potraw.

Max uniosła palec w ostrzegawczym geście.

– Jeśli chcesz się porządnie nawalić, poproś o wino. W najlepszym albo w najgorszym wypadku, w zależności od tego, jak się do tego ustosunkować, Charles zabiera nas do wspomnianej piwnicy i otwiera kilka dużych butelek.

– Brzmi jak marzenie – odparłem. Z kuchni dobiegał zapach egzotycznych przypraw, których nazw nie znałem. – Nadal się czuję, jakbym został porwany – stwierdziłem, kiedy weszliśmy do holu.

Max popatrzyła na mnie. W jej oczach odbijał się blask płonących świec.

– To dobrze. Może w przyszłości będziesz słuchał, jak ci coś każe, dzięki czemu nigdy więcej się nie poobijasza.

Do kuchni szliśmy korytarzem, którego ściany były wyłożone boazerią. Kuchnia znajdowała się na końcu domu, jej duże okna wychodziły na ogród. Nie czułem niepokoju, byłem raczej podenerwowany i pełen oczekiwań.

– Wszyscy są w szklarni – wyjaśniła Max, kiedy szliśmy przez kuchnię. – Chodźmy tam.

Na dużej kuchence gazowej bulgotał gęsty sos, który pachniał cynamonem i chili. W żółtawej marynacie na drewnianej desce leżały dwa polane tłuszczem kurczaki. W misie czekało przygotowane ciasto.

– Dzisiaj będziemy jeść po indyjsku – wyjaśniła Max. Otworzyła drzwi na taras i do kuchni wpadło z ogrodu chłodne powietrze. – Charles to świetny kucharz, wystarczy wypełniać jego polecenia.

Kiedy wyszliśmy na dwór, dostałem dreszczy, bo wieczór był chłodny. Uniosłem wzrok i ujrzałem grupę barwnie ubranych postaci, które stały w szklarni z kieliszkami szampana w ręce.

– Oto Max i nasz nowy przyjaciel! – ogłosił Charles i wyszedł nam na spotkanie z dwoma kieliszkami szampana. Był ubrany w szerokie spodnie z grubego granatowego dżinsu, niebieską batystową koszulę i ręcznie wiążaną muchę w czerwoną kratkę. Na koszulę miał narzuconą granatową tweedową marynarkę. Reprezentował ekscentryczny, typowo angielski styl, który nie miał nic wspólnego z tradycją ani z konformizmem. Charles wyglądał w tym stroju dość swawolnie. Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie widziałem żadnego mężczyzny w jego wieku, który by się tak ubierał. Trunek w jego kieliszku miał lekko bursztynowy kolor i produkował intensywne bąbelki. Na ławie wśród doniczek, podpórek do kwiatów i roboczych rękawic stały dwie świece, które rzucały ciepłe światło.

– Zaczniemy od wzajemnej prezentacji, ale najpierw wzniesmy toast – powiedział Charles i uniósł kieliszek w kierunku każdej z obecnych osób, to znaczy do Max, Dinah i dwóch nieznanymi mi mężczyzn. Na końcu podszedł do mnie i dodał z uśmiechem: – Wypijmy za nowych przyjaciół i za wspaniałe przygody. Witaj na naszej skromnej sobotniej kolacji.

Przez ostatnie dni wypilem więcej szampana niż przez całe wcześniejsze życie. Czułem się jak prawdziwy dekadent, którego nie obowiązują żadne zasady. Szampana pijemy przecież przy specjalnych okazjach, jako swego rodzaju nagrodę, przy czym wydzielamy go sobie po trochu z zachowaniem uroczystych form. Odnosiłem jednak wrażenie, że ani Max, ani jej znajomi, ani Victor i Ludvig, ani ich kumple nie odnosili się do szampana z należytą mu czcią i szacunkiem. Pijąc z kieliszka, czułem, jak sztywniejają mi wargi. W trunku wyczułem nutę pomidorów, cukinii i chyba chili uprawianego w inspektach i stojących wokół nas doniczkach.

– Mam na imię Gustaf – przedstawił się brodaty, wytatuowany mężczyzna i wyciągnął do mnie rękę. – Fajnie, że wpadłeś.

Oceniłem, że jest ode mnie starszy o jakieś pięć lat. Mógł być w wieku Dinah i reprezentował dość luzacki styl. Był ubrany w nisko opuszczone chinosy, T-shirt i kardigan. Podałem mu rękę i też się przedstawiłem.

Drugi z mężczyzn był trochę młodszy i wyższy od mnie. Miał prawie dwa metry wzrostu i długie, kręcone włosy, które wyglądały tak, jakby nie potrafił nad nimi zapanować.

– Mam na imię Robin – powiedział w dialekcie używanym w Göteborgu, co natychmiast nastawiło mnie do niego pozytywnie. – Witaj w naszym małym klubie.

– My się już znamy – stwierdziła z uśmiechem Dinah, kiedy przysła jej kolej. – Wyglądasz lepiej.

Stuknęła swoim kieliszkiem o mój i mrugnęła do mnie. Ładnie wyglądała w swoich kręconych włosach, które opadały na czarną, jedwabną, luźno narzuconą koszulę. Dinah była bardziej dorosła i kobieca niż jej młodsza siostra. Z kolei Max ubrała się na czarno w stylu punk.

– O wiele lepiej – potwierdziłem. – Dziękuję, że... – zacząłem, ale nagle mnie zatkało i nie wiedziałem, jak dokończyć.

– Że uratowałam ci życie? – dokończyła Dinah. – Nie ma za co. To nic wielkiego.

Pozostałe osoby wybuchnęły śmiechem. Domyśliłem się, że Max i Dinah opowiedziały o tym, co mi się przytrafiło.

– Nie zawstydzaj naszego gościa – wtrącił się do rozmowy Charles i wbił wzrok w Dinah. – Jesteś niewychowana.

Odwrócił się do mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie przejmuj się nimi. Uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, żeby ich wychować, ale niektóre przypadki są beznadziejne. Mam na imię Charles. My już się znamy.

– Masz fantastyczny dom – odparłem, ale on tylko machnął ręką, jakby się bronił przed takimi banalnymi pochwałami i nie zamierzał tracić na nie czasu.

– Pochodzisz z Östergötlandu? – spytał z uśmiechem Gustaf. – Domyślam się, że jeszcze nie zdążyłeś się dopasować?

Charles podał mi niewielką drewnianą deskę do krojenia z oliwkami, plasterkami salami, twardego sera i wędlinami. Wziąłem kawałek kiełbasy.

– Nie rób tego – zaprotestowała Max. – Nie staraj się dopasowywać.

– Jeszcze nie wiem – odparłem. – Dialekt, którym mówimy w naszych rodzinnych stronach, raczej nie należy do seksownych.

– Kiedy ja tu przyjechałem, w pierwszej kolejności zacząłem pracować nad tym, żeby się pozbyć moich wschodnich naleciałości językowych – oznajmił w swoim rozwlekłym dialekcie Robin. – Nie było to łatwe, ale dałem radę.

– Najgorsze jest to, że tobie tylko się zdaje, że się go pozbyłeś – skomentowała Dinah. – Naprawdę wierzysz, że mówisz językiem literackim?

– Teraz ty nam o sobie opowiedz – zaproponował Charles. Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami zza grubych szkieł swoich okularów i położył deskę z zakąskami na stół. – Kim jesteś, nowy przyjacielu naszej Max? Po co przyjechałeś do Lundu?

Byłem lekko podenerwowany, więc zanim odpowiedziałem, wypłem trochę szampana. Charles sięgnął po butelkę i zrobił mi dolewkę, chociaż wypłem ledwo dwa łyki.

– Smakuje? – spytał, wskazując butelką mój kieliszek. – To Geoffrey, nic szczególnego, ale myślę, że pasuje do wczesnej jesieni. Zgadzasz się ze mną?

Skinąłem niepewnie głową.

– Tak sędzę – odparłem.

Charles uśmiechnął się do mnie.

– W takim razie opowiedz nam, co pompuje krew w twoich żyłach.

– Co pompuje krew w moich żyłach? – powtórzyłem i niepewnie się rozejrzałem. Pytanie, które zadał mi Charles, zabrzmiało dość intymnie. Przypominało moją rozmowę z Max w drodze do Kopenhagi, kiedy mnie pytała, w co wierzę. Nie miałem jeszcze gotowych odpowiedzi na takie pytania, chociaż poświęcałem im większą część swoich rozmyślań. Nie wiedziałem, jak się za nie zabrać, zwłaszcza wobec tak wyszukanej publiczności. Postanowiłem odpowiedzieć w sposób ogólny.

– W Lundzie jestem nowy, dorastałem w Söderköpingu w Östergötlandzie, ale tego już się pewnie domyśliliście. Kilka tygodni temu, na demonstracji w Malmö,

poznałem Max. Rzuciła się na policjanta, który z niewiadomego powodu próbował mnie zatrzymać.

– Wiemy o tym – przerwał mi Robin. – Opowiedz nam coś o sobie.

Cała piątka patrzyła na mnie, ale w ich oczach nie zauważyłem ani niechęci, ani dystansu, tylko pozytywne nastawienie. Mimo to czułem się jak na przesłuchaniu.

– Studiuję prawo, ale nie pytajcie dlaczego – odparłem.

– Dlaczego? – spytał Charles.

Popatrzyłem na niego i nerwowo się uśmiechnąłem. Charles odwzajemnił uśmiech, ale nie miałem wątpliwości, że zadał mi bardzo poważne pytanie.

– Nikt z nas nie wierzy w przypadek ani w to, że rzeczy dzieją się bez przyczyny – wyjaśnił. – Spytam więc jeszcze raz: dlaczego wybrałeś prawo?

Jego słowa zabrzmiały surowo, ale było w nich jeszcze coś. Wyczułem w nich rodzaj zaproszenia, jakby Charles chciał mi pokazać, że w ich obecności nie muszę się kryć za półprawdami i okrągłymi frazesami.

Wypiłem duży łyk szampana i przypomniały mi się moje marzenia o pracy w ONZ albo w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nadzieje, że kiedyś będę uczestniczył w wielkich sprawach. Niejasne wspomnienia z lat młodości, gdy chciałem zostać pisarzem i pragnąłem tylko jednego: żeby życie nabrało sensu, bo tylko dzięki temu mógłbym cokolwiek poczuć. Pomyślałem o Fredem i jego gadce o prawie europejskim, władzy ustawodawczej i o tym, że prawo jest jak zbiór reguł tworzących jakąś grę.

– Chciałbym zrobić w życiu coś, co będzie miało jakąś wartość – odparłem po namyśle. – Coś, co jest słuszne.

Przełknąłem ślinę i postanowiłem, że jeśli chcą szczerzej odpowiedzi, to im jej udzielę. Doszedłem też do wniosku, że jeśli po tym wieczorze nie będę chciał się z nimi ponownie spotkać, nie zrobię tego.

– Nie pochodzę z bogatej ani z wykształconej rodziny – kontynuowałem. – Moi rodzice wykonują nudne zawody, a wszyscy, których znam, prowadzą nudne życie, to znaczy nudne z mojego punktu widzenia. Mówię o życiu w małym miasteczku, którego mieszkańcy są zatrudnieni w firmach przemysłowych, dzieci posyłają do przedszkola, a urlop spędzają na Majorce. Kiedy byłem młodszy, marzyłem, żeby zostać pisarzem, ale brakuje mi talentu. To, co robię, jest trywialne, więc uznałem, że prawo to bezpieczny wybór. Doszedłem do wniosku, że dzięki niemu zarobię dużo pieniędzy, a przy okazji uczynię coś dobrego, chociaż jeszcze nie wiem co.

Rozgadałem się, więc uznałem, że wszystko z siebie wyrzucę.

– Myślałem, że w prawie chodzi o zasady, o to, co jest, a co nie jest słuszne, o zrozumienie tego, co jest, a co nie jest prawdą, a zwłaszcza o to, dlaczego coś jest,

a coś innego nie jest słuszne. Niestety, teraz już wiem, że w prawie nie chodzi o to, żeby cokolwiek zrozumieć, tylko o zajęcie stanowiska w sprawie tego, o czym ktoś już dawno temu zdecydował. Prawo polega na uczeniu się hierarchii, reguł gry z czarodziejskimi formułkami. Prawo to po prostu rzemiosło, nic innego.

Wypiłem z kieliszka resztę szampana, a Charles, który nie spuszczał ze mnie wzroku, od razu mi dolał. Popatrzyłem na niego i dodałem:

– Pytałeś, co pompuje krew w moich żyłach...

Umilkłem, bo ogarnął mnie wstyd. Uznałem, że cała moja wypowiedź była nieskładna, chociaż rozmowa sprawiła mi przyjemność. Poczuję się zmuszony ubrać w słowa wszystko to, co do tego momentu tkwiło w mojej głowie. Było to dla mnie jak wyzwolenie. A może mówiłem zbyt długo? Co ja właściwie wyprawiam?

– Sam nie wiem – odpowiedziałem. – Myślę, że chcę znaleźć to, co tę pompę napędza. Do tej pory prowadziłem nudne życie. Chciałbym, żeby przestało takie być.

Oczy Charlesa rozbłysły. Uniósł kieliszek z szampanem, wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

– Wypijmy więc za to, żeby już nigdy takie nie było.

Potem przenieśliśmy się do domu. Robin włożył do dwóch form kurczaki i wstawił je do piecyka. Max wypłukała pod bieżącą wodą ryż, a Dinah puściła jakąś współczesną, rytmiczną muzykę. Dźwięki płynęły z niewidocznego dla mnie głośnika.

– Musisz wybaczyć Charlesowi – powiedział Gustaf. Podważył korek w następnej butelce szampana i złapał go w kuchenny ręcznik w biało-niebieską kratę. – Na początku zachowuje się trochę impulsywnie, ale uważam, że poradziłeś sobie całkiem dobrze. To była ciekawa wypowiedź.

Podszedł do mnie, popatrzył na moją zranioną, zaklejoną plastrem wargę i skinał z zadowoleniem głową.

– Widzę, że się uczysz – powiedział, kierując te słowa do Max. – Mistrz dobrze wyszkolił swoją uczennicę.

Max zakręciła kran i spojrzała na mnie.

– Charles nam wpoił, że mamy prowadzić skrajnie uczciwe życie – wyjaśniła. – Dać sobie spokój z pustą gadaniną i zacząć mówić o tym, co ma znaczenie. Każda inna postawa prowadzi do tego, że człowiek oszukuje siebie i swoje otoczenie. Działania i poglądy to jedno i to samo. Masz żyć swoimi słowami. Rób to, co mówisz. Wszystko inne prowadzi do nieuczciwego życia.

Wzięła od Gustafa butelkę, dolała mi szampana i stuknęła się ze mną kieliszkiem.

– Dobrze sobie poradziłeś.

– Skrajnie uczciwe życie? Czy człowiek naprawdę tego chce?

– Tak, jeśli zamierza prowadzić prawdziwie uczciwe życie – odparł stojący za mną Charles.

Przyniósł ze szklarni garść mięty, nawet nie usłyszałem, kiedy wszedł do domu. Teraz patrzył na mnie przez kieliszek spod zmrużonych powiek.

– Niestety, ludzie tego nie chcą, bo wolą płynąć w głównym nurcie i nie zamierzają naruszać fundamentów systemu – stwierdził. – Większość z nich nie ma problemu z rzeczywistością taką, jaka jest, z jej strukturą i hierarchiami. Ważniejsze jest dla nich to, żeby się nie wyróżniać, nie kwestionować tego, co ich otacza, ani nie prowadzić uczciwego, intensywnego życia.

Max wzięła od niego miętę i zaczęła ją siekać na desce do krajania. Przez chwilę odniosłem wrażenie, że spojrzała błagalnie na Dinah, ale trwało to tak krótko, że chyba mi się przywidziało. Zastanawiałem się nad tym, co Charles powiedział o systemie i hierarchii. Pomyślałem w tym kontekście o prawie, Victorze i Ludvigu.

– Właśnie takie życie zamierzam prowadzić – odparłem. – Intensywne i uczciwe. Kto by nie chciał?

– Wielu ludzi uważa, że już takie życie prowadzą, ale sporo trzeba się napracować, żeby tak było – stwierdził Charles. – O wiele więcej, niż większość z nas jest w stanie. Trzeba wyrzucić do góry nogami wszystkie dotychczasowe wyobrażenia, systemy i drogi na skróty, podpalić przeszłość i stać się anarchistą.

Kiedy to mówił, oczy mu błyszczały, a przez grube szkła wyglądały na większe, niż były. Prawie surrealistycznie, jak w starym filmie rysunkowym.

– Victor Serge powiedział, że anarchizm domaga się od nas wszystkiego, ale w zamian wszystko nam daje. Warunkiem, żeby tak się stało, jest skrajna uczciwość.

Nie miałem pojęcia, kim jest Victor Serge, a anarchiści, których znałem, zachowywali się tak, jakby najbardziej lubili się bić w czasie takich demonstracji jak ta, którą widziałem w Malmö. Tymczasem to, co tu usłyszałem, zabrzmiało całkiem inaczej. Puls mi skoczył, poczułem, że zaczyna mnie to pociągać. Charles podszedł do mnie i pogłodził mnie po ramieniu.

– Max uważa, że sobie poradzisz – powiedział.

Stał tak blisko, że czułem zapach armaniaku i wanilii, który się przebijał przez wypełniającą pokój woń jedzenia. Domyśliłem się, że to jego perfumy. Charles nie spuszczał ze mnie wzroku, chociaż na pewno zauważył, że to, co powiedział, namieszało mi w głowie i wzbudziło moją niepewność. W jego spojrzeniu dostrzegłem coś w rodzaju wyzwania albo sugestii, ale nie wiedziałem, jak to sobie wytłumaczyć ani jak powinienem się zachować.

– Nie wiem, czy to możliwe, bo nie jestem pewien, czy rozumiem, co to wszystko znaczy – odparłem.

Charles przez chwilę się we mnie wpatrywał, a potem podszedł do pozostałych. Wypił resztę szampana i powiedział podniesionym głosem, żeby przekrzywić gwar:

– Przekąskę mamy za sobą, pora siadać do stołu!

Funkcję jadalni pełnił pokój z dwoma dużymi, wychodzącymi na żywopłot i ulicę oknami, w których wisiały ciężkie ciemnozielone zasłony. Na ryflowanym dębowym stole bez obrusu stały duże kandelabry z zapalonymi świecami. Biała jak kość słoniowa porcelana miała złote obramowania, ale była popękana i porysowana, a srebrne sztucce wprost wołały, żeby je wyczyścić. Na środku stołu widniał duży bukiet niebieskich i różowych hortensji, które – jak podejrzewałem – zostały ścięte w ogrodzie.

– Robin, czy mógłbyś się zająć winem? – spytał Charles, wskazując wielką butelkę na stole. – To naturalne wino francuskie od anonimowej grupy producenckiej w Banyuls. Udzielają wywiadów, ale nigdy ich nie sfotografowano ani nie opublikowano ich danych osobowych. Są czymś w rodzaju zagadki w świecie, który powoli, acz systematycznie robi wszystko, żeby ich zniszczyć. Już samo to jest warte świętowania.

Charles nadal stał przy stole. Wyciągnął rękę w kierunku butelki, a na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

– Jak widzicie, udało mi się zdobyć dwie ogromne butelki – oznajmił.

Wyglądał przy tym na niezwykle uszczęśliwionego, a ja pomyślałem, że zaraz zacznę klaskać. Robin wziął butelkę i nalał wino do kieliszków.

– Jeśli zaczniemy od tak dużej butelki, nie wiadomo, jak skończymy – stwierdziła siedząca obok mnie Max. – Trzymaj się.

Charles uniósł kieliszek w naszą stronę.

– *Trzeba być wciąż pijanym*¹³ – powiedział i skinął głową Dinah, a ona uniosła kieliszek i zwróciła się do Gustafa.

– *To cały sekret, w tym tkwi wszystko* – stwierdziła lekko rozwlekłym głosem.

Była dziwnie zasepiona, jakby nie w pełni uczestniczyła w tej kolacji, tylko unosiła się z tym swoim dekadentckim uśmiechem w jakimś innym wymiarze niż my. Zirykowało mnie to. Może zażyła dawkę fentanylu z własnych zapasów?

– Gustaf? – powiedziała, unosząc w jego kierunku swój kieliszek.

Gustaf też uniósł swój.

– *Żeby nie czuć strasznego ciężaru czasu* – powiedział, patrząc przez stół na Max.

– *Który miazdzy wam barki i zgina grzbiet ku ziemi* – odparła Max i też uniosła swój kieliszek w jego stronę. – Robin, twoja kolej. Ty dokończ.

Robin odstawił butelkę, popatrzył na wszystkich i uniósł kieliszek.

– *Musicie wciąż się upijać* – powiedział głośno. – Na zdrowie!

Wszyscy wypili i zaczęli bębnić dłońią o blat stołu, jakby chcieli wyrazić w tej sposób swój aplauz. Wino było mocne, ciężkie, wypełniające usta. Uderzyło mi do głowy, czułem się zagubiony, ale przestałem się niepokoić. Byłem rozbawiony i ciekawy, w co tak naprawdę się wplątałem.

– Baudelaire – powiedział Gustaf, który zauważył moją niepewną minę. – *Trzeba być wciąż pijanym!* Właśnie od tego toastu zaczynamy zawsze nasze kolacje.

– Nie bój się – uspokajał mnie Charles. – To jedyna formalność, którą uznajemy. Nie jesteśmy społecznością studencką. Jeśli chcesz, jedz rękami. Zachęcamy do łamania wszelkich tradycji i konwenansów.

Ktoś puścił w obieg talerz, na którym leżało coś w rodzaju okrągłych placków ziemniaczanych polanych gęstym indyjskim sosem chutney. Charles dokonał prezentacji nowego dania.

– To *Aloo Tikki*, ziemniaki ze szpinakiem i tapioką. Sos chutney pochodzi z naszych własnych fig, którymi Dinah zajmowała się w ostatnim roku.

Dinah ukloniła się z udawaną skromnością i uniosła kieliszek. Charles popatrzył na mnie wzrokiem pełnym oczekiwania i pożądania, a ja znowu poczułem niepokój, chociaż byłem pijany.

– Chciałbym oficjalnie powitać naszego nowego przyjaciela – powiedział. – Miejmy nadzieję, że jego obecność osłabi nudę, jaka nas ostatnio ogarnęła. Na zdrowie!

Zaczęliśmy od lekkiej, delikatnej przekąski, którą popiliśmy winem. Robin odkorkował następną butelkę i puścił ją wokół stołu. Kiedy skończyliśmy, zebraliśmy talerze i przenieśliśmy się do kuchni. Charles zabrał się za smażenie czegoś, co przypominało naleśniki z cynamonem i mąką z ciecierzycy. Gustaf z imponującą łatwością pokroił kurczaki na porcje i rozłożył je na talerzu. Max nalała słodkiego sosu z chili, który gotował się na piecyku w miedzianym garnku. Kuchnię wypełniał oszałamiający zapach przypraw. Przez cały czas toczyły się rozmowy, ale ja mówiłem niewiele, chociaż przez cały czas w nich uczestniczyłem. Wyglądało to tak, jakby brakowało w nich nadawcy i odbiorcy. W pewnym momencie atmosfera znacznie się ożywiła, ponieważ Robin opowiedział długą historię o ulicznym artyście, który przed laty wystawił swoje dzieło na aukcji w Sotheby's w Londynie. Zaraz po tym, jak nabywca zapłacił, uległo samozniszczeniu.

– Nie twierdzę, że to słuszne, ale uważam, że muszę się nad tym zastanowić – powiedział, gdy Max pokręciła głową i syknęła poirytowana. – Nie umiem tak jak ty wyciągać wniosków z kapelusza.

– Tu nie ma się nad czym zastanawiać, bo to jakieś brednie – odparła Max. – Zresztą tak się to dzieło po angielsku nazywało: *Bullshit*, czyli brednie. Powstało po to, żeby było takim badziewiem i tylko o to w tym wszystkim chodziło.

– Coś nam to mówi o samym artyście i jego dziele – zaprotestował Robin. – O jego chęci uderzenia w tych, którzy na to zasłużyli, których na to stać, którzy są na tyle bezczelni, żeby kupować dzieła sztuki za duże sumy. Uważam, że powinniśmy stanąć po jego stronie. I chyba stoimy.

– To zwykły chwyt marketingowy – skontrowała Max. – Żadna sztuka, tylko reklama. Całkiem dobra, jeśli ktoś chce sprzedać takie badziewie, ale nieodpowiednia dla kogoś, kto chce być artystą, z którym inni mają się liczyć. To tak samo prawdziwe jak reklama napojów energetycznych.

– Pomóż mi – powiedział Robin do Charlesa. Przeciągnął dłonią po swoich niesfornych włosach i spojrzał na niego błagalnym wzrokiem. – Chyba rozumiesz, co chcę powiedzieć? Że to nie jest aż tak oczywiste.

Charles rzucił naleśnik na stos innych, które leżały na talerzu obok pieca.

– Oczywiście, że nie jest – stwierdził, patrząc na Robina przez ramię. – Ja jednak uważam, że takie dzieła są gorsze niż badziewie. A dlaczego?

Charles zrobił krótką pauzę. Rozlał na patelni żółtą masę i odczekał kilka sekund, a kiedy uformował się naleśnik, chwycił ją w obie ręce, podrzucił naleśnik i odwrócił go na drugą stronę.

– Bo to historia, która się powtarza. Dzieła, które mają ulec zniszczeniu, są elementem sztuki od czasów Gustava Metzgera. W latach sześćdziesiątych Jean Tinguely niszczył swoje w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku.

– Lata sześćdziesiąte – mruknął z rozczarowaniem Robin. – Czasem zapominam, że Charles to już staruszek.

Charles zaklął i uderzył go ręcznikiem.

– Co za brak szacunku – powiedział, a zwracając się do mnie, dodał: – Nie słuchaj ich. Aż tak stary nie jestem.

– Nic nie jest nowe, ale to nie znaczy, że nic nie jest interesujące – wtrącił Gustaf. – Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Jestem już znudzony tym tematem.

– A mnie nudzą ci, którzy sprzedają ciągle to samo i udają, że jest to subwersywne – oznajmiła Max. – To chyba przeciwieństwo bycia interesującym?

– Ja tylko powiedziałem, że muszę się nad tym zastanowić – odparł Robin. – Nie twierdziłem, że tego bronię. Ty też powinnaś czasem spróbować takiego podejścia.

Max wymierzyła w niego palec, a ja postanowiłem się włączyć do rozmowy.

– Najciekawsze z tego wszystkiego jest chyba to, że ktoś zapłacił za to dzieło. Być może samo w sobie było powtórzeniem, ale czy to *cool*, że ktoś zapłacił mnóstwo kasy, a potem został z pustymi rękami?

– Dzięki! – zawołał Robin i rozłożył ramiona, jakby chciał mnie objąć. – Nasz nowy przyjaciel okazał się wolnomysłicielem, czym się różni od reszty zblazowanego

towarzystwa, które się tu dzisiaj zebrało.

– Byłoby super, gdyby to nie było pozbawione pointy – zauważyła Dinah. Stała oparta o prowadzące do ogrodu drzwi, w ręce trzymała niedbale kieliszek. Mówiła powoli, głos miała lekko przytłumiony. – Artysta wykonał swoje dzieło, poświęcił swój czas i wystawił je na aukcję. Nie zniszczył go dla pieniędzy, bo i tak by za nie sporo dostał. Nie chciał też pokazać siły zniszczenia ani przemijania dzieła, tak, jak to uczynił Metzger. Nabywca nie wiedział, że kupił coś, co ulegnie samozniszczeniu. Rodzi się więc pytanie: co to za sztuka? Ja twierdzę, że to był tak zwany *practical joke*¹⁴. W tej jednej chwili autor dzieła stał się drugim Boratem. Nie ma w tym nic złego, ale ani to sztuka, ani anarchia.

– Okej, niech ci będzie.

Robin dolał sobie wina do kieliszka i stwierdził:

– Rozumiem, że jesteście tępymi głupkami, bo wy studiowałyście przez rok historię sztuki. Poddaję się.

– Półtora roku – poprawiła go Dinah. – Mniej więcej.

I tak się toczyła ta nasza dyskusja przy kolacji. Jedliśmy owinięte w naleśniki kawałki kurczaka z chili, sosem chutney i indyjskim taco. Potrawa była psychodelicznie smaczna. Nigdy wcześniej nie jadłem czegoś tak dobrego, podobnie jak nie uczestniczyłem w tak burzliwych dyskusjach, które chyba polegały na tym, że wszyscy ze wszystkimi toczyli słowne utarczki, ale nie po to, żeby wyjść z nich zwycięsko. Chodziło jedynie o to, żeby sprawdzić, do jakich wniosków taka dyskusja doprowadzi, ile razy można będzie użyć tego samego argumentu na różne sposoby i ile wzajemnie sprzecznych stanowisk zając, zanim się wróci do punktu wyjścia.

Po głównym posiłku wróciliśmy do kuchni, a ja przestałem liczyć, ile kieliszków wina wypilem. Głowę miałem ciężką, czułem w niej lekkie pulsowanie. Dinah nałała mi do kieliszka kolejną porcję trunku.

– W krytyce illegalizmu nie chodziło o to, że ludzie ryzykowali życie, tylko o to, że śmierć groziła uciemżonym, bo to najslabsi zawsze trafiają w sam środek zawirowań! – zawołał Gustaf z drugiego końca pokoju w odpowiedzi na jakąś replikę Max. – Żaden z nich nie był przeciwny illegalizmowi, który po prostu eksplodował. Właśnie na tym polega ta pieprzona różnica. Jest ona wymierzona w to, co robimy.

– Uspokój się – zaapelował do niego Robin.

Położył mu dłoń na ramieniu, pochylił się do niego i coś szepnął. Max popatrzyła na mnie wzrokiem, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć, po czym uniosła kieliszek, jakby chciała wznieść toast za moje zdrowie. Tymczasem ja straciłem wątek i przestałem się orientować, czego dotyczy rozmowa. Odleciałem jakiś kwadrans

wcześniej, głowę miałem rozgrzaną, myśli mętne. Nie nadawałem się do udziału w dalszej dyskusji, ponieważ dotyczyła ona spraw, których źródeł nie znałem.

– Zmęczony? – spytała Dinah. Podeszła do mnie z kieliszkiem w ręku, zakołysała nim i stwierdziła: – Od kiedy uratowałam ci życie, minął cały dzień.

Pokręciłem głową jak dziecko, które niechętnie się przyznaje do swoich ograniczeń, i odparłem:

– Nie jest najgorzej. Szybko wrócę do formy.

– Te wieczory wiele dla nas znaczą. Nie trzeba poświęcać całego popołudnia, żeby się prawie utopić, a potem czuć się wyżętym z sił.

Uśmiechnęła się trochę prowokująco, pochyliła w moją stronę i szepnęła mi do ucha:

– Zauważyłam, że wszyscy cię polubili. Zwłaszcza Charles.

Kiedy Dinah wypowiadała te słowa, odniosłem wrażenie, że w kącikach jej ust czai się słaby uśmiech.

– Kto wie? Może kiedyś znowu się z tobą spotkamy?

– Mam nadzieję, bo to był cudowny wieczór.

Ale Dinah zdążyła się już odwrócić do Charlesa, który trzymał w ręce dużą miseczkę z czymś, co wyglądało jak lody.

– Podano deser! – zawołał. – Lody szafranowe z poziomkami i koniakiem. Zajmijcie swoje miejsca!

Podane na deser słodkości sprawiły, że na chwilę się ocknąłem. Niestety, samogon z jabłek, który najwidoczniej był obowiązkowym napitkiem serwowanym na zakończenie kolacji, sprawił, że w końcu wstałem od stołu. Zrozumiałem bowiem, że bez względu na to, jak to wszystko jest smaczne, powinienem przestać jeść i pić, bo inaczej zwymiotuję albo zasnę przy stole.

– Muszę wracać do domu – powiedziałem, nie wiedząc, do kogo kieruję te słowa: do którejś z osób czy do całego towarzystwa. Zauważyłem, że wypowiadając to zdanie, ślizgałem się po spółgłoskach. Rozmowy ucichły, wszyscy spojrzeli w moją stronę. Charles wstał z krzesła i podszedł do mnie.

– Chcesz już wyjść? – spytał, rozkładając ręce. – Nie zdążyliśmy się jeszcze zapoznać.

Miał szczerze zmartwioną minę, ale mnie stać było tylko na to, żeby w bezradnym geście rozłożyć ręce.

– To był długi dzień z mnóstwem wina – wybełkotałem.

Charles mnie objął, a ja poczułem na policzku jego przesycony alkoholem oddech.

– Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli okazję poznać cię bliżej – powiedział. Spojrzał na Max i dodał: – To bezczelność, że narażasz swoich przyjaciół na taki

wysiłek. Nie powinno tak być.

Max uśmiechnęła się i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Jesteś pewien? – spytała.

– Nie chcę się do końca skompromitować – odparłem.

– Nie ma mowy o kompromitacji – zapewnił Charles. – Jesteś wśród przyjaciół!

Zapomnij o swoim mieszczańskim wychowaniu i popuść sobie cugli!

Próbowałem się uśmiechnąć, ale w głowie mi się kręciło i szumiało.

– Musimy go znowu zaprosić – rzuciła Max.

– Lepiej będzie, jeśli od razu się wprowadzi – zaproponowała Dinah.

Robin pokręcił poirytowany głową.

– Czemu nie? – spytała Dinah. – Przecież wszyscy o tym pomyśleliście, prawda?

Widać było, że jest pijana, a takie prowokacje słowne sprawiały jej przyjemność.

– Chodźmy – powiedziała Max, biorąc mnie za rękę. – Odprowadzę cię.

Ewidentnie Charles nie chciał mnie puścić. Pocałował mnie w oba policzki, a ja znowu poczułem duszący zapach jego perfum, od którego jeszcze bardziej zakręciło mi się w głowie.

– Do następnego razu, ale wtedy tak łatwo cię nie wypuszczę – powiedział, a ja nawet nie próbowałem się domyślać, co miał na myśli.

– Dzięki za kolację – odparłem i razem z Max wyszedłem do przedpokoju.

Na ścianach nadal tańczyły cienie rzucane przez płomienie świec, które wyglądały tak, jakby zaraz miały zgasnąć. Max podała mi kurtkę. Gdy ją wkładałem, lekko się potknąłem. Na szczęście Max mnie złapała, a potem pomogła mi zapiąć zamek błyskawiczny i włożyć kaptur na głowę.

– Aż tak zimno chyba nie jest? – spytałem.

– Jesteś rozkoszny, kiedy za dużo wypijesz. Chyba zauważyłeś, że wszyscy cię polubili?

Wzruszyłem ramionami. Nadal byłem pijany, ale przez chwilę nie chciało mi się wymiotować.

– Zwłaszcza Charles.

Max uśmiechnęła się znacząco, ale nie byłem w stanie jej spytać, o co jej chodzi. Nie teraz i nie tego wieczoru.

– Też to zauważyłeś?

– Mam nadzieję, że masz rację. Lubię ich wszystkich i żałuję, że się ubzdryngoliłem... Ja...

Max zakryła mi usta dłonią, jakby chciała mnie uciszyć.

– Wiemy. Na pewno nie chcesz, żebym zamówiła taksówkę?

Przypomniał mi się makaron, podręczniki i puste konto bankowe.

– Pójdę pieszo. Muszę pobyć na świeżym powietrzu.

Max otworzyła drzwi. Usłyszałem, że na dworze nadal wieje silny wiatr.

– Czy wiesz, dlaczego tamto dzieło sztuki, które uległo samozniszczeniu, było tak złe? – spytała i chwyciła mnie za ramię, żebym jeszcze chwilę został.

– To, które zostało sprzedane na aukcji?

– Tak.

– Bo już zostało wykonane? Bo było mało oryginalne? To miałaś na myśli?

Max skinęła głową.

– Prawda jest taka, że prawie wszystko jest niezbyt oryginalne, ale nie tylko o to chodzi. To dzieło było złe głównie dlatego, że autor nic nie ryzykował. Wykonanie dzieła nic go nie kosztowało. Nic na nim nie stracił.

Spojrzała na mnie poważnym wzrokiem, jej zielone oczy błyszczały w blasku świateł.

– Coś, w co nie jest w kalkulowane ryzyko straty, jest pozbawione wartości. Czyn bez ryzyka nic nie znaczy. Żeby żyć uczciwie, trzeba być przygotowanym na to, że się wszystko straci. Zniszczenie tamtego dzieła sztuki nie wiązało się dla artysty z żadną stratą, ponieważ zostało już sprzedane i można je było określić jako *practical joke*. A takie żarty są nudne, bo bazują na nieuczciwości.

Chociaż byłem pijany i zmęczony, musiałem przyznać jej rację. Może to ja się myliłem przez całe swoje życie? Właściwą rzeczą nie jest ograniczanie ryzyka, tylko uwzględnianie go w swoim życiu. Max podeszła bliżej, pocałowała mnie czule w policzek i szepnęła:

– Każdy sam musi sobie odpowiedzieć na pytanie, które brzmi: kim chcę tak naprawdę być? Uczciwym człowiekiem czy takim *practical joke*?

W niedzielę obudziłem się w południe, co oznaczało, że przespałem bez przerwy dwanaście godzin. Kiedy moje oczy dostosowały się do dziennego światła, spojrzałem na swój cyfrowy zegarek. Byłem zszokowany. Rzadko spałem dłużej niż siedem godzin, ponieważ już od dzieciństwa uważałem, że długie spanie to zmarnowane chwile, które giną w otchłani czasu, nie pozostawiając po sobie śladu. Czułem się beznadziejnie, ale nie dlatego, że do tej pory znajdowałem coś bardziej sensownego, czym mógłbym wypełnić czas.

Opadłem na poduszkę, którą kupiłem w sklepie IKEA, i spojrzałem przez okno w dachu na jasne, czyste niebo. Skronie mi pulsowały, bo poprzedniego dnia się upiłem. Ciekaw byłem, czy się skompromitowałem. Jeśli nawet, to przecież na tym świat się nie kończy. Zresztą Charles zapewniał, że znowu będę mile widziany. Teraz, kiedy wytrzeźwiałem, jego gorliwość trochę mnie zirytowała, ale doszedłem do wniosku, że być może właśnie w taki sposób okazywał uprzejmość. Nie miałem wątpliwości, że jest ekscentrykiem.

Usiadłem w łóżku i potrząsnąłem głową, żeby zacząć trzeźwo myśleć.

Wydarzenia poprzedniego dnia spadły na mnie nagle, ale czułem się tak, jakbym czekał na nie przez całe swoje życie. Dzień się skończył, a ja nie miałem pewności, czy byłem gotów na jego nadejście i czy uczyniłem wszystko, żeby go jak najlepiej przeżyć. Opuszkami palców dotknąłem plastra na wardze i zadrapania na policzku. Obie rany świadczyły o tym, że to, co mnie spotkało w Malmö, wydarzyło się naprawdę i nie było elementem trwającego dwanaście godzin snu. Sięgnąłem po telefon i zacząłem pisać esemesa do Max.

Dzięki za wczoraj. To było coś.

Jęknąłem i rzuciłem telefon na łóżko. „Dzięki za wczoraj”? Zabrzmiało to jak list z podziękowaniami dla babci po zdaniu matury. Musiałem się napić kawy i coś zjeść. Włożyłem T-shirt, dzinsy i poszedłem do kuchni.

Lodówka przedstawiała ponury widok. Został mi tylko karton kwaśnego mleka, musli i wypełniona brudną cieczą puszka, w której pływały dwie oliwki. Były też marne resztki różnych gatunków sera. Zastanawiałem się, co Max i cała reszta jedli na śniadanie. Pewnie było to coś w rodzaju brunchu. Na przykład szkockie ciasteczka zwane scones, które pałaszowali w bibliotece w domu Charlesa.

Nagle usłyszałem, że ktoś idzie przez salon. Odwróciłem się i zobaczyłem Ludviga. Wszedł do kuchni i wyglądał tak, jakby też przed chwilą wstał, z gołym torsem i elegancko uczesаныmi włosami. Na sobie miał krótkie sportowe spodnie.

– Widzę, że wróciłeś – zauważył. – Gdzie się wczoraj podziewałeś?

– Byłem na spotkaniu z kumplami.

– Znowu się biłeś? – spytał, wskazując moją wargę, w której nadal czułem pulsowanie.

– Wpadłem na futrynę drzwi. Głupia sprawa.

– Dziewczyna też tak twierdziła – odparł Ludvig i zaśmiał się z własnego żartu.

Przez chwilę chciałem mu opowiedzieć o surfowaniu, wizycie w domu Charlesa i kolacji, ale podejrzewałem, że moje życie w ogóle go nie interesuje.

Przeszedł obok mnie i stanął przy zlewie.

– To właściwie drobiazg, ale w piątek po kolacji zostawiłeś niepozmywane naczynia – stwierdził, stojąc do mnie plecami. – Byłoby super, gdybyś je umył.

Spojrzałem na zlewozmywak, w którym leżały dwa brudne talerze i poczułem, że ogarnia mnie irytacja.

– Jestem cholernie głodny – stwierdził Ludvig i podszedł do lodówki. Wyjął z niej karton z mlekiem i zanim zdążyłem zareagować, zaczął pić. Odwrócił się do mnie. Na jego górnej wardze uformował się biały wąsik.

– Nie chcę być upierdliwy, ale umowa była taka, że w zamian za to, że zaprosiłem cię na imprezę, miałeś pozmywać naczynia. Uważam, że należy dotrzymać ustaleń. Mam rację?

– To moje mleko – powiedziałem.

Ludvig przestał pić i spojrzał na karton.

– Nie – odparł. – To ja je niedawno kupiłem.

Od dawna mnie irytowało, że Victor i Ludvig podbierają mi jedzenie. Sięgali do lodówki i nawet się nad tym nie zastanawiali. Przed chwilą zwróciłem na to uwagę Ludvigowi, ale zaprzeczył, jakoby to robił. Może wierzył w to, co powiedział, albo po prostu uważał, że ma prawo do takiego zachowania. Może prawo własności taniego jedzenia nic dla niego nie znaczyło. Pieniądzy miał w nadmiarze, podczas gdy ja znałem cenę każdego produktu, który nabyłem.

Instynkt mi podpowiadał, żeby nie poruszać tego tematu, bo i tak nie traciłem zbyt wiele na tym ich procederze. Kiedy jednak patrzyłem na niepozmywane naczynia, przypomniało mi się, jak rozpakowywałem jedzenie z Grandu, serwowałem whisky, wyjmowałem czyste naczynia ze zmywarki i wstawiałem do niej brudne.

– Wziąłeś mleko z mojej półki – stwierdziłem.

– Co?

Ludvig spojrział na mnie takim wzrokiem, jakbym oszalał. Jego poczucie własności było tak silne, że chyba naprawdę nie rozumiał tego, co przed chwilą zrobił. Do tej pory było tak, że jeśli podejrzewałem, iż Victor i Ludvig podbierają mi jedzenie, uznawałem to za „nieporozumienie”, ponieważ nie byłem pewien, czy mam prawo zaprotestować. Może ser faktycznie nie był mój. Może już wcześniej zjadłem puszkę tuńczyka, którego zostawiłem sobie na lunch. Ich bezceremonialne zachowanie wzbudzało we mnie niepewność, ale tym razem miarka się przebrała i moja frustracja sięgnęła zenitu. Kiedy wypowiadałem kolejne zdania, prawie nie poznawałem swojego głosu.

– Lepiej kup nowy karton. Przykro mi, że ty i Victor zjadacie moje zapasy.

Ludvig rozłożył ręce i spojrział na mnie jak na wariata.

– Coś ty powiedział, mistrzu? Mówisz poważnie?

– Kupiłem to mleko w piątek. Kiedy ty kupiłeś swoje?

Ludvig zmrużył oczy, podszedł do mnie i pokręcił głową.

– Mleko kosztowało dziesięć koron i dziewięćdziesiąt pięć öre. Możesz mi przelać tę kwotę na konto, chyba że wolisz iść do sklepu i kupić nowy karton.

Byłem tak oburzony, że aż zaschło mi w ustach.

– Chcesz, żebym ci przelał dziesięć koron? – spytał Ludvig. Roześmiał się i rozejrzał po kuchni, jakby szukał publiczności, której będzie mógł zaprezentować, jak bardzo jestem nierozsądny i dziecinny.

W tej samej chwili poczułem wibrowanie telefonu, dostałem esemesa.

– Mam to zrobić, bo piję mleko, które sam kupiłem?

– Masz przestać podbierać z lodówki moje jedzenie – odparłem.

Z trudem przełknąłem ślinę. Czułem, że już opuszcza mnie siła, którą przed chwilą okazałem.

– Być może dla ciebie to bez znaczenia, ale ja mam już tego dość. Poza tym w odróżnieniu od ciebie i Victora nie śpię na pieniądzach.

Po raz pierwszy przyznałem na głos, że w poprzek mieszkania biegnie niewidzialna żelazna kurtyna, i natychmiast tego pożałowałem. Żaden z nas nie musiał odczuwać dyskomfortu z powodu tego, o czym wszyscy wiedzieli, choć nigdy o tym nie mówili.

– Nieważne – dodałem i odwróciłem się plecami do Ludviga.

Gdy byłem już w połowie drogi do mojego pokoju, na komórkę przyszło potwierdzenie, że Ludvig przelał na moje konto jedenaście koron. Poczterwieniłem. Zajrzałem do wiadomości, którą dostałem wcześniej. Brzmiała następująco: *Za pięć minut czekam przed Twoim domem. Zejdź na dół. Max.*

Max kucała przy latarni po drugiej stronie ulicy. Kiedy wyszedłem z budynku, zobaczyłem ją, zanim ona spostrzegła mnie. Stałem przez chwilę i po prostu na nią

patrzyłem. Była ubrana w czarne dzinsy, czarne matowe adidas i kurtkę pilotkę. Na chodniku leżał jej plecak. Czytała jakąś książkę w formacie kieszonkowym, którą rozłożyła tak, że było widać tylko jedną stronę. Kiedyś myślałem, że czytanie książki w taki sposób to coś fajnego, bo wyraża coś w rodzaju nonszalancji. Dopiero później się zorientowałem, że kiedy tak się je składa, kartki się odklejają i wypadają. Zawstydzony szybko wróciłem do poprzedniego, tradycyjnego sposobu czytania.

Max zauważyła mnie dopiero po dłuższej chwili. Jej twarz rozjaśnił uśmiech. Wstała z chodnika, uniosła rękę, żeby mnie pozdrowić, zmrużyła oczy i przeszła przez ulicę. Była ode mnie o głowę niższa, ale to ona mnie objęła. Miała szczupłe, ale silne ciało, i musiałem się pilnować, żeby za mocno i zbyt długo jej nie obejmować. Po niedawnym starciu z Ludvigiem jej obecność podziałała na mnie kojąco. Poczułem się tak, jakbym wrócił do domu.

Max uwolniła się z moich objęć, odsunęła mnie od siebie i uważnie zaczęła studiować moją twarz.

- Rana jeszcze cię boli? – spytała.
- Dopiero niedawno się obudziłem, ale chyba nie.
- Coś nie tak?
- Tylko mam kaca.

Spojrzałem na okładkę książki, którą Max trzymała w ręce, i na widok tytułu głośno się roześmiałem.

- Widzę, co czytasz...
 - Chciałam sprawdzić parę szczegółów na temat restauracji Sickler's i tego, o czym rozmawialiśmy w Grandzie. Treść tak mnie wciągnęła, że zaczęłam czytać dalej.
 - I jakie wnioski?
 - Za dużo w niej dialogów. Bez obrazu, ale Lane to pozer, a Franny potrzebuje seksu. Nie doszłam jeszcze do Zooeya, ale zapamiętałam go jako kogoś w rodzaju besserwissera.
 - Cała ich rodzina to geniusze albo besserwisserzy.
 - Wybacz, to chyba twoja ulubiona książka. Mnie też się podoba.
 - To nie jest moja ulubiona książka. Być może Franny potrzebuje seksu, ale najczęściej jest po prostu przygnębiona.
 - Już samo to może być źródłem depresji. Zabieram cię na spacer.
- Ruszyliśmy w kierunku Clemenstorget. Po drodze minęliśmy restaurację Vespa.
- Przepraszam, że wczoraj tak wcześnie wyszedłem.
- Max roześmiała się i wzięła mnie pod ramię.
- Miałeś za sobą długi dzień, *baby*. Uczyłeś się surfować i prawie utonąłeś.

Chciałem powiedzieć, że to był najlepszy dzień w moim życiu, ale doszedłem do wniosku, że o pewnych sprawach lepiej milczeć.

– Jak trafiłaś do domu Charlesa? Dinah ci to załatwiła?

– Od dawna znała Gustafa i Robina. Obaj mieszkali u Charlesa, zanim przyjechałam do Lundu. Poszłam do nich na sobotnią kolację, a dopiero potem się do nich wprowadziłam. Chodziło o to, żeby Charles mnie obejrzał i stwierdził, czy się nadaję. On chce być prawdziwym anarchistą, ale tak naprawdę kultywuje różne tradycje. Polubił cię, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Przestań, bo nie wyrobię.

Max roześmiała się i kontynuowała:

– Poza tym niewiele się zmieniło. Drink powitalny i rozmowy w szklarni, aż zrobi się zimno. Potem całe towarzystwo przenosi się do biblioteki. Wszyscy pomagają w przygotowaniu jedzenia i toczą dyskusje. Toast w stylu Rimbaud i dużo wina. Tak samo wyglądało to półtora roku temu, kiedy odwiedziłam ich pierwszy raz. Od tamtej pory jestem na każdej sobotniej kolacji.

– Ciebie też na nią zaprosili?

Poczułem, jak puls mi przyspiesza. Max skinęła głową i zrobiła filuterną minę.

– To dlatego tu jestem. Zapraszamy tych, którzy nas czymś zainteresowali. Gustaf zaprosił Dinah po tym, jak się poznali na jednym z wykładów Charlesa. Przychodzi na nie szczególnie typ studentów, jeśli mogę tak to ująć. Robin i Gustaf znają się od dzieciństwa.

– A Charles?

– Charles to Charles. Twierdzi, że willa należała przedtem do jego dziadka i że się w niej wychował. Jego rodzice zmarli, gdy Charles był chłopcem, potem opiekowała się nim jakaś niania. Być może to prawda, w każdym razie jest nią na pewno to, że prawie w całości wydał niewielki majątek, który odziedziczył, i teraz żyje głównie z zasiłków. Sam widziałeś, jak wygląda dom.

– Uważam, że jest ładny i romantyczny.

– To prawda, ale stopniowo popada w ruinę. Dach przecieka, schody grożą zawaleniem, z czterech toalet działają tylko dwie. Charles w ogóle się tym nie przejmuje, przynajmniej dopóki ma wino i może gotować, co mu się podoba.

Doszliśmy do rynku. Usłyszałem, że gdzieś za mną otwierają się drzwi tramwaju.

– Zastanawiamy się, czy nie przyjąć do domu jeszcze jednej osoby.

Zacząłem podejrzewać, że moja wczorajsza wizyta była czymś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej. Wolałem jednak nie komentować tego, co powiedziała Max, bo się bałem, że błędnie ją zrozumiałem. Nie chciałem wyjść na idiotę.

– Wolny pokój w willi jest naprawdę ładny. Wychodzi na ulicę i jest trochę mniejszy od mojego. Czynnosc wynosi trzy tysiące koron miesięcznie. Kolacje przygotowujemy zwykle wspólnie, chociaż odbywa się to według dość skomplikowanego porządku. Charles chce, żebyśmy go przestrzegali, ale nie zawsze się to udaje. Założyliśmy coś w rodzaju kółka czytelniczego, wybieramy książki opisujące sprawy, które Charles proponuje nam jako tematy do dyskusji. Do tego dużo wina. *That's it.*

– Brzmi wspaniale – skomentowałem.

– To dobry *deal*, ale Charles mawia: „Dajesz z siebie wszystko i wszystko w zamian dostajesz”.

Przypomniało mi się, że poprzedniego dnia Charles powiedział mi w kuchni coś podobnego, a mianowicie, że „Anarchizm domaga się od nas wszystkiego, ale w zamian wszystko nam daje”. Wokół naszych stóp unosiły się żółte i czerwone liście. Od strony dworca kolejowego dobiegało zgrzytanie kół jadącego po szynach pociągu.

– To jakaś faustowska mądrość?

– Tylko jeśli podpisujesz się pod głównym konfliktem w historii ludzkości opisanym w dziele o Fauście i szatanie – odparła z uśmiechem Max. – Uważam, że jeśli ktoś chce pozostać tym, kim jest, nie musi poświęcać swojej moralności. Przeciwnie. Człowiek jest moralny przez to, że jest tym, kim jest.

Nad nami szumiały drzewa, niebo było błękitne i bezchmurne.

– Nie jestem pewien, jakiej oczekujesz odpowiedzi.

– Przepraszam, za dużo gadam, więc będę się streszczać – odparła. Zwinęła dłoń w miseczkę, żeby zapalić papierosa, i patrząc na mnie swoimi zielonymi, błyszczącymi oczami, odparła: – Chcę ci zaproponować, żebyś się do nas wprowadził. Powiedz, że się zgadzasz.

Nigdy dotychczas nie czułem się tak lubiany i chciany jak w tej chwili. Było tak, jakby Max wskazała mi drzwi, za którymi mogłem zacząć nowe życie. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

– Zgadzam się. Niczego więcej mi nie potrzeba.

Max szczerze się uśmiechnęła i pocałowała mnie w policzek.

– Super! Bardzo się cieszę. Wszystko, czego potrzebujesz, znajdziesz na miejscu. Mam nadzieję, że nie masz za dużo rzeczy.

– Same książki i ubrania.

Nagle sobie uświadomiłem, że nie wiem, co powiedzieć Victorowi i Ludvigowi. Spisaliśmy umowę, która obowiązywała do końca pierwszego semestru, a mnie zależało, żeby dostać zwrot wpłaconego depozytu. Przypomniałem sobie jak przez mgłę, że obowiązywał mnie miesięczny termin wypowiedzenia. Pomyślałem, że może

obaj będą szukać okazji, aby się mnie pozbyć, to byłoby dla mnie korzystne. Doszedłem do wniosku, że sprawa sama się rozwiąże.

– W przyszłym tygodniu zdaję egzamin. Muszę się też rozmówić z dwoma kumplami, z którymi dzielę mieszkanie. Kiedy miałbym się do was wprowadzić?

– Jak najprędzej.

Roześmiałem się. Szybko poszło. A może powinienem się zastanowić? Uznałem jednak, że propozycja, którą złożyła mi Max, to spełnienie moich marzeń. Poza tym miałem już dosyć tego ciągłego wahania się i zastanawiania.

– Mogę wypowiedzieć umowę choćby dzisiaj – odparłem.

– Oczekaj tydzień albo dwa. Zanim się wprowadzisz, będziemy musieli coś ustalić. Ale to tylko formalność.

– Jaka formalność?

Max położyła palec na moich wargach, jakby chciała mnie uciszyć.

– Powiem ci o tym we właściwym czasie. Bądź cierpliwy.

– Czy z powodu tej formalności powinienem zacząć się niepokoić?

– Zawsze to rób. Dzięki temu będziesz w stałej gotowości.

Max się uśmiechnęła i znowu pocałowała mnie w policzek.

– Odezwę się przed końcem tygodnia, a ty skup się na egzaminie – powiedziała. Wskazała ręką w kierunku dworca i dodała: – Muszę już pędzić.

Spojrzała na telefon i chciała odejść, ale nagle się zatrzymała, zdjęła plecak i włożyła do niego rękę.

– O mało nie zapomniałam – mruknęła i podała mi egzemplarz *The Flamethrowers*.

Spojrzałem na nią pytającym wzrokiem, ale zanim cokolwiek zdążyłem powiedzieć, ruszyła w kierunku dworca kolejowego.

– Zajrzyj na stronę siedemdziesiątą czwartą! – zawołała przez ramię. – Jeśli chcesz się przygotować, przeczytaj, co tam jest napisane.

I znowu znalazłem się w swoim pokoiku. Siedziałem na łóżku, obok mnie leżał Whopper i torebka niesmacznych frytek. Do pierwszego egzaminu na uczelni zostały tylko cztery dni, a ja zmarnowałem cały weekend na surfing, imprezowanie i kaca. Kiedy chodziłem do liceum i miałem przystąpić do egzaminu, nigdy nie prowadziłem tak rozrywkowego życia.

Mimo to uznałem, że cztery dni mi wystarczą. Pod warunkiem, że nie będę ciągle myślał o Max, willi, do której miałem się przenieść, i o tym, żeby cały czas prowadzić takie życie jak w ostatnio. Rozpakowałem hamburgera i ugryzłem duży kęs, a kiedy go zjadłem, otarłem usta serwetką i wyjąłem torbę z podręcznikami. Przygotowanie się do egzaminów nigdy nie sprawiało mi kłopotu i nie rozumiałem ludzi, którzy twierdzili, że to coś trudnego. Wystarczyło utrzymać dyscyplinę i znaleźć w tym przyjemność. Może nie w samym procesie uczenia się, tylko w przyszłości, dla której ten egzamin wraz z setkami innych sprawdzianów miał stworzyć bezpieczny i solidny fundament.

Byłem pewien, że tym razem też będzie to proste. Uznałem, że wystarczy zakasać rękawy i dokładnie się rozeznac w całym materiale. Zacząć od napisania planu, żeby wiedzieć, kiedy i czego się uczyć, a potem podzielić wszystko na części, żeby całość mnie nie przytłoczyła. W końcu prawo to nie operacja na otwartym sercu.

Okazało się jednak, że tym razem wyglądało to inaczej. Nie miało znaczenia, jak bardzo się starałem, notatek z wykładów było tyle, że nie dawałem rady ich ogarnąć. Czytałem je po trzy, cztery, a nawet pięć razy, ale w głowie nadal miałem pustkę, a słowa w nich zawarte brzmiały obco. Przez cały czas miałem przed oczami piegi Max, uderzające o brzeg fale i piękną, choć zaniedbaną willę w Miasteczku Profesorskim. Spędziłem na tych rozmyślaniach pół godziny, po czym wyłączyłem komputer i zacząłem przeglądać spis rozdziałów w podręcznikach. Chciałem je dopasować do tytułów wykładów, na których byłem, żeby zaprowadzić w tym wszystkim jakiś porządek i się zorientować, co do czego jest przypisane.

Niestety, im bardziej się w to wszystko zagłębiałem, tym częściej zasady samorządności zlewały się z zadaniami parlamentu, tym trudniej było je od siebie odróżnić i tym bardziej prawa i obowiązki myliły mi się z zasadami państwa prawa. W końcu wstałem z łóżka i włożyłem książki do plecaka. Uznałem, że w tym stanie niewiele zdziałam i najlepiej będzie zrobić sobie przerwę.

Włączyłem laptopa i otworzyłem aplikację Safari. Wyszukałem na mapie dom Charlesa i przełączyłem się na *street view*. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie uczyniłem tego wcześniej. Zdjęcie wykonano latem i dom był prawie niewidoczny za bujnym żywopłotem.

Zastanawiałem się, kim tak naprawdę jest Charles. Na przykład jak ma na nazwisko. Uruchomiłem wyszukiwarkę Eniro, wpisałem adres domu i czekałem, aż strona się załaduje. Szybko się okazało, że właścicielem budynku jest spółka Libertad AB. Próbowałem znaleźć coś na jej temat w internetowym rejestrze spółek, ale bez rezultatu. W samym internecie też nic nie było. Wpisałem więc słowa Charles Libertad – wyświetliły mi się dane Hiszpanów o tym imieniu i nazwisku. Wprowadziłem więc ciąg słów „Charles+Lund+nauki polityczne+anarchia”, bo Max wspomniała, że Charles wykłada ten przedmiot na uczelni. Niestety, z podobnym rezultatem, co poprzednio.

Poirytowany oparłem się na krzesło i zacząłem się zastanawiać, dlaczego jest to takie trudne. Kim jest Charles, że nie ma żadnych informacji na jego temat? Pochyliłem się nad laptopem i wpisałem do wyszukiwarki słowa, które Max napisała na ścianie w czasie demonstracji w Malmö: MAMY SZNURY I SZTYLETY.

Jako pierwszy wyświetlił się wiersz syryjskiego poety al-Maghuta. Przeczytałem go dwa razy i doszedłem do wniosku, że to właśnie z niego Max zaczerpnęła wspomniane hasło. Wiersz epatował dzikością i buntem, jakby kontestowanie istniejących struktur i walka z niesprawiedliwościami były jedynym, naturalnym sposobem na życie. Zawarte w nim stwierdzenia sprawiły, że stało się to, o co Charles pytał mnie w czasie kolacji: serce zabiło mi mocniej i szybciej pompowało krew do żył. Czyżby Max i jej towarzysze właśnie za takie osoby się uważali? Za grupę outsiderów, którzy nie chcą się stosować do konwenansów? Rewolucjonistów, jak ci z wiersza? Grupę ludzi, którzy mieli sznury i sztylety, gotowi byli wspinać się po murach i balkonach, żeby sytym i bogatym zabierać to, czego sami potrzebowali?

Na łóżku leżała książka, którą dała mi Max. Otworzyłem ją na siedemdziesiątej czwartej stronie i znalazłem dwa zaznaczone ołówkiem fragmenty, które zajmowały niecałe pół strony. Położyłem się na łóżku i dwa razy przeczytałem cały tekst.

Ruch i tempo, które w nim znalazłem, sprawiły, że nie mogłem się od niego oderwać. Bohaterem tekstu był niejaki Lonzi, który opowiadał o grupie futurystów i anarchistów. Twierdził, że choć mają tylko wolę, niczego więcej im nie potrzeba, bo dzięki niej przeniosą się w przyszłość jak do pustej hali fabrycznej. Chcieli zniszczyć to, co istniało, dawne tradycje i konwenanse, wszystko to, co odziedziczyła ludzkość, całą niezasłużoną władzę. Jedynym, co miało wartość, było to, co się jeszcze nie wydarzyło.

Kiedy czytałem te słowa, zaszumiało mi w uszach. Pomyślałem o Ludvigu i Victorze, o studiach prawniczych, konwenansach i zasadach, o konieczności wykucia wszystkiego na pamięć, o egzaminach i ludziach, którzy tego wszystkiego strzegą. Całe moje dotychczasowe życie polegało na dopasowywaniu się, braku protestu, doświadczaniu satysfakcji z samego faktu, że staram się jak najlepiej i cieszę się z wyników. Byciu zadowolonym, że mogę dużo pracować, że nie muszę pytać o sens ani się zastanawiać, czy taka postawa czyni człowieka szczęśliwym.

Uznałem, że to za mało. Jak mogłem się tak długo oszukiwać, wierząc, że mi to wystarczy? Chciałem się przenieść w przyszłość jak do pustej hali fabrycznej, bez proszenia kogokolwiek o pozwolenie, bez stosowania się do czegoś, o czym decydowali inni. Właśnie tego chciałem, ale zawsze brakowało mi wiary we własne siły i odwagi, żeby wsiąść na motocykl, wyjechać z Söderköpingu i zostać artystą, jak zrobiła Reno, bohaterka *The Flamethrowers*, która wyruszyła do Nowego Jorku. Tymczasem ja tkwiłem w tym nie większym od garderoby pokoju jak sługa w domu należącym do synów przedsiębiorców reprezentujących wielki kapitał. Było to przygnębiające, ale coś mi podpowiadało, że sytuacja wkrótce się zmieni, choć jeszcze nie wiedziałem, jak i kiedy do tego dojdzie.

Na początku tygodnia zdołałem wyeliminować z moich myśli nie tylko Max, ale także napięcie związane z nią i jej znajomymi z Miasteczka Profesorskiego. Skupiłem się na nauce i wróciłem do starych, sprawdzonych metod. Moja obowiązkowość była dla mnie zarówno cnotą, jak kamieniem u szyi.

W środę około jedenastej zaczęło do mnie docierać, że do egzaminu zostało już naprawdę niewiele czasu. Zdjąłem plaster z wargi, bo rana prawie się zagoiła i została tylko blizna pokryta strupem. Prawa ręka nadal mnie bolała, ale nie na tyle, żebym musiał sięgać po cudowny, groźny dla życia sprej do nosa, który nadal nosiłem w kieszeni kurtki. Odrzuciłem tę kuszącą myśl. Byłem z siebie naprawdę dumny. Mimo różnych turbulencji i wątpliwości, które zasiała w moim umyśle Max, udało mi się wyprzeć z niego wszystko, co nie dotyczyło egzaminu i nauki. Poprawił mi się humor i ostro zakuwałem. Tym samym wykazałem się cnotą i obowiązkowością i na pewno zrobiłem to, co należało. Byłem gotów przyjąć ocenę z egzaminu z wysoko podniesionym czołem.

W czwartek o ósmej trzydzieści czekałem na Freddego przy grill-barze Sofigrillen obok północno-wschodniego narożnika Cmentarza Północnego. Postanowiliśmy pójść na egzamin razem. Fredde jak zwykle się spóźnił, tym razem o dziesięć minut. Nigdy za takie spóźnienia nie przeproszał i teraz też tego nie zrobił.

– Wiesz coś o kompetencjach ministrów? – spytał z zatroskaną miną swoim astmatycznym, na wpół zdyszonym głosem. – Ich zakres został opisany w rozdziale

dwunastym poświęconym systemowi sprawowania władzy. Założę się, że w tej czy innej formie ten temat pojawi się na egzaminie. Wiesz, co mam na myśli: rząd, urzędy państwowe, władzę samorządową, ich powiązania, podział obowiązków i tak dalej. Egzaminatorzy uwielbiają też nawiązywać do jakiegoś aktualnego tematu, bo dzięki temu czują się ważni i pokazują, że są na czasie. Wynika to wyraźnie z pytań, które pojawiały się na wcześniejszych egzaminach. Z pewnością będzie też o kwestiach zdrowotnych i zapobieganiu epidemiom.

Fredde zdjął plecak, położył go na jednym ze stolików i wyjął z niego swój zaczytany i poplamiony kawą egzemplarz *Władzy ustawodawczej*.

Wcześniejsze egzaminy... Czułem, jak ogarnia mnie strach. Katedra prawa opublikowała pytania egzaminacyjne z poprzednich semestrów, żeby każdy mógł je wykorzystać w trakcie przygotowań do zbliżających się sprawdzianów. Przejrzałem je pobieżnie w ubiegłym tygodniu, a później o nich zapomniałem.

– Powinienem był sprawdzić dokładniej – stwierdził Fredde. – Dowiedziałem się o nich całkiem niedawno.

– Ja też cię witam – odparłem. – Fajnie, że przyszedłeś.

Ale Fredde nawet mnie nie słuchał, zaczął gorączkowo przerzucać kartki. Powietrze było wilgotne i duszne. Nad kompleksem uniwersyteckim zalegały gęste chmury. Sposób, w jaki Fredde skupiony był na egzaminie, jak również jego ogólne nastawienie do niego, sprawiły, że poczułem się jak nieprzygotowane i zagubione dziecko, które nagle wróciło do liceum.

– Daj spokój! – rzuciłem poirytowanym głosem. – Egzamin zaczyna się za pół godziny, a ja nawet nie wiem, gdzie jest Victoriastadion. Nigdy tam nie byłem.

Fredde zamknął książkę i włożył ją do plecaka.

– Przy Svenskhögsvägen – odparł ze zdziwieniem w oczach. – Wszyscy to wiedzą. To tradycyjny obiekt, w którym organizowane są egzaminy dla kolejnych roczników.

– Tradycyjny obiekt? – powtórzyłem. – A skąd o tym wiesz? Przecież to twój pierwszy egzamin. Poza tym nie pochodzisz z Lundu, tylko z jakiejś miejsciny w głębi lasów. Co ty możesz wiedzieć o tradycyjnych obiektach?

Fredde nie skomentował moich słów, tylko podszedł do przejścia dla pieszych.

– Nie pochodzę z lasu, tylko z wybrzeża – sprostował. Odwrócił się i spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek. – Nie rozumiem, jak możesz być tak obojętny. Przyjechałeś do Lundu, żeby studiować prawo, prawda? Nie bierz mi za złe, że spytam, ale co ty tu właściwie robisz?

Poczułem, jak ogarnia mnie gniew. Co on sobie wyobraża? Spóźnia się o dziesięć minut, głądzi o kompetencjach ministrów, a teraz oskarża mnie o brak zaangażowania?

– Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem zaangażowany – odparłem. – Przez cały tydzień zasuwałem jak głupek.

Zapaliło się zielone światło. Kiedy wchodziłem na przejście, potrąciłem go lekko ramieniem.

– Prosiłem, żebyś nie brał mi za złe tego, o co cię spytałem – odparł Fredde. – A mówiąc poważnie: uważam, że za słabo się starasz.

Nie odpowiedziałem, tylko skręciłem w Getingevägen. Przejechał jeden autobus, po nim następny, a ja wiedziałem, że Fredde ma rację.

Po egzaminie wybraliśmy się do kawiarni Coffee Love przy Clemenstorget. To był jego pomysł. Fredde czekał na mnie przed salą, w której odbywał się egzamin. Wiedziałem, że wolałyby pójść do siedziby bractwa, bo tam było taniej. To, że wybrał kawiarnię, stanowiło rodzaj gestu.

– *Sorry*, że przed egzaminem zachowałem się wobec ciebie jak głupek – mruknął. – Byłem zdenerwowany i skrupiło się na tobie.

– Nie ma sprawy – odparłem. – W sumie miałeś rację.

Zerknąłem w stronę baru. Stała za nim ta sama dziewczyna, która zachęcała mnie do wyjazdu na demonstrację w Malmö. Tym razem swoje długie, jasne włosy miała zebrane w dwa koczki. Zachowywała się tak, jakby mnie nie znała, chociaż po moim powrocie z Malmö kilka razy ze sobą rozmawialiśmy.

– Wiedziałem, że na egzaminie pojawi się temat podziału kompetencji – powiedział Fredde.

Napił się kawy i spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby czekał, że go zachęcę do kontynuowania tematu. Od razu pożałowałem, że dałem się zaprosić. Urzędy, rząd, samorządy, gminy... Kręciło mi się w głowie od tych pojęć, ale ogólnie czułem się nieźle. Chciałem, a zarazem nie chciałem usłyszeć, jak mu poszło.

– Albo dyrektywa o gromadzeniu danych osobowych – kontynuował przygnębionym tonem Fredde. – Głosowania w Parlamencie Europejskim, rozporządzenie o Radzie Ministrów, Komisja do spraw Unii Europejskiej w parlamencie krajowym... Nie czułem się w tych tematach zbyt pewnie. A co wiesz o procedurze uzgadniania stanowisk?

Zaszumiało mi w uszach, nie byłem w stanie rozmawiać o tych sprawach.

– Wybierasz się na oblewanie egzaminu? – spytałem. – Jakkolwiek by patrzeć, w pełni na to zasłużyliśmy.

W tej samej chwili poczułem wibrowanie telefonu. Szybko włożyłem rękę do kieszeni.

– Jasne – odparł Fredde. – To nasza pierwsza taka impreza. Będę obowiązkowo. Ty też przyjdiesz?

Spojrzałem na wyświetlacz i poczułem skurcz żołądka. Wiadomość, którą dostałem, brzmiała: *Jutro o czternastej na dworcu głównym. Max.*

Max chce się ze mną jutro spotkać. Spojrzałem na Freddego, który patrzył na mnie badawczym wzrokiem.

– Co ci się stało w twarz? – spytał. – Wyglądasz, jakby ktoś cię pobił.

Nie odpowiedziałem, tylko wysłałem do Max esemesa o treści: *Potwierdzam. Będę.*

Spojrzałem na Freddego i poczułem, że chętnie bym z nim porozmawiał o Max, jej znajomych i domu Charlesa, który niedawno odwiedziłem. Chciałem mu opowiedzieć o jej zielonych oczach, tatuażach, prowokującym spojrzeniu, buntowniczej postawie i przerwie między zębami. Zależało mi na tym tak bardzo, że poczułem kłucie w piersi. Otworzyłem nawet usta, żeby zacząć o tym wszystkim mówić, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłem, ponieważ doszedłem do wniosku, że jeśli to zrobię, moja opowieść i związane z nią wspomnienia mogą ulecieć, a ja chciałem zachować je dla siebie.

– Nikt mnie nie pobił – odparłem. – Pożyczyłem rower od kumpla, z którym mieszkam, żeby pojechać do bractwa, i w trakcie jazdy się przewróciłem.

– Należysz do bractwa? – spytał Fredde, patrząc na mnie sceptycznym wzrokiem. – Oprócz roweru powinieneś być pożyczyć kask.

Skinąłem głową. Na myśl o wiadomości, którą dostałem od Max, serce zabiło mi jeszcze mocniej. Jeśli faktycznie czegoś potrzebowałem, to na pewno kasku.

Na dworzec dotarłem dziesięć minut przed czasem. Na dworze siąpił deszcz. Max czekała na mnie przed kioskiem. Na jej widok serce mocniej mi zabiło. Ucieszyłem się, że po wczorajszym czułem się wypoczęty i nie miałem kaca. Na imprezie dominowały dwa uczucia: niepokój co do przyszłych ocen i ulga, że mamy to już za sobą. Sytuacja dość szybko wymknęła się spod kontroli, ale ja zachowywałem spokój.

– Dziś wieczorem świętujemy drugi termin! – krzyknął mi wczoraj do ucha Fredde, kiedy czekaliśmy w kolejce na wejście do siedziby Bractwa Lundu.

Wcześniej poszliśmy do jego pokoju w zapuszczonym akademiku, żeby się napić ginu. Fredde wypił więcej ode mnie. Kiedy staliśmy w kolejce, wyjął dwa piwa z ponad siedmioprocentową zawartością alkoholu i jedno dał mnie. Określenie „drugi termin” stało się na naszym kierunku modnym wyrażeniem. W dniach poprzedzających nasz pierwszy egzamin posługiwaliśmy się nim dość często. „Drugi termin” oznaczał oddanie czystej kartki w sytuacji, gdy ktoś uznał, że nie jest odpowiednio przygotowany i nie otrzyma najwyższej oceny, na której mu tak bardzo zależało. Inną ocenę uważano bowiem za katastrofę. Jeśli ktoś nie był pewien, czy za pracę egzaminacyjną na pewno dostanie AB, oddawał pustą kartkę, ponieważ dzięki temu mógł podejść do egzaminu w drugim terminie, podczas gdy poprawienie na wyższy stopień już napisanej pracy było niemożliwe. Po południu, już po egzaminie, wielu studentów, którzy zdecydowali się na drugi termin, było zalanych w trupa.

Stojąc w kolejce do wejścia, wypłem połowę piwa, które dał mi Fredde. Po godzinie, kiedy zobaczyłem, jak Fredde i kilku innych studentów z naszego roku stoją pochyleni nad tacą z drinkami, wymknąłem się z imprezy.

Max czekała na mnie przed dworcem. Na powitanie pocałowała mnie w policzek. Usta miała chłodne i suche.

– Wyglądasz na wypoczętego i wyspanego – stwierdziła. – To dobrze, bo czeka nas długi dzień.

– To znaczy?

– Mam nadzieję, że nie zaplanowałaś nic na dzisiejszy wieczór?

– Nie. A co będziemy robić?

– Zobaczysz – odparła, wskazując ruchome schody prowadzące na perony. – Wszystko po kolei.

– Lubisz to miejsce, prawda? – spytałem. – To trochę dziwne.

Siedzieliśmy na tym samym tarasie na dachu centrum handlowego Illum, co przed kilkoma tygodniami. Max zamówiła nam po kieliszku białego wina. Wokół nas poruszały się te same co przedtem mieszkanki Kopenhagi i turyści z Azji z ciastkami, kubkami z napojem albo lodami w ręku. W centrum miasta padał deszcz. Pobyt w tym miejscu połączony z piciem alkoholu o tej porze dnia także tym razem wydał mi się nierzeczywisty.

– Tak, lubię je, bo dzięki niemu ciągle się czuję jak partyzant – odparła Max. – Tak samo jest z Grandem. Jestem jak „Ghost in the machine”. Ludzi takich jak ja nie powinno być stać na picie szampana w takich miejscach.

– A jednak to robisz.

Max wzruszyła ramionami, wypiła trochę wina i spytała:

– Jak ci się podobał tekst na siedemdziesiątej czwartej stronie? Czytałeś go?

– Tak, ale moim zdaniem cała książka jest dobra, a przynajmniej ta jej część, którą wtedy przeczytałem. W zeszłym tygodniu miałem sporo nauki.

– Tylko dobra?

Przez chwilę się zastanawiałem, jak wyrazić tę myśl bardziej precyzyjnie.

– Czułem się tak, jakby opowiadała o mnie – odparłem. – Jakby Reno mogła być mną, gdybym tylko był odważniejszy.

Być może zabrzmiało to zbyt szczerze, a nie na wpół ironicznie, chociaż chciałem, żeby miało właśnie taki wydźwięk.

– Może ta książka naprawdę jest o mnie? – spytałem.

– Być może.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wypiłem trochę wina i powiedziałem:

– Marzyłem o robieniu tego, co ona robiła w książce. Marzyłem o tym także ostatniego lata. Chciałem zostawić wszystko za sobą, uciec do dużego miasta, żyć swobodnie i... jak by to powiedzieć... pełnią życia.

– Zamiast tego wyjechałeś do Lundu, żeby studiować prawo?

Zaśmiałem się i pokręciłem głową.

– Wiem, że to coś innego niż wtedy, kiedy ktoś wsiada na motocykl i jedzie przez pustynię.

– No to jaki był powód twojej decyzji? Mówiłeś, że chciałbyś robić coś, co ma sens, i dlatego studiujesz prawo, a teraz twierdzisz coś innego?

– Może chciałbym zrobić coś więcej niż tylko jedną rzecz?

– To czemu tego nie zrobiłeś? Czemu się nie wyprowadziłeś, żeby sprawdzić, jak to jest? Gdyby ci się nie udało, nic byś nie stracił, bo Lund zawsze tu będzie.

Wypiłem trochę wina i westchnąłem.

– Zabrakło mi odwagi, bo przestałem sobie wyobrazać, że jestem utalentowanym pisarzem, który potrzebuje konkretnego tematu albo doznań, dzięki którym wszystko znajdzie się na swoim miejscu. Poza tym miałem zbyt realistyczne nastawienie do życia.

– Pieprzyć taki realizm.

Zaśmiałem się, ale wiedziałem, że Max mówi poważnie.

– Nie żartuję – stwierdziła. – Realizm to coś dla pozbawionych talentu idiotów. Leniwych, pieprzonych baranów, którzy nie mają odwagi sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli nie będą chcieli się odnieść do tego, co ich czeka.

Serce zabiło mi mocniej. Max posiadała umiejętność wyrażania tego, co czułem, we właściwy sposób. W jej ustach brzmiało to jak coś oczywistego i możliwego do wykonania, przed czym nie dało się obronić. Ale ja nie zamierzałem się przed tym bronić, wolałem to przyjąć. Stać się częścią tego, o czym mówiła.

– Fragment, który zaznaczyłaś w książce, pomógł mi zrozumieć coś, o czym wcześniej myślałem w inny sposób.

– Mianowicie?

– Że przeszłość, dorastanie, wychowanie i tak dalej są dla nas jak więzienie, kulisy, które trzymają nas – a przynajmniej mnie – w niewoli. Sprawiają, że tylko płynę w głównym nurcie. Myślałem, że wyjeżdżając z rodzinnego miasta, wykonałem krok do przodu...

Zrobiłem pauzę i wypiłem trochę wina.

– Ale szybko się okazało, że to nie ono stanowiło problem, prawda? – dokończyła za mnie Max.

– Na pewno nie było jedynym powodem. Od kiedy przyjechałem do Lundu, świat jakby zmałał. Odnoszę wrażenie, że moje możliwości się kurczą, zamiast rosnać.

Zamilkłem i spojrzałem przez okno.

– Nawet nie wiem, co mam na myśli. Może po prostu jestem zagubiony? W każdym razie lubię przebywać w waszym towarzystwie... To znaczy twoim i twoich znajomych.

Max uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

– Ci dwaj, z którymi teraz mieszkasz, zawsze będą o krok przed tobą. Właśnie tak funkcjonuje ten system.

Westchnąłem, bo Max miała rację. Wszystko było w porządku tylko pozornie.

– Nie chodzi jedynie o to, tylko o całość: o cholerne studia i moich kumpli z roku. Myślałem, że prawo to coś innego, że polega na czymś więcej niż tylko na uczeniu się tego, co ludzie robili od zawsze i na trzymaniu gęby na kłódkę.

– Prawo polega na trzymaniu gęby na kłódkę i robieniu tego, co zawsze robiono – powtórzyła moje słowa Max. – Może należałoby umieścić to hasło na torbach i rozdać je wszystkim studentom przed kolejnym semestrem.

Zaśmiałem się i pokręciłem głową.

– Nie wiem, czy mam ochotę zostać dłużej na placu gry, a zwłaszcza być kimś, kto zna wszystkie reguły i pilnuje, żeby inni też ich przestrzegali. To, co przeczytałem w książce, sprawiło, że mam ochotę wyrzucić stolik. Dzięki tym kilku liniom tekstu krew szybciej płynie w moich żyłach. Może właśnie o to pytał mnie Charles, a ja nie potrafiłem mu odpowiedzieć? W głębi duszy wiedziałem o tym od zawsze, ale albo nigdy tego nie rozumiałem, albo nie miałem odwagi się do tego przyznać.

– Podtrzymywanie tego, co było, już ci nie wystarcza – skomentowała moje słowa Max. – Chcesz czegoś więcej.

– Przede wszystkim chciałbym myśleć w nowych kategoriach o sprawach, nad którymi się jeszcze nie zastanawiałem.

Chciałem dodać: „Na przykład nad książką, którą mi pożyczyłaś, lub nad tym, co każesz mi robić”, ale uznałem, że zabrzmiałoby to albo zbyt uczciwie, albo niewystarczająco uczciwie.

– Czy jesteś przygotowany na to, że za zmianę stylu życia będziesz musiał zapłacić pewną cenę? – spytała Max. – Jak wiesz, myślenie innymi kategoriami wiąże się z ryzykiem.

– Nie umiem ci na to odpowiedzieć, bo nie rozumiem, o czym mówisz.

Max pochyliła się nad stolikiem w moją stronę i spytała:

– Ufasz mi? Pytam, bo znasz mnie krótko, a byłoby to bardzo pożądane.

Popatrzyłem na nią i odparłem:

– Tak, zaufanie to rzecz pożądana.

Z nieznaney mi przyczyny ufałem jej.

Zjeżdżając ruchomymi schodami na parter, obserwowałem Max. Miała skupioną twarz i prowadziła rozmowę przez telefon. Kiedy dotarliśmy na dół, poprowadziła mnie w milczeniu obok butików z perfumami, torebkami i szalami wprost do sklepu z zegarkami.

– Znowu tutaj? – spytałem.

– Kocham zegarki i nic na to nie poradzę.

Przypomniałem sobie, jak William zachował się wobec mnie na imprezie.

– A ja od pewnego czasu ich nienawidzę – stwierdziłem, podchodząc do tego samego stoiska co ostatnio. – Mam déj à vu.

Max nie odezwała się, tylko tak jak poprzednim razem zaczęła przesuwac wzrokiem po ścianach i suficie. W końcu podszedł do nas sprzedawca, inny niż ten, który nas

obsługiwał za pierwszym razem.

– Witam, czym mogę służyć? – spytał.

– Chciałabym obejrzeć zegarki marki Nomos – odparła Max.

Twarz mężczyzny od razu się rozjaśniła.

– Bardzo dobry wybór – stwierdził i przeszedł na skandynawską, łatwiejszą do zrozumienia wersję duńskiego. Pochylił się, otworzył jedną z gablot i wysunął z niej wyłożoną ciemnoniebieskim aksamitem szufladę, w której leżało pięć zegarków.

– Szuka pani konkretnego modelu? – spytał.

– Ahoi, ale chętnie obejrzę też inne.

– Bardzo dobry wybór – powtórzył mężczyzna.

Domyśliłem się, że w tym sklepie wszystko, co kupują klienci, zawsze jest „dobrym wyborem”. Tym razem głos Max brzmiał inaczej, jakby była bardziej skoncentrowana. Poza tym nie zachowywała się i nie wyglądała już tak swobodnie i żartobliwie jak kwadrans temu. Sprawiała wrażenie spiętej, a może nawet podenerwowanej. Mężczyzna podał jej wybrany przez nią zegarek z ciemnogranatowym, prawie czarnym cyferblatem i dopasowanym do niego nylonowym paskiem. Max zaczęła oglądać okrągłe cyfry, różowo-złote wskazówki i czerwony sekundnik. Zegarek miał w sobie coś ekskluzywnego i mistycznego, a mimo to był czysty i wyraźny.

– Piękny, prawda? – spytała mnie.

Bez wątplenia, pomyślałem. Zegarek był nie tylko piękny, ale także surowy, neutralny i prawie doskonały.

– Pasuje do ciebie – stwierdziła, patrząc na mnie.

Wziąłem go do ręki i dokładnie obejrzałem, ale na widok ceny na naklejce zaśmiałem się w duchu.

Dwadzieścia siedem tysięcy duńskich koron! Ile to szwedzkich koron? Trzydzieści pięć tysięcy? Zapraszasz na szampana i oglądasz takie zegarki? Kim ty jesteś, dziewczyno?

Chciałem to powiedzieć na głos, ale zamiast tego odłożyłem zegarek na blat. Bałem się, że mógłbym go zadrapać albo uszkodzić. Max wzięła go do ręki i zaczęła wypytywać sprzedawcę o różne szczegóły. Z trudem powstrzymywałem się od śmiechu, widząc, że rozmawia z nim w tak naturalny sposób. W końcu odłożyła zegarek na blat.

– Jestem prawie zdecydowana, ale czy dla porównania mogłabym obejrzeć jeszcze któryś z zegarków marki A. Lange?

– A. Lange & Söhne? – upewnił się sprzedawca, marszcząc czoło. – Cena będzie znacznie wyższa, ale o tym pani wie?

– Oczywiście. Jeśli jednak ktoś zamierza kupić zegarek z Glashütte, chciałby też dotknąć *the gold standard*, prawda?

Sprzedawca był pod wrażeniem wiedzy Max o ekskluzywnych zegarkach.

– Oczywiście – odparł. – Proszę chwilę poczekać.

Odwrócił się do nas plecami, podszedł do innej gabloty i wysunął ciężką szufladę z ciemnego drewna.

– Co ty wyprawiasz? – szepnąłem. – Stałaś się specjalistką od zegarków?

Max rozejrzała się po sklepie i odparła z nerwowym uśmiechem:

– Tylko oglądam. Są piękne, prawda?

W tym samym momencie wrócił sprzedawca i położył przed nami na blacie duże drewniane pudełko.

– Najnowszy model – wyjaśnił. – Ze wszystkich modeli to on najbardziej przypomina zegarki marki Nomos. Albo odwrotnie.

Po tym wstępnie otworzył wieczko pudełka. Znajdował się w nim zwykły z pozoru zegarek z ciemnoniebieskim paskiem i cyferblatem, na którym zamiast cyfr widniały kreski. Koperta była zrobiona chyba z nierdzewnej stali.

– W mechanizmie umieszczono dwadzieścia jeden kamieni szlachetnych, koperta jest wykonana z osiemnastokaratowego złota – poinformował sprzedawca, wyjmując zegarek. – Pasek zrobiono z barwionej na niebiesko skóry krokodyla. Piękny wyrób w swojej klasie. Prawdziwy cud techniki.

Max wzięła zegarek do ręki, żeby go obejrzeć.

– A cena? – spytała.

– Sto pięćdziesiąt tysięcy. To równowartość prawie dwustu tysięcy szwedzkich koron.

O mało mnie nie zatkało. Max trzymała w dłoni dwieście tysięcy koron.

– Jest naprawdę piękny – stwierdziła. – Czy mógłby pan zejść z ceny?

Mężczyzna rozłożył ręce.

– To niemożliwe. Może zacznie pani od nomosa? Taki miała pani pierwotny zamiar, prawda? Ośmielę się powiedzieć, że zegarek to coś, do czego człowiek dorasta.

Max spokojnie skinęła głową, odwróciła się do mnie, założyła zegarek na rękę, wyciągnęła ją w moją stronę i spytała:

– Jak myślisz, pasuje?

W jej oczach dostrzegłem powagę, której nie umiałem sobie wytłumaczyć. Od razu mi się przypomniała certina, która leżała w moim pokoju w Lundzie. Nosilem ją tak rzadko, że jej tani, skórzany pasek nadal był sztywny. Ile kosztowała? Pewnie ze trzy tysiące koron. Tam, skąd pochodziłem, taka kwota przyprawiała o zawrót głowy. Wzruszyłem ramionami.

– Myślę, że tak. Skąd weźmiesz dwieście tysięcy?

Max nie odpowiedziała, tylko odwróciła się do sprzedawcy i spytała go z kamienną twarzą:

– Jeden z modeli nazywa się Richard Lange. Ma go pan w ofercie?

– Tak, ale to model z jeszcze wyższej półki cenowej.

– Oczywiście. Spytałam z ciekawości.

Max rozpięła pasek i ostrożnie odłożyła zegarek do pudełka, z którego przed chwilą wyjął go sprzedawca. Mężczyzna, który zdawał się odgrywać rolę mistrza, pochylił się nad swoją „uczennicą” i powiedział:

– Tylko ktoś, kto naprawdę zna się na zegarkach, ma odwagę oglądać także te, które zostały wyprodukowane poza Szwajcarią. Rozmowa z klientką, która wie, co w naszym sklepie jest najlepsze, sprawia mi prawdziwą radość. Niestety, tego modelu nie mamy, ale możemy go zamówić.

– *Excuse me!*

Spojrzałem w kierunku, z którego dobiegły te słowa, a sprzedawca odwrócił się do nas plecami. W drugim końcu sklepu stała kobieta z upiętymi włosami. Ubrana była w prosty, ciemny płaszcz, połowę twarzy zakrywały jej ciemne okulary. Była bardzo ładna, a jej karnacja świadczyła o tym, że pochodzi z Bliskiego Wschodu albo z północnej Afryki.

– Długo będę jeszcze czekać? – spytała podniesionym głosem po angielsku. – Czy mógłby mnie pan w końcu obsłużyć?

– Chwileczkę, *madame* – odparł sprzedawca.

– Pański kolega umówił się ze mną na tę godzinę, a tymczasem muszę tu stać i czekać – kontynuowała kobieta. – To nie do zaakceptowania.

– Wybaczą mi państwo na chwilę – powiedział do nas sprzedawca i ruszył w kierunku kobiety.

I nagle ją poznałem. Wprawdzie makijaż i uczesanie były całkiem inne niż ostatnim razem, kiedy ją widziałem. Chociaż wiedziałem, kim jest, nie mogłem uwierzyć, że to ona. Zamykałem i otwierałem oczy, aż w końcu spytałem Max:

– O co tu chodzi?

Moje pytanie zawisło w próżni, bo Max już przy mnie nie było. Rozejrzałem się, ale nigdzie jej nie zauważyłem, jakby nagle zapadła się pod ziemię. Sprzedawca zwrócił się do awanturującej się kobiety:

– Zobaczą, co da się zrobić, ale obsługuję teraz inną klientkę, więc uprzejmie panią proszę...

– To nie do zaakceptowania! – zawołała kobieta, a ja upewniłem się w swoich przypuszczeniach.

To była Dinah, starsza siostra Max.

Gablota zabręczczała, gdy Dinah uderzyła w nią pięścią. Na blacie przede mną nadal leżały zegarki, które przed chwilą pokazywał nam sprzedawca. Spojrzałem na nie i zobaczyłem na nich zapisaną odręcznie czarnymi literami kartkę o treści:

TO JEST TWÓJ TEST. ZABIERZ ZEGARKI I WYJDŹ.
TU NIE MA KAMER. NASUŃ KAPTUR.

Jeszcze raz przeczytałem kartkę i wpadłem w panikę. Mój test. W uszach nadal mi dźwięczał ostry, irytujący ton głosu Dinah. Mijały sekundy. Przede mną leżały zegarki o wartości kilkaset tysięcy koron. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy w sklepie są kamery. Na szali leżała moja prawnicza kariera i zwykłe życie. Czyżby wszystko miało się teraz zmienić?

– Szanowna pani, proszę się uspokoić.

Nie przebywałem już w swoim ciele, nie słyszałem żadnych dźwięków, nie dotykałem stopami podłogi. Czułem się tak, jakbym nie był sobą. Widziałem tylko leżące na blacie zegarki. To nie ja wyciągnąłem rękę, to nie ja zmiąłem kartkę, którą Max zostawiła na ladzie, i nie ja wsunąłem ją do kieszeni kurtki.

Nagle wróciłem do swojego ciała. Znowu słyszałem głos Dinah, apele sprzedawcy o spokój i gwar turystów robiących sobotnie zakupy. Naciągnąłem kaptur na głowę w taki sposób, żeby nim zakryć dużą część twarzy. Wszystko działo się prawie samo z siebie, jakbym tego nie kontrolował.

Przestałem się wahać. Wziąłem najdroższy zegarek, ukryłem go w dłoni i wsunąłem do kieszeni. Sprzedawca odwrócił się do mnie i powiedział podenerwowanym głosem:

– Proszę poczekać. Za chwilę do pana wrócę.

Innego sprzedawcy w sklepie nie było, a Dinah zachowywała się tak głośno, że ten nie miał innego wyjścia, jak zostawić mnie samego z zegarkami. Wiedziałem jednak, że taka sytuacja potrwa zaledwie kilka sekund, bo za moment sprzedawca sobie przypomni, że zostałem sam z towarem wartym kilkaset tysięcy koron. Zebrało mi się na wymioty, czułem silne pulsowanie w głowie. Nadal mogłem wszystko odwrócić, wystarczyło wsunąć rękę do kieszeni i odłożyć zegarek na blat. Nic by się nie stało, a ja naprawiłbym to, co przed chwilą uczyniłem pod wpływem impulsu.

Dinah rozmawiała podniesionym głosem ze sprzedawcą. Mężczyzna nagle zaczął się cofać. W tym momencie dzieliło nas jakieś sześć metrów. Spojrzał na mnie przez ramię, a ja ujrzałem, jak w naszą stronę zmierza zatrudniony w centrum handlowym umundurowany ochroniarz. Nikt nie patrzył w moim kierunku, wszyscy byli skupieni na tym, co się dzieje w drugiej części sklepu. Tymczasem ja wciąż nie mogłem się

zdecydować. Wsunąłem rękę do kieszeni i prawie od razu ją wyjąłem. Bez zegarka. Podjąłem decyzję.

Szybkim kontrolowanym ruchem zgarnąłem z blatu trzy pozostałe zegarki. Łatwo mi poszło. Równie łatwo włożyłem je do kieszeni kurtki. Nawet nie czułem ich ciężaru. Wyłożony aksamitem blat był pusty.

Cofnąłem się o krok, jeszcze bardziej naciągnąłem kaptur na twarz i schyliłem głowę. Sprzedawca nadal był odwrócony do mnie plecami. Ruszyłem do wyjścia. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, jak Dinah odchodzi od gabloty i zdecydowanym krokiem opuszcza sklep. Sprzedawca wdał się w rozmowę z ochroniarzem. Wiedziałem, że za kilka sekund obaj się zorientują, co tak naprawdę się stało.

Szedłem tak szybko, jak tylko się dało. Skręciłem za róg i wmieszałem się w tłum klientów centrum handlowego. Nadal zbierało mi się na wymioty, i to jeszcze bardziej niż przed chwilą. Kilka razy przełknąłem ślinę. W głowie mi huczało, wiele otaczających mnie szczegółów umknęło mojej uwadze, widziałem tylko pasmo świateł i gamę kolorów, które płynęły ku mnie jak przez tunel. Wydawało mi się, że słyszę za sobą krzyki i tupot stóp. Domyśliłem się, że sprzedawca wszczął alarm i że zaraz nastąpi koniec.

Koniec wszystkiego.

Ukradłem zegarki warte kilkaset tysięcy koron. Miałem je w kieszeni kurtki. Zamknąłem oczy, czekając, aż ktoś zacznie za mną wołać. Spodziewałem się, że zanim zdążę wyjść na ulicę, ktoś położy mi rękę na ramieniu i spyta rozniewanym głosem, co to wszystko znaczy, po czym rzuci mnie na podłogę, skuje i przeszuka. Czekałem, aż ktoś mi uświadomi straszną prawdę, że bez uzasadnionego, logicznego powodu stałem się złodziejem.

Czekałem, ale nic takiego się nie stało.

Nagle stałem na ulicy w strugach deszczu.

Dopiero wtedy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń.

Ktoś chwycił mnie mocno i zdecydowanie za łokieć. Przed oczami przebiegło całe moje życie. Do tej pory żyłem w zawieszeniu, skupiony tylko na tym, żeby wyjść ze swojego dawnego środowiska i zacząć piąć się w górę. Teraz całkowicie to odrzuciłem. Stało się tak pod wpływem impulsu, który całkowicie mnie zaślepił. Bałem się, że zaraz zwymiotuję. Schyliłem głowę, odwróciłem się i ujrzałem brodatą twarz z wytatuowaną szyją.

– Chodź – powiedział Gustaf ciągnąc mnie za rękę. – Musimy stąd spadać.

Zaprowadził mnie na jakiś plac, skąd wąskimi uliczkami przeszliśmy na trochę szerszą ulicę. Wyjął czapkę i podał mi ją.

– Zdejmij kaptur i załóż ją. Musisz zmienić wygląd.

Zrobiłem, jak kazał.

– Masz te zegarki? Zabrałeś je?

Skinąłem głową, bo w ustach tak mi zaschło, że nie mogłem mówić.

Gustaf wyjął telefon i do kogoś zadzwonił.

– Mamy je – powiedział. – Za pół minuty w umówionym miejscu.

Schował telefon do kieszeni i podał mi reklamówkę.

– Włóż je tutaj.

Wsunąłem dłonie do kieszeni, chwyciłem dwa zegarki i przełożyłem je do reklamówki. Potem to samo zrobiłem z pozostałymi. Ręce mi drżały, nie wiedziałem, gdzie jestem. Gustaf zawiązał reklamówkę i poklepał mnie po ramieniu.

– Dobrze się spisałeś – pochwalił i uniósł reklamówkę, jakby chciał pokazać, o czym mówi. Przyspieszył kroku i kontynuował: – Od tego momentu już tych zegarków nie masz. Jeśli ktoś cię zatrzyma, wszystkiemu zaprzeczaj. Powiedz, że poszedłeś z koleżanką na zakupy do Illum. Wypiliście drinka i poszliście oglądać ubrania. Do sklepu z zegarkami nie wchodziłeś. Tam nie ma kamer, a Max zaprowadziła cię do niego okrężną drogą, więc policja nie będzie mogła was wyłapać na nagraniach z innych kamer. Przed wyjściem zakryłeś twarz kapturem. Policja dysponuje jedynie rysopisem podanym przez sprzedawcę, który obsługiwał Max. Nie ma szans, żeby cię powiązali z tym skokiem. Poza tym jesteśmy już daleko. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Skinąłem głową. Weszliśmy na jakąś szerszą ulicę. Gustaf wyjął telefon.

– Jesteśmy na skrzyżowaniu – rzucił, po czym od razu się rozłączył, spojrzawszy na mnie i spytał: – Rozumiesz, co powiedziałem?

Jeszcze raz skinąłem głową. W tym samym momencie zatrzymał się przy nas mikrobus i ktoś opuścił boczną szybę. Gustaf najpierw rozejrzał się, a potem szybko wsunął reklamówkę do środka. Za kierownicą siedział Robin, który na chwilę wychylił się z wozu i mrugnął do mnie. Kiedy samochód odjechał, uświadomiłem sobie, że tym samym mikrobusem pojechaliśmy z Max na surfing.

– Zaplanowaliście to w każdym szczególe – powiedziałem.

– Staramy się, jak możemy – odparł z uśmiechem Gustaf.

Szliśmy przez miasto, na dworze zaczęło się ściemniać. Minęliśmy dworzec główny i weszliśmy do dzielnicy Vesterbro. Czułem pustkę, co chwilę się za siebie oglądałam.

– Przestań – upomniał mnie w końcu Gustaf. – Jesteś na sto procent bezpieczny.

Szliśmy w milczeniu, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Z trudem oddychałem, czułem się tak, jakbym cierpiał na astmę albo jakby zmniejszyła się objętość moich

płuc. Bałem się, że samym myśleniem o tym, co zrobiłem, zwiększam ryzyko, iż ktoś mnie rozpozna i zatrzyma.

Dopiero gdy ujrzałem odbijający się od mokrego chodnika blask neonów reklamujących bary i sex shopy przy Istegade, uświadomiłem sobie, co tak naprawdę zrobiłem. Zatrzymałem się i oparłem o brudną ceglana ścianę. Gustaf spojrział na mnie zniecierpliwionym wzrokiem i rzucił:

– Pospiesz się! Co ty wyprawiasz?

Popatrzyłem na niego. Ze swoimi tatuażami i niesfornymi włosami wyglądał całkiem normalnie. Nie jak ktoś, kto nakłonił mnie do kradzieży wartych dwieście tysięcy koron zegarków.

– Po co to zrobiliście? – spytałem. – Czemu mnie oszukaliście?

Czułem, że szok ustępuje, a jego miejsce zajmuje gniew. Podszedłem do Gustafa i zanim się zorientowałem, pchnąłem go w pierś.

– Co to wszystko znaczy?! – spytałem podniesionym głosem.

W końcu sobie ulżyłem. Od razu poczułem się lepiej.

– Wpuściliście mnie w kanał! Zachowaliście się wobec mnie paskudnie!

Mówiłem zbyt głośno, ale nie mogłem się opanować. Napad na sklep z zegarkami to nie było co. Całe moje życie uległo w tej jednej chwili nieodwracalnej zmianie. Było to wprost niepojęte!

Jedną rękę trzymałem na klatce piersiowej Gustafa, a drugą uniosłem tak, jakbym zamierzał go uderzyć. I nagle jakby piorun we mnie strzelił. Naprawdę chciałem go uderzyć? Pewnie bym to zrobił, ale Gustaf nagle mocno mnie objął. Nie chciałem tego, ale przyniosło mi to ulgę. Opuściłem rękę i znieruchomiałem.

– Zachowaliście się wobec mnie paskudnie – powtórzyłem. – Zostawiliście mnie samego.

– Twój problem polega na tym, że nie jesteś sobą – odparł Gustaf i jeszcze mocniej mnie do siebie przycisnął.

Nie wiem, jak długo tak staliśmy. Ręce zwisały mi bezwładnie po bokach, opuściła mnie cała energia. Gustaf ciągle mnie trzymał.

– Od kiedy planowaliście ten skok? – spytałem.

– Od kiedy uznaliśmy, że jesteś jednym z nas, to znaczy od sobotniej kolacji w naszym domu – odparł. Powoli zluzował uścisk i mnie wypuścił, a potem położył mi rękę na ramieniu. Skręciliśmy w boczną ulicę i weszliśmy do pięknego, starego domu, którego ściany były pobazgrane graffiti.

– Rozumiem twój gniew, ale musieliśmy się upewnić, czy twoje intencje są szczerze. Uczyniliśmy to przez wzgląd na ciebie. Chcieliśmy sprawdzić, czy potrafisz nie być taki sztywny. Okazało się, że tak. Zdałeś egzamin.

– Przez wzgląd na mnie? – powtórzyłem. – Sugerujesz, że ukradłem dla was warte dwieście tysięcy zegarki przez wzgląd na siebie?

– Nie dla was, tylko dla nas. Od tej pory tkwisz w tym razem z nami.

Solidnymi, ciemnymi schodami weszliśmy na drugie piętro. Gustaf wyjął klucz i otworzył drzwi mieszkania. Weszliśmy do kawalerki z aneksem kuchennym i wychodzącym na ulicę oknem. Całe wyposażenie stanowiła kanapa, stolik z IKEA i alkowa, w której za zasłoną w kraciasty wzór stało łóżko.

– Znaleźliśmy to mieszkanie przez Airbnb. To serwis internetowy, przez który można wynająć lokale od prywatnych osób – wyjaśnił Gustaf. – Możemy się tu w razie czego ukrywać i spotykać.

Podszedł do lodówki, wyjął z niej zieloną butelkę tuborga, po czym otworzył ją i mi podał.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Możesz już wyluzować. Przeżyłeś szok i my to rozumiemy, ale tu jesteś bezpieczny.

– Ledwo oddycham – odparłem.

– Wypij. Od razu poczujesz się lepiej.

Gustaf uśmiechnął się, a ja postanowiłem być *cool*. Już mi się nie chciało wymiotować.

– Usiądź – powiedział Gustaf, wskazując kanapę. Stuknął się ze mną piwem i pociągnął długi łyk. – Rzadko ktoś zasługuje na piwo tak jak ty.

Usiadłem na kanapie, oparłem się i spojrzałem przez okno. Staralem się spokojnie, głęboko oddychać. Na dworze było już ciemno, z zewnątrz dobiegały przytłumione odgłosy miasta. Widziałem łunę świateł. Ale nadal czułem się tak, jakby w każdej chwili do mieszkania mogli wpaść policjanci, rzucić mnie na podłogę i skuć kajdankami. Nic dziwnego, że kiedy rozległo się pukanie do drzwi, zerwałem się na równe nogi i oblałem spodnie piwem.

– Co się dzieje? – spytałem.

Gustaf się zaśmiał i poszedł do drzwi.

– Spokojnie, jednostka specjalna nie prosi o zgodę na wejście – stwierdził.

Odetchnąłem z ulgą. Na klatce schodowej stały Max i Dinah. Max rzuciła mi się na szyję i mocno mnie objęła.

– Zrobiłeś to! – zawołała. – *Fuck!* To wielka rzecz!

Dinah podeszła do lodówki, wyjęła z niej dwie butelki piwa, otworzyła je i jedną podała Max. Jej włosy wyglądały inaczej niż w Illum, teraz spływały swobodnie na ramiona. Zdjęła kurtkę, uniosła butelkę w moją stronę i powiedziała:

– Twoje zdrowie! Zrobiłeś to! Od tej pory jesteś takim samym bandytą jak my.

Uniosłem butelkę i spytałem:

– Bandytą? Naprawdę?

– Powiedz to! – zawołał Gustaf. – Nie tłum tego w sobie!

– Wiesz, że to prawda – stwierdziła Max. – Kim jesteś?

Nie mogłem się opanować i głośno się zaśmiałem. Cała ta sprawa wydała mi się nagle kompletnie niewiarygodna. Wypiłem trochę piwa i strach zaczął powoli ustępować. W pewnym sensie byłem z siebie dumny. Zbuntowałem się, zostałem członkiem grupy. Uniosłem butelkę i oznajmiłem:

– Jestem jednym z was. Jestem bandytą.

Cała trójka stuknęła się ze mną butelkami. Obejmowali mnie, śmiali się i wiwatowali na moją cześć.

– Jak się z tym czujesz? – spytała Dinah. Jak zwykle trzymała się trochę z boku. Stała oparta o ścianę z butelką piwa w ręce i parzyła na mnie rozbawionym wzrokiem.

– Kiedy zostałeś przy ladzie sam, miałeś głupią minę. Potem zobaczyłeś kartkę i podjąłeś decyzję. Co cię do tego skłoniło?

– Sam nie wiem. Nagle poczułem się tak, jakbym był kimś innym, kto wyszedł ze swojego ciała. Potem to po prostu zrobiłem.

A teraz jestem już kimś innym, dodałem w myślach.

Gustaf, Max i Dinah znowu wznieśli toast i otworzyli kolejne butelki piwa. Musiałem ze szczegółami opowiedzieć, jak się to odbyło, co wtedy czułem i myślałem.

– Wszyscy tam byliśmy – oznajmił Gustaf. – Pierwszy skok zawsze pamięta się najlepiej.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i umilkliśmy. Gustaf poszedł otworzyć. Do mieszkania wszedł Robin z papierową torbą nad głową. Trzymał ją tak, jakby to było jakieś trofeum. Nie powiedział ani słowa, tylko zbliżył się do stolika obok kanapy i wyjął z torby całą zawartość: dwa pliki banknotów o nominale pięciuset koron. Wszyscy wznieśli triumfalny okrzyk.

– Mamy do podziału osiemdziesiąt tysięcy – oznajmił Robin. – Szybki interes. *No questions asked*¹⁵.

– Już je sprzedałeś? – spytałem.

– Mamy kupca, bo pracujemy według zasady: nigdy nie trzymaj w domu trefnego towaru. Niech płynie przez ciebie dobrobyt innych, ale nie pozwól, żeby w tobie utkwiał.

– Trefny towar? – spytała Max i trąciła mnie w bok. – Posłuchaj, co ten gangster gada.

Gustaf podał Robinowi piwo. Ten stuknął się ze mną butelką, jednym haustem ją opróżnił i głośno beknął. Potem zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku i klepnął w plecy tak mocno, że zakaszlałem. Ktoś przyniósł butelkę jägermeistra, a ponieważ

nie mieliśmy odpowiednich kieliszków, musiały nam wystarczyć trzy kieliszki do jajek. Piliśmy z nich na zmianę. Świat zawirował mi przed oczami, czułem się jak zaczarowany. Usiadłem na kanapie, a Max opowiedziała o swoim pierwszym razie.

– Na całym składzie metra namalowałam sprejem hasło EAT THE RICH¹⁶. Zrobiłam to sama.

– Nie kręć. To ja cię tam posłałam i dałam farby – sprostowała Dinah.

– Pisanie sprejem na wagonach metra... – powiedział nostalgicznym tonem Gustaf.

– Byłyście takie młode i niewinne.

– Czy teraz jesteś już gotów się do nas wprowadzić? – spytał Robin.

– Myślę, że tak – odparłem, wywołując ogólny śmiech. – Tamten pokój nadal stoi pusty?

Zauważyłem, że Robin i Dinah wymienili spojrzenia.

– Tak – potwierdził Gustaf. – Chłopak, który go zajmował, jakiś czas temu się wyprowadził.

– Dlaczego? – spytałem.

W pokoju zapadła cisza, a ja od razu pożałowałem, że o to spytałem. Max wzruszyła ramionami, wypła trochę piwa i odparła:

– Skończył studia i wyjechał. Nie ma w tym nic dziwnego. Ludzie przychodzą i odchodzą.

– Czy on też był bandytą? Jednym z was?

– Cholera go wie – odezwał się z drugiego końca stołu Gustaf.

Dinah spojrzała na niego lodowatym wzrokiem i odpowiedziała na moje pytanie:

– On też był bandytą, i to w całym tego słowa znaczeniu. Nadal nim jest, ale nie mógł zostać w Lundzie i musiał się wyprowadzić. To tyle w temacie.

– Pora się zbierać – stwierdził Gustaf.

Wstał z krzesła, wziął do ręki kieliszek na jajko, napełnił go po brzegi alkoholem i oznajmił:

– Noc bandytów dopiero się zaczyna!

Opuściliśmy mieszkanie i potykając się na schodach, wyszliśmy na dwór. Nie miałem pojęcia, która godzina. Przed wejściem do budynku stał zaparkowany mikrobus.

– Chyba wiesz, dokąd jechać? – spytała Dinah. – Możemy się stąd ewakuować?

– Chwilę – odparł Gustaf.

Dinah westchnęła i przewróciła oczami. Gustaf znalazł w końcu to, czego szukał w nawigacji w swoim telefonie. Wyjechał na Istedgade i skierował się do centrum Kopenhagi. W mikrobusie było nam ciasno i niewygodnie, ale nie miało to znaczenia. Piliśmy piwo i wrzeszczeliśmy do piosenki *We Found Love* z repertuaru Rihanny.

Nie wiem, jak długo byliśmy w drodze i ile kilometrów pokonaliśmy, ale po pewnym czasie znaleźliśmy się w samym środku zatłoczonej Kopenhagi – wbiliśmy się w piątkowy szczyt. Luźniej zrobiło się dopiero wtedy, gdy się wydostaliśmy z centrum. Okolica, przez którą jechaliśmy, wyglądała jak dzielnica przemysłowa. Pełno w niej było słabo oświetlonych ulic, magazynów i starych hal pofabrycznych. W końcu Gustaf zatrzymał się przed wjazdem w wąską ulicę. Był tam magazyn, z którego dobiegały głuchoe dźwięki. Przez okno widziałem ludzi stojących w ciągnącej się wzdłuż ulicy kolejce. Na jej końcu, przy ogromnych drzwiach bez żadnej tabliczki informacyjnej, dostrzegłem dwóch ochroniarzy. Zanim zdążyłem spytać, co to za miejsce, ktoś otworzył drzwi i wysiedliśmy na chodnik. Gustaf ruszył przodem, nie oglądając się na kolejkę, a my poszliśmy za nim. Pochylił się do jednego z ochroniarzy i wcisnął mu coś w dłoń. Mężczyzna bez słowa otworzył bramę i powiedział do nas po duńsku:

– Witajcie. Życzę miłego wieczoru.

Ledwo weszliśmy do środka, wpadliśmy w objęcia muzyki. Była tak smutna, ciężka i podniosła, że prawie mnie zatkało. Nigdy wcześniej nie słyszałem tak głębokich basów. Ręce mi drżały, muzyka przyprawiała moje ciało o wibracje. Klub znajdował się w dużym ceglany budynku, a było w nim tyle osób, że z trudem się mieścili. Reprezentowały wszelkie możliwe style i każda wyglądała inaczej. Nad nami unosiły się duże balony popychane setkami rąk. W różnokolorowym świetle cała ta masa ludzkich indywidualności wyglądała jak jeden wspólny, postrzępiony organizm.

– Nie mówiłem?! – krzyknął Gustaf, choć przy dudniącym basie prawie nie było go słychać. – Zajebista impreza!

Uniósł ręce i zaczął sobie torować drogę do baru. Zaszło mi w ustach. Kiedy znaleźliśmy się w środku, poczułem kwaśną woń piwa. Nagle muzyka ucichła i usłyszałem dźwięczny, kobiecy głos, któremu akompaniowało rozstrojone pianino. Kobieta powtarzała te same słowa, a pianino grało ten sam akord.

*I carry the weight*¹⁷.

Wszyscy chyba znali ten przebój, bo też zaczęli go śpiewać. Nigdy go nie słyszałem, ale domyśliłem się, że w tym miejscu pełni funkcję swoistego hymnu. Stopniowo, prawie niezauważalnie, włączył się bas. Po pewnym czasie cały utwór jakby stanął w miejscu, słychać było tylko głos solistki.

I carry the weight.

W hali zapanowała nagle taka atmosfera, jakby wszyscy nabrali głęboko w płuca powietrza. Potem znowu spadły na nas uwalniające dźwięki basu, które brzmiały jak deszczowa burza w upalny dzień.

*I carry the weight for the both of us*¹⁸.

Max, która stała obok, ujęła moją twarz w dłonie i mnie pocałowała. Na początku tak mnie to zaskoczyło, że chciałem się od niej odsunąć. Byłem lekko pijany i czułem, jak krew burzy mi się w żyłach, więc odwzajemniłem pocałunek i pogłaskałem ją po policzku. Max miała na języku jakąś pigułkę i wepchnęła mi ją do ust. Potem pocałowała mnie w policzek, odsunęła się i krzyknęła mi prosto do ucha, żeby przebić się przez muzykę:

– Tylko dzisiaj. Niech to się w końcu stanie.

Potem tańczyliśmy w blasku stroboskopowych świateł, aż czas się skończył. Rozejrzałem się i zobaczyłem Robina. Siedział na końcu hali na jednym z głośników z uniesionymi w górę rękami i zamkniętymi oczami. Wyglądał w tej pozycji tak komicznie, że oboje z Max wybuchliśmy śmiechem. Potem na chwilę zostałem sam. Byliśmy tylko ja i muzyka, czułem się cudownie. W pewnej chwili zobaczyłem, jak Max całuje się z Gustafem. Popatrzyła na mnie, a ja poczułem, że ogarnia mnie zazdrość. Potem Max uwolniła się od Gustafa, żeby się napić wody z butelki, która pojawiła się w jej rękach nie wiadomo skąd. Uspokoilem się. Gustaf przez długą chwilę wpatrywał się we mnie pewnym siebie wzrokiem, a ja nie wiedziałem, jak sobie to jego spojrzenie wytłumaczyć. Max podeszła do mnie i zaczęliśmy tańczyć. Pomyślałem, że właśnie za tym tęskniłem przez całe życie.

Nawet nie pamiętam, ile godzin spędziliśmy w lokalu ani o której godzinie wytoczyliśmy się z niego przez zardzewiałą bramę. Wiem tylko, że byłem spocony, roztańczony i szczęśliwy. Na pewno miało to coś wspólnego z tabletką, którą dostałem od Max. Ale nie tylko. Kiedy wyszliśmy na brudną uliczkę z kubłami na śmieci, niedopałkami papierosów i workami pustych butelek, nagle zapadła cisza,

która zaparła mi dech w piersi. Ściany za naszymi plecami dudniły muzyką, ale na ulicy znowu wszystko normalnie słyszałem, jakby czysta i piękna cisza sama w sobie też była dźwiękiem. Max wyszła z lokalu tuż za mną, więc rozłożyłem ręce i ją chwyciłem, żeby się nie przewróciła na chodnik. Popatrzyła na mnie swoimi zielonymi oczami i stwierdziła zdziwionym głosem:

– Ale tu cicho.

Zaśmiałem się, bo w tym swoim zdziwieniu wydała mi się nagle całkiem mała. Nigdy przedtem jej tak nie postrzegałem, podobnie jak nie znalazłem się w sytuacji, w której musiałbym ją chwycić w ręce. Pochyliłem się w jej stronę i potarliśmy się lekko nosami.

– Noc bandytów! – zawołała Max. Odpowiedziało jej echo, które się rozeszło między budynkami. Max pokręciła głową, zaśmiała się, zerknęła przez ramię w stronę drzwi i znowu na mnie popatrzyła. Oczy jej lśniły w słabym, żółtym blasku ulicznych latarni.

– Gdzie reszta? – spytałem.

– Poradzą sobie. Chodźmy stąd.

Moja głowa była wolna od wszelkich myśli. Czułem się tak, jakbym miał w ustach smak szczęścia albo słyszał euforyczne dźwięki pulsujące nad dudniącym za zardzewiałą bramą basem. Być może to absurdalne, ale nagle zapragnąłem powiedzieć Max, że ją kocham, że zanim ją spotkałem, byłem nikim, że mnie uratowała i nie chcę bez niej żyć.

Niestety, niczego takiego nie powiedziałem, ponieważ w samym środku tego oceanu szczęścia, który mnie zalewał, nadal byłem uwiązany do dawnego siebie niezwykle cienkimi, elastycznymi nićmi. Ale nawet one nie mogły mnie powstrzymać przed tym, co uczyniłem chwilę później: wyciągnąłem do niej dłoń, objąłem ją i przyciągnąłem do siebie. Usta miała ciepłe i wilgotne, całowaliśmy się tak długo, aż skończył się czas, a my nie byliśmy już w jakiejś zapyziałej uliczce, tylko w taksówce, która nas wiozła przez opustoszałe miasto. Po pewnym czasie dojechaliśmy do miejsca, w którym stały same wille i biurowce. Było to jakieś przedmieście albo miasteczko. Max zapłaciła za kurs. Gdy wysiedliśmy, otoczyła nas głucha noc.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem, chociaż nie miało to znaczenia, mogliśmy być gdziekolwiek.

Max nie odpowiedziała, tylko wzięła mnie za rękę i pociągnęła do pobliskiego parku. Wokół panowała cisza, tylko z oddali dobiegał szum fal. Przeszliśmy przez drogę, a gdy poczułem piasek pod stopami, domyśliłem się, skąd dochodził tamten odgłos. Kiedy skręciliśmy za róg niskiego betonowego budynku, stał się jeszcze bardziej wyraźny. W otaczających nas ciemnościach zobaczyłem przed sobą morze.

Max poszła przodem i stanęła w miejscu, w którym fale lizały brzeg. Śmiała się i podskakiwała, żeby woda jej nie zmoczyła, a jednocześnie zdejmowała sweter i rozpiniała dżinsy. W ciemnościach zobaczyłem jej nagą skórę.

– Rozbierz się – powiedziała. – To będzie twój chrzest!

– Myślałem, że go przeszedłem w czasie surfowania.

– W takim razie konfirmacja.

– Zgoda, niech będzie konfirmacja – odparłem z radosną miną.

Max podeszła do mnie i rozpięła zamek błyskawiczny w mojej kurtce. Nie protestowałem, kurtka zsunęła się na piasek.

– Mamy jesień – stwierdziłem z uśmiechem. – Nie pora na nocne kąpiele.

Ale Max nie słuchała, tylko zdjęła ze mnie koszulę, a potem podkoszulek. Noc była tak zimna, że dostałem gęsiej skórki, ale chyba nadal miałem w czubie, bo niezbyt się tym przejmowałem. Zrzuciłem tenisówki i dżinsy i zostałem w samej bieliźnie. Max rozpięła biustonosz i zdjęła majtki.

– *Night swimming deserves a quiet night!*¹⁹ – zawołała. Głośno się zaśmiała i wskazała moje bokserki. – Wyskakuj z nich!

Podeszła do mnie, objęła mnie obiema rękami za szyję i przycisnęła do siebie. Poczułem dotyk jej miękkich piersi na skórze i warg na policzku. Po chwili uwolniła się ode mnie, odwróciła i weszła do czarnego morza. Nabrałem powietrza, zdjąłem majtki i pobiegłem za nią w ciemność.

Woda była lodowata, głębia zaczęła się szybciej, niż się spodziewałem. Na krótką chwilę straciłem Max z oczu, szukałem nogami dna i ledwo go dosięgłem. Było tak zimno, że szybko się wychłodziłem. Nagle z tej czarnej, zimnej wody wyłoniła się Max. Objęła mnie za szyję, przytuliła się do mnie i pocałowała mnie w usta. Mimo chłodu dostałem erekcji. Max wzięła delikatnie mojego członka w dłoń.

– Chodź – powiedziała i pociągnęła mnie na brzeg.

Rozłożyłem na piasku kurtkę i położyłem się na niej. Max usiadła na mnie okrakiem, pocałowała mnie w usta i od razu w nią wszedłem. Szczękaliśmy z zimna zębami, ale wszystko, co nas otaczało, zbladło i przestało mieć znaczenie. W tym momencie w całym wszechświecie byliśmy tylko my: dwa zmarznięte ciała na ciemnej plaży.

Potem się ubraliśmy i leżeliśmy obok siebie z mokrymi włosami na piasku. Ja szczękałem zębami z zimna, Max miała zsiniałe usta.

– Co teraz? – spytałem.

Oparła się na łokciach i wskazała ciemne morze.

– Poczekamy na wschód słońca, bo tak powinna się ta noc skończyć.

Z kieszeni kurtki wyjęła butelkę jägermeistra, którą zabrała z mieszkania, odkorkowała ją, wypła łyk i mi podała. Na prawo od nas widać było światła mostu nad Sundem.

– Przecież słońce nie wschodzi po tamtej stronie – zauważyłem, wskazując butelką morze.

Max wzruszyła ramionami, a ja wypłem trochę słodkiego alkoholu. Piekły mnie usta i oblała fala ciepła.

– Gdzieś jednak wzejdzie – odparła Max.

Odwróciła się do mnie i oparła głowę na moim ramieniu. Trzęsła się z zimna, więc ją pogłaskałem po policzku i przytuliłem, żebyśmy nawzajem się ogrzali. Wpatrywaliśmy się w niebo i milczeliśmy.

– W czasie pobytu we Francji czasem spałyśmy z Dinah na plaży – powiedziała po chwili Max. – Paliłyśmy trawkę i surfowałyśmy w ciemnościach. Fajnie było. Ciepłej niż tutaj.

Leżeliśmy w milczeniu, wpatrując się w niebo. Minęło trochę czasu.

– Dlaczego zabrałeś tamte zegarki? – spytała Max.

Uniosłem się na łokciu i spojrzałem na nią.

– Co masz na myśli?

– Jesteś zdolnym chłopakiem. Czemu chcesz się trzymać z takimi wyrzutkami jak my, robić te paskudne rzeczy, którymi się zajmujemy?

Słuchając jej słów, próbowałem wzbudzić w sobie wstyd spowodowany tym, co zrobiłem. Kiedyś nie było to trudne, bo żal i wstyd odczuwałem już w dzieciństwie. Powodem takiego samopoczucia mógł być na przykład nietrafiony żart, nieporozumienie albo niewłaściwe słowa wypowiedziane w niewłaściwym momencie. Wieczorem, kiedy gasło światło i nikt już o tym nie pamiętał, długo leżałem w łóżku i nie mogłem zasnąć. Zamartwiałem się z żalu, a mój mózg gorączkowo obmyślał dla mnie jakąś karę. Za każdym razem, kiedy sobie przypominałem, jak w podstawówce taplałem się w kałuży, zaciskałem oczy i szeptałem do siebie: „Nie, nie, nie”.

Obiektywnie rzecz biorąc, strach przed popełnieniem błędu i wystawieniem się na ludzki osąd okazał się dla mnie pożyteczny, ponieważ zmuszał do odpowiednich zachowań, które były bardziej właściwe od zachowań innych ludzi. To właśnie ten strach uczynił ze mnie człowieka zdolnego i grzecznego. Jednak tego dnia zrozumiałem, że z tego samego powodu stałem się samotny, pusty i nieszczęśliwy. Max i jej kumplom powiedziałem, że chcę zrobić coś ważnego i właściwego, bo tego pragnę, ale w rzeczywistości kierowała mną głównie obawa, żeby nie uczynić czegoś w sposób niewłaściwy. Wymieszałem jedno z drugim i uwierzyłem, że to składniki tej samej cnoty. Taki stan utrzymywał się do ostatniego popołudnia.

I oto na krótką chwilę wszystko to sobie odpuściłem. Powinno mnie zalać tsunami żalu i niepokoju i chyba taką miałem nadzieję, ale oprócz emocji i zadowolenia nic więcej nie czułem. Kiedy przestała działać tabletką stymulująca wydzielanie serotoniny, którą dostałem od Max, ogarnęła mnie głęboka satysfakcja. Jak po ostrej i ryzykownej jeździe, tyle że z większym natężeniem. Byłem dumny, że siedzę z Max na plaży, że się na to odważyłem, że nie poprzestałem na tym, co było przedtem, że to, co mówiłem i robiłem, zaczęło się ze sobą pokrywać. Może był to zarodek szczęścia, coś bardziej trwałego niż prawo, pigułka albo sprej do nosa.

– Mam już dosyć stania z boku – oznajmiłem. – Robiłem to przez całe życie. Miałem nadzieję, że jeśli tylko będę postępował słusznie albo nie będę popełniał błędów, któregoś dnia do mojego życia zawita szczęście. Chyba szukałem go w zbyt małym zakresie, bo wciąż się bałem, że może dojść do jakiegoś nieszczęścia. Właśnie tego starałem się przez całe życie unikać.

– Z tym już koniec – odparła Max.

– Na to wygląda – stwierdziłem z uśmiechem. Pociągnąłem z butelki duży łyk alkoholu i kontynuowałem: – Moim jedynym marzeniem było zostać pisarzem. Niestety, nie mam o czym opowiadać. Ale nawet gdybym miał coś do powiedzenia, brakuje mi wytrwałości w pisaniu. Może nawet nie wiem, co to znaczy być uczciwym?

Ogarnęła mnie euforia wywołana tym, co się wydarzyło wieczorem. Poczułem też pierwsze objawy kaca. Były jak polujący wilk, który zatacza wokół swojej ofiary coraz mniejsze kręgi.

– Poszedłem więc na prawo, bo nie wiedziałem, co zrobić, żeby się stać tym, kim chciałbym być. Mieszkam z kolesiami, których nie znoszę. Trzymam się z wami i robię to, co wy, ale nie potrafię wyjaśnić, czemu się na to godzę. W życiu brakuje mi kompasu, więc ciągle się kręcę w kółko. Odnoszę wrażenie, że nic, w co wcześniej wierzyłem, nie ma już dla mnie żadnego znaczenia.

Max patrzyła na morze i milczała.

– Wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą – stwierdziła po chwili. Zapaliła papierosa i wydmuchała dym w kierunku wschodzącego słońca. – Być może poszukiwałeś w życiu czegoś, co nie ma znaczenia. Wydaje ci się, że na to, co robisz, potrzebujesz czyjejś zgody i akceptacji, chociaż taka akceptacja to więzienie. Spal za sobą mosty i zbuduj coś nowego.

Przez chwilę paliła w milczeniu, a kiedy znowu na mnie spojrzała, poczułem się tak, jakby zajrzała mi w głąb duszy. Chciałem zrobić dwie rzeczy, które się wzajemnie wykluczały: wpuścić ją do środka i przeszkodzić jej w tym.

– Może jesteś taki jak my i chcesz żyć jak my? Może jesteś wystarczająco bezwzględny? Kto wie? Nie chciałbyś o tym napisać? Jakkolwiek na to patrzeć, jesteś

takim samym bandytą jak my. Nie zadowala cię to, co jest, i nie pasujesz do współczesnego świata. I właśnie to jest twoim przekleństwem. Tak, jesteś bandytą.

Nagle ogarnęło mnie tak duże zmęczenie, że z trudem się broniłem przed zamknięciem oczu.

– Naprawdę nim jestem? – spytałem.

– Dzisiaj w nocy tak.

Max obudziła mnie wczesnym rankiem i wepchnęła do taksówki, która zawiozła nas z plaży w Amager do domu Charlesa w Lundzie. Przez całą drogę spałem z głową opartą o szybę. Przejechaliliśmy przez Kastrup, most nad Sundem i zaspasane Malmö. Obudziłem się, gdy Max płaciła taksówkarzowi za kurs plikiem banknotów pięćsetkoronowych. Nadal byłem pod wpływem różnych substancji i tkwiłem w sennej bańce. Oczy miałem wyschnięte i wrażliwe na światło.

– Która godzina? – spytałem.

Max otworzyła drzwi i wyciągnęła mnie z tylnego siedzenia. Na dworze padał rzęsimy deszcz.

– Dziewiąta – odparła z uśmiechem. Twarz miała tak szarą i zmarnowaną, że prawie nie było widać jej piegów.

Kiedy weszliśmy przez bramę na teren posesji, poprowadziła mnie do wejścia.

– Powinienem wrócić do domu – oznajmiłem. – Jestem tak zmęczony, że oczy same mi się zamykają.

Wczorajszy dzień ciążył mi jak głąz. Kradzież zegarków, nocna impreza w klubie i plaża. Niczego nie żałowałem, ale nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić. Musiałem pobyć sam, żeby dojść do jakichś wniosków, ponieważ w krótkim czasie zrobiłem kilka rzeczy, do których w moim poprzednim życiu nie byłbym zdolny. Musiałem się nad tym wszystkim głęboko zastanowić. Sama myśl, że miałbym teraz z kimś rozmawiać, wydała mi się nie do zniesienia.

Max udawała, że nie usłyszała tego, co powiedziałem. Wyjęła klucz i otworzyła drzwi.

Hol był zimny, pusty i zakurzony.

– Wejdz, prześpisz się u nas – powiedziała, idąc przede mną. Uśmiechnęła się i wskazała głową szerokie schody prowadzące na piętro. – Możesz się położyć obok mnie.

Zawahałem się, bo naprawdę chciałem pobyć sam. Czy jednak moje wątpliwości nie mogły poczekać? Może zostaną tu kilka godzin bez względu na to, czym ten dom jest. Propozycja, którą przed chwilą złożyła mi Max, rozwiązała moje wątpliwości.

Skinąłem głową i poszliśmy na górę. Światło, które wpadało do środka przez pomalowane szyby, sprawiało, że schody przypominały wnętrze kościoła albo klasztoru. Dawało to jakąś ulgę mojemu otumanionemu kacem mózgowi.

Max otworzyła drzwi i wskazała niezaścielone łóżko, na którym się piętrzył stos poduszek i kołder. Sam ich widok zachęcał, żeby się położyć. Spojrzałem na przeciwległą ścianę i przez chwilę patrzyłem na kobietę na plakacie, która mierzyła do mnie z pistoletu. Odwróciłem się do Max i zobaczyłem, że zdążyła się już rozebrać. Stała w samych majtkach i zdejmowała T-shirt przez głowę. Starałem się na nią nie patrzeć, chociaż ona w ogóle się nie przejmowała swoją nagością. Z pewnym wahaniem zdjąłem dżinsy i w samej bieliźnie wsunąłem się pod kołdrę. Max leżała z zamkniętymi oczami. Kiedy się obok niej położyłem, otworzyła je i uśmiechnęła się do mnie. Leżeliśmy w milczeniu, patrząc na siebie.

– Czemu ja? Czemu ci tak zależy, żebym do was dołączył?

Wyciągnęła rękę, więc się przysunąłem i położyłem na niej głowę. Max pogłaskała mnie lekko po włosach.

– Bo nas potrzebujesz, *baby*, a my potrzebujemy ciebie – szepnęła w odpowiedzi. Przysunęła się jeszcze bliżej, przewróciła na bok i przełożyła przeze mnie nogę. Czuję jej ciepłe ciało na piersi i ciepły oddech na policzku.

Kiedy się obudziłem, usłyszałem deszcz bębniący o szybę. Wychłodzony pokój tonął w ciemnościach, ale przez szpary w zasłonach przebijało szare światło. Trząśłem się z zimna. Miejsce Max było puste. Znalazłem swoje ubranie i spojrzałem na wyświetlacz telefonu, żeby sprawdzić godzinę. Było po drugiej, co oznaczało, że przespałem pięć godzin. W ustach czułem smak żelaza i alkoholu. Wspomnienie tego, co poprzedniego dnia wydarzyło się w Kopenhadze, uderzyło we mnie z siłą tsunami. Zamknąłem oczy i czekałem, aż ogarnie mnie niepokój albo wyrzuty sumienia. Jakkolwiek by patrzeć, ukradłem kilka zegarków o wartości kilkuset tysięcy koron, a decyzję podjąłem w ułamku sekundy. Na dodatek nikt mnie do tego nie zmusił. Bez względu na to, co mówił Gustaf, mogę być poszukiwany przez policję. W jednej chwili zaprzepąściłem całe swoje życie. Zamknąłem oczy i czekałem na eksplozję wyrzutów sumienia, ale nic takiego się nie stało.

Uczucie, które mną zawładnęło, było łagodne i przyjazne i nie miało nic wspólnego z poczuciem winy. Ogarnął mnie niepokój, ale tylko dlatego, że się obawiałem, iż mogła mnie nagrać któraś z kamer i teraz poszukuje mnie policja. Zastanawiałem się, kim tak naprawdę jest Max i kim są jej kompani. Dlaczego narazili mnie na takie ryzyko? Czemu nie dali mi czasu na przygotowanie się do kradzieży?

Uznałem jednak, że to sprawy marginalne, ponieważ tak naprawdę stało się coś zupełnie innego: popuściłem sobie cugli i stwierdziłem, że mi się to podoba, chociaż nie wiedziałem, czym się to dla mnie skończy. Czyżbym oszalał? Wiedziałem jedno:

po raz pierwszy w życiu fakt, że nie widziałem konkretnego celu ani wytyczonej do niego drogi, był mi obojętny. Okazało się, że to, co słuszne, nie polega tylko na tym, żeby nie robić czegoś złego. To było jak swobodne spadanie, jak jazda motocyklem przez pustynię. Ogarnęła mnie wielka ulga, nagle poczułem się wolny.

Rozejrzałem się po starym, zaniedbanym pokoju, w którym leżało trochę rzeczy Max. Było w nim biurko z elegancko ułożonymi stosami książek. Przy ścianie od strony korytarza stała stara kanapa obita zielonym atłasem. Max rzuciła na nią parę dżinsów, majtki i ręcznik. Obok biurka znajdowały się małe drzwi. Uchyliłem je i ujrzałem zabudowaną garderobę, w której wisiały czarne sukienki i czarne swetry. Obejrzałem je i zamknąłem drzwi. Panowała tu przytulna artystyczna atmosfera. Wrażenia dopełniał orientalny dywan i łóżko z baldachimem. Mimo to pokój był zadziwiająco pusty. Odniosłem wrażenie, że oprócz plakatu na ścianie, książek i ubrań nie ma w nim żadnych osobistych przedmiotów. Uświadomiłem sobie, że pokój, który wynajmowałem od Ludviga, nie był inny. Nawet nie powiesiłem nic na ścianie.

Usłyszałem, jak lekko skrzypią schody, ale nim zdążyłem wyjść na korytarz, rozległ się głos Max:

– Wstałeś? Musisz coś zjeść, żeby znowu stanąć na nogi.

Kiedy zszedłem do holu, podeszła i mnie objęła. Wyglądała na świeżą i wyspaną. Chyba przed chwilą wzięła prysznic. Była boso, miała na sobie czarne legginsy i za duży T-shirt, który sięgał jej prawie do kolan.

– Wszyscy już są. Chodź do nas.

W głowie czułem lekkie pulsowanie. Zwykle ta stara wersja kaca męczyła mnie w sytuacji, gdy następnego dnia po imprezie miałem spotkanie i się denerwowałem. Ale nie tym razem.

– Witamy zmartwychwstańca!

Max odsunęła się na bok i rozłożyła ręce, jakby zamierzała zaprezentować swoim towarzyszom czarodziejską sztuczkę. Wszyscy stali oparci o ławy. Mieli potargane włosy, w rękach trzymali duże szklanki z Krwawą Mary. Kiedy wszedłem do kuchni, powitano mnie aplauzem i gwizdami.

Charles spojrzał na mnie znad deski do krojenia i wytarł dłonie w duży kuchenny ręcznik. Ubrany był w obszerny fartuch, na gołej czaszce miał granatową czapkę.

– Patrzcie, kto przyszedł! – zawołał. – Witamy!

W piecu palił się ogień, na co poprzednim razem nie zwróciłem uwagi. Charles wziął do ręki dużą szklankę, wlał do niej sporą porcję wódki, sięgnął po stojący na wypie dzbanek i nalał z niego do szklanki coś, co przypominało sos pomidorowy. Wszystko wymieszał łyżką selera i postawił szklankę na blacie.

– Właśnie tego potrzebujesz, ale najpierw spróbuj tego – powiedział, po czym podał mi puszkę z czymś, co wyglądało jak suszone owoce maczane w polewie. – To *umeboshi*, japońskie śliwki w polewie. To nasze własne śliwki. Weź dwie. Oprócz Krwawej Mary tylko one mogą pomóc na kaca. Widzę, że nadal cię męczy.

Zmrużył oczy za grubymi szklami okularów i potrząsnął puszką, jakby chciał mnie zmusić do zjedzenia śliwek.

– Muszę? – spytałem.

– Jasne – stwierdził z drugiego końca pokoju Robin. – Ból zwalczaj bólem.

Uśmiechnął się do mnie i wziął porządny łyk napoju ze swojej szklanki. Śliwka, którą dał mi Charles, miała gorzki smak. O mało nie zwymiotowałem, ale zdołałem się opanować. Skrzywiłem się i wyplułem pestkę na dłoń.

– Okropne.

– Już po wszystkim – stwierdziła Dinah. – Zjedz jeszcze jedną.

Pokręciłem głową i wziąłem od Charlesa drinka.

– Nigdy w życiu. Wolę umrzeć z powodu kaca, niż zjeść to paskudztwo.

– Będziesz miał czas, żeby się przyzwyczaić – odparł z uśmiechem Charles.

– A nie macie czegoś bez wódki? – spytałem, patrząc ze zrezygnowaną miną na drinka. – Nie wleję w siebie więcej alkoholu.

Gustaf i Dinah spojrzeli na mnie tak, jakbym powiedział coś niezrozumiałego w obcym języku.

– Porządek musi być – oznajmił Robin. – Pij, nie marudź.

Zrobiłem, jak kazał. Smakowało lepiej, niż sobie wyobrażałem. Powoli ogarniał mnie spokój. Wypiłem następny łyk i dopiero teraz poczułem w pokoju zapach czosnku i chleba.

– Pieczemy pizzę – wyjaśnił Charles. – To ostatni etap walki z kacem.

Wskazał przy tym drugi piec, który był opalany drewnem. Pochyliłem się i ujrzałem bulgoczący czerwony sos z serem na grubym cieście. Charles przesunął pizzę drewnianą łopatką. Na sąsiedniej ławie leżały dwie następne, które czekały w kolejce do pieca. Charles się wyprostował i mrugnął do mnie.

– Słyszałem, że w Kopenhadze wszystko poszło dobrze – stwierdził. Wziął do ręki szklankę i stuknął się ze mną. – Będziesz do nas pasował. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Charles miał rację. Trzyskładnikowe lekarstwo zwalczyło fizyczne symptomy kaca. Staliśmy wokół wyspy i jedliśmy duże kawałki kruchej pizzy. Była tak dobra, że przez chwilę myślałem tylko o tym, jak smakuje. Kiedy pochłonałem trzy kawałki, przestała mnie boleć nie tylko głowa, ale i całe ciało. Czułem tylko słabe, ale przyjemne odurzenie alkoholowe.

– Chodź z nami – powiedział Gustaf, wskazując drzwi, przez które pozostali już zaczęli przechodzić. – Czas na wizytę w bibliotece.

Zostałem jeszcze chwilę, żeby dopić drinka. Czas płynął szybko. Kiedy staliśmy w kuchni, jedliśmy pizzę i popijaliśmy drinki, na dworze zrobiło się ciemno. Przez wysokie okna widziałem spowitą słabym blaskiem księżycą szklarnię w ogrodzie. Odstawiłem pustą szklankę na ławę i podszedłem do okna.

– W blasku księżycą ogród wygląda naprawdę ładnie – stwierdziłem.

Charles odwrócił się od pieca, zdjął fartuch i stwierdził:

– Widzę, że nadal jesteś niespokojny. Śliwka, drink i pizza pomogły, ale nie do końca. Jeszcze nas nie znasz, tak jak nie znasz prawdziwej Max.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, zakręcił szklanką i wypił resztę alkoholu.

– Nie jestem niespokojny – odparłem. Pokręciłem głową i dolałem sobie wódki.

Charles przyglądał mi się z rozbawieniem.

– Zastanawiasz się nad tym wszystkim?

Wypiłem alkohol i odparłem:

– Na razie nie.

– Być może to słuszna postawa, bo gdybyś o tym myślał, mógłbyś się zaniepokoić, że właśnie w tym momencie wkraczasz na drogę, z której nie ma odwrotu. A może już to zrobiłeś? Taka decyzja może sprawić, że będziesz musiał wykonać kolejne kroki i z czasem stracisz moralny grunt pod nogami. W pewnym momencie stwierdzisz, że nie wiesz, kim jesteś i czego chcesz. Przestaniesz też dostrzegać różnicę między tym, co jest, a co nie jest słuszne.

Spojrzałem na niego z uśmiechem i wzruszyłem ramionami.

– Cholernie jasna prognoza!

Charles podszedł do mnie. W jego oczach ujrzałem to samo pożądanie i oczekiwanie, co ostatnio.

– Nadal możesz się wycofać, ale jeśli to zrobisz, okno zamknie się na zawsze. Rozumiesz?

– A z czego miałbym się wycofać?

– Okno jest duże, ale zanim się zorientujesz, zamknie się za tobą na zawsze. Nie będziesz pierwszym, do którego ta prawda dotrze.

– Jakim pierwszym? I co miałyby do mnie dotrzeć?

W korytarzu rozległy się kroki. Charles odsunął się, ale wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Wyrażasz się tajemniczo – stwierdziłem. – Co masz na myśli?

Charles dolał sobie do szklanki sporo alkoholu, stuknął się ze mną i spojrzał mi badawczo w oczy. Nie odpowiedział na moje pytanie, tylko opróżnił szklankę. Na jego

twarzy pojawił się grymas zadowolenia. W progu stanął Robin.

– Idziesz, Charles? – spytał zniecierpliwionym głosem. – Masz wygłosić mowę powitalną. Chcemy się napić.

Charles spojrzał na niego i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Cierpliwości, mój młody przyjacielu. Zaraz do was dołączymy.

Pokój zwany biblioteką rzeczywiście nią był. Szybko zauważyłem, że jest nieco zapuszczony. Regały z książkami zajmowały trzy ściany i sięgały sufitu. W środku pachniało owocami, papierem i pleśnią. Robin wszedł na skrzypiącą, chwiejną drabinę i zaczął przeglądać książki umieszczone na górze po prawej stronie. Na czwartej ścianie znajdowały się drzwi francuskie prowadzące do ogrodu.

Dinah zapaliła świece, które stały na niskim, szerokim stoliku, i usiadła na jednej z kilku rozłożonych na podłodze poduszek. Wszystko było tu tak samo zaniedbane i zakurzone jak inne sprzęty i pomieszczenia na parterze. Z wyjątkiem kuchni.

– Czy mamy wino? – spytała Dinah. – Jest sobota, a my zrobiliśmy parę rzeczy, o których nikt nie mówi na trzeźwo. Chcemy wina!

Charles uniósł butelkę whisky, by pokazać, że zadbał o alkohol.

Do pokoju weszła Max z tacą, na której stały szklanki, kieliszki, pojemnik z lodem i szejker. Umieściła ją na stoliku. Charles nalał do szejkera whisky, martini i wermut i wszystko wymieszał. Max wrzuciła do szklanek drobne kawałki lodu.

– Boulevardier! – zawołał Charles. – Jedyny naprawdę październikowy drink.

Rozlał zawartość szejkera do trzech szklanek i jedną z nich podał mnie. Potem przyrządził kolejną porcję drinka. Sprawdził, czy wszyscy mają co pić, i wzniósł toast.

– *Voilà!* Na zdrowie!

Dzięki martini drink miał słodkawy smak lata, wermut sprawił, że wyczuwalna była w nim nuta jesiennego rozkładu, a surowa dymna whisky przypominała o zbliżającej się zimie. Charles miał rację: drink rzeczywiście kojarzył się z październikiem. Robin zszedł z drabiny i usiadł obok mnie na kanapie.

– Jesteś gotów? – zwrócił się do mnie teatralnym szeptem. Uśmiechnął się przy tym złośliwie.

– Gotów na co? – spytałem, ale Charles nie pozwolił mu odpowiedzieć.

– Witajcie! – powiedział. Uniósł szklankę, spojrzał na mnie i kontynuował: – Dziwi mnie, że tak niefrasobliwie podchodzisz do tego, kim jesteśmy, czym się zajmujemy i co symbolizujemy. Po prostu zamknąłeś oczy i skoczyłeś, żeby nam pokazać, że chcesz być z nami i pragniesz prowadzić inne życie: bardziej dzikie i bardziej bogate. To imponujące, bo dowodzi wielkiej woli.

– Albo kompletnego szaleństwa i trudnej do zrozumienia słabości do siebie – wtrącił Robin.

Wszyscy zachichotali, a Max wyłowila ze szklanki kawałek lodu i rzuciła nim w Robina.

– Pozwól mu, niech się nacieszy tą chwilą – powiedziała. – Charles żyje dla tych bredni, a on musi tego wysłuchać.

Mówiąc „on”, miała na myśli mnie.

– John Stuart Mill napisał kiedyś... – zaczął Charles.

Przerwał mu Robin, który chrząknął i wyrecytował dramatycznym tonem:

– *Wszędzie, gdzie istnieje klasa panująca, obowiązująca w kraju moralność określana jest w dużej mierze przez interesy tej klasy i jej poczucie wyższości.*

Po tych słowach wstał i teatralnie się uklonił. Dinah zaklaskała z ironią, Gustaf zachichotał, a Max westchnęła.

– Chcesz powiedzieć, że się powtarzam? – spytał Charles.

– Jestem dumny, że w końcu nauczyłem się tego na pamięć – odparł Robin.

– Robin ma rację – stwierdził Charles, kierując te słowa do mnie. – A właściwie nie Robin, tylko Mill. Nie oczekujemy, że Robin będzie samodzielnie formułował takie poglądy, ale cieszy nas, że nauczył się czegoś na pamięć.

– Zabrało mu to trochę czasu – zauważyła Dinah. – Całe szczęście, że jesteś słodki, bo nie trzymamy cię tu z powodu twojego mózgu.

– *Fair enough* – powiedział Robin, popijając ze szklanki. – *Fair enough.*

– W poprzek społeczeństwa biegnie nieprzekraczalna linia niesprawiedliwości – kontynuował Charles, który stał zwrócony twarzą do mnie. – Jest ona efektem tego, o czym pisał Mill. Twoje życie nie zależy od zdolności, merytokracji ani nawet ciężkiej pracy, tylko od zakorzenionych struktur. Na świat przychodzisz w willi albo na betonowym przedmieściu, w małej miejscowości albo w centrum Sztokholmu, z pieniędzmi lub bez nich, z książkami w domu albo bez nich. Zjawiasz się tu jako uchodźca z pustymi kieszeniami albo przychodzisz na świat w pałacu. Tak czy inaczej, twój los jest przypieczętowany już w chwili, gdy pierwszy raz zobaczysz świat.

Charles spojrzał na mnie swoimi żywymi, intensywnymi oczami i napił się alkoholu ze szklanki.

– Nazywamy to przywilejami – dodał. – Zgadzasz się ze mną?

Spojrzałem na Max, a ona do mnie mrugnęła.

– Myślę, że tak – odparłem. – Czy ktoś jest odmiennego zdania?

Chrząknąłem i zrobiłem pauzę. Wszyscy skupili wzrok na mnie.

– We wczesnej młodości myślałem, że każdy może się stać tym, kim chce. Wystarczy tylko, że nie popełni błędu, bo granicę wyznaczają własne ambicje. Ale tak nie jest.

Zrozumiałem to już po kilku tygodniach pobytu w Lundzie.

– Człowiek nie stanie się tym, kim chce być, dopóki kurczowo trzyma się tego, co postanowili inni – stwierdził Gustaf. – Społeczeństwo jest chronione przed tymi, którzy nie mają wszystkiego od początku.

– Społeczeństwo jest z zasady statyczne – dodał Charles. – Jak powiedział Gustaf, prowadzi to do tego, że ci, którzy posiadają władzę i majątek, mogą się w spokoju koncentrować na konsolidacji tego, co mają. Nie narażają się na stres, którego doświadczają ci, którzy muszą się piąć w górę. Jeśli każdego dnia masz na stole jedzenie, możesz się skoncentrować na czymś innym niż tylko na tym, żeby się najeść do syta. Jeśli twój ojciec ma znajomości w kancelariach adwokackich, nie musisz walczyć o pracę w recepcji.

Skinąłem głową. Charles to dziwak i wypowiadał się tak, jakby wygłaszał odczyt na uniwerku, ale w sumie miał rację. To, o czym mówił, było chyba oczywiste dla większości osób, ale skutki tego, o czym mówił, po raz pierwszy zacząłem dostrzegać dopiero jesienią tego roku w Lundzie.

– Trwa to nieustannie, na wszystkich poziomach – kontynuował Charles. – Różnice powiększają się z każdym pokoleniem, rosną wykładniczo, w zawrotnym tempie. Ci, którzy mają dużo, dostają jeszcze więcej. Ci, którzy mają mało, słyszą ciągle, że szanse na to, żeby osiągnęli więcej, istnieją, i że prowadzi do tego szeroka droga. Jednak tych, którzy mają odpowiedni potencjał na jej pokonanie, jest niewiele. Oznacza to, że jeśli ktoś urodził się biedakiem, nadal nim pozostanie. Tak to jest w większości wypadków. To fundamentalna i jawna niesprawiedliwość, na którą wszyscy przymykają oczy, chociaż nikt nie chce o tym mówić. Dlaczego? Bo przyznanie się do tego oznaczałoby konieczność odrzucenia wszystkiego, co uważamy za oczywiste.

Charles wypił łyk drinka i odstawił szklanekę na stół.

– Pierwszym złudzeniem we współczesnym zachodnim państwie dobrobytu jest wiara w to, że każdy otrzymał takie same możliwości, ponieważ zaoferowano mu naukę w szkole i dostęp do opieki medycznej. W ten sposób winą za ewentualne niepowodzenia obarczono samą jednostkę. Fakt, że nie osiągasz tego, co sobie zaplanowałeś, wynika więc z twoich własnych błędów i nie jest winą systemu, procesów historycznych ani panującej niesprawiedliwości. Miałeś prawo do zdobycia wykształcenia i formalnie nie zostałeś skrzywdzony. Ale to nieprawda, bo opisany mechanizm to wprost idealny sposób na odizolowanie finansowej elity od ataków na system, który sprzyja tylko tej elicie, podczas gdy pozostałym ludziom pozostają jedynie okruchy z pańskiego stołu. Wystarczą, żeby od czasu do czasu najeść się do syta i nie kwestionować istniejącego porządku. Dobrobyt zajął miejsce religii i stał się

opium dla ludu. Dzięki temu, że każdy dostaje trochę, nieliczni biorą prawie wszystko. To rabunek w biały dzień. Skok doskonały.

Wypiłem prawie cały swój alkohol, więc kiedy zobaczyłem, że Robin zaczął napełniać szejker, poczułem ulgę. Wstał z krzesła i zaczął nim potrząsać.

– Sugerujesz, że byłoby lepiej, gdyby dobrobyt nie istniał? – spytałem. – Gdyby na przykład nie wszyscy mogli chodzić do szkoły i nie mieli dostępu do publicznej opieki zdrowotnej? Czy tak byłoby sprawiedliwiej?

– Nie, ale na pewno uczciwiej – odparła Max i odstawiła szklankę na stół. Zabrzęczał lód.

Robin dolał jej alkoholu.

– Czy to znaczy, że chcecie wywołać rewolucję? – spytałem. – Porządek oparty na dobrobycie zastąpić innym systemem?

– Rewolucja, tak jak wszystkie działania zbiorowe, jest oszustwem – wyjaśnił Gustaf.

– Czyli?

– My tylko nie chcemy zajmować stanowiska ani grać w ich grę.

– Nie jesteśmy idealistami i naszym zadaniem nie jest zmienianie społeczeństwa – dodała Dinah. Uniosła szklankę do ust. Kiedy piła, kostki lodu uderzały ją w zęby. Po chwili odstawiła szklankę i dała znak Robinowi, żeby znowu napełnił ją alkoholem.

– Nie chcemy uczestniczyć w ich grze.

– Jesteśmy bandytami – dodała Max. – Ni mniej, ni więcej.

– „Kradzież to przywrócenie i odzyskanie własności” – oznajmił Charles. – To słowa francuskiego anarchisty Mariusa Jacoba. Wypowiedział je w tysiąc dziewięćset piątym roku w czasie swojej mowy obrończej przed francuskim sądem. Oskarżono go o popełnienie setek przestępstw na terenie Włoch, Belgii i Francji. Jacob nie zaprzeczał, że je popełnił, ale nie chciał przyznać, że okradanie bajecznie bogatych ludzi, którzy sami nie zapracowali na swoje bogactwo, jest przestępstwem. „Człowiek nie prosi o prawo do życia, on sam je sobie bierze”, powiedział.

– Był kimś w rodzaju Robin Hooda? – spytałem. – Tak to postrzegacie?

– Tak i nie – odparła Dinah. – Być może.

Dinah wpełzła na kilku poduszkach umieszczonych na zakurzonej, wytartym orientalnym dywanie. W ręce trzymała drinka, którego nalał jej Robin.

– Okradamy tych, którzy nie zasługują na posiadanie tego, co mają – wyjaśniła. – Ale tak jak Jacob nie chcemy wywoływać rewolucji. Kolektywy zawsze tworzą nowe systemy, które później trzeba niszczyć.

Robin potrząsnął szejkerem i dolał mi alkoholu do szklanki.

– To pusta gadanina – stwierdził, mrugając do mnie. – My chcemy tylko jednego: żeby nam się nie nudziło. Ty też tego chcesz.

– Wiemy, że się z tym zgadzasz i tak jak my dostrzegasz rozdarcie, w którym żyjesz – powiedziała Max, patrząc mi w oczy.

Przypomniałem sobie Söderköping, swoje marzenia i „mistrza”. Uświadomiłem sobie, jak bardzo świat się skurczył tej jesieni. Stał się tak ciasny, że z trudem mogłem w nim oddychać. Teraz się przede mną otworzył, ale w całkiem innym, znacznie groźniejszym kierunku. Zadrzałem. Czy to znaczy, że w chwili, gdy ukradłem zegarki w Kopenhadze, stałem się częścią tego, o czym mówili Charles, Dinah, Max i Gustaf? A może przez całe swoje życie budowałem fundament właśnie pod to? Czy ja kiedykolwiek podjąłem samodzielną decyzję? Przedstawiali wszystko w taki sposób, że wydawało mi się to właściwe, ale z drugiej strony odnosiłem wrażenie, że jest to jedynie racjonalizowanie wcześniejszego postępowania.

– Dlaczego nie porozmawialiście ze mną o tym przed Kopenhagą? – spytałem. – Nie chodzi mi o to, że się z wami nie zgadzam, ale nie pozostawiliście mi wyboru.

– Miałeś taki wybór – odparła Dinah i spojrzała na mnie lekko zmęczonym wzrokiem. – Przecież to ty zabrałeś zegarki. Nikt nie włożył ci ich do kieszeni.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię – zaprotestowałem. Sprowokowała mnie do tego jej obojętność albo cokolwiek to było. – Kradzież w Illum była bezsensownym wybrykiem. Nagle zostałem tam całkiem sam. Czułem się jak w ukrytej kamerze.

Robin usiadł z powrotem na kanapie. Wydawało mi się, że na jego twarzy dostrzegam słaby uśmiech.

– To nie był *practical joke* – odparła Max. – Nikt się z ciebie nie śmiał. Nie był to też bezsensowny wybryk, jak to określiłeś, tylko test. Bardziej dla ciebie niż dla nas.

– Spodobało ci się, więc przestań się przed tym bronić – dodała Dinah. – To kokieteria. Sam wiesz, czego chcesz.

Opadłem na oparcie kanapy i wypłem trochę alkoholu.

– Teraz już wiem, że jesteś jednym z nas – stwierdziła Max.

– A co to znaczy?

– Sam wiesz najlepiej.

Teraz wypłem nieco więcej alkoholu niż poprzednim razem i lekko zakręciło mi się w głowie.

– Jednym z bandytów – sprecyzowałem. – To chcecie powiedzieć?

Zaśmiali się i unieśli szklanki w moją stronę. Zauważyłem, że Max i Dinah wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Nie wiedziałem, co to oznaczało, ale nie przejmowałem się tym.

– Max chciała powiedzieć, że nie posiadasz murów ani balkonów i tak ja my masz tylko sznury i sztylety – wyjaśnił Charles.

Robin znowu wstał i uniósł szklanę.

– *Chodź do mnie, ukochana, będziemy spać na ulicy* – wyrecytował fragment wiersza Muhammada al-Maghuta i spojrzał na wszystkich zdziwionym wzrokiem. Pozostałe osoby zareagowały żywiołowo i ze śmiechem. – Widzę, że dziś wieczorem sam siebie przerastam.

– Jeśli mam z wami zostać, przestańcie mnie oszukiwać – oznajmiłem. – Nie chcę stać z boku.

Wszyscy ucichli i spojrzeli na mnie.

– Jesteś jednym z nas – zapewniła mnie Max. – Nie stoisz z boku.

Chciałem jej wierzyć.

– To, co mówiliście o sznurach i sztyletach... Właśnie takie hasło wypisałaś sprejem na ścianie w Malmö. Słowa pochodzą z utworu syryjskiego poety Muhammada al-Maghuta pod tytułem *Cień i żar południa*.

Max spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby moje słowa zrobiły na niej wrażenie.

– Znasz twórczość syryjskich poetów?

– Umiem się posługiwać wyszukiwarką.

Max się zaśmiała, słysząc tę odpowiedź.

– Dinah kocha ten wiersz, a cytowane słowa stały się naszym motywem przewodnim. Wyrażają wszystko, co trzeba. Mówią o nas.

Popołudnie szybko minęło. Charles i Max przynieśli trochę serów i dwie butelki wina. Charles nalał sobie dużą porcję i wzniosł toast.

– Jak na rewolucjonistów bardzo kochacie wygodne życie – zauważyłem, kierując te słowa do Robina.

Otarł serwetką okrusz sera, który przyczepił mu się do ust, i odparł z udawanym zmieszaniem w oczach:

– My nie jesteśmy rewolucjonistami, tylko bandytami. To chyba różnica, prawda? Nieważne, na czym polega, ale nie mogę już tego słuchać. Tracimy czas na pustą gadaninę.

– Bóg widzi, że nie do twarzy ci z tym niemądrym nastawieniem do tej sprawy – zauważyłem. – Uważasz, że z powodu swojego göteborskiego akcentu możesz się wykić, udając dobrego kumpla?

Robin zaśmiał się głośno i stuknął ze mną szklanką.

– Super, że do nas dołączyłeś – odparł. – W opowiadaniu bzdur jesteś równie dobry, jak cała nasza banda. Będziesz do nas pasował.

Charles dolał nam do szklanek alkoholu, a ja spojrzałem na Max, która siedziała obok Gustafa i z czegoś się śmiała. Robin wrócił na drabinę, żeby dalej przeglądać książki na górnych półkach, a Dinah zajęła miejsce obok mnie. Wzrok miała taki, jakby myślami przebywała gdzie indziej.

– A więc jesteś jednym z nas – mruknęła. – Mam nadzieję, że podjąłeś właściwą decyzję.

Oparła się o kanapę i popatrzyła na mnie znad szklanki. Jej oczy nie były zielone i wyraziste jak u Max, tylko ciemne i niezgłębione.

– Właściwą decyzję à propos czego? – spytałem.

– Nas wszystkich – odparła, wzruszając ramionami.

Cały wieczór spędziliśmy w bibliotece na rozmowach. Dinah przyniosła nowe świece, żeby wymienić te, które się wypaliły, a Charles komponował nowe drinki. Nikomu nie chciało się szykować porządnej kolacji, więc Charles ugotował makaron z chili, czosnkiem i parmezanem.

– Ciągłe mnie zaskakujecie – powiedziałem do Robina, który stał obok mnie przy wyspie. – Nie wiem, czy zniosę więcej waszych niespodzianek.

Powiedziałem tak, chociaż wiedziałem, że to nieprawda. Oni mieli rację. Ukradłem te zegarki, bo sam podjąłem decyzję. Nikt mi wcześniej nie wyjaśnił, po co mam to zrobić, i nikt mnie do tego nie zmuszał. Uczyniłem to, bo nie byłem dłużej w stanie stać z boku i się przyglądać, jak życie przecieka mi między palcami. Życie w określonych ramach, według konwenansów. Nie wiedziałem, czy jestem gotów zostawić to wszystko za sobą, ale ten sam impuls, pod którego wpływem wszedłem w samo jądro demonstracji w Malmö, sprawił, że zacząłem tęsknić za kolejną niespodzianką, za tym, co nieznane i groźne, za wyzwaniem i zerwaniem z tym, co mnie dotychczas wiązało ze starym życiem. Za czymś, co było prawdziwe, autentyczne i natychmiastowe.

Robin stuknął się ze mną szklanką i nabrał pełen widelec makaronu, z którego kapały ser i oliwa.

– Jeśli nie lubisz niespodzianek, trafiłeś w niewłaściwe miejsce – stwierdził. – Niespodzianki to nasz brunch.

Dopiero po dziesiątej się zorientowałem, że na rozmowach zeszły nam całe popołudnie i wieczór, a ja nawet nie zauważyłem, że czas tak szybko mijał. Robin gadał nieustannie o restauracjach serwujących jedzenie w nielegalnych klubach w Hisingen, a Gustaf dowodził, że przyszłość znowu należy do Londynu. Charles opowiadał o Victorze Serge’u, o illegalizmie, bandytach i anarchistach z Paryża i Brukseli, którzy działali w tych miastach na początku dwudziestego wieku. Wspominał też o tym, dlaczego stawianie indywidualnego oporu jest etyczne, jak

również o tym, że jedyną słuszną postawą powinno być odejście od wiary w tak zwaną „moralność władzy zwierzchniej”.

„Moralność władzy zwierzchniej”, „indywidualny opór”... Gdyby nie to, co się stało w Kopenhadze, pomyślałbym, że to tylko pusta gadanina i że mam do czynienia z grupą studentów, którzy przed chwilą wrócili z pasjonującego wykładu i poczuli się wybrani. Jednak to, czym się zajmowali, nie było młodzieńczymi mrzonkami. To się działo naprawdę.

W miarę upływu czasu to, co zrobiłem w Illum, coraz bardziej mnie przerażało i coraz mocniej obciążało moją świadomość. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu zareagowałem tak impulsywnie.

Jednak Max i jej kumple brzmiali przekonująco i naturalnie, kiedy wyjaśniali, co ich skłoniło to przyjęcia takiej postawy. Przyczyną był illegalizm, to, co Charles nazywał „metafizyką kradzieży”. Teraz, kiedy wiedziałem, że ich słowa nie są częścią gadaniną, zabrzmiało to groźnie, ale i seksownie, a w dziwny sposób nawet słusznie. Jakby odkryli w tkance społecznej fundamentalną niesprawiedliwość, która sprawiała, że ich postępowanie było nie tylko usprawiedliwione, ale także konieczne.

Gustaf kłócił się o coś z Max, ale ja już wcześniej straciłem wątek. Charles i Robin zbierali talerze, Charles opowiadał coś o Johnie Coltranie. Dinah siedziała przy oknie oparta o ścianę. Miała przymknięte oczy i była na wpół zatopiona w swoim świetle. Nie miałem pojęcia, co myśleć o „metafizyce kradzieży”. Spytałem Max, dlaczego wypisywała sprejem te hasła, skoro ich grupa nie jest zainteresowana rewoltą ani rewolucją. Po co w ogóle zwracać na to czyjąś uwagę?

– Żeby nie czuli się zbyt pewni siebie – odparła. – Żeby wiedzieli, że bez względu na to, ile bogactw zgromadzą i jak wysokie wzniosą mury, żeby się od nas odizolować, w przyszłości i tak czekają na nich sznury i sztylety. Uderzymy z cienia, w ciemnościach, w dowolnym momencie. Niech nigdy nie czują się bezpiecznie. Niesiemy niepokój, świadomość tego, co próbują wyprzeć. Konsekwencje niesprawiedliwości, które ignorują.

Słyszając te słowa, dostałem gęsiej skórki, więc znowu wróciłem myślami do kałuży w szkole podstawowej, kiedy na kilka sekund opadła mi maska i dałem upust swojej dzikiej naturze. Może właśnie taki byłem w swoich prawdziwych nadziejach i oczekiwaniach? Skąd człowiek wie, co to znaczy prowadzić uczciwe życie?

– Poza tym hasła i nasze przesłanie są naprawdę seksowne – dodała Max. – A skoro wyglądają *cool*, to czy potrzebny jest inny powód?

To był cudowny wieczór. W ogrodzie panowały już kompletne ciemności, a krople deszczu coraz mocniej bębniły o szyby. Stłumiłem ziewnięcie. Na skutek wypitych drinków, wina i ciężkiej nocy, jaką za sobą miałem, opadło mnie nagłe zmęczenie.

– Myślę, że moje słowa powinny się pokrywać z czynami, w związku z czym pójdę się położyć – stwierdziłem i wstałem z kanapy. – Przepraszam, że jestem taki nudny, ale zapewniam, że zazwyczaj wyglądam inaczej. Powodem mojego obecnego stanu jest to, że mam za sobą długi dzień i równie długą noc.

– Przenocujesz u nas – zdecydował Charles, a kiedy chciałem zaprotestować, położył mi dłoń na ramieniu. – To postanowione. Max, pomóż naszemu nowemu przyjacielowi. Niech się u nas poczuje jak u siebie w domu.

Poszedłem z Max na piętro. Po drodze minęliśmy piękne malowane okno, które wychodziło na ogród. Mój pokój znajdował się po przeciwnej stronie korytarza. Max stanęła przed wysokimi niemalowanymi drzwiami.

– *Voilà!* – powiedziała, a gdy przeszedłem przez próg, rozłożyła ręce.

Okna wychodziły na ulicę. Pokój był mniejszy od pokoju Max, ale przynajmniej trzy razy większy od tego, który zajmowałem w mieszkaniu Ludviga. Tu też stało łóżko z baldachimem, na podłodze leżał wytarty orientalny dywan. Przy ścianie, naprzeciwko łóżka, uwagę zwracała komoda z szerokimi szufladami, nad którą wisiało lustro w ramie. Przy oknie, przez które widać było wysoki, pokryty żółknącymi liśćmi dąb, stało małe biurko. Granatowe tapety wyglądały tak, jakby je tu przyklejono w czasie, kiedy budowano dom. Niektóre z nich poodchodziły od ścian. Z sufitu dobiegał syk ze starych rur. Na łóżku leżały biała pościel i kilka poduszek.

– Wow! – zawołałem.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na pustą ulicę, żywopłot, drzewa i ceglane domy.

– Wygląda tu trochę lepiej niż w pokoju, który teraz wynajmuję, jeśli wolno mi tak powiedzieć – stwierdziłem.

– Jesteś wykończony – odparła Max. – Jutro pojedziesz ze mną i z Dinah na wycieczkę. Od tej pory to będzie twój pokój, ale zanim się tu wprowadzisz, załatw co trzeba z kolegami, od których wynajmujesz pokój.

– Zrobię to w tym tygodniu – westchnąłem.

Poczułem, że już nigdy nie będę chciał opuścić tego domu. Tego wieczoru tylko on się dla mnie liczył. Miałem w nosie studia i zwykłe życie, a zwłaszcza umowę na wynajem pokoju, którą zawarłem z Ludvigiem i Victorem.

– Pamiętaj, co im obiecałeś – przypomniała mi Max. – W piątek urządzają u siebie imprezę halloweenową.

Spojrzałem na nią i pokręciłem głową. W tym momencie nic nie było mi bardziej obce niż pomysł, żeby iść na tę imprezę.

– O jakiej wycieczce wspomniałaś? – spytałem, siadając na łóżku. – Na pierwszej omal nie utonąłem, na drugiej stałem się złodziejem.

Max z uśmiechem poklepała mnie po ramieniu.

– Mam nadzieję, że nie będzie aż tak dramatyczna. Myślałam, że cały czas myślisz o przyszłości? Jeśli tak, pozwól jej, niech się stanie.

Dotknęła mnie palcami, poczułem falę ciepła. Przypomniała mi się nasza noc na plaży. Kochaliśmy się, ale czy to coś znaczy? Co tak naprawdę do niej czuję? Ostatnio wydarzyło się tyle rzeczy, że pamięć o tym, co się stało na plaży, utonęła wśród innych zdarzeń. Na razie byłem jednak zbyt zmęczony, żeby te wspomnienia i obrazy uporządkować.

– Wasza uczciwość jest wielce selektywna, ale odnoszę wrażenie, że nie dotyczy twoich osobistych relacji ze mną – zauważyłem.

Max uśmiechnęła się i pocałowała mnie w policzek.

– Do jutra. Śpij smacznie.

Usłyszałem, że ktoś otworzył drzwi i wszedł do mojego pokoju.

– Wstawaj, śpiochu! Mamy piękny dzień!

Max podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Pokój zalało jaskrawe światło. Usiadłem na łóżku i przetarłem oczy. Max miała na sobie piankę do surfingu.

– Co się dzieje? – spytałem.

Wzięłem do ręki telefon, żeby sprawdzić godzinę. Ósma trzydzieści. Wróciły wspomnienia ostatnich dni. Nadal przebywałem w tym dziwnym domu, co oznaczało, że wszystko wydarzyło się naprawdę.

– Czy dzisiaj jest niedziela? – spytałem, otwierając w telefonie kalendarz.

Oczywiście, że tak. Jutrzejszego ranka miałem pójść na pierwszy wykład na temat prawa o umowach. Niby dlaczego mieliby nas rozpieszczać i dawać dodatkowy dzień wolny po weekendzie tuż po naszym pierwszym egzaminie? A tak w ogóle to czy ja nadal jestem studentem prawa?

– Deszcz przestał padać, wiatr ustał i burza poszła dalej – stwierdziła Max. – Świeci słońce, dzień jest prawie bezwietrzny, ale w pobliżu półwyspu Bjärehalvön od kilku dni panują idealne warunki do surfowania. Fale są spokojniejsze niż ostatnio.

Zrobiła pauzę, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Pierwszą lekcję surfingu powinieneś być wziąć przy takiej pogodzie jak dzisiaj. Nie miałbyś teraz na wardze tego fikuśnego żółtego plastra.

Max usiadła na brzegu łóżka i pogłaskała mnie palcem po policzku. Poczułem, jak oblewa mnie fala ciepła.

– Rana jest już prawie niewidoczna, więc chyba nic straszego się nie stało.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła Dinah. Przyniosła mi taką samą piankę, jaką miała Max.

– Włóż ją – poleciła. – Pojedziemy, zanim morze się uspokoi.

Po drodze zajechaliśmy mikrobusem na stojącą na wzgórzu za Landskroną stację benzynową, żeby kupić kawę i kanapki. W tym samym miejscu zatrzymaliśmy się poprzednim razem. Siedziałem z tyłu na lekko opuszczonym fotelu, obok mnie leżały trzy krótkie deski surfingowe. Dinah i Max siedziały z przodu.

– Tym razem nie zostałeś porwany – oznajmiła Max.

– Dzisiaj to ty jesteś porywaczem – dodała Dinah. – Syndrom sztokholmski.

– Jestem Patty Hearst z Söderköpingu – odparłem.

– Przepraszam, że przydzieliliśmy ci najmniejszy pokój, ale tylko on nam został – powiedziała Dinah i spojrzała na mnie we wstecznym lusterku. – Ludzie są tacy zachłanni.

– I tak jest większy od tego, który wynajmuję – odparłem.

Miałem mokre włosy i byłem sztywny z zimna. Kilka godzin po kolejnej lekcji surfowania poszliśmy do restauracji Garage w miejscowości Höganäs. Kiedyś stał na tym miejscu duży magazyn. Dinah zamówiła dla nas po hamburgerze. Traktowała nas jak starsza siostra, która zawsze wie, czego potrzebujemy. Było to dość irytujące, choć z drugiej strony dawało nam coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa.

Do naszego stolika podeszła kelnerka.

– Dla niego Monster Shake z bourbonem – powiedziała Dinah, wskazując mnie ręką.

Kelnerka skinęła głową.

– Widzę, że państwo surfowali? Szacunek!

– Tak, ale krótko, bo nasz kolega jest początkujący – odparła Max i mrugnęła do niej okiem.

Byłem dumny, że kelnerka wyraziła się o mnie z szacunkiem, chociaż Max wyraźnie zaznaczyła, że dopiero się uczę.

– Myślałam, że sezon na surfowanie się skończył, ale widzę, że niektórzy robią to przez cały rok – zauważyła kelnerka.

Okazało się, że Monster Shake składa się z coli, lodów i bitej śmietany i ma słodki smak z lekką nutką alkoholu. Zanim dostaliśmy nasze hamburgery, zdążyłem wypić połowę.

– Dobry, prawda? – spytała Dinah.

Jej pytanie mnie zirytowało, ale musiałem przyznać, że słusznie się domyśliła. Szejk faktycznie mi smakował. Z kolei hamburger oznaczał dla mnie porcję jedzenia o wadze stu dwudziestu gramów w barze Sibylla na parkingu przy autostradzie E22 w Söderköpingu, ewentualnie dwa cheeseburgery w McDonalddie lub jednego Whoppera. Te nie były grube, krwiste ani pełne chili, sera czy bekonu.

Skinąłem głową, przełknąłem jedzenie i popiłem je szejkiem.

– Jesteś lepszy w surfowaniu, niż przypuszczałam – stwierdziła Dinah. – Przez cały czas trzymałeś się z dala od skał.

Faktycznie, było to przyjemne doznanie. Po tym, co mi się przytrafiło ostatnio, na początku trochę się bałem, ale nawet przez chwilę nie dałem po sobie poznać, że się waham, tylko popłynąłem razem z nimi. Piąta próba zakończyła się sukcesem: udało

mi się stanąć na desce i przez chwilę na niej utrzymać. Po godzinie zachowałem równowagę prawie na całej fali.

– Cóż mogę powiedzieć? – odparłem. – Mam wrodzony talent.

Siorbałem resztę szejka. Kiedy Dinah wyszła do toalety, Max pochyliła się do mnie i powiedziała:

– Niedługo z nami zamieszkasz. Wreszcie.

Zaśmiałem się, ale fakt, że Max w tak oczywisty sposób zadeklarowała, iż chce być ze mną, sprawił mi przyjemność.

– Jak to wreszcie? Przecież dopiero co się poznaliśmy.

Chciałem jakoś skomentować to, do czego doszło między nami na plaży w Kopenhadze, ale nie wiedziałem jak. Myślałem, że po przebudzeniu będę miał w głowie większy porządek niż wczoraj, ale najwidoczniej się myliłem. Może lepiej będzie dać się ponieść fali i poczekać, dokąd mnie zabierze? Wszystko toczyło się w szybkim tempie. Czułem się tak, jakbym stanął na rozdrożu, a najważniejszą sprawą miało być to, gdzie zamieszkam. Siedziałem na symbolicznym motocyklu, przede mną rozpościerała się pustynia. Przestałem się wahać, wątpliwości zniknęły.

– Powinieneś pojechać ze mną do Sztokholmu – powiedziała Max.

Dopiłem szejka i spytałem:

– Czemu akurat tam?

– Mam tam kumpelę, która załatwi nam pokój na dwie noce w świetnym hotelu. Chcę ci pokazać miejsca, z których pochodzę. Byłeś w Sztokholmie?

– Dwa razy, czyli prawie wcale. Chcesz powiedzieć, że zamieszkamy w tym pokoju tylko we dwoje?

– Tak i nie przyjmę do wiadomości odmowy.

– Zobaczmy – odparłem i przekornie się uśmiechnąłem. Max klepnęła mnie w ramię i udała obrażoną. – Oczywiście, że chcę tam z tobą pojechać – dodałem.

Kiedy wracaliśmy, zaczęło się ściemniać. Jechaliśmy autostradą E6, minęliśmy Landskrone, niebo nad Barsebäck zaciągnęło się różową łuną. Na tle zachodzącego, okrągłego jak kula ziemskiego słońca, wznosiła się sylwetka zamkniętej przed laty elektrowni jądrowej. Na drugim brzegu cieśniny widać było Danię. Max siedziała za kierownicą i patrzyła spod zmrużonych powiek na zachodzące słońce. Dinah drzemała z głową opartą o okno. Tak samo jak ja przed tygodniem, kiedy wracaliśmy tą samą drogą. Miała apatyczny wzrok i obojętność w oczach. Zastanawiałem się, jak często używa spreju, który niedawno mi dała.

Charles stał w kuchni. Miał na sobie fartuch i rozpakowywał kartony z jedzeniem. Zauważyłem, że kiedy otwierał lodówkę, żeby wyjąć z niej butelkę belgijskiego Leffe,

ręce lekko mu drżały. Na dworze było już całkiem ciemno. Charles uśmiechnął się na mój widok, twarz mu się rozjaśniła.

– Zaczynamy szykować kolację – oznajmił. – Będziemy świętować dwie rzeczy: to, co w piątek wydarzyło się w Kopenhadze, i twoją przeprowadzkę do naszego domu, więc nie zamierzam oszczędzać. Tournedos Rossini! Jakkolwiek by patrzeć, mamy niedzielę.

– Myślałem, że takie kolacje jadacie tylko w soboty?

– Tak, ale dzisiaj gościmy tu ciebie, a to też dobra okazja do świętowania.

Do kuchni wszedł Robin. Charles odwrócił się do niego i powiedział:

– Szykujemy twoje ulubione danie.

Dinah wyjęła z toreb trzy cienkie drewniane pojemniki i popatrzyła mu w oczy.

– Kupiłeś ostrygi? Widzę, że pieniądze przestały stanowić dla ciebie problem, przynajmniej do czasu, gdy będziemy ci zapewniać to, czego potrzebujesz.

Charles spojrział na nią poirytowanym wzrokiem, chociaż starał się to ukryć pod maską uśmiechu.

– Poczekaj! Już wiem! – zawołała Dinah, zanim Charles zdążył się odezwać. – Jedzenie ostryg i tournedos to akt oporu. Uderzenie w wielki kapitał, sprzeczności społeczne i istniejący porządek światowy.

Położyła pudełka na wyspie i popatrzyła na nas.

– Mimo to wyglądają wspaniale. Jak można być antysystemowcem, a jednocześnie jadać tak smacznie?

– Nie zwracaj na nią uwagi – stwierdził Robin. – Ma kaca.

– Jeśli chcesz, mogę ci pomóc – zadeklarowała Max, zwracając się do Charlesa.

Wypowiedziała te słowa łagodnym, przyjaznym tonem, jakby chciała skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. Widać było, że w przeciwieństwie do swojej starszej siostry, która wyraźnie szukała konfliktu, pragnie uniknąć tematów spornych. Charles wziął do ręki nóż do oprawiania małży i spojrział na Dinah.

– Czy masz jakieś uwagi w sprawie naszej uroczystości? – spytał.

Jego głos – zwykle żartobliwy, prowokujący i insynuujący – tym razem był pusty i suchy, pozbawiony zwyczajowej ironii.

– Grozisz mi? – spytała Dinah, wskazując nóż, który Charles nadal trzymał w dłoni. Zaśmiała się, ale nie był to przyjazny śmiech.

Przez chwilę oboje stali na przeciwległych krańcach kuchni i patrzyli na siebie w milczeniu.

– Czy ktoś ma ochotę na browarek? – odezwał się nagle Gustaf.

Otworzył lodówkę i wyjął dwie butelki piwa Leffe. Jego mina mówiła, że bardzo mu zależy na złagodzeniu napiętej atmosfery, która uległa jeszcze pogorszeniu.

Dinah i Charles nadal na siebie patrzyli, aż w końcu Dinah odwróciła się do Gustafa i powiedziała:

– Poproszę. Chętnie się napiję.

Gustaf podał jej otwartą butelkę, a Dinah przewróciła oczami.

– *Sorry*, ale i tak wiesz, że cię kocham – oznajmiła łagodniejszym tonem, wznosząc butelkę w stronę Charlesa.

Charles stuknął się z nią swoją butelką, jakby chciał pokazać, że pieczętuje w ten sposób zawieszenie broni. Chyba je zaakceptował, ale niezbyt chętnie. Dinah skinęła głową w moją stronę i powiedziała do Gustafa:

– Jemu też daj butelkę. To jego pierwsza niedziela!

Gustaf podał mi piwo, a ja odparłem:

– Nie tak całkiem pierwsza. Nie urodziłem się dopiero w tym tygodniu.

Gustaf i Dinah się zaśmiali, a Max stuknęła się ze mną swoją butelką.

– Wydaje ci się, że miałeś w życiu jakieś niedziele? Jesteś pewien, że tak faktycznie było?

Robin zapalił świece, a ja pomogłem Gustafowi wnieść duży półmisek, na którym leżały obłożone lodem ostrygi. Dinah pomogła Max je otwierać. Robiła to w zadziwiająco szybkim tempie.

– Czegoś się jednak nauczyliśmy w tamte letnie miesiące w Bretanii – stwierdziła Max i mrugnęła do mnie.

Postawiliśmy półmisek na stole i Charles otworzył butelkę szampana. Korek strzelił i poszybował do sufitu. Charles nalał każdemu po trochu, odwrócił się do mnie i uniósł kieliszek.

– Pamiętasz toast z Baudelaire’a? – spytał.

Zaśmiałem się. Ile piw już wypilem? Dwa? Trzy?

– *Trzeba być wciąż pijanym*²⁰ – odparłem. – Tak się to chyba zaczyna?

Wszyscy głośno wyrazili aplauz i unieśli swoje kieliszki w moją stronę.

– Tak – potwierdził Robin. – *To cały sekret, w tym tkwi wszystko.*

– *Żeby nie czuć strasznego ciężaru czasu* – dodała Max.

– *Który miazdzy wam barki i zgina grzbiet ku ziemi* – kontynuował Gustaf.

– *Musicie wciąż się upijać* – zakończyła tę wymianę cytatów Dinah.

Wypowiadając to zdanie, przymknęła oczy, a kiedy znowu je otworzyła, stuknęliśmy się bez słowa kieliszkami.

– Nie wszystkie nasze niedziele są takie uroczyste jak ta, ale uznałem, że powinniśmy cię godnie powitać – wyjaśnił mi Charles. – Bardzo się cieszymy, że do nas dołączyłeś. Jak już wiesz, życie, które prowadzimy, nie jest dla wszystkich, ale ja

od samego początku czułem, że będziesz do nas pasował. Czułem to od pierwszej kolacji, na którą cię zaprosiliśmy. W Kopenhadze wykazałeś się wielką odwagą.

Uniósł kieliszek, a Max obrzuciła mnie dumnym wzrokiem.

– Witaj w naszym domu! Od tej pory jesteś jednym z nas.

Przyłączyłem się do toastu.

Ostrygi były duże i każdy ich kęs smakował jak wszystkie morza świata. Dzięki ostrygom i szampanowi zapomniałem o innych rzeczach. Znalazłem nowe miejsce do życia i zyskałem nowych, groźnych przyjaciół, którzy mieszkali w starym, rozpadającym się domu. Po drugiej stronie stołu Robin toczył ożywiony spór z Dinah. Ich rozmowa dotyczyła dzieła sztuki, o którym dyskutowali w czasie naszej pierwszej wspólnej kolacji. Charles opowiadał Gustafowi o amerykańskiej anarchistce Voltairine de Cleyre.

– W dziewiętnastym wieku opublikowała tekst pod tytułem *Sex Slavery*. Trudno uwierzyć, że po tylu latach ciągle dyskutujemy o tych samych sprawach.

Max pochyliła się do mnie i szepnęła:

– Wiem, że kochasz to tak, jak my wszyscy, a może nawet bardziej.

Mówiąc to, patrzyła na mnie swoimi zielonymi jak wodorosty oczami, które wyrażały troskę.

– Kiedy wszystko inne się skończy i przeminie, ty nadal będziesz pamiętał, dzięki czemu tak się dzisiaj czujesz – dodała.

Zmarszczyłem czoło.

– A co ma się skończyć i dlaczego? Przecież dopiero do was dołączyłem.

Max jeszcze bardziej się pochyliła, potargała mi włosy i wstała.

– Czas na główne danie! – zawołała.

Później tylko rozmawialiśmy, żartowaliśmy i toczyliśmy zażarte dyskusje w kuchni. Charles usmażył filet wołowy i gotowe plastry rozłożył na kromkach smażonego chleba. Potem przybrał je grubymi kawałkami gęsiej wątróbki i polał sosem z madery z małego miedzianego garnka. Na koniec wziął jakąś czarną kulkę i podrobił ją nad talerzami.

– To trufla – szepnął, mrugając do mnie. – Ale nie mów o niej Dinah, bo znowu zaczniesz marudzić.

To, co przygotował Charles, było tak smaczne, że przez chwilę czułem się jak w siódmym niebie. Nigdy wcześniej nie jadłem czegoś równie dobrego. Łagodny smak gęsiej wątróbki mieszał się ze smakiem ciężkiego, słodkiego sosu na krwistym steku.

– Tajemnica nie kryje się w wołowinie czy wątróbce – wyjaśnił Charles na widok mojej reakcji. – Każdy może wymieszać kilka składników, żeby uzyskać pozytywny rezultat.

Nalał sobie ciemnoczerwonego, prawie czarnego wina i wypił duży łyk.

– Kluczem nie jest mięso ani wątróbka, tylko bulion, który tworzy bazę sosu. Trzeba go ugotować na wybranych kościach, a wtedy poczuje się niebo w gębie.

I właśnie tak to smakowało. Czułem się tak, jakbym szybował nad ziemią. Później, kiedy byliśmy już najedzeni i wypiliśmy sporo wina, poszliśmy do biblioteki. Leżeliśmy na podłodze i na kanapach, przeglądaliśmy książki i dalej popijaliśmy wino. Potem Charles poprosił mnie o pomoc i poszliśmy do kuchni. Przygotował półmiski wypełnione domowej roboty sosem waniliowym z polewą czekoladową, podczas gdy ja zagotowałem wodę i nasypałem kawy do ekspresu. W pewnej chwili zauważyłem, że Charles mi się przygląda. Świece, które stały na wyspie i na parapecie wychodzącego na ogród okna, powoli się dopalały. Charles wypił trochę wina i powiedział:

– Nie jesteś tu pierwszy, ale podobasz mi się najbardziej.

Kuchnia zawirowała mi przed oczami, więc doszedłem do wniosku, że nie powinienem więcej pić. To, co powiedział Charles, zabrzmiało jak cytat, ale nie potrafiłem go umiejscowić.

– Słucham? – spytałem. – Co masz na myśli?

Charles zrobił krok w moją stronę.

– Od trzydziestu lat wynajmuję pokoje studentom, ale żaden z nich nie był tak błyskotliwy jak ty.

Wypił duży łyk wina i wyciągnął rękę w stronę biblioteki.

– Od dawna marzyłem o takich jak oni. O ludziach, których nie obchodzi konformizm ani moralność społeczna, o silnych jednostkach, które są na tyle zmotywowane i odporne, że w sytuacjach, w których trzeba się zachować inaczej, niż ludzie się tego spodziewają, gotowi są podjąć niezwykle ryzyko.

Charles zamilkł i pokręcił w zamyśleniu głową. Wyglądało to tak, jakby bardziej rozmawiał ze sobą niż ze mną.

– To drapieżniki – dodał.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że nie jestem pierwszy?

Charles miał taki wyraz twarzy, jakby nie usłyszał mojego pytania, a ja nie potrafiłem określić, co się dzieje w jego głowie. Czasem potrafił się zachowywać szczerze i poważnie, po czym nagle rzucał jakieś sporne, prowokacyjne stwierdzenie, żeby zwiększyć napięcie. Potem tylko czekał, gdzie i jak wywołane w ten sposób emocje znajdą ujście.

– Oni nie wierzą, że wiem, iż to, co wcześniej powiedziała Dinah, dotyczy ich wszystkich. Myślą, że nie wiem, jak mną pogardzają. Uważają mnie za teoretyka, który nie radzi sobie z życiem, bo właśnie takie sprawia wrażenie. Ich zdaniem utknąłem

w burżuazyjnych pozorach i przywilejach i zbieram owoce ich gotowości do ponoszenia ryzyka, jakbym należał do jakiejś zasiedziałej elity.

Zabrzmiało to tak, jakby Charles użalał się nad sobą.

– A nie mają racji? – spytałem. Charles uśmiechnął się i pogroził mi palcem jak niegrzecznemu chłopcu, ale postanowiłem drążyć temat. – Czy gdyby dla ciebie nie kradli, stać by cię było na to, żeby tu mieszkać albo kupować ostrygi z szampanem?

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby wypowiedzieć się aż tak szczerze, ale to, że w całej tej gadaninie o radykalnej uczciwości Charles pewne rzeczy chyba insynuował, a innych unikał, wydawało mi się swego rodzaju prowokacją.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie chciałem tego powiedzieć.

Charles spojrział na mnie i odstawił kieliszek na blat.

– Posiadasz coś, czego im brakuje – odparł. – Możesz być pewien, że kiedyś po to przyjdą, a potem cię zostawią.

– Nie rozumiem – odparłem.

W tej samej chwili usłyszałem kroki na korytarzu i do kuchni wszedł Robin.

– Mamy jeszcze whisky? – spytał. – Przysięgam, że nie wypiję już ani kieliszka więcej tej ciężkostrawnej lury.

Podszedł do pierwszej z brzegu szafki, otworzył ją i zamknął. Widać było, że jest już mocno pijany. Charles obserwował go przez kilka sekund, po czym otworzył jedną z szafek.

– Dziś wieczorem możesz się napić tego – powiedział, stawiając na blacie butelkę J&B z żółtą etykietą i czerwonym korkiem. – Nic lepszego nie dostaniesz, bo w swoim obecnym stanie i tak tego nie docenisz.

Kiedy rano się obudziłem, na dworze było jeszcze ciemno. Dochodziła ósma. Przez okno wpadał do pokoju strumień światła z ulicznej latarni. Usiadłem w łóżku.

Z początku nie mogłem się połapać, gdzie jestem, byłem zaspany. Próbowałem przywołać z pamięci jakieś szczegóły, ale resztki snu odeszły dopiero wtedy, kiedy sobie przypomniałem kolację, whisky, płonące świece i śmiechy w bibliotece.

Rozejrzałem się i wtedy do mnie dotarło, że w domu Charlesa spędziłem drugą noc z rzędu. Znajdowałem się w pokoju, do którego wkrótce zamierzałem się wprowadzić. Miałem lekkiego kaca i zaschło mi w ustach. Zacząłem rozmyślać o Max i o swojej przyszłości. Nagle mi się przypomniało, że za pół godziny mam wykład, więc westchnąłem i wstałem z łóżka. Temat dotyczący przewidywalnych i nieprzewidywalnych okoliczności w prawie o umowach wydał mi się nagle bardzo odległy. Wyobrażałem sobie, co by się stało, gdybym na ten wykład nie poszedł, tylko

pospał trochę dłużej, a potem zszedł na dół, wypił z pozostałymi osobami kawę i spędził z nimi cały dzień w śmiechu i radości.

W końcu westchnąłem i wstałem z łóżka. Nie byłem sobą. Nie do końca. Jeszcze nie.

Na piętrze było ciemno, wszyscy spali. Dopiero gdy zszedłem na dół i spojrzałem w głąb wyłożonego boazerią korytarza, zauważyłem, że w kuchni pali się światło. Poczulem też zapach kawy, któremu nie potrafiłem się oprzeć.

Charles siedział na taborecie przy wyspie i czytał książkę. Przed nim stał kubek z parującą kawą i koszyk świeżo upieczonych, wyłożonych na serwetkę bułeczek. Na mój widok podniósł się z krzesła.

– Wczesnie wstałeś – stwierdził z zadowoloną miną i od razu nalał mi kawy do kubka. – Żeby prowadzić uczciwe życie, trzeba wczesnie wstawać. Wygląda na to, że do tej pory tylko ja byłem tego świadom.

– Drapiezniki żerują nocą – odparłem, popijając kawę.

Charles spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby nie zrozumiał, o czym mówię.

– Sam wczoraj mówiłeś, że są drapiezcami, że mnie wykorzystają i zostawią – wyjaśniłem.

Charles nie skomentował moich słów.

– Czemu wstałeś tak wczesnie? Masz coś w programie? – spytał.

– Idę na wykład na temat umów.

Charles z poważną miną skinął głową.

– Studiujesz prawo... Myślę, że to mądry wybór. Poznaj swojego wroga i takie tam.

– Żeby tylko o to chodziło... Nie radzę sobie ze szczegółową wiedzą na temat wypowiedzania umów.

Zrobiłem krótką pauzę i wypilem trochę kawy.

– Przed wykładem zajdę do swojego mieszkania po podręczniki. Wpadnę do was w tygodniu, a wprowadzę się w weekend.

Charles rozjaśnił się na te słowa.

– Oczywiście! Będziesz tu mile widziany.

Wychodząc z kuchni, odwróciłem się i spojrzałem na niego, ale Charles był już zatopiony w lekturze książki.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że nie jestem pierwszy? – spytałem.

Charles oderwał się od książki i popatrzył na mnie zmieszonym wzrokiem.

– Ja tak powiedziałem?

– Nieważne. Pewnie się przesłyszałem.

In *pari delicto* – mruknął Fredde.

Był czwartek i ostatni weekend wydawał mi się tak odległy, jakby w ogóle go nie było. Max komunikowała się ze mną za pomocą krótkich esemesów. Pomysł, żebym do najbliższego weekendu przeprowadził się do ich willi, w miarę upływu czasu wydawał mi się coraz bardziej obcy.

Fredde zamknął laptopa i uśmiechnął się do mnie. Wokół nas rozbrzmiewał gwar rozmów studentów z naszego roku, którzy zapełniali Aulę Pufendorfa. Przed chwilą skończył się wykład, nastroje były minorowe. Wszyscy wiedzieli, że za godzinę zostaną ogłoszone wyniki naszego pierwszego egzaminu.

– Facet wykładał cholernie mętnie – stwierdził Fredde. – A może dla ciebie było to absolutnie jasne?

Zdziwiło mnie, że Fredde kwestionuje terminologię prawną, bo prawie zawsze łykał wszystko bez protestu. Jednak termin *in pari delicto* brzmiał w jego uszach tak pokracznie, że nawet jemu wydał się komiczny.

– Trudno uwierzyć, że można wymyślić coś tak skomplikowanego – mruknąłem w odpowiedzi. – Trzeba się w to naprawdę wczytać. Odnoszę wrażenie, że autorowi zależało, żeby jak najmniej osób zrozumiało sens tego terminu.

Ale Fredde już mnie nie słuchał, bo chwilę wcześniej wstał i ruszył korytarzem, na którym pojawił się czerwony płaszcz Alice.

– *In pari delicto* – powtórzył, ale tym razem głośniej, kierując te słowa do niej. – A co ty o tym sądzisz? Czy ten termin jest dla ciebie absolutnie jasny?

Fredde uznał najwidoczniej, że nie będzie tracił na mnie czasu. Tydzień temu, w czasie jednej z symulacji procesów sądowych, obaj byliśmy w tej samej grupie, co Alice i Wilma. Wilma miała jasne włosy, była ładna i zestresowana. Pochodziła z Uddevalli i brała czynny udział w życiu Bractwa Göteborga. Zakuwała z podręcznika *Prawo umów* Adlercreutza i była coraz bardziej spanikowana. Najczęściej mówiła: „To niemożliwe!”.

Alice była od niej o rok starsza. Przez pół roku studiowała finanse międzynarodowe, a później przeniosła się na prawo. Była lekko puszysta, włosy miała upięte, wargi pomalowane czerwoną szminką. Każdą swoją wypowiedź zaczynała od słów: „Podejdźmy do tego na spokojnie, tak będzie najwłaściwiej”.

I rzeczywiście, to, co prezentowała, zawsze było właściwe. Tak jak Fredde miała intuicję, która jej podpowiadała, jak bardzo zawiłą sprawą jest prawo i jak rozumują sądy. Tak jak on interesowała się kwestią umów i podatkami, ale niewiele mówiła o sprawiedliwości i pryncypiach. Oboje zbliżyli się do siebie już na naszym pierwszym spotkaniu. Oczami wyobraźni widziałem biura i urzędy, w których mogliby znaleźć zatrudnienie, urlop macierzyński, mieszkanie własnościowe, do którego przywiozą swoje dzieci, i przeprowadzkę do willi na przedmieściu. Krótko mówiąc: zwykłe rodzinne szczęście, na którym każdemu zależy i które na pewno kiedyś osiągną.

Nie żebym wątpił, że takie życie przyniesie im szczęście i spełnienie albo że do nich nie pasuje. Chodziło raczej o to, że ja też powinienem dążyć do takich celów. Niekoniecznie w każdym szczególe, ale przynajmniej po to, żeby je zaakceptować jako możliwy i prawdopodobny rezultat. Kimże bowiem jestem, żeby nie snuć takich marzeń? Czy ja naprawdę uważam, że jestem od nich lepszy i bardziej interesujący? Wart lepszego losu? Jakbym słyszał głos mojej mamy.

Przypomniał mi się ostatni, nierzeczywisty weekend w Kopenhadze, ciężar zegarków w kieszeni kurtki, plaża, smak jägermeistra, wspólne kolacje, Charles, noc u boku Max, pobudka na dźwięk rozmów dobiegających z kuchni i biblioteki. Dzięki temu wszystkiemu poczułem się w końcu tak, jakbym zaczął nowe życie, inne od tego, które aż do ostatniego piątku toczyło się w zwolnionym tempie, jakbym się przed nim bronił i sam się przed sobą ukrywał. Może naprawdę zasłużyłem na coś lepszego? Kiedyś uważałem, że nie, ale teraz? Po tym, jak zaznałem innego życia i czy mi się otworzyły? Nie miałem odwrotu.

– Masz problem z terminem *in pari delicto*? – usłyszałem nagle czyjś głos.

Uniosłem głowę i spojrzałem na Alice. Stała przed Freddem i patrzyła na niego zalotnym, pewnym siebie wzrokiem. Przez ramię miała przewieszony laptop i torbę z podręcznikami. Widać było, że przygotowała się na długą naukę w bibliotece. Popatrzyła na mnie i stwierdziła:

– Widzę, że przynajmniej ty nie masz problemu z prawem dotyczącym umów?

– Mam albo nie mam – odparłem. – Największy kłopot polegał chyba na tym, żeby nie zasnąć na wykładzie.

Był koniec października, nad miastem wisiały niskie, ciemne chmury, mimo że dochodziła dopiero dziesiąta rano. Wyszliśmy na ulicę. W pokojach dziekanatu paliły się pojedyncze światła. Lato trwało dłużej niż zwykle, ale tak naprawdę zaczęła się jesień. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

– Zostały nam trzy kwadransy – stwierdził Fredde, patrząc na telefon. – Zanim zapadnie wyrok, zdążymy zająć miejsca w bibliotece.

– Idź sam – odparłem. – Popołudnie spędzę w domu.

– Nie wygłupiaj się, chodź z nami – zaprotestował Fredde, ale ja wiedziałem, że nie mówi tego szczerze. Perspektywa spędzenia całego dnia z podręcznikami w towarzystwie Alice była spełnieniem jego romantycznych marzeń.

– W chwili ogłoszenia wyników nie możesz być sam – wsparła go Alice. – Zgodnie z tradycją studenci powinni być wtedy razem i wzajemnie się wspierać.

– To nasz pierwszy egzamin, więc jeszcze nie mamy żadnych tradycji – odparłem. Przeszył mnie zimny wiatr, naciągnąłem kaptur na głowę.

– Ale taka jest tradycja – zaproponowała Alice. – Wszyscy powinni jej przestrzegać.

– Daj mu spokój – wtrącił się Fredde. – Niech robi, co chce.

– Fredde ma rację – odparłem. – Zobaczymy się później.

W mieszkaniu nikogo nie zastałem, więc od razu poszedłem do swojego pokoju. Za dwadzieścia pięć minut uczelnia ogłosi wyniki egzaminu. Było mi obojętne, jak moja praca została oceniona, bylebym dostał zaliczenie i mógł kontynuować studia. I chociaż ostatni weekend pokazał, że moje życie może być znacznie ciekawsze niż do tej pory, nadal czułem się sobą i chciałem być najlepszy.

Oceny na naszym kierunku miały archaiczny charakter i wyglądały inaczej niż na innych kierunkach. Na prawie nie wprowadzono pod tym względem żadnych zmian. Ocena „B” oznaczała, że egzamin został zdany i zaliczony, „BA” była o stopień wyższa. Najbardziej pożądaną była oczywiście „AB”. Panowała opinia, że jeśli ktoś przez większą część nauki nie uzyska najwyższych ocen, po ukończeniu studiów będzie skończony i będzie się musiał pożegnać z marzeniami i zacząć szukać pracy w jakimś lokalnym urzędzie, filii banku na prowincji albo w małej firmie przemysłowej w takich miastach jak Norrköping. Ale nie to przerażało mnie najbardziej. O wiele bardziej bałem się tego, że niska ocena będzie dowodem na to, iż jestem za słaby, żeby się równać z najlepszymi w kraju. W podstawówce i liceum należałem do najlepszych uczniów, ale tu chodziło o poziom ogólnokrajowy. Czy miałem to, co konieczne, żeby ten poziom osiągnąć?

Położyłem się na łóżku i wziąłem do ręki *The Flamethrowers*. Wolałem nie myśleć o tym, co za chwilę się wydarzy, ale i tak nie mogłem się skupić na treści książki. Przez dziesięć minut zaczynałem czytać ten sam fragment od początku i w końcu dałem za wygraną. Usiadłem na łóżku, położyłem na kolanach laptop i zalogowałem się na portal dla studentów. Na trzy minuty przed publikacją ocen odświeżyłem stronę. Byłem w tej samej sytuacji, co setka innych studentów: siedziałem z palcem na klawiaturze i sercem podchodzącym do gardła. Nie dawało mi spokoju, że się tym tak przejmuję. Miałem ochotę wzruszyć ramionami i to olać, wyjść na ulicę i nigdy nie wrócić. Mimo to raz za razem odświeżałem stronę.

Na minutę przed wyznaczoną godziną strona się zawiesiła, a ja zacząłem się zastanawiać, czy zgodnie z tradycją nie powinienem w tym momencie być z kimś, tak jak proponowała Alice. W tej chwili setki osób trzymały palce na touchpadzie swoich laptopów. Świadomość faktu, że nie mogę przestać o tym myśleć, bo ocena z egzaminu jest dla mnie ważna, nie dawała mi spokoju. Najwidoczniej nie zdążyłem się jeszcze uwolnić od konwenansów. Nadal najważniejsze było dla mnie to, żeby nie popełnić błędu.

Strona znowu się zawiesiła. Spojrzałem na zegar w prawym górnym rogu ekranu: minuta po jedenastej. Odświeżyłem stronę, zamknąłem oczy, otworzyłem je i przesunąłem kursorem po ekranie. Zobaczyłem to, na co tak czekałem: wynik egzaminu. Czarna litera, czarne cyfry i znowu czarna litera. **T101 32/50 B**. Wszystko wytłuszczonym fontem.

Zamrugąłem oczami i znowu spojrzałem na ekran. Dostałem ocenę „B”. Nie „BA”, a tym bardziej „AB”. Zaliczyłem, ale nic więcej. Krew napłynęła mi do głowy, poczułem zarówno ulgę, jak i pustkę. Zamknąłem laptopa i wstałem z łóżka. Świadomość tego, co się stało, dotarła do mnie dopiero po chwili. Okazało się, że nie jestem ani wybitny, ani słaby, tylko po prostu przeciętny, a może nawet gorzej. Nie dostałem nawet „BA”, jak wielu moich kolegów z roku, tylko najniższą ocenę na zaliczenie. Zdałem, ale słabo.

Położyłem się na łóżku, spokojnie oddychałem i rozglądałem się po moim skromnym pokoju. Przeciętniak. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz nie uzyskałem najwyższej oceny z czegoś, nad czym intensywnie pracowałem, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Wprawdzie w liceum dostałem „B” z matematyki i chyba z biologii, ale stało się tak z jednego powodu: wiedziałem, że i tak dostanę dobre świadectwo, więc nie muszę dawać z siebie wszystkiego. Tymczasem na uniwersytecie było zupełnie inaczej.

Poczułem wibrowanie telefonu. Fredde przysłał mi wiadomość.

Jak poszło?

Wstałem, przeszedłem się kilka razy po pokoju i wróciłem na łóżko. Tak czy inaczej, zdałem i niczym nie musiałem się przejmować. Problem oceny miał charakter drugorzędny. A to, że nie jestem najlepszy na roku? No cóż, świat się nie zawali. Zresztą już wcześniej uznałem, że to nie dla mnie. A jeśli się mylę? Dlaczego czuję się tak, jakby ktoś wbił mi nóż w serce? Mama chyba miała rację. Nie jestem jedynym człowiekiem na świecie, który chce coś osiągnąć w życiu, tylko kimś, kto w najważniejszej chwili, kiedy powinien był pokazać, że jest najlepszy, okazał się najgorszy. Położyłem się na łóżku, zakryłem twarz poduszką i krzyknąłem:

– Kurwa!

Przypomniały mi się krótkie esemesy, które przysłała mi Max. Ustaliliśmy, że będziemy się ze sobą kontaktować i że się do nich wprowadzę. A co, jeśli nic z tego nie wyjdzie? Przez nią i jej kumpli stałem się złodziejem. Potem nie działa się nic, bo sobie odpuściłem. Po raz pierwszy w życiu dałem się ponieść fali, nie myśląc ani o konsekwencjach, ani o tym, dokąd mnie ta fala zanieśie. Mało brakowało, a ze wszystkiego bym zrezygnował. Czy to znaczy, że wpadłem na skały?

Rozejrzałem się po pokoju. Przecież nie zdziaczałem tak jak Max i cała reszta. Jestem przeciętnikiem. Telefon znowu zawibrował, ale nie zareagowałem, bo nie chciało mi się czytać kolejnych wiadomości od Freddego. Zamknąłem oczy i przewróciłem się na bok. Ogarnęło mnie nagłe zmęczenie, czułem się kompletnie wyczerpany.

Obudziłem się wczesnym popołudniem. Pokój był bladoszary, przez okno w dachu wpadało słabe światło. W głowie mi dudniło, zaschło mi w ustach. Głęboko odetchnąłem i wyszedłem z pokoju. Miałem cichą nadzieję, że nadal jestem w mieszkaniu sam. W przedpokoju się okazało, że przynajmniej tego dnia miałem szczęście. Telewizor był wyłączony, w kuchni pracował wentylator, który ktoś zapomniał wyłączyć. Czułem się trochę rozlazły, częśćka mojej osoby nadal spała. Zrobiłem sobie kanapkę i powoli ją jadłem, patrząc przez okno na zimne, szare podwórze. Potem wyjąłem telefon i dopiero teraz zobaczyłem, że wiadomości, którą dostałem, nie wysłał Fredde, tylko Max.

Znasz już ocenę z egzaminu?

Jeszcze ona! No tak, ale przynajmniej dała znak życia. Pamiętała, że wyniki zostaną ogłoszone dzisiaj. Zależało jej. To już coś. Ale nic więcej.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął Ludvig. Przeszedł przez salon i wszedł do kuchni.

– Mistrzu! – zaczęła, otwierając lodówkę. – Chyba nie zapomniałeś, że obiecałeś nam jutro pomóc w czasie imprezy?

Wyjął karton mleka, przyłożył go do ust, ale w ostatniej chwili wstrzymał się z piciem.

– *Sorry, to twoje?*

Mleko faktycznie było moje, ale nawet nie chciało mi się o tym myśleć, więc tylko pokręciłem głową. O imprezie zupełnie zapomniałem.

– Chyba się stąd wyprowadzę – powiedziałem.

– Dobrze, że sam poruszyłeś ten temat – odparł Ludvig. – Nasza umowa jest ważna do końca roku i jeszcze nie rozmawialiśmy o tym, co będzie później. Myślę, że twoim pokojem byłby zainteresowany William, ale szczerze mówiąc, jestem zawiedziony, że znalazłeś sobie coś innego. Przecież nie chcemy wyrzucić cię na ulicę.

– Być może wyprowadzę się już w ten weekend.

Ludvig drgnął i spojrzął na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Tak szybko?

– Całkiem możliwe.

Ludvig skinął głową i zaczął się zastanawiać.

– Do końca roku zostały dwa miesiące. Depozyt, który wpłaciłeś, pokrywa ten okres. Nie ma problemu.

Zaczął chcieć pić mleko, a kiedy skończył, zajrzał do lodówki, żeby sprawdzić, co w niej jest.

– Umowa przewiduje miesięczny okres wypowiedzenia, nie dwa – odparłem. – Mogę zapłacić za listopad, ale nie więcej.

Max obiecała, że nie muszę płacić Charlesowi czynszu za listopad, tylko pokryję koszt jedzenia. Miałem nadzieję, że mówiła poważnie. Ludvig spojrzął na mnie przez ramię zdumionym wzrokiem.

– To nie wporzo, mistrzu. Uprzedzasz nas o swoich planach dość późno. Pieniądze są ważne dla wszystkich.

Mówiąc to, wyciągnął w moją stronę karton, jakby chciał mi przypomnieć, że nie tak dawno kazałem mu zapłacić za wypicie mojego mleka.

– Właśnie dlatego – odparłem.

Ludvig patrzył na mnie przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Pogadam z Victorem, ale uważam, że to, co robisz, jest nieuczciwe. Obiecałeś, że pomieszkas z nami przez cały semestr, i nagle nas olewasz. Nie sądzisz, że coś jest nie tak?

– To nie jest nieuczciwe. Podpisaliśmy umowę, którą sam sformułowałeś.

Poczułem, jak ogarnia mnie gniew. Ludvig uniósł ręce w obronnym geście i uśmiechnął się do mnie na wpół ironicznie, na wpół szyderczo.

– Wow, spokojnie, mistrzu. Pogadamy o tym w czasie weekendu. Na razie skupiamy się na imprezie. Radzę przyjść, jeśli chcesz odzyskać kasę. Obiecałeś.

Po tych słowach zabrał karton z mlekiem i wyszedł do salonu. Chwilę później uruchomił w swoim telefonie grę w tenisa, a ja wyjąłem swoją komórkę, żeby odpowiedzieć na esemesa od Max. Odpisałem: *Znam. Poszło mi kiepsko.* Zamknąłem oczy i usiadłem przy stole. Kilka sekund później zadzwonił telefon.

– Tęsknisz za mną? – spytała Max. Nigdy nie rozpoczynała rozmowy od „Cześć!” lub od innego pozdrowienia, a na dodatek uważała, że to normalne. Było mi przykro z powodu słabo zdanego egzaminu, ale po jej słowach ogarnęła mnie fala ciepła. – Bo ja za tobą tak. Olej egzamin. Przecież i tak masz się do nas wprowadzić.

– Pod warunkiem, że nadal wolno mi to zrobić.

Max się zaśmiała.

- Wolno? Powinieneś, *baby*. Jesteś już jednym z nas.
- Obiecałem chłopakom, że im pomogę. Jutro organizują imprezę halloweenową.
- Chyba nie zamierzasz brać w niej udziału?
- Tego bym nie powiedział.

Przez chwilę zapanowała cisza.

- Po co ci to? Pytam poważnie.

Zamknąłem oczy. O niczym tak bardzo nie marzyłem, jak tylko o tym, żeby olać tę imprezę.

– Poniekąd muszę się na niej zjawić. Jeśli tego nie zrobię, nie zwrócą mi zaliczki, którą wpłaciłem akonto czynszu. Poza tym obiecałem.

Max milczała przez chwilę.

- Czy ty słyszysz, co mówisz? – spytała. – Jesteś niewolnikiem klasy wyższej.

Pokręciłem głową. Max rozzłościła mnie tymi słowami. Poczułem się jak sługa, niewolnik albo nieudacznik, który nie potrafi bronić swoich spraw. Przeciwnieństwo bandyty.

- O co ci chodzi? Ja mam swoje życie. Nie jestem kimś, kogo znalazłaś na ulicy.

- Zrobisz, co uznasz za stosowne, ale pamiętaj, że niczego nie musisz.

Wychwyciłem w jej głosie nutę poirytowania, co mnie zdenerwowało.

- Muszę to załatwić na swój sposób – odparłem. – Nie jestem tobą.

- Stęskniłam się – westchnęła Max.

Serce mi zadrzało, irytacja rozwiała się jak dym na wietrze.

– Od niedzieli nie mieliśmy ze sobą prawie żadnego kontaktu – stwierdziłem. – Myślałem, że o mnie zapomniałaś.

– Nie wiedziałam, że trzeba ci poświęcać aż tyle uwagi – odpowiedziała przekornie Max.

– Nigdy nie wiadomo. Jestem zwykłym kolesiem, który zawalił egzamin. Wcale mnie nie dziwi, że nie chcesz o tym słyszeć.

- Użalanie się nad sobą nie jest w twoim stylu, *baby*.

– Czuję się lekko zniechęcony. Nie przywykłem, że coś mi się nie udaje. Nie jestem nieudacznikiem.

- Jasne, że nie. Może wybrałaś niewłaściwy kierunek studiów?

- Możliwe.

– Idź na tę imprezę, jeśli musisz. Załatw sprawy z kumplami i w sobotę się do nas wprowadź. *Deal?*²¹

- Oni nie są moimi kumplami.

– *Whatever*²². Bez względu na to, co się zdarzy, nie ma powodów do niepokoju. Wszystko się jakoś ułoży.

Pokręciłem głową. O co jej chodzi?

Chciałem ją o to spytać, ale Max zdążyła się już rozłączyć.

Postanowiłem, że na imprezę przebiorę się inaczej niż moi kumple z roku. Stałem w tłumie studentów, którzy w halloweenowe popołudnie poszli po lunchu do sklepu Butterick's przy Östra Mårtensgatan. Najpierw obejrzałem zestaw złożony z lekarskiego fartucha skropionego sztuczną krwią, stetoskopu i termometru, a potem strój, który przedstawiał kudłatego wilka. Zastanawiałem się, czy nie postąpić tak, jak radziła mi Max, to znaczy olać obietnicę, którą złożyłem Ludvigowi i Victorowi. Pewnie mogłaby ukraść jakiś zegarek albo inny przedmiot, żebym miał na czynsz, ale innych pieniędzy niż te, które był mi winien Ludvig, nie miałem. Nawet nie dlatego mi zależało, żeby je odzyskać. Powód był inny i właśnie go zrozumiałem. Nie chciałem się dłużej godzić na to, żeby Victor i Ludvig mnie wykorzystywali. Pieprzyć ich! Nie zamierzałem zrezygnować ze swoich pieniędzy, chociaż pozwalałem im pić moje mleko z lodówki.

To, czego szukałem, znalazłem na pierwszym z brzegu wieszaku w second-handzie przy Stora Södergatan: wytartą, jaskrawoczerwoną skórzaną kurtkę. Pasowała na mnie jak ulał. Potrzebowałem jeszcze spodni od garnituru i kwiecistej koszuli z kołnierzykiem w stylu lat siedemdziesiątych. Na szczęście second-hand handlował głównie takimi ubraniami, dzięki czemu już po kilku minutach znalazłem egzemplarz, który świetnie na mnie pasował. Szukałem też okularów słonecznych z czerwonymi szklami, ale w końcu zadowolilem się parą okularów dla pilota, które zauważyłem na ladzie. Uznałem, że dokonałem właściwego wyboru. Za wszystko zapłaciłem trzysta pięćdziesiąt koron – więcej, niż gotów byłem wydać na imprezę, w której nie miałem ochoty uczestniczyć. W każdym razie wyglądałem teraz tak, jak chciałem.

Kiedy wszedłem do salonu, w oknach wychodzących na ulicę wisiały pajęczyny, a na parapetach leżały tanie, plastikowe pająki.

– Trochę w lewo... za daleko... lekko w górę... jeszcze trochę... wyżej...

Ludvig przebrał się za Kapitana Amerykę i popijał piwo Peroni, obserwując, jak Victor-Batman zawiesza na jednej ze ścian girlandę z dyń.

– Trochę bardziej w lewo... wyżej...

– Jaja sobie ze mnie robisz?

Victor upuścił girlandę, rozłożył ręce i odwrócił się do Ludviga. Ten roześmiał się głośno i uderzył rękami o kolana.

– Śmiesznie wyglądałeś, kiedy ją tak obracałeś we wszystkie strony – odparł i znowu się roześmiał, naśladując ruchy Victora. Na mój widok spytał: – Mam rację, mistrzu?

– Cholernie zabawne – odparłem. – Macie browar?

Victor zaklaskał w dłonie, a Ludvig gwizdnął.

– Co za słownik! Mamy, w lodówce.

Poszedłem do kuchni i wyjąłem puszkę piwa. Przejrzałem się w oknie i przez chwilę studiowałem swoje odbicie. Byłem zadowolony z kupionego stroju.

– Mistrzu?

W drzwiach stał Kapitan Ameryka. W ręce trzymał śmieszoną tarczę i uważnie mi się przyglądał.

– Pomyśleliśmy, że wieczorem nam pomożesz, tak jak uzgodniliśmy. Trzeba będzie się trochę zakrzętnąć. Szklanki, kieliszki, przekąski i tak dalej.

– Właśnie to wam obiecałem – przyznałem, wkładając swoje nowe okulary słoneczne. – A czy ty zastanawiałaś się nad umową i zwrotem zaliczki?

– Później o tym porozmawiamy. Muszę to skonsultować z Victorem.

– A co tu konsultować?

– Co powiedziałaś, mistrzu?

Zauważyłem, że nawet w swoim śmiesznym przebraniu Ludvig miał nade mną dziwną przewagę.

– Nieważne, później do tego wrócimy – odparłem.

Minąłem go i wszedłem do salonu.

– Nie zamierzasz się przebrać? – spytał Ludvig.

Odwróciłem się i rozłożyłem ręce.

– Już to zrobiłem. Nie widać, kim jestem?

– Czerwona skórzana kurtka, stara koszula, potargane włosy, okulary słoneczne?

– Tak.

– Przecież to prawie twój normalny styl...

Ludvig i Victor nastawiali się na seksowne pielęgniarzki i podniecające diabełki z rogami, ale przyszły głównie monstra, mumie i zombie. Zaraz po wejściu do mieszkania brały kurs na stolik, na którym stała waza z pomarańczowym kruszonem. Przypomniało mi się, co czytałem o słynnej imprezie halloweenowej w Playboy Mansion, na której pojawiło się tylko kilka lasek przebranych za Wonder Woman i Harley Quinn, a kruszon skończył się po pięciu minutach. W salonie i kuchni przybywało gości, muzyka grała coraz głośniej. Włączyłem zmywarę i wlewałem

w siebie kolejne porcje piwa Peroni, które wyjmowałem z zapełnionej butelkami lodówki. Po każdym łyku coraz silniej czułem, jak wychodzę z prostego i ubogiego pod względem duchowym środowiska. Czułem się jak na imprezie pożegnalnej, na której mam się rozstać z ludźmi prawie mi nieznanymi. Chciałem się porządnie upić i zabrałem się do tego metodycznie. Owca

– Dlaczego jeszcze się nie przebrałeś?

Zamknąłem lodówkę i się odwróciłem. Przede mną stał William. W rękę trzymał drink na bazie grogu i patrzył na mnie z aroganckim uśmieszkiem na twarzy. Przebrany był za Jokera, tak jak połowa koleśków na imprezie. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego przyszłe filary naszego społeczeństwa wybrały na swojego idola symbol anarchii. Czyżby zrobili to podświadomie? A może był dla nich zwykłym potworem?

– Już to zrobiłem – odparłem.

– To, że nie założyłeś swojego słynnego zegarka, nie znaczy, że się przebrałeś, mistrzu.

William upił trochę drinka ze szklanki. Zauważyłem, że jest porządnie pijany. Na dłoni miał rolexa.

– To, że brakuje ci wiedzy z zakresu kultury, nie znaczy, że ja się nie przebrałem – odparłem. – Nie wymagam od ciebie, żebyś z powodu swojego przebrania spotkał się ze mną na dnie swojej monumentalnej niewiedzy, ponieważ oznaczałoby to wyścig na sam dół, a wtedy ani Halloween, ani kultura by nie przeżyły.

Byłem już mocno pijany, ale to, że zdołałem go obrazić, sprawiło mi przyjemność. Choć wiedziałem, że nic nie zrozumie.

– O czym ty pieprzysz?

William uśmiechnął się szyderczo i rozejrzał wokół siebie, jakby chciał sprawdzić, czy oprócz niego słucha nas ktoś, kto z tego, co przed chwilą powiedziałem, też nie rozumiał ani słowa.

– Mówię o tym, że jesteś zwykłym filistrem. Nasza cywilizacja dawno by upadła, gdybyśmy nie próbowali się wznieść ponad poziom reprezentowany przez takich jak ty.

– Pytałem, dlaczego nie jesteś przebrany, a ty mi gadasz o cywilizacji? – spytał William, rozkładając ręce.

Wypowiadając słowo „cywilizacji”, zrobił palcami znak cudzysłowu. Zastanawiałem się, czy moja wyrozumiałość wobec niego nie jest zbyt daleko posunięta, ale dałem sobie spokój. Jedyne, co mogłem zrobić na tej imprezie, to sprowokować Williama, a to wymagało, aby złapał chociaż ogólny sens tego, co chciałem mu przekazać, mniejsza o szczegóły.

– Ja tylko odpowiedziałem na twoje pytanie. Jesteśmy kwita?

William spojrział na mnie, już się nie śmiał. Podeszedł do mnie i powiedział ściszym głosem:

– Jesteś pieprzonym dziwakiem, wiesz? Wszyscy to mówią. Nie mam na myśli nic złego, ale lepiej się zmień i spróbuj być choć trochę normalny, bo inaczej będą cię w przyszłości uważać za kompletnego dziwaka.

Przeciągnął palcami po włosach i błysnął zegarkiem na nadgarstku. Przez chwilę miałem ochotę dać mu z całej siły w gębę. Oczami wyobraźni zobaczyłem jego wybite zęby i krwawiące wargi. Chciałem mu zedrzyć ten jego zegarek, włożyć go sobie na rękę i wyjść stamtąd, nie oglądając się za siebie.

– Tak – odparłem. – Całkiem możliwe, że jestem dziwakiem.

Pokój wypełniały głośnie dźwięki szwedzkich przebojów. Muzyka była nastawiona na cały regulator. Dzięki oświetleniu, które Victor pożyczył ze Stowarzyszenia Prawników, po ścianach i suficie skakały gwiazdy i kolorowe kółka. Podłogę zapełniały tańczące mumie i zombie. Całość przypominała mały, męski nocny klub. Musiałem przyznać, że Victor i Ludvig dobrze się spisali. Rozejrzałem się po pokoju. Jutro będę miał to za sobą. Aż trudno mi było w to uwierzyć.

Nagle ktoś szarpnął mnie za ramię. Obejrzałem się i ujrzałem Victora, który dał mi znak ręką, żebym poszedł z nim do kuchni. Westchnąłem i zrobiłem to.

– Skończyły się przekąski, wszystkie talerze są puste – oznajmił. – Czy mógłbyś się tym zająć?

Obserwowałem, co się dzieje w salonie, ale po słowach Victora odwróciłem się i spojrzałem na niego.

– Odnoszę wrażenie, że tylko ja tu pracuję, chociaż mieliśmy to robić razem?

Victor stuknął swoją butelką z piwem o moją.

– Mamy umowę, funduję ci piwo. Zajmij się przekąskami i porozkładaj je na talerzach.

– Umowa przewidywała, że będę wam pomagał, a nie że będę twoim niewolnikiem. Co robi Ludvig?

Victor się uśmiechnął i zrobił krok w kierunku dużego pokoju. Uniósł rękę i wskazał jeden z wykuszy.

– Ma pełne ręce roboty, że tak powiem.

Spojrzałem w głąb pokoju i kilka metrów za tańczącym tłumem zobaczyłem Ludviga. Stał w towarzystwie dziewczyny w niebieskiej peruce i czarnym, gotyckim stroju cheerleaderki. Miała goły brzuch i obcisły top, stała tyłem do mnie. Ludvig trzymał rękę pod jej krótką spódniczką.

– Sam widzisz – powiedział Victor. – Przynieś koreczki serowe i nasyp popcornu.

Potem odwrócił się ode mnie, uniósł ręce i wtopił się w tłum na parkiecie.

Rozłożyłem przekąski na talerzach i wypłem trochę piwa. Do kuchni weszli dwaj kolesie, żeby zrobić sobie drinka. Śpiewali jakąś pijacką przyśpiewkę o prawnikach, okraszana łacińskimi terminami. Strzeliłem sobie dwie szybkie kolejki i udawałem, że ich nie zauważam ani nie słyszę. Potem wypłem jeszcze jedno piwo, po którym całe mieszkanie zawirowało mi przed oczami. Kiedy przechodziłem przez tańczący tłum, poszczególne oblicza zaczęły mi się zlewać w jedną dużą twarz. Chłopak w stroju zakrwawionego lekarza obmacywał na kanapie dziewczynę przebraną za elfa. Światło tańczyło po ścianach w tak szybkim tempie, że zrobiło mi się niedobrze. Ludvig siedział we wnęce okiennej z szeroko rozstawionymi nogami. Obie dłonie trzymał pod spódnicą ubranej na gotycką modłę cheerleaderki.

Chciałem się szybko wydostać z tej kakofonii świateł i dźwięków, żeby nie wymiotować, ale z powodu dużej ilości wypitego alkoholu straciłem orientację i nie mogłem trafić do swojego pokoju. Torowałem sobie po omacku drogę wśród tańczących gości i próbowałem się kontrolować. Niestety, nie zdołałem okiełznać zmysłów i zamiast do pokoju trafiłem z powrotem do kuchni, gdzie było trochę ciszej i nie tak ciasno jak w salonie. Chciałem się napić wody, ale nie wiedziałem, jak się przedostać do kranu obok tych, którzy stali przy zlewozmywaku, bez zakomunikowania im tego.

Nagle usłyszałem za sobą hałas. Odwróciłem się i zobaczyłem, że ktoś upuścił butelkę. Na zalanej piwem podłodze leżało potrzaskane szkło, ale mnie to w ogóle nie interesowało, bo chciało mi się pić. Kiedy w końcu wziąłem do ręki szklanę i nalałem do niej wody, usłyszałem za sobą Victora.

– Mistrzu, weź szmatę i wytrzyj podłogę – powiedział, stojąc przede mną z szufelką. – Szkło już zebrałem.

Wydawało mi się, że Victor ma dwie twarze, które przemawiają do mnie równolegle, ale w sposób nieskoordynowany.

– Sam ją wytrzyj – odparłem.

– Coś ty powiedział?

Victor zmarszczył czoło, a ja doszedłem do wniosku, że jestem zbyt pijany, żeby wdawać się z nim w kłótnię, chociaż bardzo tego chciałem. Niektórzy ludzie zachowują się agresywnie, kiedy są pijani, ale ze mną jest odwrotnie. Wziąłem więc ścierkę i poszedłem do salonu. Klęknąłem i zacząłem wycierać podłogę, która była dość brudna, ale niezbyt mokra. Być może dlatego, że w butelce, która się stłukła, pozostało niewiele piwa albo zabrałem się za czyszczenie innego miejsca, niż powinienem. Widziałem obok siebie nogi i stroje i miałem ochotę zostać w tej pozycji. Czułem się bezpiecznie, bo nie kręciło mi się zbyt mocno w głowie.

Odwróciłem się, żeby poszukać Ludviga i znalazłem go przy wykuszu w towarzystwie cheerleaderki. Dziewczyna przyciskała się do niego, a on trzymał dłonie pod jej topem i spódniczką. Byłem już tak pijany, że widziałem podwójnie, ale nie mogłem oderwać od nich wzroku. Stali blisko siebie, twarz blisko twarzy, a on szeptał jej coś do ucha. Musiało to być zabawne, bo dziewczyna odrzuciła głowę, zaśmiała się i żartobliwie uderzyła go w pierś. W tym samym momencie niebieska peruka zsunęła jej się na czoło. Dziewczyna ją podciągnęła i odwróciła głowę, dzięki czemu przez krótką chwilę zobaczyłem jej twarz. Przypominała maskę, ale przez moment mi się wydawało, że ją rozpoznałem. Zamknąłem oczy i z niedowierzaniem pokręciłem głową. Puls mi przyspieszył, bo nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Kiedy otworzyłem oczy, już ich nie było. Próbowałem się wyprostować, ale byłem tak pijany, że się zachwiałem. W tym samym momencie ktoś mnie popchnął.

– Uważaj!

Odwróciłem się i poczułem, jak przebrana za seksowną wampirzycę dziewczyna odpycha mnie od siebie. Oczy miała szeroko otwarte, poirytowana trzepotała rzęsami.

– *Sorry*, nie chciałem – wybełkotałem.

Podłoga zakołysała mi się pod nogami, nie mogłem się na niczym skupić, mieszkanie zawirowało mi przed oczami. Sam nie wiem, jakim sposobem dotarłem do kuchni i nalałem sobie jeszcze jedną szklankę wody.

Chodziłem po mieszkaniu ze szklanką i z nadzieją, że świat przestanie w końcu wirować. W którymś momencie osunąłem się na kanapę w salonie. Obok mnie spał ubrany w płaszcz chłopak z blizną na czole w stylu Harry’ego Pottera. Siedział wyprostowany z głową odchyloną na oparcie, na twarzy miał przekrzywione okulary. Wyjąłem telefon. Dochodziła druga w nocy, w mieszkaniu zaczęło się przeredzać. Nagle muzyka ucichła i zgasło górne światło. Zamrugałem oczami, żeby je przyzwyczaić do nowych warunków.

– *Sorry!* – zawołał Victor. – Zrobiło się późno i nasi sąsiedzi grożą, że jeśli natychmiast nie przestaniemy imprezować, zadzwonią na policję.

Wypowiadając te słowa, stał na taborecie przy ścianie. W ręce trzymał plastikowy kubek i chwiało się na nogach. Bełkotliwym głosem spytał:

– Czy ktoś chce trafić na izbę wytrzeźwień albo do policyjnego rejestru?

Odpowiedziało mu ogólne buczenie.

– Rozumiem, że nie. W takim razie czas wracać do domu. Dzięki za szalony wieczór. Jesteście mistrzami.

Po tych słowach uniósł szklankę i ułał trochę alkoholu w kierunku swoich gości, a oni powoli ruszyli do drzwi. Odwróciłem się do siedzącego obok Harry’ego Pottera i szarpnąłem go za ramię.

– Czas do domu, mistrzu – wybełkotałem.

Chłopak wzdrygnął się tak gwałtownie, że okulary spadły mu za kanapę, ale zamiast wstać, położył się wygodniej i zasnął. Westchnąłem i wstałem. W blasku górnego oświetlenia mogłem ocenić skalę bałaganu, który pozostawili po sobie nasi goście. Porozrzucone plastikowe kubki, butelki po piwie, rozlane wino, zerwane dekoracje, klejące się od whisky i coli sztuczne pajęczyny. Byłem pijany, ale zdawałem sobie sprawę, że sytuacja jest beznadziejna. Wszyscy wyszli, a ja miałem po nich posprzątać. W kuchni zastałem dwóch kolesiów, którzy wyglądali jak kopie swoich ojców. Spierali się, który semestr na prawie jest najtrudniejszy.

– Bez wątplenia T2. Nie bez powodu nazywają go Ścianą.

– Czas do domu, panowie – wybełkotałem. – Sądzi się skarżą.

Ale oni tylko popatrzyli na mnie takim wzrokiem, jakbym pochodził z innego świata. Jeden z nich dostał czkawki. Uniósł swój plastikowy kubek i powiedział:

– „Pierwsza zasada Podziemnego Kręgu: nie mówisz o Podziemnym Kręgu”. Przebrałeś się za bohatera, którego w tym filmie grał Brad Pitt?

Zrobiło mi się przykro, że ten lekko otyły chłopak, któremu nawet nie chciało się przebrać, jako jedyny zgadł, za kogo się przebrałem.

– Za Tylera Durdena – potwierdziłem. – Zgadłeś.

– Znam się na filmach. Świetna produkcja. Kocham Tarantino.

– Reżyserem nie był Tarantino – odparłem, wskazując mu drogę do wyjścia.

Chłopak zaśmiał się z wyższością. Jego kolega poklepał mnie po plecach.

– Nie próbuj konkurować z Benjiminem w zakresie wiedzy o filmach. To chodząca encyklopedia.

Nie miałem już siły, żeby odpowiedzieć. Zabrałem ich kubki i wrzuciłem je do zlewozmywaka.

– Do zobaczenia – powiedziałem i wyprowadziłem ich z kuchni.

Salon był już pusty. W przedpokoju zauważyłem Harry’ego Pottera, który zdołał wstać z kanapy i teraz walczył z butami. Na drugim końcu pomieszczenia stał kompletnie pijany Victor i pukał do drzwi pokoju Ludviga.

– Mistrzu! Nie chcę ci przeszkadzać, bo wiem, że jesteś zajęty, ale wszyscy już wyszli. Lepiej, żebyś wiedział.

Ludvig otworzył drzwi. Nadal miał na sobie swój śmieszny niebieski strój, ale był bez maski. Uśmiechnął się i przybił z Victorem piątkę.

– *Mad night!*²³ – wybełkotał. – *Mad night!*

– Epicka – dodał Victor. – Przejdzie do legendy.

Ludvig spojrzał przez ramię w głąb swojego pokoju, pochylił się do Victora i wybełkotał prawie szeptem:

– Jak już zauważyłeś, jestem trochę zajęty. – Wskazał kciukiem przez ramię. Nagle stracił równowagę i omal nie upadł, ale zdążył się złapać framugi drzwi. Przy okazji je uchylił. Zanim je zamknął, zdążyłem zobaczyć gotycką cheerleaderkę w niebieskiej peruce na głowie. Siedziała na jego łóżku bez topu i spódniczki, tylko w majtkach i biustonoszu. Górną część twarzy miała zasłoniętą czarną maską, a usta pomalowane czerwoną szminką. Te piegi i zielone oczy poznałbym wszędzie, bez względu na to, za kogo ich właścicielka by się przebrała. Max patrzyła na mnie z niewzruszoną miną.

Dopiero następnego dnia, po tym, jak zwymiotowałem w łazience, w pełni sobie uświadomiłem, w jak beznadziejnej i bezsensownej sytuacji się nagle znalazłem. Patrzyłem w lustro, widziałem w nim swoją bladą twarz i zaczerwienione oczy i zadawałem sobie pytanie, co ja robię? Zawaliłem egzamin, a wcześniej, nie bacząc na sens i konsekwencje swojego czynu, ukradłem w Kopenhadze zegarki o wartości kilkuset tysięcy koron. Później oddałem je grupce osób, które – wszystko na to wskazywało – po prostu mnie wykorzystały. Znowu zwymiotowałem i z trudem powstrzymałem łzy rozpacz, które zaczęły się gromadzić pod moimi powiekami.

Kiedy po raz trzeci poszedłem do łazienki, żeby zwymiotować do sedesu, przypomniało mi się, jak Max siedziała na łóżku Ludviga. Miała bladą twarz i perukę na głowie, ubrana była tylko w majtki i biustonosz. Zastanawiałem się, jak tam trafiła. Może знаła Victora oraz Ludviga albo kóregoś z ich kumpli? Czy naprawdę jest taka zimna? Uznałem, że cała ta sytuacja jest dla mnie upokarzająca. Jak w ogóle można kogoś tak poniżyć, jak ona poniżyła mnie?

Nie chciałem jej więcej widzieć. Może nadal leży z Ludvigiem w jego łóżku? Nie byłem w stanie o tym myśleć ani słuchać jej usprawiedliwień, jak do tego doszło. Sytuacja była jasna i przykra. Max opowiadała o anarchii i niesprawiedliwości, twierdziła, że występuje przeciwko systemowi i konwenansom, a na końcu się okazało, że podniecają ją takie palanty jak Ludvig.

Połknąłem dwie tabletki alvedonu i popiłem ciepłą wodą z kranu. Znowu mi się zebrało na wymioty, ale zapanowałem nad tym i zmusiłem się do umycia zębów.

Kiedy wszedłem do salonu, stwierdziłem, że wygląda jak pobojuwisko. Było nawet gorzej, niż się spodziewałem. Usiadłem na klejącym się od grogu taborecie, na którym w czasie imprezy stał Victor, zamknąłem oczy i objąłem głowę rękami. Po chwili usłyszałem, jak w głębi mieszkania ktoś otwiera drzwi. Siedziałem nieruchomo i czułem, że serce podchodzi mi do gardła. Nie byłem w stanie z kimkolwiek rozmawiać i nikogo nie chciałem oglądać.

– Co za pieprzony wieczór! – usłyszałem głos Ludviga.

Niechętnie uniosłem głowę. Ludvig szedł w moją stronę i się przeciągał. Wyglądało na to, że jest sam. Być może Max wyszła wcześniej. Na mój widok głośno się roześmiał i wskazał mnie palcem.

– Fatalnie wyglądasz, mistrzu.

Potargał mi włosy i poszedł do kuchni, a ja z trudem się powstrzymałem, żeby nie chwycić go za rękę i mu jej nie złamać.

– Usmażę ci jajecznicę z sosem taco! – zawołał. – To mój tajny składnik.

Usłyszałem, jak otwiera lodówkę, i stłumiłem ziewnięcie.

– Jajka to tylko pretekst, żeby zjeść pikantny sos – dodał.

Serce mi waliło, targał mną niepokój i miałem kaca. Wstałem z taboretu, poszedłem do kuchni i oparłem się o ławę.

– Jak było wczoraj? – spytałem. – Mam na myśli tamtą dziewczynę.

Ludvig wbił do półmiska osiem albo dziesięć jajek. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś robił tak dużą jajecznicę.

– Jaką dziewczynę? – spytał. Spojrzał na mnie przez ramię i zrobił taką minę, jakby jego mózg intensywnie szukał odpowiedzi na moje pytanie.

– Pytałem o cheerleaderkę. Przez cały wieczór się do niej mizdrzyłeś, a potem poszedłeś z nią do łóżka. Co to za jedna?

Ludvig zrobił taką minę, jakby go nagle olśniło.

– Pytasz o Diablicę? Widziałeś ją? Pewnie zauważyłeś, jaka była napalona? Trochę w stylu emo, absolutnie, ale seksowna jak cholera. I ta jej maseczka!

Wypowiadając ostatnie słowo, złożył palce w taki sposób, żeby przypominały maseczkę, dumnie skinął głową i spojrzał na mnie, oczekując akceptacji.

– Kiedy się obudziłem, już jej nie było. Szkoda, miałbym ochotę na jeszcze jeden numer. Chyba wiesz, o czym mówię?

– O Diablicy?

– Tak ją nazwałem, bo taki napis miała na topie. Jakby to była nazwa szkoły, rozumiesz?

– Tak. Znałeś ją wcześniej?

Ludvig się zaśmiał i spojrzał na mnie jak na głupka.

– Sugerujesz, że wyglądała na którąś z moich znajomych?

Wzruszyłem ramionami.

– Sam widzisz. W tym, że ktoś kroczy po dzikiej stronie życia, nie ma nic złego, królu. *Walk on the wild side of life*²⁴. Mam rację?

Znowu zebrało mi się na wymioty.

– To znaczy, że było ci z nią dobrze?

– Co za pytanie! Jasne, było naprawdę *cool*. Tak myślę.

Ludvig zrobił pauzę, jakby chciał się nad czymś zastanowić.

– Spała z tobą? – spytałem.

– Spała nie spała – odparł i mrugnął do mnie okiem. – Szczerze mówiąc, cała ta sytuacja jest trochę mętna, bo zanim się położyłem, wlałem w siebie parę drinków.

Na myśl o alkoholu znowu zebrało mi się na wymioty. Z trudem się opanowałem.

– A co myślisz po fakcie? Może głupio zrobiłeś, że tyle wypiliśmy?

Ludvig wzruszył ramionami.

– Kiedy się obudziłem, już jej nie było, więc chyba nigdy się nie dowiem, jak się spisałem.

– Nie chcesz się z nią umówić?

Ludvig zaśmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

– Umówić? Prawdziwy z ciebie król, mistrzu.

Odwrócił się, włączył płytę elektryczną i przelał do garnka rozbite jaja. Wyglądało to okropnie.

– Nawet nie wiem, kim była. Takiej jak ona facet nie przyprowadza do domu, żeby przedstawić rodzicom. Myślę jednak, że miałbym ochotę na powtórkę.

Podrapał się po głowie i kontynuował:

– Człowiek idzie do łóżka z laską emo, a potem nawet nie pamięta, co było później. Nie znoszę takich sytuacji.

Wymieszał jaja i zrobił szczerze zmartwioną minę, podczas gdy ja miałem ochotę walnąć go patelnią w głowę.

– Ale sama impreza była zajebista! – stwierdził pewnym siebie głosem i rozejrzał się po kuchni.

Stół był zawalony talerzami, butelkami po piwie i z niedopitym winem oraz resztkami lodów. Tak samo prezentował się zlewozmywak. Podłoga wyglądała tak, jakby była pokryta grubą warstwą popiołu, jak Pompeje kilka minut po erupcji wulkanu.

– Trochę ci tu zejdzie, mistrzu – powiedział. Zdjął patelnię z płyty, przełożył jajecznicę na talerz i oblał ją sosem Santa Maria. – Żartowałem! Obaj ci pomożemy.

Wziął czysty widelec. Wychodząc z pokoju, powiedział:

– Nałóż sobie, ile chcesz.

Na początku sprzątanie mieszkania przyniosło mi pewną ulgę. Miałem coś konkretnego do roboty i nie musiałam sobie ciągle przypominać widoku Max na łóżku Ludviga. Victor i Ludvig twierdzili, że mi pomagają, ale często robili sobie przerwy, siadali na kanapie i grali w tenisa. Było mi to obojętne, bo dzięki temu miałem spokój, mogłem się w pełni pogрузić w swoim męczeństwie i przez jakiś trzymać niepokój na wodzy. Włożyłem do zmywarki brudne naczynia, potem je z niej wyjąłem, odkurzyłem mieszkanie i wytarłem podłogę. Z kanapy dobiegały strzępy rozmów poświęconych wydarzeniom ostatniej nocy, a ja próbowałem wyłapać jakieś szczegóły dotyczące Max. Niestety, usłyszałem tylko przekleństwa Ludviga, który nie pamiętał, jak się spisał.

Max poszła z Ludvigiem do łóżka. W miarę upływu czasu świadomość tego faktu coraz bardziej zapadała mi w pamięci. Ciągłe miałem przed oczami jej zimne spojrzenie, kiedy siedziała na kołdrze. Kiedy skończyłem, rozejrzałem się po mieszkaniu. Było wysprzątane i znacznie bardziej czyste niż przed imprezą. Co kilka sekund zaglądałem do telefonu, żeby sprawdzić, czy Max się ze mną kontaktowała. Niestety, nic nie przyszło.

– Ludvig mówił, że chcesz się wyprowadzić? – Usłyszałem głos Victora. Podniosłem wzrok i ujrzałem jego potargane włosy. Victor uniósł się lekko z kanapy i patrzył na mnie znad oparcia. Pokręciłem głową.

– To jeszcze nic pewnego. Nie powinienem być o tym wspominać.

– Nieważne – stwierdził Victor i usiadł z powrotem na kanapie.

Rozejrzałem się po mieszkaniu i nagle pożałowałem, że je tak dokładnie wysprzątałem. Zacząłem gwałtownie oddychać i dostałem napadu hiperwentylacji. W głowie miałem coraz większy mętlik: zegarki w Illum, dom Charlesa, Max, egzamin... Czułem, że nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. W przedpokoju włożyłem kurtkę i buty i nie zawiązując sznurowadeł, wyszedłem na klatkę schodową.

Nie chciało mi się czekać na windę, ale nie mogłem też stać w miejscu. Rodząca się we mnie burza wysysała siły, które zebrałem, żeby się uporać z hiperwentylacją. Ruszyłem więc schodami na dół, biorąc po dwa stopnie. Chciałem uciec od wszystkiego, szybko pokonywałem piętro po piętrze, aż wypadłem na podwórze. W kieszeni kurtki wyczułem jakiś plastikowy przedmiot. Od razu się domyśliłem, że to sprej do nosa. Leżał tam przez cały czas, a ja zupełnie o nim zapomniałem.

Przypomniało mi się, że dostałem go od Dinah. Tamtego dnia, kiedy w blasku zimnego, jesiennego słońca, wziąłem go do ręki, wyglądał niewinnie. Natchnął mnie odrobiną nadziei, obietnicą szybkiej poprawy. Teraz czułem, że nie chcę dłużej trwać w nastroju, który mnie ogarnął kilka godzin temu.

Bez wahania przyłożyłem do nosa końcówkę pojemnika i już miałem zaaplikować sobie cudowny środek sprowadzający obojętność, gdy poczułem wibrowanie komórki w kieszeni. Telefon wyrwał mnie z transu. Przez chwilę zobaczyłem siebie jakby z zewnątrz, widziałem, jak kucam na podwórzu z pojemnikiem fentanylu przy nosie. Przeraziło mnie to. Co ja wyrabiam? Kim się stałem? Wyjąłem aparat i spojrzałem na wyświetlacz. Dzwoniła Max.

– *Baby* – zaczęła jak zwykle, kiedy odebrałem. – Wiem, że jesteś na mnie zły, ale przyjedź do nas. To nie jest tak, jak myślisz. Wszystko ci wyjaśnię.

Rozłączyłem się i pożałowałem, że odebrałem. *Fuck off*, powiedziałem w myślach i schowałem sprej do kieszeni.

Przez całe popołudnie włóczyłem się bez celu po Lundzie. Odwiedziłem między innymi park miejski, poszedłem na Södra Esplanaden, a na końcu do Parku Botanicznego. Przesiedziałem tam do zmierzchu, aż zrobiło się zimno i zmarzłem. Miejsce rozpacz i strachu powoli zajmował gniew. Rósł we mnie, w miarę jak w parku zapadały ciemności. Zastanawiałem się, za kogo uważają się Max i jej kumple? W końcu wstałem z ławki i postanowiłem zmierzyć się z tym, co się stało.

Kiedy stanąłem przed willą, na dworze było już całkiem ciemno. Drzewa pochylały się nad ulicą, latarnie roztaczały nade mną chłodny, żółty blask. Pod jabłoniemi za ogrodzeniem leżały na trawie ciężkie, mokre liście. Szedłem zaniedbaną, piaszczystą, zarośniętą żółknącymi chwastami alejką i wpatrywałem się w rozświetlone okna. Zadzwoiłem do drzwi i zacząłem odliczać sekundy.

– Jeśli doliczę do dziesięciu i Max nie otworzy, zrobię w tył zwrot i pójdę – powiedziałem i przez moment naprawdę sobie wmawiałem, że to zrobię.

Nie zdążyłem jednak doliczyć nawet do siedmiu, kiedy drzwi się otworzyły i w progu stanęła Max. Była ubrana w czarne spodnie, czarny T-shirt i czarne buty. Wyglądała jak za pierwszym razem, kiedy spotkałem ją w Malmö, jakby znowu się szykowała do jakiejś ulicznej zadymy.

– W końcu raczyłeś się zjawić! – powiedziała.

Podeszła do mnie i mnie objęła.

– *Sorry* za to, co się stało w nocy. Nie przejmuj się tym, *baby*. To nie jest tak, jak myślisz.

– Ty tak twierdzisz – odparłem suchym tonem.

Przytrzymała mi drzwi i odsunęła się na bok, żebym mógł wejść do przedpokoju. Spojrzałem na nią i westchnąłem.

– Przyszłaś do mojego mieszkania bez uprzedzenia i w ten sposób nie okazałaś mi szacunku – kontynuowałem, ale byłem tak zły, że słowa utknęły mi w gardle. – Myślałem, że...

– Źle myślałeś – odparła spokojnie Max.

– Ciągłe gadasz o uczciwości, ale prawda jest taka, że mnie wykorzystujesz. Koniec z tym – stwierdziłem. Postanowiłem się jej postawić. Oczy zaszyły mi łzami i mój gniew wzrósł jeszcze bardziej. – Jak mam to rozumieć, że zjawiasz się w moim domu i nawet mnie o tym nie informujesz?

– Sam wiesz, że to nie tak.

Uśmiechnąłem się w myślach. Czułem się tak, jakbym rozmawiał z kimś obcym.

– No to jaka jest ta twoja prawda, *baby*? Ja cię tam widziałem. Spałaś z Ludvigiem. – Uniosłem się, ale nie zważałem na to. – Mam to gdzieś, rozumiesz? Możesz sobie sypiać, z kimś chcesz. Po tej waszej całej gadaninie myślałem, że naprawdę jestem

jednym z was, ale widzę, że się pomyliłem. Wy po prostu robicie to, co chcecie i oczekujecie, że się do was dostosuję. To nie tylko brak szacunku. To jest po prostu złe.

Od kiedy się obudziłem, przez cały czas się zastanawiałem, co powiedzieć. Chciałem, żeby moje słowa miały ciężar kamiennych bloków, żeby brzmiały wyraźnie, żeby nie można było ich zakwestionować i aby zmuszały do odpowiedzi. Tymczasem teraz, kiedy je z siebie wyrzuciłem, jakby w połowie utknęły mi w gardle, ale nie dlatego, że nagle zwątpiłem w to, co powiedziałem, tylko że nie zabrzmiały tak twardo, jak sobie zaplanowałem. Przeciwnie, przypominały dziecinną skargę naiwnego, wzgardzonego, zakochanego i oszukanego chłopca.

– Rozumiem, że jesteś skołowany, ale przecież mówiłam, że to nie było tak, jak ci się wydaje.

Nie było tak, jak mi się wydaje? Rozłożyłem ręce.

– A jakie to ma znaczenie? Chcesz powiedzieć, że powinienem okazać zrozumienie wobec twoich kłamstw? Zapomnieć, że się pieprzyłaś z dupkiem, u którego mieszkam? Masz chyba skrzywiony obraz tego, czym jest zrozumienie, skoro uważasz, że twoje zachowanie mieści się w jego granicach.

– Dlatego do ciebie zadzwoniłam, żeby ci to wyjaśnić, *baby*.

– Dłużej nie zniosę tych twoich bredni ani braku uczciwości.

– Czy mógłbyś wejść? – spytała Max, zapraszając mnie gestem do przedpokoju.

Oczy miała szczere i czyste i prawie jej uwierzyłem, choć nadal coś mnie przed tym powstrzymywało.

– Nie wejdę, zanim ze mną uczciwie nie porozmawiasz – odparłem, ale oboje wiedzieliśmy, że wcale tak nie myślę.

Max szła przede mną. Przeszliśmy przez kuchnię, kierując się do biblioteki. Im bliżej byliśmy, tym głośniejszy rozbrzmiewał gwar, który stamtąd dobiegał. Tym razem głosy nie były jednak kpiarskie ani spokojne, tylko wzburzone, jakby trwała kłótnia albo gorączkowa debata.

– Nie wiem, co dokładnie planujecie, ale uważam, że ryzyko jest zbyt duże – powiedział Charles.

– A moim zdaniem żadnego ryzyka nie ma – odparł Robin. – Poza tym decyzja nie zależy od ciebie. To, co chcemy zrobić, nie ma z tobą nic wspólnego.

– Ma, jeśli zamierzacie mnie wciągnąć w coś, czego nie potrzebuję. Jesteście impulsywni. Zbyt impulsywni.

– Co to znaczy „nie potrzebuję”? – spytała Dinah i chłodno się zaśmiała. – To nie my zamawiamy szampana i ostrygi.

– Moim zdaniem to po części nasz błąd – wtrącił Gustaf. – Przekazaliśmy ci środki, żebyś mógł dostatnio żyć. I nie chodzi o to, że nam się to nie podoba, tylko że nie jest to celem samym w sobie. W każdym razie nie dla nas.

– My bierzemy tylko to, czego potrzebujemy – dodał Robin. – To, co proponuje Max, jest proste, obarczone niewielkim ryzykiem i przyniesie nam duży zysk. Nie możesz się temu sprzeciwić.

– Nie chcę wiedzieć więcej, niż wiem, ale jestem przeciwny temu, żebyście się brali za pewne rzeczy zbyt szybko i bez zastanowienia – stwierdził Charles. – To zbyt ryzykowne.

– Brzmi to gorzej, niż myślałam – rzuciła do mnie przez ramię Max i pchnęła drzwi biblioteki. – Zobaczcie, kto przyszedł – powiedziała i odsunęła się na bok, żebym mógł wejść do środka. – Nasz syn marnotrawny!

Dinah siedziała na kanapie i tak jak Max ubrana była na czarno. Obok niej zobaczyłem Robina. Gustaf opierał się o regał z książkami, a Charles stał przed jednym z foteli – wyglądał tak, jakby przed chwilą z niego wstał. Na mój widok twarz mu spochmurniała, ale przywitał mnie z uśmiechem.

– Wolałbym, żebyś nie słyszał naszej kłótni – wyjaśnił. Spojrzał na Max i uśmiech zniknął z jego twarzy. – To jeszcze nie koniec, wrócimy do tej rozmowy później.

– Co to znaczy później? – spytała Max. – Stworzyłam wam warunki, a dziś wieczorem nadarza się okazja.

Charles spojrzał na mnie.

– Chcesz to omawiać teraz i tutaj?

Poczułem, że znów boli mnie głowa.

– Zamierzam uzgodnić tylko to, co trzeba będzie zrobić. Jeśli masz lepszy plan, chętnie posłuchamy – odparła Max.

W pokoju zapadła cisza. Charles pochylił się, wziął ze stołu kieliszek czerwonego wina i go opróżnił. Przez chwilę stał w milczeniu i patrzył badawczo na Max. Milczenie się przedłużało, aż w końcu Max je przerwała, pytając:

– Czy ktoś ma lepszy pomysł?

Nikt się nie odezwał.

– Musicie uważać, żeby nie popełnić błędu – stwierdził Charles. – Jestem już za stary, żeby iść do kicia.

Określenie „iść do kicia” zabrzmiało w jego ustach dziwnie, ponieważ trudno było skojarzyć starszego ekscentrycznego mężczyznę z żargonem więziennym. Zresztą nas też.

– Żadnego błędu nie popełnimy i nikt nie pójdzie do kicia – zapewniła Max. Odwróciła się do mnie i dodała z uśmiechem: – Mamy tu kogoś, kto dopilnuje, żeby

wszystko poszło zgodnie z planem.

Charles spojrział na nią i pokręcił głową. Potem westchnął, zabrał swój pusty kieliszek i podszedł do drzwi prowadzących na korytarz.

– Wcale mi się to nie podoba – stwierdził.

– To może zaczniesz oszczędzać na alkoholu i filetach wołowych? – zaproponowała Dinah.

Max zamknęła za nim drzwi, odwróciła się i rozłożyła ręce.

– Uważam, że nie ma sensu tego przekładać.

– Jesteś pewna, że wszystko się uda? – spytała Dinah.

– Wiesz, że nigdy nie zadajemy sobie tego pytania.

– Wiem, ale na jakiej podstawie twierdzisz, że nic złego się nie stanie?

– Na takiej, że po prostu jestem pewna.

– A on? – spytał Gustaf, wskazując mnie palcem. – Jaka będzie jego rola?

– Ja mam imię – mruknąłem.

Max spojrzała na mnie i stwierdziła:

– Mamy do omówienia wiele spraw, a ty musisz się w końcu zdecydować, czy chcesz być z nami. Nie ma sensu dłużej ściemniać.

Przenieśliśmy się do kuchni. Robin otworzył lodówkę, wyjął z niej duży talerz z kanapkami i postawił go na wyspie. Wziął jedną i zatopił w niej zęby.

– Wiejski pasztet z piklami! – zawołał z ustami pełnymi jedzenia. – Nie jestem już zły na Charlesa.

– Zanieś ten talerz do biblioteki, musimy porozmawiać – poleciła mu Max. – Charlesa zostaw w spokoju, nie musi o tym wiedzieć. Sam wiesz, że jeszcze trochę i w ogóle nie będziemy go w nic wtajemniczać.

Po tych słowach skinęła głową w kierunku mnie i Dinah, a Robin zabrał talerz i poszedł z nim do biblioteki, w której przez cały ten czas przebywał Gustaf. Max czekała, aż Robin zamknie za sobą drzwi, a kiedy to zrobił, wskazała mnie ręką i powiedziała do Dinah:

– On jest na mnie zły.

Dinah pokręciła głową poirytowana.

– Chyba mu się nie dziwisz? Radziłam ci, żeby z nim o tym porozmawiać.

– Próbowałam.

Max lekko się uśmiechnęła.

– Zanim wyszłam z waszego mieszkania, zakradłam się do twojego pokoju, ale spałeś tak twardym snem, że nie mogłam cię dobudzić.

– O czym ty mówisz? – spytałem.

– A teraz nam nie ufa – wtrąciła Dinah. – Akurat teraz, kiedy bardziej niż kiedykolwiek powinniśmy się trzymać razem. Świetna robota, Max.

– Nie mam zielonego pojęcia, o co wam chodzi – stwierdziłem. – Widziałem cię w pokoju Ludviga. Siedziałaś na jego łóżku w samych majtkach. Czy właśnie o tym rozmawiacie?

Max wzruszyła ramionami i zrobiła zatroskaną minę.

– Człowiek robi, co musi, *baby*.

– A musi, żeby co zrobić?

Max wsunęła dłoń do kieszeni spodni i wyjęła z niej pęk kluczy.

– Na przykład zdobyć te klucze – odparła.

– Należą do Ludviga?

– Tak.

– Jeśli potrzebowałaś kluczy do mieszkania, mogłaś poprosić mnie. Nie musiałaś iść z nim do łóżka.

– Nie chodziło mi o klucze do waszego mieszkania, drogi Einsteinie, tylko o klucze do domu jego rodziców – odparła z uśmiechem Max.

Pokręciłem głową, starając się zrozumieć to, co przed chwilą usłyszałem.

– Czy wiesz, kim są jego rodzice?

– Tak. Jego ojciec zarządza jakimś funduszem...

– ...który się nazywa Bellevue Capital Management – dokończyła Dinah. – Łączna wartość będących pod zarządem funduszu rezerw i kapitałów własnych wynosi około miliarda koron. W ubiegłym roku dochód po opodatkowaniu przychodów Fredrika Rehnskölda to dwanaście milionów.

– Ojciec twojego kumpla jest bogaty jak król – skomentowała jej słowa Max. – Ale o tym już wiesz, prawda?

Wzruszyłem ramionami. Byłem coraz bardziej poirytowany, bo wciąż nie wiedziałem, do czego obie zmierzają.

– Aż tak bogaty nie jest, na pewno nie zalicza się do miliarderów.

– Masz rację – przyznała z uśmiechem Dinah. – On po prostu oszukał inwestorów, którzy przekazali mu swoje pieniądze, żeby je gdzieś ulokował i zarobił dla nich jeszcze więcej. W zestawieniu z innymi jego fundusz faktycznie nie jest aż tak duży. Ojcu Ludviga służy raczej do zabicia czasu, bo już ma pokaźny majątek, który otrzymał w spadku, i nieźle mu się powodzi.

Przypomniał mi się szampan, catering z Grandu, whisky, zegarki i kokaina, „mistrzu”, *You got male* i kumple Ludviga, którzy go odwiedzali w jego mieszkaniu. Wszyscy byli do siebie podobni, a właściwie tacy sami. Wywodzili się z określonych środowisk, do których wrócą po studiach. Kapitał, majątki, rezerwy finansowe. Zero wysiłku, zero ryzyka, podziały klasowe przebiegające w poprzek społeczeństwa. Z każdym rokiem się powiększają, kiedy do życia wkracza kolejne bezwartościowe i uprzywilejowane pokolenie. Poczulem, jak mój dotychczasowy gniew na Max i jej towarzyszy powoli się przenosi na kumpli Ludviga i ich rodziców.

– Zaplanowałaś to po tym, jak ci powiedziałem, z kim mieszkam, ale nawet nie raczyłaś mi o tym powiedzieć.

Max szybko pokręciła głową.

– Nie tak dosłownie zaplanowałam. Sprawdziłam ich z czystej ciekawości, bo chciałam zobaczyć, z kim mieszkasz. W tym tygodniu mamy szansę wprowadzić nasz plan w życie, więc zdecydowaliśmy się na test. Polegał on na tym, żeby się przebrać i przyjść na waszą imprezę. To była zbyt dobra okazja, żeby z niej nie skorzystać. Pewnie pamiętasz, jak próbowałam cię namówić, żebyś tam nie szedł.

– Mogłaś mi po prostu zdradzić, co planujesz. Przecież zadeklarowałem, że stoję po waszej stronie. I nawet to udowodniłem.

– Działamy nielegalnie – stwierdziła Dinah. – Żyjemy w stanie illegalizmu. Rozumiesz, co to znaczy?

– Że jesteście bandytami – odparłem poirytowanym głosem. – Akurat to do mnie dotarło.

Max zignorowała mój sarkastyczny ton.

– Warunkiem prowadzenia nielegalnego życia jest to, żeby plany były tajne. Nasze życie oparte jest na zaufaniu i świadomości, że wszystko w każdej chwili mogą wziąć diabli. Jesteśmy pełni tajemnic. Nigdy się nie dowiesz o nas wszystkiego, bo my też nie wiemy wszystkiego. Stosujemy zasadę: o planach wiedzą tylko ci, którzy powinni o nich wiedzieć.

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

– To jakieś brednie. Czy według ciebie właśnie na tym polega uczciwe życie?

Dina spojrzała na mnie swoimi aroganckimi, prawie zupełnie czarnymi oczami.

– Żeby prowadzić uczciwe życie, nie możesz sobie pozwolić na mieszczańskie wyobrażenia o tym, co jest kłamstwem, a co prawdą.

– Musimy się chronić, a w tym wypadku chronić także ciebie – wyjaśniła Max. – Jeśli coś pójdzie nie tak, nie będziesz znał naszych planów. Nie trzeba kłamać, żeby ukryć to, o czym się nie wie.

Dinah wskazała drzwi.

– Teraz już wiesz, więc równie dobrze możesz poznać cały plan.

Usiadłem na kanapie i wziąłem kanapkę z talerza.

– Muszę coś zjeść – wyjaśniłem. – Od rana nic nie jadłem.

Kanapki na bazie białego pieczywa były grubo posmarowane pasztetem i chrupiące dzięki marynowanym cebulkom i małym konserwowym ogórkom. Wgryzłem się w tę smaczną masę z prawdziwą przyjemnością. Potem zjadłem jeszcze dwie kanapki. Gustaf poszedł do kuchni po kubki i dzbanek z kawą.

– Pierwszy raz nie pijecie wina – zauważyłem. – Mam mętlik w głowie.

– Za kogo ty nas uważasz? Dziś wieczorem wychodzimy na robotę – wyjaśniła Dinah.

– Wiem, że jesteś na mnie zły – stwierdziła Max.

– Mamy pewną zasadę – włączył się do rozmowy Robin. – Mówi ona, że o szczegółach naszych planów wie tylko ten, kto powinien je znać.

– Już to słyszałem. Illegalizm i tak dalej... Bla, bla, bla...

– Próbowałam ci to potem wyjaśnić, żeby się usprawiedliwić – odparła Max.

Na dworze zapadły ciemności. Było po osiemnastej.

– Tydzień temu powiedziałem, że nie chcę, żebyście mnie oszukiwali. Mimo to znowu to zrobiliście.

Dinah rozłożyła rękę i pokręciła głową.

– Nie bądź palantem – stwierdziła poirytowanym tonem. – Nikt cię nie zmusza, żebyś z nami został. Prawda jest taka, że nigdy cię do niczego nie zmuszaliśmy. Może po prostu jest tak, że to, co robimy, nie jest dla ciebie?

– Uspokój się – upomniał ją Gustaf.

Max pogłaskała mnie po rękę i spojrzała mi w oczy.

– Przepraszam, ale tacy jesteśmy. Teraz jesteś z nami.

Zacząłem się zastanawiać. W pokoju zapadła cisza.

– Niech będzie – odparłem. – Opowiedzcie mi o tym waszym pieprzonym planie. To minimum, którego mogę od was zażądać.

Max uścisnęła mi rękę. Zauważyłem, że moje słowa sprawiły jej ulgę.

– A więc wchodzisz w to?

Przypomniałem sobie, co myślałem jeszcze dwie godziny temu: że straciłem to całe napięcie i poczucie sensu, choć byłem bardzo blisko. Teraz nie mogłem się już wycofać. Podejrzywałem, że oni też to wiedzieli.

– Na to wygląda – odparłem.

Max z uśmiechem wstała z kanapy. Chrząknęła w teatralnym stylu i powiedziała:

– Wszyscy się najedli? Pytam, bo chciałabym wyjaśnić, na czym polega plan. Ja go wymyśliłam i ja go przedstawię.

Nikt się nie odezwał, więc spojrzała na mnie.

– To będzie twój pierwszy raz. Kradzieży w Kopenhadze dokonałeś pod wpływem impulsu. To, w czym weźmiesz udział dzisiaj, jest działaniem przemyślanym i na znacznie większą skalę.

– Poza tym dotyczy twoich kumpli – wtrącił Robin, który przed chwilą włożył do ust połowę kanapki i głośno ją żuł.

– Oni nie są moimi kumplami – odparłem, wzbudzając ogólny śmiech.

– Mamy komplet kluczy, które jak przypuszczam, pasują do zamków w domu Rehnsköldów w Malmö. Trochę dalej stoi willa Zlatana.

Max pokazała mi niewielkiego pilota, który był przyczepiony do pęku kluczy, i wyjaśniła:

– Mamy też to. Przypuszczam, że to pilot do włączania i wyłączania systemu alarmowego.

– Ale na sto procent tego nie wiesz? – spytał Gustaf.

Cała trójka westchnęła i spojrzała na niego z rozdrażnieniem. Gustaf nie raz zgłaszał zastrzeżenia w czasie takich dyskusji.

– To prawda – przyznała Max. – Jak zwykle nie wiemy wszystkiego. Innymi słowy: nic nie jest pewne.

Gustaf się nie odezwał, więc Max kontynuowała:

– Fredrik i Cecilia Rehnsköldowie mają dwa domy: jeden w Malmö, drugi w Falsterbo. Są też właścicielami małego mieszkania na sztokholmskim Östermalmie. Cecilia napisała na Instagramie, że właśnie tam zamierza spędzić z mężem ten weekend.

Max zrobiła pauzę i spojrzała na telefon.

– Myślę, że o tej porze popijają szampana w barze Grand Hotelu. Brat Ludviga studiuje w Londynie i nie ma go teraz w Szwecji. Robin, byłeś w południe obejrzyć dom w Malmö. Opowiadaj.

– Dom jest pusty, drzwi są pozamykane, światła pogaszone. Jeśli ktoś ma klucze, bez problemu wejdzie do środka.

– Bez problemu wejdzie do środka – powtórzyła Max i rozłożyła ręce.

– No to na co jeszcze czekamy? – spytał Robin. – To bułka z masłem.

Max skinęła głową i zrobiła dumną minę.

– Nie jestem sceptykiem, ale radziłbym zachować szczególną ostrożność – odezwał się nagle Gustaf. Od pewnego czasu przeglądał książkę, którą przed chwilą zdjął z półki. Po swojej wypowiedzi zamknął ją i odłożył na miejsce.

– Twierdzisz, że nie jesteś sceptykiem, ale to zabrzmiało tak, jakbyś nim był – zauważył Robin.

Gustaf zignorował jego uwagę.

– Charles ma rację: wy naprawdę działacie pod wpływem impulsu. Mamy przecież inny, poważniejszy plan. Dlaczego nie możemy się go trzymać? Zwłaszcza teraz, gdy mieliśmy go zrealizować. Uważam, że to, co proponuje Max, naraża nas na niepotrzebne ryzyko. Swoją plan opracowała w pięć minut, opierając się na Instagramie, i twierdzi, że to okazja. Stać nas na coś więcej.

– Potrzebujemy pieniędzy, między innymi na ten, jak go nazwałeś, poważniejszy plan – wtrąciła Dinah.

– Zdobycie pieniędzy też wymaga pieniędzy i wszyscy o tym wiedzą – zauważył Robin.

Dinah rozłożyła ręce i pokręciła głową. Widać było, że jest poirytowana przebiegiem rozmowy.

– Firma nazywa się Bellevue Capital Management – kontynuowała Max. – Sama nazwa sugeruje, że to piekielnie trudny cel.

– Fundusz zarządza miliardem koron – dodała Dinah. – Nie możesz powiedzieć, że to nie jest kusząca kwota.

– Właśnie na to się nastawialiśmy – powiedziała Max. Popatrzyła na mnie i dodała:
– A teraz trafia nam się okazja.

Gustaf pokręcił głową, w jego oczach dostrzegłem, że coś się w nim obudziło.

– Nie podoba mi się to, ale cóż... – stwierdził z westchnieniem.

– Sprawa jest czysta! – zawołał Robin, klepiąc go po ramieniu.

– Zdobędziemy pieniądze, których nam tak bardzo potrzeba – powiedziała Max i dodała ściszym głosem: – Będziemy mogli zwrócić Charlesowi to, co jesteśmy mu winni. Przynajmniej tyle możemy zrobić. Poza tym zyskamy swobodę działania do czasu, aż postanowimy zrealizować nasz główny plan.

Gustaf wzruszył ramionami.

– Widzę, że nie mamy innego wyjścia... – Westchnął, po czym spojrzał na Max i ją pochwalił: – Dobra robota.

Max z ironią skinęła głową.

– Co wy właściwie planujecie? – spytałem. – Mam na myśli wasze plany na przyszłość. Na co wam potrzeba tyle pieniędzy?

Nikt nie odpowiedział na moje pytania, bo wszyscy pochylili się nad laptopem, na którym Robin wyświetlił zdjęcie domu w Bellevue. Po kolei omawiali plan budynku, rozmieszczenie kamer i drogi ewakuacji. Przyłączyłem się do nich i od razu załała mnie fala ciepła. Poczułem się wtajemniczony, jakbym nagle stał się częścią czegoś wielkiego.

– Kiedy skończymy, chcielibyśmy cię poprosić, żebyś coś zrobił – powiedziała do mnie Dinah.

– Co mianowicie?

– Kiedy będzie już po wszystkim, wrócisz do swojego mieszkania i włożysz klucze do kurtki Ludviga. Nie może zauważyć, że ich nie ma, bo kiedy się dowie, że jego rodzice zostali okradzeni, zacznie się zastanawiać, kto mu je zabrał.

– Jesteśmy duchami, *baby* – stwierdził Robin, nalewając sobie resztę kawy.

– Skąd wzięłaś te klucze? – spytałem.

– Z szufladki w nocnej szafce, ale nie musisz ich tam wkładać. Włóż je do jego kurtki, płaszcza albo gdziekolwiek indziej.

Popatrzyłem na nich. Ich niezwykle efektowny plan zrobił na mnie wrażenie. Wszystko brzmiało tak, jakby to była zwykła robota.

– Jeśli uznasz, że tak będzie dla ciebie lepiej, nie musisz wchodzić z nami do środka – powiedział Gustaf. – W końcu to rodzice twojego kumpla, z którym mieszkasz. Zrozumiemy, jeśli uznasz, że sytuacja jest dla ciebie niezręczna. Możesz na nas poczekać tutaj z Charlesem.

Wyobraziłem sobie mój skromny pokój, przypomniało mi się, jak obsługiwałem kumpli Ludviga, a po imprezie sprzątałem mieszkanie. Pomyślałem o Hulku, sprzecznościach klasowych i „metafizyce kradzieży”, a potem spojrzałem na siedzące przede mną, skupione osoby, które tworzyły gang albo bandę, niewielką grupę wybrańców, której częścią się stałem. Nigdy wcześniej nie byłem bardziej pewien tego, co powinienem zrobić.

– Oni nie są moimi kumplami i nic mnie z nimi nie łączy – odparłem. – Czy to nie wy mówiliście, że jeśli słowa nie idą w parze z czynami, tracą na znaczeniu? Nie ma takiej możliwości, żebym z wami nie poszedł.

– Brawo! – zawołał Robin. – Właśnie na taką deklarację czekaliśmy!

Na dworze było tak zimno, że z ust buchała nam para. Wysiedliśmy z samochodu na parkingu przed budynkiem, który wyglądał na dobrze utrzymane, oddane niedawno do użytku przedszkole. Szyby i dachy parkujących samochodów pokrywał szron. Dochodziła druga w nocy, wokół panowała cisza.

– Chyba nie tak wyobrażałeś sobie Malmö? – spytał Robin.

Popatrzyłem na żywopłoty, wysokie drzewa, piękne pałacyki i nowo wzniesione budowle ze szkła, chromu i białego betonu, które ich właściciele musiały wprawiać w dumę.

– Tu na pewno nie dochodzi do ulicznych strzelanin – zauważyłem.

– To prawda, ale za to miejscowi milionerzy padają ofiarą napadów rabunkowych, w których tracą wszystko, co mają – mruknęła Dinah, zapinając swoją czarną kurtkę.

Wszyscy byliśmy ubrani tak samo. Gustaf pożyczył mi parę czarnych dżinsów, czarną kominiarkę i bluzę z kapturem. Zabrakło czarnej kurtki, więc trząsałem się z zimna.

– Estetyka też jest ważna – wyjaśnił. – Bandyty ubierają się na czarno i tak ma być.

Rozejrzał się po parkingu i zrobił zadowoloną minę. Oprócz nas nikogo tu nie było. Ustawiliśmy się w kręgu.

– Wchodzimy do środka i skupiamy się na kluczykach do samochodu – powiedział.

– W garażu powinno stać porsche. Niewykluczone, że mają więcej wozów, które są zarejestrowane na kogoś innego. Plan jest prosty: wsiadamy do porsche i odjeżdżamy. Ja i Dinah dostarczymy wóz mojemu paserowi, dzięki czemu wzbogacimy się o sto pięćdziesiąt tysięcy koron. W tym samym czasie Robin i Max skupią się na drugiej części planu. Salon, sypialnie... sami zresztą wiecie. W holu albo w kuchni musi być specjalna szafka na klucze... w takich domach zwykle tak jest. Właściciele trzymają w nich zapasowy komplet. Jeśli uda nam się wejść do środka i nikt nas nie zauważy,

nie będzie powodu do pośpiechu. Działamy bez stresu. Ważne przypomnienie: nie zapalajcie światła.

Dom było widać z drugiego końca ulicy. Dwie kondygnacje, przynajmniej trzysta metrów kwadratowych powierzchni, pusta okolica. Alejka, która wyglądała na nową, prowadziła do nowych bram podwójnego garażu. Druga, słabiej oświetlona, kończyła się przy wejściu, na które składały się szerokie schody i nieproporcjonalnie duże drzwi. Właścicielowi musiało zależeć na tym, żeby zaimponować swoim gościom.

– Trzymaj się blisko mnie – poleciła mi Max. – Słuchaj, co mówię, i rób, co każe.

– Kiedy robisz to pierwszy raz, możesz odczuwać pewien niepokój – wyjaśnił Gustaf. – Zazwyczaj wywołany jest on ryzykiem i strachem przed więzieniem. Pamiętaj, że nie musicie się spieszyć. Jeśli ogarnie cię panika, powiedz o tym Max. To pomaga. Oddychaj głęboko i spokojnie. Kiedyś musi być ten pierwszy raz. Poradzisz sobie, ale jeśli coś cię zaniepokoi, pogadaj z Max.

Dinah poszła na rekonesans, a my czekaliśmy na nią kawałek od domu. Po pewnym czasie wróciła lekko zdyszana. Na twarzy miała kominiarkę.

– W domu i u sąsiadów cisza i spokój – zakomunikowała. – Na ścianach jest zamontowane oświetlenie. Podejrzewam, że na podjeździe albo przy drzwiach wiszą kamery monitoringu.

Max zdjęła czapkę, zrobiła z niej kominiarkę i znowu ją włożyła, zakrywając twarz. Pozostali wzięli z niej przykład. Takimi ich zapamiętałem z demonstracji w Malmö. Wyglądali na anonimowych, pozbawionych ciepła i ludzkich cech zadymiarzy, którzy sięją postrach i przemoc. Max podała mi kominiarkę, a ja od razu włożyłem ją na głowę. Serce waliło mi jak młotem.

– *Fuck them!*²⁵ – powiedziała Max. – Podpalmy ten burdel!

Ruszyliśmy podjazdem, który prowadził do garażu. Na ulicy nadal panowała cisza i światła we wszystkich domach były zgaszone, ale dla nas nie miało to znaczenia, ponieważ większość willi była ukryta za żywopłotami, przez które nic nie dało się dostrzec. Podeszliśmy podjazdem, a potem alejką do drzwi. Nasze długie cienie skakały w blasku oświetlenia po jasnych ścianach domu. Serce nadal mocno mi biło.

– Hm... – mruknął Gustaf, stając przed wielkimi drzwiami. Odwrócił się, popatrzył na Max, rozłożył ręce i syknął: – To zamek elektroniczny. Czy tak wygląda to twoje dobre planowanie? Jak zamierzasz to rozwiązać?

Max odsunęła go na bok i przyłożyła pęk kluczy do drzwi. Rozległo się krótkie kliknięcie i zamek się otworzył. Max pchnęła drzwi i spojrzała na Gustafa.

– To klucz elektroniczny – wyjaśniła, patrząc na niego zmęczonym wzrokiem. – Naprawdę myślałeś, że jestem taka głupia?

– Przecież nawet nie wiedziałas, że pilot był od tego domu – odparł Gustaf.

– Mam nadzieję, że służy też do wyłączania alarmu – powiedziała Dinah i bez wahania przeszła przez próg. Ruszyliśmy za nią. Ciężkie drzwi bezszelestnie zamknęły się za nami.

Hol był ogromny i zaskakująco pusty. Uwagę zwracał zajmujący jego środek duży stół, na którym stał ogromny wazon z czerwonymi różami. Proste, nowoczesne, prowadzące na piętro schody zdawały się wisieć w powietrzu. Na prawo wchodziło się do salonu, na lewo do kuchni.

– Myliłem się co do szafki na klucze, nie ma jej tutaj – przyznał Gustaf. Wypowiedział te słowa szeptem, a mimo to odbiły się echem w całym holu. – Ja i Dinah pójdziemy do kuchni, wy rozejrzyjcie się w salonie. Jeśli zdążymy, zajmiemy się górą. Skupiamy się na znalezieniu kluczyków od samochodu.

Dinah udała się z nim do kuchni, podczas gdy ja przyłączyłem się do Max i Robina, którzy poszli w przeciwnym kierunku. Zatrzymałem się przed drzwiami do salonu. Jedna ze ścian była zrobiona ze szkła i wychodziła na ogród. Stał przy niej przeznaczony dla dwunastu osób stół jadalny z jasnego drewna, nad którym wisiał kandelabr. Zamiast świec zamontowano w nim żarówki. Przy stole stały wykonane z chromu i skóry krzesła. Na drugim końcu pokoju zauważyłem dwie niskie białe kanapy, a między nimi długi szklany stolik. Na ścianie pomiędzy dwoma wysokimi, wychodzącymi na ulicę oknami, wisiał największy telewizor, jaki w życiu widziałem.

– Jest za duży, żeby go zabrać – ocenił Robin. – Gdyby nie to, zgarnęlibyśmy za niego ładny grosz.

Poza tym pokój był właściwie pusty. Na podłodze leżały dywany w biało-czarne, graficzne wzory. W jedną ze ścian wbudowano kominek, ale wyglądał tak, jakby nigdy w nim nie palono. Pokój sprawiał wrażenie nieużywanego. Był pusty, wysprzątnany i wszystko stało w nim na swoim miejscu.

– Można odnieść wrażenie, że ci, którzy zajmują miejsca na samym szczycie piramidy finansowej, nie są rozrzutni – zauważyła Max.

Robin wskazał ręką ogromną pustą ścianę naprzeciwko drzwi prowadzących do holu.

– Czysto tu i przyjemnie, ale nie ma co stąd zabrać – mruknął.

– Tutaj już skończyliśmy, więc chodźmy dalej – rzuciła Max.

– To wszystko jest dla nas bezwartościowe. Chodźmy na górę.

Głos miał zniecierpliwiony i napięty, jakby się denerwował. Kiedy szliśmy przez hol, odgłos naszych kroków odbijał się echem od ścian. Nagle usłyszałem dobiegający z kuchni głos Gustafa:

– Znalazłem!

Rozległ się trzask, jakby szuflada wysunęła się z szafki i spadła na podłogę. Dinah wystawiła głowę przez drzwi.

– W naszym fachu nie ma nic lepszego od łomu – stwierdziła. – Gustaf wyważył zamkniętą na klucz szufladę.

Max zatrzymała się w pół kroku, uniosła rękę na znak, żebyśmy stanęli i przyłożyła palec do ust, żeby uciszyć Dinah. Wstrzymałem oddech, bo w jej ruchach dostrzegłem niepokój.

Kątem oka zauważyłem, że Robin odwrócił głowę w stronę prowadzących na piętro schodów. Krew pulsowała mi w skroniach. Z góry dobiegał nieokreślony, ledwo słyszalny dźwięk. Sekundy płynęły w błyskawicznym tempie, a ja marzyłem tylko o tym, żeby się odwrócić i stamtąd uciec, nie oglądając się za siebie. Po prostu zniknąć. Tymczasem stałem jak sparaliżowany, jakbym przyrósł do wypolerowanej marmurowej podłogi. Potem rozległo się przeciągłe miauczenie i na schodach pojawił się biały kotek i zaczął bezszelestnie schodzić na dół.

– Cholera! – roześmiała się Max. – Prawie spanikowałam.

Roześmiałem się z ulgą.

– Wszystko w tym domu jest białe, nawet kot – zauważyłem.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Robin stoi z głową zwróconą w stronę schodów. W ręce trzymał duży czarny pistolet. Powoli, nie opuszczając broni, zrobił kilka kroków w kierunku schodów.

– To nie był tylko kot – szepnął.

Staliśmy w ciszy, nasłuchując. W końcu Max podeszła do Robina i chwyciła go za łokieć.

– Spokojnie. Nikogo tu nie ma. Przesłyszałeś się. Oddychaj!

Robin spojrzał na nią.

– Wiem, co słyszałem – szepnął. – Nie żartuję. Pójdę na piętro i sprawdzę.

– Nigdzie nie pójdziesz. Uspokój się.

– Mam kluczyki! – zawołał nagle Gustaf. – Trudno je było znaleźć.

Wyszedł z kuchni, trzymając w ręce dwa klucze do samochodów. Max, która nadal przytrzymywała Robina za rękę, popatrzyła na niego.

– Co tu się dzieje? – spytał Gustaf.

– Przestraszył nas kot, a Robin chce nas przerazić – wyjaśniła Max.

– Jeśli się boicie, darujcie sobie piętro – odparł Gustaf i spojrzał w stronę schodów.

– Mamy już oba klucze – dodał ściszym głosem i uniósł je w górę. – Jeden od porsche, drugi od bmw, ale nie wiem, jaki model. Poszukajmy pieniędzy. To, co już mamy, powinno nam wystarczyć. Pomóżcie nam przy samochodach, musimy się stąd szybko ulotnić. Obiecałem, że oba wozy dostarczymy przed trzecią.

Weszliśmy za Gustafem do kuchni, która była równie czysta i pusta jak salon. Gładkie powierzchnie, stal nierdzewna, duża wyspa na środku, lodówka z podwójnymi drzwiami. Dinah otworzyła znajdujące się na końcu kuchni drzwi.

– Przejdźcie do garażu. Można tędy wnieść do środka piątkowe zakupy.

– Pewnie sami ich nie robią, ale to tylko przypuszczenie – odparł Gustaf.

Weszliśmy do garażu i zobaczyliśmy białe porsche. W tak małym pomieszczeniu wyglądało na całkiem duży wóz. Obok stało czerwone, znacznie mniejsze bmw. Oba wozy lśniły czystością, pewnie ktoś je niedawno umył.

– Oto dwa pojazdy państwa Rehnsköld – stwierdziła Dinah. – Pan Rehnsköld używa porsche cayenne, a jego żona jeździ na zakupy bmw.

Odwróciła się do Gustafa i wyciągnęła rękę.

– Nie ma mowy, żebym pojechała tym małym.

Gustaf uśmiechnął się i podał jej kluczyk od porsche.

– Proszę bardzo. Jeśli wolisz najbrzydszy samochód na naszych drogach, nie mam nic przeciwko temu.

Max przekręciła przełącznik i obie bramy garażowe uniosły się bezszelestnie. Noc była ciemna, wokół nadal panowała cisza. Dinah otworzyła drzwi porsche i spytała z westchnieniem:

– Gdzie Robin?

Spojrzałem przez ramię, ale nie było go z nami.

– Nie zostawajcie tu dłużej niż to konieczne – przypomniała Dinah. – To, co dostaniemy za samochody, w pełni zaspokoi nasze potrzeby. Kiedy stąd odjedziemy, zostaw pozdrowienie i znikaj. Nie ryzykujcie.

– Nie musisz mi o tym przypominać, a jeśli chodzi o Robina, sama wiesz, jaki jest – odparła Max. – Musimy po niego pójść.

Max miała na twarzy kominiarkę, ale i tak zauważyłem jej rozczarowany wzrok. Dinah wsiadła do samochodu. Przez krótką chwilę, zanim zgasło wewnętrzne oświetlenie, jej czarna kominiarka na tle białej, luksusowej tapicerki prezentowała się prawie idealnie. Dinah zamknęła drzwi i uruchomiła silnik, a ja i Max odsunęliśmy się na bok. Wóz wytoczył się na ulicę i po chwili zniknął nam z oczu. Tuż za nią jechał Gustaf w bmw. Oba samochody były wyposażone w silniki elektryczne, dzięki czemu poruszały się bezszelestnie.

– Przyszłość należy do złodziei samochodów – stwierdziła Max, zamykając obie bramy garażowe. – Nikt nawet nie zauważył, jak odjechali. Chodźmy, mam jeszcze coś do załatwienia.

Bocznymi drzwiami wyszliśmy na podjazd przed garażem. Max położyła plecak na ziemi i wyjęła z niego pojemnik ze sprejem.

– Co z Robinem? – spytałem.

– Pójdziemy po niego, ale to, co tutaj zrobiliśmy, nie będzie miało sensu, jeśli nie zostawimy po sobie naszego pozdrowienia.

Czułem coraz większy niepokój. Wystarczy, że jakiś cierpiący na bezsenność sąsiad wyjdzie na spacer i będzie po nas.

– Okej, ale potem od razu znikamy – powiedziałem. – Zresztą rób, co chcesz. Ja spadam.

Max spojrzała na mnie przez ramię. Odniosłem wrażenie, że się uśmiechnęła.

– Zgoda, potem spadamy.

W kilka sekund napisała sprejem na lewej bramie garażu trzy słowa. Czerwona farba spływała z liter, przypominając krew. Max przesunęła się w prawo i na drugiej bramie napisała trzy kolejne słowa. Potem cofnęła się o krok, żeby obejrzeć swoje dzieło.

WY MACIE MURY, MY MAMY SZNURY

Skinęła z zadowoleniem głową, wróciła pod drzwi, kucnęła i napisała sprejem kolejne hasło:

Z POZDR. VICTOR SERGE COMPANY, MANAGEMENT

Spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się do mnie. Patrzyłem na oba napisy i czułem się oszołomiony zemstą i sprawiedliwością. Przypomniało mi się moje mleko, które wypił Ludvig, jedzenie z Grandu, które rozpakowałem i podawałem jego kumplom, whisky, którą im polewałem, zegarek Williama i sprzątanie mieszkania po imprezie, na które musiałem się zgodzić, żeby dostać zwrot części kaucji.

Rodziny takich Ludvigów i Victorów kontrolowały wszystko i nawet się nad tym nie zastanawiały. Wierzyły, że są nie do ruszenia, że chronią je pieniądze i przywileje. Czytając słowa, które Max napisała na drzwiach, poczułem, że przeszedł mnie dreszcz. Bez względu na to, co sobie myślą, wkrótce nie będą tacy bezpieczni, jak do tej pory. Nie uchronią się przed tymi, którzy nie zamierzają grać według ich reguł – przed bandytami i przede mną.

Max patrzyła na mnie błyszczącymi oczami. Chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła otworzyć ust, bo nocną ciszę przerwał ogłuszający huk, jakby wystrzał. W ciszy, która nas otaczała, zabrzmiał tak szokująco, że w pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Jak to możliwe, że w takiej ciszy rozległ się tak głośny huk?

Max chwyciła mnie mocno i kurczowo za nadgarstek.

– Kurwa! – syknęła. – Kurwa, kurwa, kurwa!

Pobiegliśmy podjazdem w stronę garażu i wpadliśmy przez boczne drzwi do środka. Potknąłem się o jakieś skrzynie i usłyszałem, jak tuż za mną coś spadło na podłogę. Nie zdążyłem się odwrócić i sprawdzić, bo Max otworzyła prowadzące do kuchni drzwi.

– Robin! – zawołała. – Robin!

Ruszyliśmy przez hol i schodami na górę, biorąc po dwa stopnie. W głębi domu było słychać jęki.

– Tu jestem! – odpowiedział ostrym głosem Robin z innej części piętra. Schody prowadziły prosto do pomieszczenia, które przypominało pokój telewizyjny, równie duży jak wszystko w tym domu. Stały w nim dwie kanapy, w ścianę wbudowany był telewizor. Zauważyłem też wychodzący na ogród balkon.

– Co się stało?! – krzyknąłem. – Skąd ten hałas?

Odniosłem wrażenie, że biegłem bardzo długo, jakbym był pod wodą i poruszał się w zwolnionym tempie. Mimo to na schodach wyprzedziłem Max. Usłyszałem jęki dobiegające z jednego z pomieszczeń, być może z tego nad garażem. Gwałtownie otworzyłem drzwi, Max była tuż za mną. Ujrzałem pokój, niewiele większy od tego, który wynajmowałem od Victora i Ludviga. Stało w nim niezaścielone łóżko i biurko, na którym leżał mały laptop. Na nocnej szafce stały dwa zdjęcia w złoconych ramkach. Przedstawiały uśmiechnięte rodzeństwo – chłopca i dziewczynkę w wieku najwyżej od dziesięciu do dwunastu lat. Byli elegancko ubrani, jakby szli na jakąś uroczystość. Dziewczynka miała aparat na zębach, a we włosach czerwony diadem.

Stanąłem w progu, a Max wparowała do środka i klęknęła na dywaniku. Robin stał z pistoletem w ręce. Przed nim leżała szczupła, ubrana w białą koszulę nocną kobieta, mniej więcej czterdziestokilkuletnia. Z rany w jej obojczyku sączyła się krew. Oczy miała zamknięte, twarz bladą, jej pierś unosiła się w przyspieszonym oddechu.

– Przestraszyła mnie – tłumaczył się Robin. – To chyba ich gospodyni albo ktoś w tym stylu. Nagle otworzyła za mną drzwi. Odwróciłem się i pistolet sam wypalił...

Max zdjęła plecak i zaczęła w nim grzebać. Widać było, że jest spanikowana, ale panuje nad sobą.

– Poszukaj paska, krawata albo czegoś, czego można użyć jako opaski uciskowej – poleciła.

Odwróciłem się i wyszedłem na korytarz. To był jakiś koszmar, nie mogłem uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Poruszałem się jak automat. Otworzyłem jakieś drzwi i zobaczyłem szafę na ubrania. Zacząłem wyrzucać z szuflad ich zawartość. Kaszmirowe koszule i koronkowa bielizna lądowały na podłodze. W końcu znalazłem czarny pasek ze sprzączką, na której widniało połączone logo firmy Fendi i szybko wróciłem do małego pokoju. Max rozerwała opatrunki i podała je Robinowi. Ten usiadł przy kobiecie i przyłożył je do jej rany.

– Przepraszam, to była pomyłka – mruknął pod nosem.

– Myślisz, że twoje przeprosiny jej pomogą?! – krzyknęła Max. – Wydaje ci się, że przeżyje, bo postrzeliłeś ją przez pomyłkę?

Chwyciłem Max za rękę i odciągnąłem ją od kobiety i Robina.

– Wystarczy, więcej opatrunków nie potrzeba – stwierdziłem. Pochyliłem się nad kobietą i powiedziałem do Robina: – Unieśmy ją.

Kobieta była tak drobna i szczupła, że bez problemu przeciągnąłem pasek za jej plecami, pod pachami i przez pierś do karku. Oddychała płytko, ale bardzo szybko. Nie miałem pojęcia, co robię, ale byłem pewien, że w tych okolicznościach postępuję właściwie.

Kobieta oddychała coraz szybciej, niewykluczone, że była w szoku. Może umierała? Poprosiłem Robina, żeby mocno uciskał ranę opatrunkiem i zaciągnąłem pasek na tyle, na ile się dało. Nagle usłyszałem dobiegające z oddali wycie syren. Robin i Max też je usłyszeli, bo zerwali się z podłogi i ruszyli do drzwi.

– Zostaw ją! – zawołała do mnie Robin. – Musimy uciekać.

Popatrzyłem na nich i doszedłem do wniosku, że żądają ode mnie zbyt wiele. Poczulem zastrzyk adrenaliny.

– Idźcie beze mnie – odparłem. – Nie możemy jej tak zostawić.

Robin podszedł do mnie i szarpnął mnie za bluzę.

– Nie ty o tym decydujesz – oznajmił.

Oddech miał gęsty i ostry, pachnący acetonem.

– Przyszedłeś tu z nami, a my nie zostawiamy po sobie śladów – stwierdził i wyciągnął mnie na korytarz.

Spojrzałem na Max, ale ona bez słowa odwróciła głowę i ruszyła w kierunku schodów. Dźwięk syren był coraz bliżej. Zbiegliśmy do holu, Max wpadła przede mną do dużego pokoju. Tutaj wycie syren dochodziło już z ulicy, przy której stała willa. Przez okna wpadało do środka niebieskie pulsujące światło i rozjaśniało lśniące czystością podłogi.

Max pchnęła wychodzące na ogród drzwi i uderzył w nas chłód nocy. Odczułem to tak, jakby przyniósł nam chłodną, orzeźwiającą ulgę. Pobiegliśmy w czarną noc,

potykając się o kamienie, którymi wyłożona była posesja. Minęliśmy zabezpieczony na zimę brezentem grill, który pokrywała cienka warstwa szronu. Trawa chrzęściła nam pod stopami, nad nami wisiał księżyc w drugiej kwadrze.

Biegliśmy przez pogrążone w ciemnościach i przylegające do innych domów ogrody, słyszeliśmy za sobą podniesione głosy i dźwięki syren – po chwili ucichły. W pewnym momencie musiałem się zatrzymać przy krzakach agrestu, żeby zwymiotować. Wciąż miałem przed oczami widok leżącej na podłodze kobiety, wyobrażałem sobie stojące przy jej łóżku dzieci ze zdjęcia.

– Nie możemy tu zostać – powiedziała Max.

Otarłem usta i ruszyłem za nią w mrok nocy. Przypominaliśmy upiory, które próbowały uciec od czegoś, czego zakresu nie były w stanie ogarnąć umysłami. Biegliśmy koło domów, w których zaspani mieszkańcy – dobrze sytuowani obywatele, ich dzieci, gospodynie i opiekunki do dzieci – zapalali światła w sypialniach. Rozsuwali żaluzje i patrzyli na pulsujące światła radiowozów i karettek pogotowia, które odbijały się od asfaltu i świeżo umytych okien. W końcu zatrzymaliśmy się za rododendronem w pobliżu parkingu przed przedszkolem, gdzie zostawiliśmy nasz samochód.

– Policja szybko zablokuje nam drogę ucieczki. Nie mamy czasu do namysłu, o ile już nie jest za późno – szepnęła Max, po czym zdjęła kominiarkę i dodała: – I tak mi już w niczym nie pomoże.

– Ja i Robin też nie – stwierdziłem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że policja nie będzie szukać samotnej dziewczyny, która wraca po nocnej pracy do domu. Za to na pewno będzie szukać dwóch ubranych na czarno facetów.

Max spojrzała na mnie poirytowanym wzrokiem.

– Świetny pomysł, geniuszu – skomentował Robin. – Max ma nas tutaj zostawić i zniknąć? To plan na szóstkę.

– Równie dobry, jak strzelanie do gospodyni domowej, żeby pokazać, jak bardzo niesprawiedliwe jest nasze społeczeństwo? – spytałem.

Robin podszedł do mnie i pchnął mnie w pierś.

– Za kogo ty się uważasz? Jesteś nikim, rozumiesz? Zabraliśmy cię tylko dlatego, że cię potrzebowaliśmy. Moglibyśmy cię tu zostawić i zniknąć i w ogóle się tobą nie przejmować.

– Zróbcie to, ale jeśli mnie zamkną, wasze śmieszne, anarchistyczne życie dobiegnie końca. Wiem, kim jesteś i gdzie mieszkasz, ofermo.

Robin zdjęł kominiarkę i się uśmiechnął.

– Okej, teraz to ty jesteś górą – odparł. – W każdym razie tak ci się zdaje, ale jeszcze zobaczymy.

Max odepchnęła go i włączyła się do rozmowy.

– Zamknij się – powiedziała trochę za głośno, patrząc na Robina błagalnym wzrokiem. – Nie czas na kłótnie. Ani teraz, ani kiedykolwiek indziej. To ty wszystko spieprzyłeś. Nie pogrążaj nas jeszcze bardziej.

Kiedy Max wypowiadała te słowa, minąłem ją, przebiłem się przez rzadki w tym miejscu żywopłot i wszedłem na parking. Usłyszałem, jak Robin mówi:

– Nie pogrążam, ale kiedy będzie już po wszystkim...

– Kiedy będzie już po wszystkim, nadal będziesz trzymał gębę na kłódkę – przerwała mu Max.

Koło przedszkola panowały cisza i spokój. Z domu, który okradliśmy, dobiegały różne odgłosy. W chwili, kiedy Max otwierała drzwi naszego mikrobusu, ulicą przemknęła karetka pogotowia. Jej niebieskie światło rozjaśniło parking, więc szybko stanęliśmy za samochodem. Potem ja i Robin weszliśmy do środka i ukryliśmy się w ciasnym bagażniku za tylnymi siedzeniami. Max przykryła nas kocem, usiadła za kierownicą i włączyła zapłon. Samochód ruszył przez elegancką dzielnicę, kierując się na centrum Malmö.

Droga bardzo nam się dłużyła, ponieważ Max unikała dużych skrzyżowań i ulic, na których policja mogła wystawić patrole. Jechaliśmy wśród żywopłotów i szeregowców, aż w końcu miejska zabudowa zaczęła gęstnieć. Na początku słyszeliśmy odgłosy syren, a ja ciągle odnosiłem wrażenie, że są coraz bliżej. Momentami byłem pewien, że zostaniemy zatrzymani i trafię do więzienia za współudział w zabójstwie.

Wyobrażałem sobie, że wszystko się nagle zawaliło: całe moje życie, skryte marzenia. Widziałem twarze rodziców, którzy siedzą na moim procesie na miejscach dla publiczności. Za każdym razem, kiedy nachodziły mnie takie myśli, dochodziłem do wniosku, że jeśli pozwolę im się zakorzenić w moim umyśle, z czasem mnie zmiążdżą. Niestety, nie umiałem się przed nimi obronić, więc płynęły przeze mnie swobodnie gwałtownym strumieniem. Proces i więzienie, wstyd i wina.

Być może zabrzmiało to szaleńczo, ale uważałem, że warto było się włamać. Gdybyśmy trafili za kraty jedynie za to, przyjąłbym wyrok z podniesionym czołem. Napis na drzwiach garażu wydał mi się słuszny. To, co zrobiliśmy, miało wyrazić nasz sprzeciw. Czułem się dumny, że w czymś takim uczestniczyłem i że się nie zawałem.

Niestety, strzał z pistoletu całkowicie odmienił naszą sytuację. Pomyślałem o kobiecie, która wykrwawiała się na podłodze, i zacisnąłem powieki. Czułem, że ogarnia mnie panika. Przypomniało mi się zdjęcie dzieci na nocnej szafce. W jaki sposób dowiedzą się o tym, co spotkało ich matkę? Kto do nich zadzwoni i opowie, że

została postrzelona w czasie głupiego włamania do willi po drugiej stronie kuli ziemskiej? Czułem silne klucie w piersi, bałem się, że za chwilę się uduszę. Robin wszystko spała. To, co jeszcze godzinę temu wydawało mi się słuszne, zamieniło się w chaos, przemoc, śmierć i cyniczny egoizm.

Nie, tego nie da się obronić.

Nie mam pojęcia, jak długo leżeliśmy w bagażniku. Nagle zaczęliśmy jechać z większą prędkością. Jakkolwiek na to wszystko patrzeć, odnieśliśmy coś w rodzaju zwycięstwa. Czyżby Max naprawdę wywiozła nas z plątaniny ulic i uratowała przed aresztowaniem? Byliśmy już na wjeździe na autostradę E22, którą mieliśmy dojechać do Lundu. Robin wbił mi nogę w obojczyk, więc ją odsunąłem na bok.

– Czy mógłbyś ją cofnąć? To boli.

Ledwo wypowiedziałem te słowa, usłyszałem za nami dźwięk syreny. Max zareagowała dopiero po sekundzie, która wydała mi się wiecznością. Może przez tę krótką chwilę zastanawiała się, co zrobić? Na przykład dodać gazu? A może nasza ją głupia myśl, że uda nam się uciec? Nieważne, bo nawet jeśli się nad tym wszystkim zastanawiała, szybko przestała. Zwolniła, zjechała na bok i zatrzymała się na poboczu.

– Cholera, wpadliśmy – mruknęła.

– Bez względu na to, co się będzie działo, leż nieruchomo – ostrzegł mnie Robin. – Zostań pod kocem i nawet nie drgnij. Zrozumiałeś?

Usłyszałem przez ścianę wozu, jak otwierają się drzwi i chwilę później dobiegł mnie głos Max:

– Złamałam jakiś przepis? A może któraś lampa się spaliła?

– Poproszę prawo jazdy – usłyszałem męski głos. Był zdecydowany, ale jakby wymuszony. Policjant musiał być jeszcze młody.

– Chyba zapomniałam zabrać go z domu – odparła Max. – Wracam z pracy i jestem zmęczona. Chciałabym jak najszybciej iść spać.

Max wypowiedziała te słowa wymuszonym, ale znacznie spokojniejszym głosem, niż można by się spodziewać w tych okolicznościach.

– W takim razie poproszę o dowód osobisty albo inny dokument, który potwierdzi pani tożsamość.

– Portfel też zostawiłam w domu, bo się nie spodziewałam, że zostanę zatrzymana przez policję. Powinnam była pamiętać, żeby zabrać ze sobą dokumenty. Właśnie dostarczyłam towar.

– Jaki towar?

– Niektórzy z nas pracują po nocach.

– Jak się pani nazywa?

W głosie policjanta pojawiła się nutka zdenerwowania. Pewnie słabo sobie radził w sytuacji, gdy musiał usadzić obywatela, który złamał przepisy drogowe. Odniosłem wrażenie, że ogarnęła go lekka panika.

– Czy mogę się dowiedzieć, dlaczego mnie pan zatrzymał? – spytała Max. – Może dlatego, że mój wygląd wskazuje na imigranckie pochodzenie?

Modliłem się, żeby Max podała swoje dane osobowe. Policjant je sprawdzi i pozwoli nam odjechać. Nagle poczułem, że Robin lekko się poruszył. Odwróciłem się w jego stronę i zobaczyłem, że uniósł głowę i wyjrzał ponad fotelem.

– Proszę podać imię i nazwisko – usłyszałem drugi głos. Był starszy i spokojny, emanował profesjonalizmem. – Pani imię, nazwisko i numer osobowy są nam potrzebne, żebyśmy mogli sprawdzić, czy ma pani prawo jazdy. Proszę nie utrudniać nam pracy. Chyba że ma pani coś do ukrycia.

Kątem oka zauważyłem, że Robin znowu się poruszył. Wydawało mi się, że próbuje wyjąć z kieszeni jakiś przedmiot, który w niej utknął.

– Nie mamy czasu, żeby tu tkwić całą noc – oznajmił młodszy policjant. – Jeśli nie chce nam pani podać swoich danych, proszę wysiąść z samochodu i pójść z nami.

Wnętrze naszego wozu wypełniał słaby, żółty blask stojących na przydrożnym parkingu latarni. Za nami pulsowało niebieskie światło policyjnego radiowozu. Robin wsparł się na łokciach, ale nadal był ukryty za oparciem fotela. Wystarczyłoby jednak, żeby policjant się odwrócił i natychmiast by go zobaczył. Miałem ochotę pociągnąć Robina do siebie i przycisnąć go do podłogi.

Nagle ujrzałem, jak niewiarygodnie wolnym ruchem wyciąga z kieszeni pistolet. Serce mi zamarło, bo zrozumiałem, że gotów jest zabić. Poczułem się tak, jakbym nagle trafił do nierzeczywistego, nienormalnego świata. Robin ścisnął broń w dłoniach i patrzył znad oparcia w kierunku fotela kierowcy. Zamknąłem oczy i czekałem, aż uniesie broń, wystrzeli i zabije któregoś z policjantów. Pomyślałem, że pora się wybudzić z tego koszmaru. W tej samej chwili usłyszałem głos Max.

– Nazywam się Minna Haddad.

Otworzyłem oczy. Byłem zdziwiony, że zdołałem to zrobić i nie umarłem ze strachu.

– Niech pan sprawdzi, a potem wyjaśni, dlaczego mnie zatrzymaliście.

– Numer osobowy – odparł młodszy z policjantów.

Max wypowiedziała go tak szybko, że policjant musiał ją poprosić, żeby powtórzyła. Potem poszedł do radiowozu, prawdopodobnie po to, żeby sprawdzić w bazie podany przez Max numer.

– Pewnie wlepicie mi teraz mandat za brak prawa jazdy? – spytała. – Niech pan to zrobi, miejmy to za sobą.

Robin nadal tkwił w tej samej pozycji co przed chwilą. Był spięty, sztywny i nieruchomy, jakby nie pierwszy raz leżał ukryty w bagażniku z pistoletem wymierzonym w policjantów.

– Samochód należy do firmy Libertad AB – stwierdził starszy policjant, który prawdopodobnie sprawdzał dane. – Dokąd pani jedzie albo skąd wraca?

– Pracuję dla tej firmy. Jesienią i zimą dostarczamy do Malmö żywność dla bezdomnych. Pomagamy im w ten sposób przetrwać.

Max wypowiedziała ostatnie zdanie gniewnym głosem, jakby naprawdę wierzyła w to, co przed chwilą powiedziała.

– Mamy środek nocy, a ja jestem już naprawdę zmęczona. Mam po dziurki w nosie ciągłego zatrzymywania i kontrolowania mnie przez policję. Niech pan wypisze mandat i pozwoli mi wrócić do domu, żebym mogła pójść spać.

– Musimy obejrzeć ten samochód – odparł młodszy policjant. – Proszę wysiąść i otworzyć bagażnik.

Na chwilę zapadła cisza. Czas stanął w miejscu, a ja widziałem niebieskie, pulsujące światło radiowozu. Patrzyłem na Robina, który zmrużył oczy i kurczowo trzymał w dłoniach chwyt pistoletu. Czekałem na katastrofę, która zaraz miała się wydarzyć.

– Z jakiego powodu? – spytała Max. – Chce pan przeszukać mój samochód, bo zapomniałam prawa jazdy? Jak się pan nazywa? Zamierzam złożyć skargę na pańskie zachowanie.

Zastanawiałem się, jakim cudem Max zachowuje taki spokój. Przesunąłem nogę po podłodze, ale tak, żeby Robin tego nie zauważył. Postanowiłem, że jeśli spróbuje zrobić jakieś głupstwo, natychmiast się na niego rzucę.

– Nie podoba mi się pani zachowanie... – zaczął młodszy policjant.

Odniosłem wrażenie, że się pochylił w stronę szyby naszego wozu. Ostrożnie kopnąłem Robina, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Jego oczy przypominały czarne, wąskie kreski, zbiegały mu knykcie palców, w których trzymał pistolet. Pokręciłem głową.

– Nie rób tego – mruknąłem.

– Myślę, że na tym poprzestaniemy – stwierdził nagle starszy policjant.

– A ja uważam, że powinniśmy ten wóz dokładnie przeszukać – zaproponował jego młodszy kolega. – W tych okolicznościach...

– W jakich okolicznościach? – wtrąciła się Max.

– Czekaj nas długa noc – odparł starszy policjant w odpowiedzi na sugestię swojego młodszego kolegi.

– A ja uważam, że...

– Kończymy. Mamy inną robotę.

Zauważyłem, że Robin wyraźnie się rozluźnił.

– W Malmö doszło do strzelaniny – wyjaśnił starszy policjant, odpowiadając na pytanie Max. – To dla wyjaśnienia, dlaczego zatrzymaliśmy ten samochód do kontroli. Rozumiem, że pani nie miała z nią nic wspólnego?

– Jak widać, nie – odparła Max.

Robin opadł bezszelestnie na podłogę i przykrył się kocem.

– Ma pani szczęście. Bez względu na to, co pani robiła tej nocy, nie mamy czasu, żeby to sprawdzić. Następnym razem radzę mieć przy sobie prawo jazdy, bo może się

okazać, że nie będziemy już tacy zajęci jak teraz.

Policjanci wyłączyli koguta i zawrócili w kierunku Malmö, a Max stała na skraju drogi. Odwróciła się dopiero wtedy, gdy radiowóz zniknął z jej oczu. W blasku bijącym od dzielnicy przemysłowej jej twarz była żółta.

– Charles mawia, że najlepiej jest nie popełniać błędów – stwierdziła. Włączyła kierunkowskaz i wjechała na drogę. – Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby zajrzeli do samochodu.

– Gdybym musiał do nich strzelić, byłoby jeszcze gorzej – odparł Robin. Zrzucił z siebie koc i się wyprostował.

– Kim jest Minna Haddad? – spytałem drżącym głosem. Nadal cały się trząsałem. – Skąd znasz jej numer osobowy?

– Studiowałyśmy razem na pierwszym semestrze w Lundzie. Jest w tym samym wieku co ja i też ma krótkie kręcone włosy. Na pierwszy rzut oka jest do mnie trochę podobna. Skopiowałam kiedyś jej prawo jazdy i nauczyłam się na pamięć wszystkich danych. Zrobiłam to na wypadek, gdybym musiała je wykorzystać, tak jak dzisiaj. To lepsze niż nic.

Odwróciłem się do Robina i stwierdziłem:

– Ty byś naprawdę ich zastrzelił. Jeszcze chwila i pociągnąłbyś za spust. Zabiłbyś dwóch policjantów.

Wypowiedziałem te słowa ochrypłym, drżącym głosem. Robin spojrzał na mnie i od razu odwrócił głowę.

– Kto wie? Gdybym nie miał wyjścia... Co innego mógłbym zrobić?

Zamknąłem oczy i oparłem się o fotel.

– Nasze akcje zazwyczaj tak nie wyglądają – powiedziała Max. – To był dla ciebie pechowy początek.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, słychać było tylko szum opon na asfalcie i uderzenia wiatru o karoserię. Dopiero teraz zaczęło do nas docierać, co się przed chwilą stało.

– Waszym zdaniem to był mój błąd, tak? – odezwał się w końcu Robin.

– A czyj? – spytała Max, patrząc we wsteczne lusterko. – Tak, to był wyłącznie twój błąd. To nie my pobiegliśmy na piętro i nie my strzeliliśmy do tej kobiety.

– Przestraszyłem się. Myślisz, że bym nie chciał, żeby do tego nie doszło?

– Nic już tego nie zmieni. Nie ma sensu rozpamiętywać tego, co się stało, bo nic na tym nie zyskamy. Lepiej kontrolujmy to, co dzieje się teraz.

– Ta kobieta nie przebywałaby w domu, gdyby nie było w nim tego, co przyszliśmy zniszczyć – kontynuował Robin, jakby nie słyszał jej słów. – Gdyby ojca twojego kumpla nie było stać, żeby dzięki swoim milionom kupić ją jak niewolnicę, nie byłoby

jej w domu. Prosty wniosek jest taki, że gdyby tam nie nocowała, nie zostałyby postrzelona.

– Twoim zdaniem sama jest sobie winna? – spytałem.

Zastanawiałem się, czy taki sposób rozumowania był elementem ich radykalnej uczciwości. Na myśl o tym zrobiło mi się niedobrze.

– To był faktycznie mój błąd, bo to ja do niej strzeliłem, ale czy to na pewno jedyna prawda? Istnieją tylko te dwie opcje: winny albo niewinny? Jest tylko jeden oskarżony?

– A jeśli ta kobieta umrze? – spytałem.

Robin nie odpowiedział. Odwrócił głowę i siedział ze wzrokiem wbitym w ciemność. Na moje pytanie odpowiedziała Max. W lusterku ujrzałem jej pusty wzrok.

– No to umrze.

Max zaparkowała przed willą Charlesa za kwadrans trzecia, a ja się zastanawiałem, jak to możliwe, że jeszcze nie tak dawno byliśmy w domu rodziców Ludviga. Podążałem za Max i Robinem na drżących nogach. Weszliśmy do zupełnie ciemnego wnętrza. Robin nawet się nie zatrzymał.

– Muszę się natychmiast napić – oznajmił, a ja i Max ruszyliśmy za nim do kuchni.

Robin otworzył szafkę nad kuchenką i wyjął z niej butelkę whisky Laphroaig. Postawił na blacie szklanę, napełnił ją do połowy alkoholem i opróżnił jednym haustem.

– Kobieta przeżyła, trafiła do szpitala w Malmö.

Głos był cichy i drżący, dobiegał od drzwi. Wszyscy jak na dany znak odwróciliśmy się w tamtą stronę. Wróciliśmy w środku nocy, ale Charles był ubrany, jakby się nie kładł. Miał na sobie chinosy, niebieską koszulę chambray i szary kardigan. Podszedł do wyspy i położył na niej swojego iPada.

– Mówię o tym na wypadek, gdyby was to interesowało.

Spokojnie podszedł do szafki, wyjął z niej szklanę i nalał do niej sporą porcję whisky. Wskazał telefon, spojrzał na Max i spytał:

– Domyślam się, że to też był twój pomysł? Mówię o napisie na ścianie.

Na ekranie telefonu wyświetlona była pierwsza strona gazety „Sydsvenska Dagbladet”. Zdobiło ją hasło, które Max napisała sprejem na ścianie.

– Victor Serge Capital Management – przeczytał Charles. – Pomysłowe.

– Napis wykonałam, zanim Robin strzelił do tej kobiety – wyjaśniła Max. – Nie wiedziałam, że...

– To był nieszczęśliwy wypadek – przerwał jej Robin.

Charles pomachał ręką, jakby się od niego opędzał. Wypił trochę whisky i wbił wzrok w Robina.

– Strzeliłeś do nieuzbrojonej kobiety. Mam nadzieję, że to naprawdę był nieszczęśliwy wypadek, bo jeśli nie, będziesz miał problem. Kto to był? Gospodyni domowa?

Max wzruszyła ramionami.

– Tak myślę. Wszystko wcześniej sprawdziłam, ale nie przypuszczałam, że ktoś będzie w domu. Miał być pusty, bo właściciele wybierali się do Sztokholmu. Pojechaliśmy tam po samochody i na tym powinniśmy byli poprzestać.

– Dlaczego tego nie zrobiliście?

Robin nalał sobie whisky do połowy szklanki i opróżnił ją niemal jednym haustem.

Usłyszałem, że w drugiej części domu ktoś otwiera drzwi. W korytarzu rozległy się kroki i rozgorączkowane głosy. Chwilę później do kuchni weszli Gustaf i Dinah. Wyglądali na zmęczonych, mieli zapadłe oczy. Dinah spojrzała na Max i Robina, rozłożyła ręce i spytała:

– Co tam się, kurna, stało? Postrzeliliście kogoś? Piszą o tym w internecie.

Dinah wypowiedziała te słowa takim głosem, jakby nie mogła w nie uwierzyć albo jakby oczekiwała, że ktoś zaprzeczy i wyjaśni, że doszło do nieporozumienia, a gazety opisują inne włamanie. Gustaf przeszedł koło niej, stanął przed Robinem i popchnął go na lodówkę.

– Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie – syknął. – Wiedziałem!

Robin odepchnął go od siebie, oczy mu pociemniały.

– Odwal się od mnie, ty pierdolony...

– Na górze ktoś był – przerwała mu Max. Udało jej się ich rozdzielić. Spojrzała Gustafowi w oczy i dodała: – Robin się przestraszył.

– Jak to: przestraszył?

Gustaf pokręcił głową, jakby usłyszał najgłupsze z możliwych wyjaśnień. Dinah spojrzała na Robina.

– Po co ty w ogóle zabrałeś ten pistolet? – zapytała. – Oszalałeś? To przez coś takiego...

Nie dokończyła, bo Robin walnął pięścią w stół, i to z taką siłą, że przewrócił szklankę z whisky. Charles musiał ją złapać, żeby nie spadła na podłogę.

– Tak, spieprzyłem sprawę! – krzyknął Robin. – Co więcej mogę powiedzieć?

Charles podszedł do niego. Myślałem, że zaraz go obejmie, ale on wymierzył mu policzek. Uderzenie było lekkie, wyglądało raczej na próbę zmuszenia pokonanego przeciwnika do okazania szacunku. Robin umilkł, oczy mu pociemniały. Spojrzał Charlesowi w oczy, krzywo się uśmiechnął i nagle uderzył go czołem w nasadę nosa.

Uczył to tak szybko, że z początku nie w pełni do mnie dotarło, co się stało. Charles krzyknął z bólu, przycisnął dłoń do nosa i upadł na podłogę. Krew ciekła mu

między palcami. Stałem obok niego, więc szybko przyklękąłem, żeby mu pomóc, ale dał mi do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Krople krwi kapały na wyłożoną kaflami podłogę.

– Odwaliło ci?! – zawołała Dinah, spychając Robina na wyspę. – Zachowujesz się jak pojebus!

Jeszcze raz wyciągnąłem rękę, żeby pomóc Charlesowi wstać z podłogi, ale i tym razem nie skorzystał z oferowanej mu pomocy.

– Nie dotykaj mnie – syknął i z trudem się wyprostował. W tym momencie wyglądał na bardzo starego. Dłoń nadal miał przyłożoną do twarzy, krew ciekła mu po policzku.

Robin uwolnił się od Dinah i sięgnął po butelkę whisky. Zabrał ją i bez słowa wyszedł z kuchni.

– Co z wami, ludzie?! – zawołała Max.

Wzięła Charlesa za nadgarstek i odsunęła jego dłoń od twarzy. Okazało się, że ma też pęknięty łuk brwiowy, ale na szczęście rana była niewielka. Gustaf podał mu jego okulary i kawałek papierowego ręcznika kuchennego, żeby Charles przyłożył go do rany.

– Przyniosę plaster z opatrunkiem – powiedział Gustaf i wyszedł z kuchni.

Pół godziny później Charles siedział z opatrzoną raną na ławie przy oknie. Wzrok nadal miał trochę nieobecny, a minę taką, jakby wciąż do niego nie dotarło, co się przed chwilą stało. Siedział i co chwilę popijał whisky ze szklanki. Dinah położyła na wyspie swój nylonowy plecak.

– Za oba wozy dostaliśmy dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron – oznajmiła. – Sto pięćdziesiąt tysięcy zatrzymamy dla siebie, sto będzie dla ciebie.

Wypowiadając ostatnie słowa, skinęła głową w kierunku Charlesa.

– Mój kontakt wypierze je jak zwykle za dwadzieścia procent całej kwoty, a resztę przeleje na wskazane przez ciebie konto – zadeklarował Gustaf.

Charles skinął głową, odstawił pustą szklankę i obrzucił nas zatroskanym spojrzeniem.

– A więc tak wygląda koniec – stwierdził spokojnym głosem. – Tu i teraz. Sto tysięcy koron. Chcecie się wykupić taką kwotą?

Nikt nie odpowiedział, więc Charles wstał z ławy.

– Bez względu na to, jakie macie plany, to się źle skończy. A dlaczego? Bo brakuje wam dyscypliny. Być może wystarczy jej na założenie drugiego gangu Bonnota, ale miałem wobec was większe oczekiwania. Nie chciałem, żeby któreś z was znalazło zastrzelone w przydrożnym rowie.

Po tych słowach pokręcił głową i wolnym krokiem opuścił kuchnię. Być może miał nadzieję, że ktoś coś powie albo spróbuje go zatrzymać, ale nikt się nie odezwał.

i wkrótce ucichł odgłos jego kroków na prowadzących na piętro schodach.

– Boże! – westchnął Gustaf. – Nie mogliście po prostu olać piętra i tam nie wchodzić? Dłużej nie wytrzymam.

– Musisz wrócić do swojego mieszkania – powiedziała do mnie Max. – Powinieneś tam być, kiedy twoi kumple się obudzą. Nie możemy ściągać na siebie żadnych podejrzeń. Zrobimy to, co uzgodniliśmy. To nasza jedyna szansa.

Max poszła ze mną. Kiedy wyszliśmy na dwór, zamknęła za nami drzwi. Kryształki śniegu lśniły w blasku ulicznych latarni – im dłużej na nie patrzyłem, tym bardziej mi się wydawało, że jest ich coraz więcej. Asfalt i samochody pokrywała cienka warstwa pierwszego w tym roku śniegu. Zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy na niego w milczeniu, aż w końcu kucnąłem na schodach i ukryłem twarz w dłoniach. Max przykucnęła obok mnie.

– Musisz ukryć tę noc w jakiejś szufladce. Później zamkniesz ją na klucz, a klucz wyrzucisz – powiedziała. Wypowiedziała to zdanie głośnym szeptem, ale głos miała zdecydowany i pewny siebie. – Ludzie myślą, że potrafią kłamać, ale jedynym sposobem na to, żeby uczynić to w należyty sposób, jest okłamywanie samego siebie.

Jej słowa zabrzmiały tak, jakby naprawdę wiedziała, o czym mówi, jakby używała tej metody niejedyn raz.

– Twoja wersja ma być taka: wieczór spędziłeś z kilkoma kolegami. Oglądaliście film. Zrobiło się późno, więc wróciłeś do domu i od razu zasnąłeś. Ludvig będzie zszokowany tym, co się wydarzyło w domu jego rodziców. Masz się zachowywać tak samo jak wcześniej. Kiedy będzie o tym opowiadał, zrób taką minę, jakbyś dopiero od niego o tym usłyszał. Zrozumiałeś?

Nadal umiałem zachować pewien dystans wobec tego, co się wydarzyło. Coś poszło nie tak, a miało być inaczej. Być może nie był to nawet czyjś błąd, tylko problem, który należało rozwiązać. Skinąłem głową i czekałem na dalszy ciąg.

– To, co się wydarzyło, włóż do szufladki i wygeneruj nowe wspomnienie, które nie tylko zastąpi to dotyczące tego, w czym dzisiejszej nocy uczestniczyłeś, ale także je zakryje. To nie jest trudne, musisz w to tylko uwierzyć.

Faktycznie, w jej ustach zabrzmiało to jak coś prostego.

– Co będzie teraz? W ten weekend miałem się do was wprowadzić.

– Trzeba to będzie przełożyć. Po tym, co się stało, powinniśmy unikać gwałtownych ruchów. Poza tym pozostając w swoim obecnym mieszkaniu, znajdziesz się w samym sercu wydarzeń i będziesz mógł nam powiedzieć, czy ktoś nie wpadł na trop. Musimy trochę odczekać.

– Jaki trop? – spytałem. – Masz na myśli ten, który prowadzi do mnie? Sporo ode mnie żądasz.

– Dziś wieczorem zamierzamy wyjechać. Musimy chronić wszystkich. Z powodu głupiego zachowania Robina sytuacja uległa zmianie. Dopóki sprawa nie ucichnie, nie będziemy się ze sobą kontaktować. Potrwa to jakieś dwa tygodnie. Dopóki ktoś nie skojarzy cię z nami albo z naszym domem, nie mamy się czego bać. Do willi nie prowadzi żaden trop. Byliśmy duchami, ty też. Możemy to spieszyć jedynie z dwóch powodów: nerwowego zachowania albo głupiego zaniedbania.

Max spojrzała na mnie, a ja nagle zobaczyłem, że oczy ma lodowato zimne.

– Poradzisz sobie?

Poczułem, że tak, jakbym to, co się wydarzyło, rzeczywiście mógł włożyć do szufladki i potem tylko czekać, aż Max się ze mną skontaktuje. Co jednak będzie jutro, kiedy się obudzę i wrócą wspomnienia? Czy będę tego wszystkiego żałował? Jak spojrzę w oczy Ludvigowi i Victorowi? Słuchając Max, czułem, że oprócz szoku rośnie we mnie gniew. Miałem już tego dosyć. Traktowali mnie, jakbym był szmatą, którą można wycisnąć i wyrzucić.

– Nie wiem – odparłem. – Wciągacie mnie w bagno, a potem znikacie i zostawiacie samego. Stawiacie mi wysokie wymagania i żądacie ode mnie lojalności.

– Nikt cię w nic nie wciągał, *baby*. Sam w to wszedłeś.

– A skąd miałem wiedzieć, że Robin kogoś postrzeli?

Wyprostowałem się i spojrzałem na nią z góry, bo Max nadal kucała.

– Bardzo to upraszczasz, twierdząc, że przystając do was, sam dokonałem wyboru. Chyba sama w to nie wierzysz?

Max też się wyprostowała. Jej wzrok nie był już taki zimny jak przed chwilą, tylko zatroskany. Podała mi swój telefon.

– Robin wysłał mi to jakiś czas temu – powiedziała. – Właśnie to miał na myśli, kiedy krzyczeliście na siebie w Malmö. Musisz mi uwierzyć, że nic nie wiedziałam. Nie chciałam ci tego nawet pokazać. Myślałam, że go kontroluję, ale po tym, co się stało... Uważam, że powinieneś wiedzieć.

Na chwilę jakby się zawahała, po czym podsunęła mi telefon i włączyła zapisane w nim nagranie wideo. Na wyświetlacz opadały płatki śniegu i natychmiast się rozpuszczały.

Na początku nie bardzo wiedziałem, co oglądam. Akcja rozgrywała się w jakimś centrum handlowym. Potem nastąpiło zbliżenie. Na wyświetlaczu ujrzałem długie oszklone gabloty. Obraz był jasny i wyraźny, jakby ktoś nagrywał profesjonalną kamerą, a nie zwykłym telefonem. Nagle na jednym z kolejnych ujęć ujrzałem... siebie. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. To była moja kurtka, moja grzywka, mój nos, kości policzkowe, oczy i usta. Stałem samotnie przy ladzie, miałem niespokojną minę i rozbiegany wzrok, jakbym za czymś się rozglądał. Nastąpiło

kolejne zbliżenie i zobaczyłem, jak moje dłonie zagarniają z lady zegarki. Najpierw jeden, potem resztę. W kolejnym ujęciu zostałem pokazany z pewnej odległości. Widać było, jak wkładam zegarki do kieszeni i wychodzę ze sklepu.

– Co to jest? – spytałem.

Zaschło mi w ustach i nie miałem odwagi spojrzeć na Max, więc tylko patrzyłem na śnieg, który sypał coraz gęściej w blasku ulicznych latarni.

– Dziś wieczorem dostałam od niego to – odparła Max.

Podsunęła mi telefon i puściła mi następne nagranie. Znowu zobaczyłem siebie. Na głowie miałem czapkę, która chwilę później stała się kominiarką. Z tyłu widać było przedszkole, przy którym zaparkowaliśmy nasz samochód. Max miała szczerze zatroskaną minę.

– Robin załatwił sobie coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej. Jediną osobą, którą na podstawie tych nagrań można będzie powiązać z tym, co się stało, będziesz ty.

Max nadal patrzyła na mnie zatroskanym wzrokiem. Padał coraz gęstszy śnieg, ale ja go nie widziałem.

– Robin ci nie ufa. Ostrzegł mnie, że jeśli się pojawisz w pobliżu domu Charlesa albo spróbujesz się z nami skontaktować, pójdzie na policję i pokaże oba nagrania. Obawiam się, że mówi poważnie.

– Nie rozumiem – odparłem. Szumiało mi w uszach, zaschło mi w ustach. – Jeśli to zrobi, ja doniosę na niego.

– Przecież ty nawet nie wiesz, kim on jest, jak się nazywa i skąd pochodzi. Dziś wieczorem będzie daleko stąd.

– Grozisz mi? – spytałem.

– Nie ja, tylko on. Robin nikomu nie ufa. Po tym, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, ufa nam jeszcze mniej, a tobie najmniej.

– Co to w takim razie oznacza?

– Nic, pod warunkiem, że to, co się wydarzyło, zamkniesz w szufladce w swojej głowie. Taką mam w każdym razie nadzieję. Obiecuj mi, że to zrobisz, a ja obiecuję, że jakoś to z nim załatwię. To nie moja wina, że znaleźliśmy się w tej sytuacji. Twoja zresztą też nie.

Max pochyliła się w moją stronę, w jej głosie usłyszałem nutkę desperacji.

– Nawet przez chwilę w ciebie nie zwątpiłam i wcale cię nie wykorzystałam. Nienawidzę go za to, co zrobił. Do dzisiaj Robin sprawiał wrażenie faceta opanowanego, który działa z zimną krwią, chociaż zawsze był paranoikiem. Gustaf też nie pozostawia niczego przypadkowi. Prawdopodobnie obaj chcieli sobie załatwić polisę bezpieczeństwa. Bardzo mi przykro, że tak się stało.

Czułem coraz silniejszy ucisk w piersi. Popatrzyłem na Max i szepnąłem:

– Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, uważam, że mnie oszukaliście. Załatwiliście mnie tak, że jako jedyny jestem umoczony w oba przestępstwa.

Ziemia usunęła mi się spod nóg. Jeszcze kilka godzin temu myślałem, że po raz pierwszy w życiu do kogoś przynależę, ale wszyscy uciekli i zostałem sam.

– Nawet nie wiem, jak się nazywasz – stwierdziłem.

Max wyciągnęła rękę, dotknęła mojego policzka i spojrzała mi w oczy.

– Załatwię to z Robinem, ale musisz mi pomóc. Masz siedzieć cicho i grać razem z nami, a to, co wiesz, zamknąć w szufladce. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nie bardzo – odparłem, wzruszając ramionami.

Max przysunęła się do mnie i zanim się zorientowałem, pocałowała mnie. Zachwiałem się i przez chwilę wydawało mi się, że upadnę na schody, ale na szczęście utrzymałem równowagę. Max miała zimne, wilgotne od śniegu wargi. Zaczęła mnie łagodnie pieścić, a potem przeciągnęła palcami po moich włosach i przytuliła się do mnie. Świat wokół nas przestał istnieć, a ja na chwilę zapomniałem, że zostałem sam. Byliśmy razem, dotykaliśmy się ustami i językami, wokół nas padał śnieg. W końcu Max się odsunęła.

– Musisz zabrać klucze i wrócić do domu, bo inaczej wszystko szlag trafi.

Skinąłem głową, bo czułem się tak, jakbym stracił głos. Max stała tuż obok. Objąłem ją, a ona uniosła głowę, spojrzała na mnie i powiedziała:

– Ja też czuję się zawiedziona. To, co robimy w naszej grupie, opiera się na prostej zasadzie: wszystko robimy razem i wzajemnie sobie ufamy. Dla mnie byłeś jednym z nas.

Umilkła i spojrzała na mnie swoimi zielonymi, błyszczącymi oczami.

– Chcę z tobą być, powinieneś to wiedzieć.

– A co to dla ciebie znaczy? – Głos miałem niepewny, a pytanie zadałem tak cicho, że sam je ledwo usłyszałem.

– Robin od dawna zachowuje się tak, jakby szedł własną drogą – szepnęła Max. – A Dinah... Nie wiem, czy się domyśliłeś, ale...

Pokręciła głową. Przypomniał mi się fentanyl i nieobecny wzrok jej siostry. Nawet jeśli nie wiedziałem, i tak się domyślałem.

– Nie jestem pewna, czy jeszcze wytrzyma. Chodziło nam o to, żeby nie krzywdzić niewinnych ludzi. Liczyło się tylko jedno: to, co zamierzaliśmy robić, miało coś znaczyć. Postępowanie zgodnie z zasadami illegalizmu oznacza, że każdy z nas powinien poświęcić wszystko. Człowiek musi robić słuszne rzeczy, żyć tak, jak każe żyć innym. Jeśli nie, staje się złodziejem, gangsterem, a nawet mordercą.

– Ale nie bandytą – wtrąciłem.

– Nie bandytą – przyznała Max z zatroskanym uśmiechem.

Nadal ją obejmowałem, a ona przyciskała swoje zimne usta do mojej szyi. Staliśmy tak przez chwilę i nie chciałem, żeby to się skończyło. W końcu oswobodziła się z moich objęć i spojrzała mi w oczy.

– Zamierzam ich zostawić – szepnęła. – Dla mnie to już koniec.

Popatrzyłem na nią i odniosłem wrażenie, jakby powietrze między nami znieruchomiało. Max miała taką minę, jakby całkowicie się przede mną obnażyła. Byłem zszokowany. Nagle zniknęły wszystkie maski, ironia i manipulacja.

– Czy będziesz przy mnie, jeśli postanowię ich opuścić? – spytała drżącym głosem.

Przełknąłem ślinę i wziąłem jej głowę w obie dłonie. Staliśmy tak i patrzyliśmy na siebie, a śnieg topniał nam na policzkach.

– Pamiętasz moją kumpelę, która może nam załatwić hotel w Sztokholmie?

Skinąłem głową.

– Zostawię ich i tam się spotkamy. Tylko ty i ja.

– Kiedy?

Max pokręciła głową.

– Musisz mi dać trochę czasu, *baby*. Zadzwoń do ciebie. Masz być przygotowany na to, że któregoś dnia tam pojedziesz. Zrobisz to, jeśli będę cię potrzebować? Chwycisz mnie, zanim się przewrócę?

W gardle czułem już tak silne dławienie, że w odpowiedzi zdołałem jedynie skinąć głową. Zrobię wszystko, żeby być tylko z tobą, pomyślałem.

Kiedy się z nią zegnałem, serce waliło mi jak młotem. Im bardziej się od niej oddalałem, tym mocniej biło. Oznajmiła, że chce być ze mną i z nikim innym. Słowa, które wypowiedziała na schodach, na chwilę wyparły z mojej pamięci wszystko inne. Nie zdążyłem jednak dojść do Ogrodu Botanicznego, gdy wspomnienia związane z włamaniem i strzałem wróciły ze zdwojoną siłą i prawie całkowicie zatarły to, co wyznała.

Żeby przestać o tym myśleć, zacząłem biec. Przed oczami miałem Robina z pistoletem w dłoni, zakrwawioną kobietę, zdjęcie jej dzieci na nocnej szafce, nagranie ze mną w roli głównej i wideo z Illum. Poczuję się bardzo samotny. Przyspieszyłem, jakby powrót do rzeczywistości mógł mi w czymś pomóc. Zatrzymałem się dopiero w parku przed biblioteką uniwersytecką. Stałem z duszą na ramieniu, z ust buchała mi para.

Wokół mnie opadały na ziemię i od razu topniały duże, wilgotne płatki śniegu. Bycie z Max było dla mnie jak przebywanie w bańce umieszczonej w świecie, w którym liczyły się zupełnie inne kwestie. Teraz, kiedy zostałem sam, czułem, jak wracają wspomnienia o wszystkich dziwacznych decyzjach. Zacząłem się zastanawiać, w co ja się wplątałem i na co się zgodziłem.

Na włamanie do cudzego domu w Malmö? Tak, bo właściciel sobie na to zasłużył.

Na zastrzelenie kogoś? Doszło do tego przez pomyłkę.

Na mówienie kłamstw, żeby być uczciwym? To prawidłowa postawa.

Przypomniały mi się zdjęcia i nagrania w telefonie Max.

Zimne, pozbawione emocji zachowanie Robina i jego groźby.

Max, która twierdziła, że chce być ze mną.

Próbowałem zaczerpnąć powietrza, ale nie mogłem. Wszystko wokół mnie wirowało, a ja byłem jak chorągiewka poruszana podmuchami wiatru. Niewykluczone, że Victor i Ludvig już się obudzili. Może zauważyli, że nie ma mnie w domu, i wezwali policję?

Przeciągnąłem dłońmi po włosach i poczułem, że są mokre od śniegu. Myśli coraz szybciej krążyły mi po głowie. Znowu przypomniała mi się leżąca na podłodze kobieta i krew, która sączyła się z jej rany i zalewała mi dłonie.

Mogłem to wszystko przerwać, wystarczyłaby jedna krótka rozmowa. Mogłem zadzwonić na policję i opowiedzieć o zegarkach, które ukradłem w Kopenhadze,

wyznać prawdę o Max, Dinah, Gustafie, Robinie i Charlesie i o zdjęciach dzieci na nocnej szafce. Co się jednak stanie, jeśli oni wszystkiemu zaprzeczą i całą winę zwałą na mnie? Przecież na zdjęciach i nagraniach byłem tylko ja. Źle by się to dla mnie skończyło. Zresztą nie mógłbym tego zrobić z jednej prostej przyczyny: ze względu na Max. Wprawdzie wiedziałem, że nie można jej ufać i że mną manipuluje, ale myślałem tylko o niej. Była życiem, które chciałem prowadzić i o którym marzyłem. Teraz wszystko szlag trafił. Mogłem się jednak z tego układu wyplątać i na ruinach starej konstrukcji wznieść coś nowego. Wystarczyło zamknąć na klucz szufladkę w głowie i poczekać na Max.

Czy będziesz przy mnie, jeśli postanowię ich opuścić?

W głowie nadal miałem mętlik, myśli krążyły w niej coraz szybciej, a ja próbowałem zrobić to, co kazała Max: włożyć prawdę do szufladki, zamknąć ją i wyrzucić kluczyk, żeby poszukać innych wspomnień i innej prawdy, czegoś, w co sam uwierzę. Zacząłem budować sobie alibi: byłem u Freddego... Oglądaliśmy wyprodukowany przez Marvel Studio film o superbohaterach... Zrobiło się późno... Wróciłem do domu. Próbowałem uporządkować myśli i wspomnienia, ale tylko na tę jedną noc, byle dotrzeć do rana. Potem do nich wrócę i wszystko jeszcze raz przemyślę, wtedy mój umysł będzie jasny i trzeźwy.

Niestety, nic to nie dało, ponieważ nie potrafiłem nawet określić, co chcę ukryć w szufladce w mojej głowie. Wszystko krążyło wokół mnie jak śnieg w powietrzu, w coraz dzikszym rytmie.

Wsunąłem dłoń do kieszeni kurtki i kucnąłem. Czułem się jak poprzedniego dnia rano, kiedy wyszedłem z mieszkania, ale jeszcze przed telefonem od Max. Odnosiłem wrażenie, że się pogrążam w panice i chaosie. Nagle wyczułem w palcach znajomy kształt: sprej od Dinah. Wyjąłem go z kieszeni. Dzisiejsza rozmowa z Max powstrzymała mnie przed jego ponownym użyciem. Ale teraz? Przecież musiałem odzyskać pełną kontrolę na sobą. Serce waliło mi jak młotem. Myślałem, że zaraz umrę. Przyłożyłem sprej do nosa i nacisnąłem.

Kiedy wszedłem do mieszkania, dochodziła czwarta. W środku panowała cisza, Ludwig i Victor wciąż spali, co oznaczało, że policja jeszcze się nie zjawiała. Ostrożnie zdjąłem kurtkę. Czoło miałem rozpalone, a w głowie mętlik. Pamiętałem wszystko, co się stało ostatniej nocy, ale nie czułem stresu, jakby te wydarzenia przestały do mnie docierać, jakby chroniła mnie przed nimi miętka, euforyczna tarcza. Doszedłem do wniosku, że doświadczyłem cudownej łaski. Niewykluczone, że w szufladce, o której wspominała Max, zamknęła się jakaś przegródka. W tym momencie marzyłem tylko o tym, żeby położyć się do łóżka i zasnąć.

Ręce mi ciążyły, walczyłem, żeby powiesić kurtkę na wieszaku, kiedy nagle usłyszałem wibrowanie telefonu. Z początku pomyślałem, że to mój aparat, więc wsunąłem dłoń do kieszeni, żeby go wyjąć. Byłem jednak już tak zmęczony i otumaniony, że dopiero po kilku sekundach do mnie dotarło, że dźwięk dochodzi z pokoju w głębi mieszkania.

Nagle wibrowanie ustało i usłyszałem zaspany głos Ludviga. Mój mózg powoli porządkował ciąg zdarzeń: zadzwonił telefon Ludviga, Ludvig się obudził. Powoli do mnie dotarło, że jeśli ktoś dzwoni o tak wczesnej porze, może mieć tylko jeden powód: chce opowiedzieć Ludvigowi o tym, co się stało w Malmö. Stałem jak skamieniały. Nagle usłyszałem, że Ludvig chodzi po pokoju.

Kurde!, pomyślałem. Za chwilę wyjdzie do przedpokoju, zobaczy, że tu stoję i od razu się domyśli, że przed chwilą skądś wróciłem. A przecież w kieszeni miałem klucze do domu jego rodziców.

Szybko je wyjąłem. Na wieszaku wisiała granatowa, zimowa kurtka Ludviga. Wiedziałem, że nie mam chwili do stracenia, i szybko włożyłem klucze do kieszeni kurtki. W tym samym momencie Ludvig podszedł do drzwi. Nie miałem już szans, żeby zdążyć do swojego pokoju. Wiedziałem, że Ludvig mnie tu przyłapie.

Spanikowany zerknąłem przez ramię. Jeśli wyjdę na klatkę schodową, Ludvig usłyszy, że otwieram i zamykam drzwi. Sparaliżowany strachem obserwowałem ruch klamki. Kątem oka dostrzegłem łazienkę i uznałem, że to moja jedyna szansa. Wszedłem do niej dosłownie w ostatniej chwili i wstrzymałem oddech. Ludvig przeszedł przez duży pokój, stanął przed łazienką i nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte.

– Victor, jesteś tam? – spytał.

Najpierw nie zareagowałem, bo się bałem, że mój głos może mnie zdradzić. Dopiero po chwili chrząknąłem i odparłem:

– To ja, zaraz skończę.

Ludvig coś mruknął i odszedł. Przez moment głęboko oddychałem, a potem spojrzałem w lustro.

– Pewnie pomyśli, że się obudziłem i poszedłem do toalety – szepnąłem, spoglądając na swoje odbicie. – Co w tym dziwnego? Nic. Normalka.

Próbowałem głęboko oddychać, myśleć o czymś neutralnym, ale moja głowa była ciężka i pracowała powoli. Wiedziałem, że nie mogę wyjść z toalety ubrany, zwłaszcza w nie swoje czarne rzeczy. Jeszcze raz przejrzałem się w lustrze, po czym szybko się rozebrałem i wcisnąłem ciuchy do górnej szafki. Uznałem, że do rana mogą tam poleżeć. Jeszcze raz przejrzałem się w lustrze, potargałem włosy i zrobiłem taką minę,

jakbym był zaspany. Nie było to trudne, bo pod oczami miałem ciemne worki, a na czole głębokie zmarszczki. Zacząłem kreślić w głowie scenariusz.

Przed chwilą się obudziłem... Jestem zaspany... Niedawno wróciłem od Freddego... Oglądaliśmy film o superbohaterach i nagle zrobiło się późno. Po powrocie do domu od razu zasnąłem. Przed chwilą się obudziłem, żeby skorzystać z toalety. Marzę, żeby znowu zasnąć.

W majtkach i T-shircie otworzyłem drzwi i wszedłem do przedpokoju. Ludvig stał w kuchni ze szklanką wody w ręce. Był ubrany do wyjścia.

– Co się dzieje? – spytałem. – Jest środek nocy.

– Ktoś obrabował dom moich rodziców.

– Co?! – spytałem z udanym zdziwieniem.

– Włamywacz postrzelił Joyce. Trafiła do szpitala. To jakiś obłąd.

Przed chwilą się obudziłem, jestem zaspany, niedawno wróciłem od Freddego. To, co mówi Ludvig, jest szokujące. Kto to jest Joyce?

– Jaki włamywacz? Kim jest Joyce?

Zmarszczyłem czoło. Fentanyl naprawdę mi pomógł, bo nic nie czułem. Był środek nocy, prawdę zamknąłem w szufladce. Było tak, jak mówiła Max: jeśli ktoś umie okłamać siebie, potrafi okłamać kogokolwiek.

– Ktoś się włamał do naszego domu w Malmö – wyjaśnił Ludvig. – Joyce to nasza pomoc domowa. Pracuje u nas od lat.

Przypomniały mi się zdjęcia dzieci i od razu sobie wyobraziłem, jak bardzo czują się samotne, skoro ich mama mieszka w domu rodziców Ludviga w pokoju wielkości garderoby. Pokręciłem głową. Szufladka była zamknięta. O niczym nie wiedziałem, w niczym nie brałem udziału, wszystko, o czym wspomniał Ludvig, musiało się wydarzyć w czasie mojej wizyty u Freddego, kiedy oglądaliśmy *Avengersów* lub później, gdy wróciłem do domu i zasnąłem w mojej „garderobie”.

– To jakieś wariactwo – stwierdziłem. – Żartujesz ze mnie?

Ludvig pokręcił głową. Przeszedłem obok niego, wszedłem do kuchni, odkręciłem kran i nalałem wody do szklanki.

– To nie żart, sam zobacz.

Ludvig wszedł za mną do kuchni i podał mi swój telefon. Woda lała się z kranu, a ja otworzyłem szafkę, w której stały szklanki. Na wyświetlaczu zobaczyłem to samo zdjęcie, które widziałem na iPadzie Charlesa. Różnica polegała na tym, że zdjęcie w telefonie Ludviga pochodziło z internetowego wydania gazety „Aftonbladet”.

KOBIETA POSTRZELONA W CZASIE WŁAMANIA. TAJEMNICZY MOTYW

– Jak to tajemniczy? – spytałem.

Ludvig powiększył obraz, żebym mógł przeczytać napis umieszczony na drzwiach garażu.

WY MACIE MURY, MY MAMY SZNURY
Z POZDR. VICTOR SERGE CAPITAL MANAGEMENT

– To oni postrzelili Joyce? – spytałem.

Ludvig miał zrozpaczoną minę, co jakimś cudem przebiło się do mojego otumanionego mózgu. Poczujęm nawet delikatne klucie serca.

– Tak powiedziałeś – wymamrotałem, przełykając ślinę.

Szufladka lekko się wysunęła, więc musiałem ją domknąć.

– Nie żyje? – spytałem.

– Trafiła do szpitala, jest w stanie krytycznym... – odparł Ludvig. – Cokolwiek to znaczy. Muszę już lecieć.

Rozłożył ręce, jakby chciał wyjść, ale nadal stał jak sparaliżowany. Widać było, że jest w szoku, podczas gdy ja oddychałem spokojnie. Kobieta przeżyła. To mi wystarczyło, bo dzięki tej informacji mogłem zamknąć kolejną szufladkę.

– A co z twoimi rodzicami? – spytałem. – Coś im się stało?

Poczujęm dumę, że wpadłem na ten pomysł i o nich spytałem. Mówiłem innym głosem, słowa płynęły wolniej, z dłuższymi przerwami. Miałem nadzieję, że Ludvig tego nie zauważy albo pomyśli, że to z powodu późnej pory.

– W czasie włamania byli w Sztokholmie. Wiem tylko tyle, że Joyce przebywa na intensywnej terapii. Jadę teraz do Malmö. Rodzice przylecą pierwszym możliwym rejssem, mama pojedzie od razu do szpitala, żeby się zaopiekować Joyce.

– Najważniejsze, że Joyce żyje.

– Straciła sporo krwi – odparł z nieobecną miną Ludvig. – Przed chwilą zamówiłem taksówkę.

– Prawdziwe szaleństwo, aż trudno w to uwierzyć.

Ludvig pokręcił głową.

– Tata powiedział, że policja nie znalazła śladów włamania. Wygląda to tak, jakby włamywacze po prostu weszli do środka. Może to Joyce ich wpuściła? Byłoby to dziwne, bo znaleziono ją w jej pokoju.

Ludvig zamilkł i zaczął o czymś myśleć. Miał niespokojną, prawie przestraszoną minę.

– Na dodatek nie mogę znaleźć kluczy od domu. Denerwuje mnie to.

– Wszędzie sprawdzałeś? W spodniach, w torbach? Pewnie przesadzam, ale może ktoś ci zwędził te klucze tylko po to, żeby obrabować twoich rodziców?

– Diabelska rzecz. Może to sprawka tej dziewczyny, z którą się przespałem? Nikt jej tu nie znał. Tak czy inaczej, kluczy nie ma, a do włamania doszło następnej nocy po imprezie.

Ludvig zrobił taką minę, jakby miał się rozpłakać.

– To chyba zbyt śmiała teoria – odparłem. – Spokojnie, jakoś temu zaradzimy.

Przełknąłem ślinę i wstawiłem szklankę do zlewozmywaka. Zaszło mi w ustach. W tym samym momencie Ludvig dostał esemesa.

– Przyjechała taksówka – powiedział. – Muszę już iść. Na razie.

Wyszedłem za nim do przedpokoju.

– Włóż kurtkę – zaproponowałem. – Na dworze jest zimno i pada śnieg.

Ludvig zdjął z wieszaka swoją granatową kurtkę i ją włożył.

– Dobry pomysł, mistrzu, dzięki... – powiedział. – W głowie mam kompletny mętlik.

Włożył rękę do kieszeni i zatrzymał się w pół kroku.

– To niemożliwe – stwierdził i wyjął z kieszeni klucze. – Mogę przysiąc, wcześniej ich tu nie było. Na pewno.

Nie odezwałem się, tylko wzruszyłem ramionami.

– No cóż – mruknął Ludvig. – Teraz widzę, że to nie diabeł maczał w tym palce. Dobrze wiedzieć.

Tego ranka powinienem był śnić o krwi, zegarkach i willi w Bellevue, ale stało się inaczej, bo głównymi motywami mojego snu były szkolne podwórze w podstawówce, woda, piasek i samotność.

Po przebudzeniu cały się trząsałem, byłem spocony i miałem mętlik w głowie. Jediną rzeczą, która mogła mnie przywrócić do życia, była niewielka dawka spreju do nosa. Dzięki niej mógłbym sobie poprawić samopoczucie.

Z łóżka wstałem dopiero wieczorem, ale zrobiłem to tylko z jednego powodu: żeby zjeść porcję klusek. Nie miałem odwagi włączyć telefonu, bo po wydarzeniach ostatniej nocy nadal byłem zbyt wstrząśnięty, żeby czytać o nich w internecie. Poza tym paraliżowała mnie obawa, że Joyce umrze i moja twarz pojawi się na czołówkach gazet.

Wlałem na talerz parującą wodę, drżącymi dłońmi wsypałem do niej zawartość opakowania, dodałem torebkę przypraw i kostkę bulionową. Wprawdzie nie czułem głodu, ale przypomniało mi się, że moim ostatnim posiłkiem były dwie kanapki, które pochłonałem wieczorem, krótko przed włamaniem. Jedyne to jadłem w ciągu ostatnich dwóch dób.

Zabrałem talerz, ale przed wyjściem z kuchni usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. W tym momencie marzyłem tylko o jednym: żeby wrócić do swojego pokoju, który był dla mnie czymś w rodzaju bańki, psiknąć sobie sprejem do nosa, odizolować się od otoczenia i przespać w tym stanie kolejnych dwanaście godzin.

– Czy wiesz, kim jest albo był Victor Serge? – zapytał z przedpokoju Ludvig.

Zdjął buty i spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem, a mnie znowu ogarnął strach. Na dworze musiało padać, bo Ludvig miał mokre włosy i kurtkę. Sypiący nocą śnieg zamienił się nad ranem w deszcz. Zauważyłem, że przez te kilka godzin Ludvig bardzo się zmienił. Był małym, zwykłym chłopcem. Jak wielu innych.

– Czemu o to pytasz?

Odwróciłem się, chciałem wrócić przez salon do swojego pokoju, ale pytanie, które zadał mi Ludvig, nie pozwoliło mi się ruszyć z miejsca.

– Włamywacze nabazgrali sprejem hasło na drzwiach garażu naszego domu. *Victor Serge Capital Management*. Sprawdziłem w internecie i wyczytałem, że to dawny komunista. Pomyślałem, że możesz o tym coś wiedzieć, ale nie dlatego, że też jesteś komunistą, tylko że znasz historię.

Był to najprzyjemniejszy, prawie szczerzy komplement, jaki kiedykolwiek od niego usłyszałem.

– O ile dobrze pamiętam, Serge zaczynał jako anarchista i dopiero później stał się komunistą.

Prawa noga zaczęła mi drżeć i nie mogłem nad tym zapanować. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Zamiast się chwalić, że wiem, kim był Serge, powinienem trzymać gębę na kłódkę. Prawie nikt o nim nie słyszał, a ja dowiedziałem się o jego istnieniu przed dwoma tygodniami.

Szufladka w mojej głowie znowu się otworzyła. Musiałem ją zamknąć, ale nie mogłem sobie z tym poradzić. Bałem się, choć z drugiej strony chciałem wyjaśnić, co się tak naprawdę stało tamtej nocy. Poznać motywy, wytłumaczyć Ludvigowi, dlaczego w niektórych okolicznościach obrabowanie domu należącego do takich ludzi jak jego rodzice jest rzeczą jak najbardziej słuszną.

– Działał w Paryżu na początku dwudziestego wieku. Z tego, co wiem, pisywał do gazet. Przez pewien czas posługiwał się mottem: „Jestem po stronie bandytów”. Chciał wzniecić bunt i uderzyć w tych, którzy jego zdaniem nie zasłużyli na zgromadzone przez siebie majątek. Był przykładem indywidualnego buntu. Skończyło się na tym, że wyjechał do Związku Radzieckiego.

Czytałem o nim i o innych anarchistach, o których opowiadał nam w bibliotece Charles, a teraz strzelałem faktami z życiorysu Serge’a jak idiota. Nagle poczułem, że cały jestem spocony.

– A co to ma wspólnego z moimi rodzicami? – zdziwił się Ludvig i pokręcił głową, jakby nic z tego nie zrozumiał.

– Czy twój ojciec nie należy do najbogatszych ludzi w Malmö? Czy ty nie pochodzisz z rodziny o szlacheckich korzeniach?

Słowa, które wypowiadałem, prawie same wyskakiwały mi z ust.

– Nie jestem idiotą i nie rozumiem, dlaczego jakiś komunista chciałby się na nas porwać.

– Nie komunista, tylko anarchista.

– Obojętne. Tylko czemu wybrał akurat moich rodziców? Przecież nie zwracamy na siebie szczególnej uwagi. Przeciwnie.

Pomyślałem o porsche, eleganckich ubraniach i kumplach Ludviga. Może w ich środowisku faktycznie nie wypada się zbyt wyróżniać? Może chodziło mu o to, że tacy jak on wolą nie zwracać na siebie uwagi opinii publicznej, tak jak to robiła Maria Conti i inni celebryci z ich kręgów?

– Jak się czuje Joyce? – spytałem, chociaż tego też nie zamierzałem robić. Chciałem ją zamknąć w swojej szufladce, ale moje usta zrobiły coś przeciwnego. – Tak ma na

imię, prawda?

Ludvig skinął głową, a ja czułem, że moja noga nadal drży.

– Lekarze mówią, że się wyliże. Dzięki Bogu. Kiedy przyszedłem do szpitala, żeby ją odwiedzić, nadal leżała w śpiączce farmakologicznej. Mama ciągle przy niej siedzi.

Poczułem, jak wielki kamień spadł mi z serca. Z trudem się powstrzymałem, żeby nie rzucić się Ludvigowi na szyję.

– W tym tygodniu przyjadą jej dzieci. Mój tata zarezerwował im bilety na najbliższy samolot. Zresztą i tak miały przyjechać na Boże Narodzenie, zawsze to robią.

– A skąd pochodzą?

– Z Filipin. Joyce pracuje u nas od pięciu lat i jest jak członek rodziny. Dostaje tak wysoką pensję, że część pieniędzy wysyła dzieciom, żeby mogły opłacić szkołę w Manili. Dopilnujemy, żeby po tym, co się stało, mogły zostać z mamą dłużej.

Mówiąc o swojej rodzinie, Ludvig znowu się wypowiadał w pierwszej osobie liczby mnogiej. Jakby słowo „rodzina” obejmowało kogoś więcej niż tylko jego najbliższych, jakby tworzyli własną kulturę albo nawet cywilizację. Nagle poczułem ssanie w żołądku, coś w rodzaju dumy, a nawet satysfakcji z powodu kary, jaka na nich spadła. Ludvig i jego rodzina należeli do cywilizacji, która nie czuła się tak pewnie jak kiedyś. Już nie.

Ludvig poszedł do kuchni i wyjął z lodówki butelkę peroni. Popatrzyłem za nim i nagle sobie wyobraziłem, że cała jego rodzina jest mocno związana z Joyce. Oczywiście nie tylko w tym sensie, że ją wykorzystuje. Może globalna niesprawiedliwość przedzie też inne nici, o których nie wiedziałem? Poszedłem za Ludvigiem do kuchni.

– A co na ten temat mówi policja? – spytałem. – Znaleźli jakieś ślady?

– Nic nie chcieli mi wyjawić. Usłyszałem od nich tylko to, co sam przed chwilą powiedziałeś. Napadu dokonali jacyś terroryści, ale coś poszło nie tak. Prawdopodobnie wcale nie chcieli postrzelić Joyce.

– Na to wygląda.

– Pieprzeni komuniści albo anarchiści. Policja też tak uważa.

Ludvig otworzył butelkę i wziął potężny łyk.

– A może tylko chcą, żebyśmy tak myśleli.

W poniedziałek rano poszedłem na wykład o prawach związanych z zawieraniem umów. W auli wrzało jak w ulu. Wśród moich kolegów i koleżanek z roku krążyły plotki i spekulacje na temat wydarzeń, do których doszło w domu Rehnsköldów. Żle się z tym czułem, bo przez cały weekend szufladka ze wspomnieniami w mojej głowie była zamknięta. Mimo to musiałem się zachowywać normalnie, jakby nic się nie stało. Nie miałem innego wyjścia, bo obiecałem to Max. Wszyscy wiedzieli o włamaniu do

willi Rehnsköldów i o rannej gospodyni, bo Ludvig był powszechnie znany ze swojego zaangażowania w sprawy uczelni. Dla innych studentów, którzy nie udzielali się tak jak on, było rzeczą ekscytującą, że student prawa na uniwerku w Lundzie jest zamieszany w tak spektakularne wydarzenie jak włamanie o podtekście politycznym. O zdarzeniu informowały wszystkie media, nawet za granicą, a ponieważ mieszkałem razem z Ludvigiem, z dnia na dzień zyskałem status uczelnianej gwiazdy, do czego nie byłem przyzwyczajony. W innych okolicznościach na pewno bym sobie z tym poradził, ale teraz sytuacja była inna. Nic więc dziwnego, że za każdym razem, kiedy w stołówce naszego wydziału ktoś mi się przyglądał albo słyszałem szept na swój temat, wpadałem w panikę.

Fredde i Alice zadawali mi mnóstwo pytań. Próbowali wyciągnąć ze mnie jakieś informacje, ale ja opowiedziałem im tylko o tym, czego się dowiedziałem od Ludviga: o Joyce i jej dzieciach, które miały przylecieć z Filipin.

– Co skradziono? – spytała Alice.

Nie mogłem sobie przypomnieć, czy Ludvig wspominał coś na ten temat albo czy donosiły o tym media, więc odparłem, że nie wiem. Okłamywanie moich rozmówców okazało się znacznie łatwiejsze, niż przypuszczałem.

– Krążą plotki, że włamania dokonali terroryści – powiedział Fredde. – Członkowie grupy w rodzaju Frakcji Czerwonej Armii lub innej organizacji. Podobno napis, który zostawili na miejscu, pojawił się też w czasie letnich demonstracji i włamania, do którego doszło wiosną.

– Ludzie za dużo gadają – wtrąciła Alice. – Moim zdaniem zrobiła to banda dzieciaków z przedmieścia. Któryś z nich został zaskoczony, spanikował i strzelił.

Alice jak zwykle twardo stąpała po ziemi i nie bawiła się w spekulacje, ale tym razem jej rozumowanie było błędne.

– „Wy macie mury, my mamy sznury” – wyrecytował Fredde. – Jestem pewien, że w mediach społecznościowych wielu uważa, że takie hasło brzmi *cool*. Jest pełno postów na ten temat.

Alice podsunęła nam swój telefon.

– Sami zobaczcie. To niesmaczne, że ludzie zaczynają już nosić T-shirty i torby z tym napisem.

Fredde zmarszczył brwi i spojrzał na wyświetlacz.

– Victor Serge Capital Management – przeczytał. – Może my też powinniśmy sobie taką kupić? Jest szansa, że dzięki niej staniemy się sławni w naszej uczelni.

Alice westchnęła, spojrzała na mnie i stwierdziła:

– Nawet nie spytaliśmy, jak ci poszło na egzaminie. Zniknąłeś i nie było z tobą żadnego kontaktu.

– A może to my zniknęliśmy? – spytał Fredde i mrugnął do niej. Alice uderzyła go lekko w ramię i poczerwieniała, a do mnie dopiero teraz dotarło, że nie tylko ja miałem weekend bogaty w wydarzenia. Patrząc na nich, byłem prawie pewien, że się ze sobą przespali. – Założę się, że na egzaminie dostał AB. Widzę to po jego minie.

Fredde oparł się o krzesło, kilka razy zamrugął i odwrócił głowę. Przypomniało mi się, że ten tik pojawiał się u niego zawsze wtedy, gdy Fredde był czymś szczególnie zainteresowany. Nie skomentowałem jego słów, tylko wzruszyłem ramionami, ponieważ w tym momencie czułem się tak, jakby egzamin należał do całkiem innej rzeczywistości. Prawie zupełnie o nim zapomniałem, bo nic już dla mnie nie znaczył.

– Przepraszam, nie powinnam poruszać tego tematu – stwierdziła Alice. – Zapomniałam, że Fredde jest pilnym studentem. Nie musisz nam mówić, jaką dostałeś ocenę, chociaż wiele osób robi z tego wielką sprawę. Uważam, że niepotrzebnie.

– Łatwo ci tak mówić, bo ty też dostałaś AB – odparł Fredde.

– Przestań! – krzyknęła Alice i popatrzyła na niego surowo, ale w jej wzroku przebijało się też rozbawienie i oczarowanie. – Ty też zdałeś na AB, więc przestań gadać głupoty.

– Ja dostałem B – wyjaśniłem, żeby rozwiać wątpliwości. – Ni mniej, ni więcej.

Uśmiechy zastygły im na twarzach. Najpierw spojrzeli na mnie, a potem popatrzyli na siebie.

– Coś ty powiedział? – spytał Fredde takim głosem, jakby się przesłyszał.

– Zdałem na B – powtórzyłem. – Myślę więc, że lepiej będzie, jeśli zrezygnuję. Dzięki temu wszyscy oszczędzimy sobie wstydu.

Alice położyła mi rękę na ramieniu, pochyliła się do mnie i powiedziała:

– Przestań tak mówić! Na naszym kierunku wszyscy są pod tak silną presją, że niedługo oszaleją. Ocena za pierwszy egzamin nie ma żadnego znaczenia. Nic o tobie nie mówi!

Wstałem z krzesła, dopiłem kawę i zarzuciłem plecak na ramię. Podręcznik od razu wydał mi się lżejszy.

– Mówisz tak, ale sami o niczym innym nie rozmawiacie – odparłem. – Trwa to od pierwszego dnia, w którym się poznaliśmy. Mówicie o stopniach i karierze, o tym, jaki jedno ma związek z drugim i o wpływie ocen na przyszłe, szczęśliwe życie. Zastanawiacie się, ile jesteście w stanie z siebie dać, żeby po studiach zdobyć świetną pracę. I nie ma znaczenia, ile wysiłku będzie was to kosztować, bylebyście tylko mogli zapracowywać się po uszy.

Oboje patrzyli na mnie z rozdziawionymi ustami, a ja od razu pożałowałem tych słów, bo nic z tego, o czym wspominałem, nie było ich winą. To nie oni stworzyli ten

system, tylko starali się go opanować albo przynajmniej żyć z nim w zgodzie. W sumie to im zazdrościłem.

– *Sorry*, nie chciałem się zachować jak dupek – powiedziałem. – Chodziło mi tylko o to, że nie mam już siły rozmawiać o tym na okrągło.

– To my cię przepraszamy – odparła Alice. Spojrzała na Freddego, wstała z krzesła i mnie objęła. – Ciężko pracowałeś, więc nie ma się co dziwić, że jesteś rozczarowany. Ale to bez znaczenia. Taka ocena naprawdę nic nie znaczy.

Ale ja nie czułem się rozczarowany. Po prostu miałem tego dosyć.

Prawo umów, Adlercreutz, reguła Skarina... Prawie całe popołudnie i większą część wtorku poświęciłem na naukę. Dopóki byłem sam, jakoś mi szło. Wystarczyło uciec od uczelnianego zgiełku, wrócić do domu i zaszyć się w swoim pokoju. Unikałem niekończących się rozmów z Ludvigiem, ale nasze wzajemne relacje starałem się utrzymywać na poziomie komunikacyjnym, dzięki czemu w środę dowiedziałem się od niego czegoś więcej o Joyce. Jej stan uległ poprawie, wieczorem miały przylecieć dzieci.

– Joyce nadal jest w śpiączce, ale lekarze twierdzą, że w każdej chwili mogą ją wybudzić.

– Super – odparłem obojętnym tonem. – Ta sytuacja musi być dla was trudna, prawda?

Cały poniedziałek przetrwałem jak jakiś zombie i zasnąłem wczesnym wieczorem. Sprej do nosa zapewnił mi cudowny spokój. Za dnia zamykałem drzwi swojego pokoju i próbowałem się uczyć, bo nauki miałem naprawdę sporo. Poza tym w pewien sposób wiązała mnie z normalnością.

Wtorek też minął w miarę normalnie. Prawie nie zauważyłem, że informacje na temat napadu zniknęły z czołówek mediów, a ich miejsce zajęły teksty o negocjacjach związków zawodowych z rządem, artykuły o klimacie i doniesienia o rozgrywkach politycznych. Szufladka w mojej głowie nadal była zamknięta na klucz. Dom w Bellevue i kolacje w willi Charlesa wydawały mi się odległym wspomnieniem, jakbym tego wszystkiego nie przeżył osobiście, tylko od kogoś o nich usłyszał.

Była jednak pewna rzecz, która nie dawała mi spokoju: moje marzenia o Max. Wprawdzie w ciągu dnia sięgałem po sprej, dzięki czemu trzymałem je w mojej szufladce pod kluczem, ale Max wracała w snach, kiedy moja świadomość pozostawała w stanie spoczynku. Pojawiała się najczęściej na jej skraju, głównie wtedy, kiedy się budziłem. Była jak zarys czegoś, co przeze mnie przenikało, zostawiając po sobie niewyraźne, pozbawione szczegółów ślady.

Przyszła środa. Rano obudziłem się gwałtownie. Byłem spocony, a sen, który nadal miałem w głowie, był tak wyraźny, jasny i niemal krystaliczny, że nie mogłem się

przed nim obronić. Śniło mi się, że byliśmy w willi. Siedzieliśmy w szarym, chłodnym pokoju na jej niepościelonym łóżku. Max patrzyła na mnie ciepłym wzrokiem z głębi swojej duszy, a w jej oczach nie było śladu typowej dla niej ironii i lodowatego chłodu. Podświadomie czułem, że nie jesteśmy w domu sami, że jest tylko kwestią czasu, kiedy ta chwila minie, chociaż z drugiej strony wiedziałem, że w ten czy w inny sposób będzie trwać wiecznie. Max coś do mnie powiedziała, ale tak cichym głosem, że jej nie usłyszałem. Chciałem poprosić, żeby powtórzyła swoje słowa, ale nie zdążyłem, bo w tej samej chwili się obudziłem.

Wstrząśnięty i nieszczęśliwy leżałem na łóżku ze sprejem u boku. Dotarło do mnie, że jestem zakochany w Max i nie potrafię już dłużej ukrywać tego faktu przed samym sobą. Było jednak jeszcze coś: tamten sen przebił się przez moją mentalną linię obrony.

Poczułem, że Max mnie zaczarowała, że jestem nią opętany. Wszystko, w czym ostatnio uczestniczyłem, zaczęło się od niej. Uświadomiłem sobie, że ziarno, z którego się to wszystko zrodziło, zostało zasiane w chwili, kiedy zobaczyłem ją na schodach przed aulą, gdy przyszła do mnie po raz pierwszy. Wtedy tego jeszcze nie rozumiałem, ale przez te kilka tygodni, które z nią spędziłem, świadomość tego docierała do mnie z coraz większą intensywnością. We śnie, kiedy mój system obronny działał na zwolnionych obrotach, uczucie do Max dosłownie eksplodowało, a ja nie byłem w stanie sobie z tym poradzić. Mogłem tylko leżeć, śnić i przeżywać katusze.

Zrozumiałem, że uczucie, którego teraz doświadczam, jest inne od tego, które w liceum łączyło mnie z Lydią, chociaż na różne sposoby próbowałem sam siebie przekonywać, że w niej też byłem zakochany. To, co czułem do Max, było czymś, o czym dawniej tylko czytałem i za czym intensywnie tęskniłem. Było silniejsze niż zwykłe uczucie, bo mnie paraliżowało i zniekształcało obraz świata. Do tej pory byłem naiwny, bo przez całe swoje życie myślałem, że miłość to szczęście, a nie choroba. Teraz, kiedy ta prawda w końcu do mnie dotarła, marzyłem tylko o tym, żeby się z tego uczucia wyleczyć.

Wyjąłem z kieszeni sprej i przytknąłem go do nosa. Pomyślałem, że złagodzi objawy choroby i obniży gorączkę, która mnie paliła. Nacisnę go tylko raz i Max zadzwoni, tak jak obiecała, a ja znowu się z nią spotkam.

W środy nie było wykładów ani zajęć w grupach, więc cały dzień spędziłem w łóżku. Pozostawałem w stanie lekkiego oszołomienia wywołanego działaniem fentanylu. Co pięć minut sprawdzałem pocztę w telefonie i modliłem się w myślach, żeby Max się do mnie odezwała. Stan oszołomienia utrzymywał się jeszcze pod wieczór, ale w końcu otworzyłem oczy. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że księżyc prawie jest w pełni. Był

duży, żółty i okrągły i wisiał tuż nad oknem w suficie. W głowie czułem lekkie, dość przyjemne dudnienie. Doszedłem do wniosku, że mógłbym tak leżeć i leżeć. Niedługo skończy się dzień i zacznie noc. Co potem? Nastanie kolejny dzień, a po nim następny. Co będzie dalej?

Sięgnąłem po pojemnik ze sprejem i podsunąłem go sobie przed oczy. Lekko nim potrząsnąłem i w środku rozległ się cichy chłopot. Było w nim tyle substancji, że przynajmniej do końca tygodnia nie będę nic czuł. Wystarczy lekko psiknąć i zapewnię sobie kolejne dwa dni spokoju.

Zamknąłem oczy i przyłożyłem sprej do nosa, ale zanim go nacisnąłem, znowu otworzyłem oczy. Księżyc pięknie świecił na tle ciemnego nieba, był okrągły i prawie w pełni. Nie spuszczać go z oczu, odsunąłem pojemnik od nosa i uniosłem się lekko na łokciach.

Nie jesteś pierwszy.

Kiedy Charles to powiedział, byłem pijany, ale zapamiętałem, że wtedy też świecił księżyc, tyle że nad szklarnią. Po tym, co się ostatnio wydarzyło, zapomniałem o tych słowach. Charles powiedział jeszcze coś:

Posiadasz coś, czego im brakuje. Możesz być pewien, że kiedyś po to przyjdą, a potem cię zostawią.

Czemu te słowa wróciły do mnie teraz? Charles był, jaki był, więc chyba nie miał na myśli nic złego. Pewnie mu chodziło o jakieś drobne spory. Mimo to – a może właśnie dlatego – nie mogłem się pozbyć niepokoju, który mnie stopniowo ogarniał. Max wciąż się ze mną nie skontaktowała. Czyżby zabrała mi to, co chciała? Ale co? I ona, i jej kumple nieraz mnie okłamali, a poza tym na pewno ukrywają wiele tajemnic. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

Rozejrzałem się po ciemnym pokoju i nagle ogarnęła mnie nienawiść do samego siebie. Wypiłem trochę kwaśnego mleka i mało nie zwymiotowałem. Na podłodze leżały porozrzucane książki i ubrania. Co ja wyprawiam? Po tym, co się stało, leżałem w ciemnościach, użalałem się nad sobą i pogrążałem w naiwnej, dziecinnej miłości. To było żenujące.

Strach wywołany własną biernością sprawił, że w końcu zebrałem siły i wstałem z łóżka. Kiedy poznałem Max, postanowiłem wsiąść na motocykl i pojechać prosto na pustynię, bez względu na to, ile mnie to będzie kosztowało. Tymczasem leżałem tu jak bezwartościowy ludzki wrak zdany na decyzje innych. Wzbudzało to we mnie obrzydzenie.

Zanim ta nieoczekiwana energia zniknęła, wziąłem sprej, poszedłem do łazienki i przejrzałem się w lustrze nad umywalką. Zobaczyłem potargane włosy i bladą twarz z workami pod oczami. Wyglądałem nieświeżo, jakbym o sobie nie dbał. Od włamania

w Malmö przestałem się sobą zajmować. Przyczałem się i czekałem, aż Max mnie wezwie, ale ona wciąż milczała.

Głęboko odetchnąłem i podjąłem decyzję.

Dwa razy uderzyłem dłonią o pojemnik ze sprejem z taką siłą, że pękł, a jego zawartość wyciekła do zlewu. Od razu tego pożałowałem, ale kiedy wrzuciłem go do kosza na śmieci, poczułem ulgę. W końcu to zrobiłem: podjąłem samodzielną decyzję. Czułem się jak nowo narodzony. Już wiedziałem, co powinienem zrobić.

Światła w willi Charlesa były pogaszone, wokół panowała cisza. Zwykle przez okna salonu na zaciemiony trawnik padało ciepłe, drgające światło, jakby dom miał własne, ukryte w swoim wnętrzu pulsujące serce. Dobiegające z niego głosy, śmiech i muzykę słyszałem na alejce już w chwili, kiedy otwierałem furtkę. Dzisiaj panowała tu całkiem inna atmosfera. W oknach nie paliły się światła, ogród sprawiał wrażenie szarego w słabym blasku bijącym od ulicznych latarni. Trawa była nieskoszona i zaniedbana, grządki pozostawione własnemu losowi. Pęknięte okno obok drzwi i stare dachówki wydawały mi się kiedyś romantyczne, jakby przedwcześnie postarzałe. Dzisiaj dom i jego otoczenie ujrzałem takimi, jakie były naprawdę: walające się obok pojemnika śmieci, złuszczone farba na ścianach, spróchniały drewniany płot. Wszystko zaniedbane i na granicy ruiny.

Nocną ciszę zakłócał wiatr. Jego podmuchy poruszały starym, zardzewiałym, zapomnianym masztem antenowym, który uderzał o ceglany komin na dachu. Dom przestał odgrywać rolę centrum miejscowej bohemy i zamienił się w zapuszczoną, smutną ruinę. Stałem na chodniku i na niego patrzyłem.

Otworzyłem szufladkę w głowie i przypomniały mi się wydarzenia ostatnich dni: napad na dom, Joyce, zegarki w Kopenhadze, zdjęcia i nagrania wideo. Stałem przed furtką i nie wiedziałem, co zrobić. Wahałem się. Max mnie ostrzegła, że jeśli się choćby zbliżę do willi, Robin doniesie na mnie na policję. Mimo to uznałem, że nie mogę pozostać bierny ani pozwolić, żeby wszystko wokół mnie tylko się działo. Bez względu na konsekwencje musiałem coś przedsięwziąć.

Pchnąłem skrzypiącą furtkę, ruszyłem alejką i zadzwoniłem do drzwi. W środku rozległ się głuchy, przytłumiony dźwięk dzwonka.

Stałem nieruchomo w popołudniowych ciemnościach i słyszałem, jak poruszana uderzeniami wiatru antena uderza o dach. Wydawało mi się, że w środku słyszę kroki. Pochyliłem się, żeby zajrzeć przez okno do przedpokoju.

Nagle kroki ucichły. Przez brudną, popękaną szybę zobaczyłem majaczącą postać, która sylwetką przypominała Charlesa. Stał w ciemnym holu z butelką w jednej

i dużym kieliszkiem czerwonego wina w drugiej ręce. Na mój widok wyszedł z cienia i otworzył drzwi. Miał zapadnięte oczy, był nieogolony i ubrany w poplamiony, za duży na niego biały T-shirt, którego nie zmieniał chyba od kilku dni.

– Nie ma ich i ty też nie powinieneś tu przychodzić – wybełkotał. Chciał zamknąć drzwi, ale je przytrzymałem.

– A gdzie są i kiedy wrócą? – spytałem.

Charles wzruszył ramionami.

– Są dzicy i nieokiełznani, robią i biorą, co chcą – odparł. Być może chciał nadać swojej wypowiedzi ironiczny lub gorzki ton, ale jego słowa zabrzmiały tak, jakby ich podziwiał. – Za dobrze ich wychowałem.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. W końcu je przerwałem.

– Kim oni właściwie są? – spytałem.

Charles nalał sobie do kieliszka resztę wina i wypił porządny łyk.

– Pytasz o Max, prawda? – odparł. Spojrzał mi przy tym w oczy, a ja ujrzałem w nich mieszaninę współczucia i rozczarowania, które próbowały się przebić przez jego mętny, pijacki wzrok. – Przyszedłeś tu przez wzgląd na nią?

I znowu zapadła cisza.

– Kiedyś powiedziałeś, że nie jestem pierwszy – spytałem. – Co miałeś na myśli?

Charles znowu na mnie spojrzał i napił się wina. Wzrok miał trzeźwy, ale ja widziałem, że jest pijany.

– Powinieneś już odejść – stwierdził.

Chwycił ręką drzwi, ale ja znowu nie pozwoliłem mu ich zamknąć. Chyba nie wiedział, po której stronie stoję.

– Nie jestem drapieżcą – wyjaśniłem.

– Naprawdę? – spytał i złośliwie się uśmiechnął. – A skąd wiesz?

– Nie jestem twoim wrogiem. Próbowaleś mnie przed czymś ostrzec, prawda? Przed czym i dlaczego?

Charles się pochylił, ostrożnie postawił butelkę na podłodze, wyprostował się i pogłaskał mnie po policzku. Jego gest był zaskakująco czuły.

– Bo uznałem, że jesteś miękki i naiwny. Widziałem w tobie owcę, która nie stawia im oporu i wkrótce ją pożrą. Obudziłeś we mnie ojcowski instynkt.

– Tak to nazywasz?

Charles zaśmiał się krótko i wypił trochę wina.

– W innej sytuacji pasowałbyś do tego miejsca, może nawet lepiej niż pozostali. Chciałbym posłuchać twoich myśli.

Spojrzał na mnie i znowu pogłaskał mnie po policzku.

– Niestety, pomyliłem się co do ciebie. Ty nie jesteś miękkki. W porównaniu z nimi jesteś drapieżnikiem innego gatunku. Ciągnie cię do ryzyka, ale w przeciwieństwie do nich posiadasz instynkt, który cię chroni. Poza tym stale się uczysz, jak między tymi dwoma postawami zachować stan równowagi.

Charles zrobił pauzę, jakby nad czymś się zastanawiał. Potem się odwrócił i podszedł do widocznego z boku holu stolika, na którym stała wyschnięta niebieska hortensja. Pochylił się, napisał coś na kartce, złożył ją wpół, wrócił do mnie i powiedział:

– Idź już. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Wyciągnął rękę i chwycił mnie za dłoń, jakby chciał się ze mną pożegnać. Potem wypchnął mnie lekko za próg i z głuchym trzaskiem zamknął drzwi.

Zostałem sam. Stałem w miejscu i gapiłem się na drzwi. W dłoni, którą uścisnął mi Charles, trzymałem kartkę, na której coś napisał. Ostrożnie ją rozwinąłem. Był na niej zapisany numer telefonu.

Wszedłem do Ogrodu Botanicznego i zadzwoniłem na podany numer. Zastanawiałem się, do kogo należy i co powiem, kiedy ktoś odbierze. Nie wiedziałem, po co Charles mi go dał. Przez chwilę chciałem się rozłączyć, a kiedy połączenie zostało przekierowane na automatyczną sekretarkę, poczułem ulgę połączoną z frustracją. Rozłączyłem się i zadzwoniłem drugi raz – z tym samym rezultatem, co przed chwilą. Za trzecim razem było podobnie. Nikt nie odbierał. Telefon był wyłączony.

Westchnąłem i usiadłem na ławce. Zrobiło się ciemno, park był prawie pusty. Zauważyłem tylko starszą parę i kilka osób uprawiających jogging. Skopiowałem numer telefonu, na który przed chwilą próbowałem się dodzwonić, wszedłem na stronę internetową operatora i wkleiłem numer w jego wyszukiwarce.

Abonent nazywał się Henrik Jonsson i mieszkał w Lundzie przy Magistratsvägen 55 L pod numerem 1010.

Z mapy, którą wyświetliłem w telefonie, wynikało, że to adres osiedla studenckiego Delphi w dzielnicy Norra Fäladen. Doszedłem do wniosku, że na wizytę o tej porze jest już za późno. Skuliłem się na ławce. Byłem wykończony, musiałem uporządkować myśli i wziąć się w garść. Postanowiłem przespać jedną noc bez fentanylu. Potem będę gotów.

Z mieszkania wyszedłem tuż przed ósmą. Dopiero teraz mi się przypomniało, że do Delphi wpadałem tylko wtedy, kiedy szedłem coś zjeść w McDonalddie. Kiedyś wybrałem się też z Fredem do restauracji Chop Chop Asian Express. Nie chciało mi się sprawdzać, które autobusy tam kursują, ale szybko ustaliłem, że dotrę tam pieszo w ciągu dwudziestu minut przez teren przyszpitalny. Po drodze minę Victoriahallen, w której przed kilkoma tygodniami zdawaliśmy nasz pierwszy egzamin.

To, że ruszyłem się z domu, sprawiło mi przyjemność. Ostatnio byłem jak sparaliżowany. Na wykładach i seminariach prawie zasypiałem. Pomyślałem, że jeśli dotrę na Magistratsvägen przed dziewiątą, zastanę Henrika i zdążę na wykład. Szedłem żwawym krokiem, a ponieważ ranek był rześki, twarz poczerwieniała mi z wysiłku.

Delphi wyglądało prawie dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem typowe osiedle akademickie umiejscowione na obrzeżu miasta uniwersyteckiego. Na całym terenie porośniętym żółknącą trawą i niedawno posadzonymi, nagimi o tej porze roku drzewami, stały rzędy domów z czerwonej cegły. Ich ściany obłożono białymi płytami. Była to zwykła noclegownia, miejsce pozbawione wszelkiego uroku. Uświadomiłem sobie, że gdybym mieszkał tu, a nie z Ludvigiem i Victorem, moje życie potoczyłoby się inaczej.

Klatkę schodową „L” znalazłem bez trudu, ponieważ litery nad każdym wejściem były tak duże, że chyba widać je było z kosmosu. Prawdopodobnie był to celowy zabieg, żeby wracający z klubów w piątkowe wieczory pijani studenci mogli bezpiecznie trafić do swoich pokojów. Ten z numerem tysiąc dziesięć znajdował się na parterze, na lewo od wejścia do klatki schodowej. Tak przynajmniej wynikało z opisu na stronie internetowej, którą przeglądałem w telefonie.

Poczekalem, aż ktoś będzie wychodził z budynku, i korzystając z okazji, wślizgnąłem się do środka, zanim drzwi się zamknęły. Na klatce schodowej śmierdziało wymiocinami i środkami dezynfekcyjnymi. Drzwi prowadzące na korytarz były zamknięte na klucz, ale zauważyłem przy nich domofon, więc od razu wklepałem w niego numer pokoju.

Po czasie, który wydał mi się wiecznością, usłyszałem za drzwiami kroki. Przypomniało mi się, że na rysunku, który widziałem w internecie, kuchnia była na

samym końcu korytarza. Zachrząścił zamek, drzwi się otworzyły i w progu stanął zaspany chłopak w wytartym T-shircie i z ciemnymi, obciętymi na jeża włosami.

- Do kogo? – spytał, ziewając.
- Szukam Henrika Jonssona – odparłem.
- A nie mogłeś do niego zadzwonić?
- Nie odbiera. Ale mieszka tutaj, prawda?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia – odparł. – Idź do kuchni i spytaj kogoś.

Po tych słowach odwrócił się do mnie plecami i powłókł w głąb długiego korytarza. Poszedłem za nim i zatrzymałem się przed drzwiami z numerem tysiąc dziesięć wyrytym na małej metalowej tabliczce umieszczonej w prawym górnym rogu.

– To jego pokój, prawda? – spytałem, ale chłopak nawet się nie odwrócił. Prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami i zniknął w kuchni.

Wyjąłem telefon, jeszcze raz spojrzałem na mapę i zapukałem. Najpierw delikatnie, potem mocniej, ale nikt nie otworzył. Westchnąłem. Może Henrik poszedł na poranny wykład?

W kuchni zastałem chłopaka, który wpuścił mnie do środka. Smażył jajka na patelni i wpatrywał się w swój telefon. Przy stole siedziały dwie dziewczyny, które jadły musli z jogurtem.

- Cześć – powiedziała jedna z nich. – Szukasz kogoś?
- Tak, Henrika Jonssona. Wiecie, gdzie go znajdę?

Dziewczyny spojrzały na siebie, po czym jedna z nich wstała od stołu i zrobiła krok w moją stronę.

- Jesteś jego przyjacielem? – spytała.

Chłopak odwrócił się do mnie, ale tym razem ujrzałem w jego oczach całkiem inne zainteresowanie niż kilka minut temu.

- Aha, chodzi o tego Henrika – powiedział.

Spojrzałem na dziewczynę. Miała zaniepokojoną minę i przeciągała dłonią po swoich długich blond włosach.

- Raczej znajomym – odparłem szybko. – Gdzie on jest? Może wyszedł?

Dziewczyny znowu na siebie spojrzały, jakby skrywały jakąś tajemnicę, ale żadna z nich nie chciała pierwsza jej wyjawić. W końcu blondyna zebrała się na odwagę i odparła:

- Henrik zniknął jakiś miesiąc temu.

Na kuchence skwierczała jajecznica. Chłopak z fryzurą na jeża odwrócił się i zdjął z kuchenki patelnię.

- Jak to zniknął? – spytałem. – Nie rozumiem.

– Źle się tu czuł i zrezygnował ze studiów – odparła blondynka. – Nie wiem, na ile go znasz. Ty też jesteś studentem?

– Można tak powiedzieć – odparłem.

– Od dawna go tutaj nie było. Zjawił się po wakacjach letnich i na początku siedział najczęściej w swoim pokoju. Potem, chyba we wrześniu, nagle zniknął.

– Tak po prostu? Nikomu o niczym nie mówiąc?

Dziewczyny pokręciły głowami.

– Henrik nie był zbyt rozmowny – wyjaśniła blondynka. – Zwłaszcza po powrocie z wakacji.

– Ja nawet nie wiedziałem, kim jest – odparł chłopak z patelnią. – Dowiedziałem się dopiero po tym, jak zniknął.

Dziewczyny spojrzały na niego poirytowanym wzrokiem.

– Skąd on właściwie pochodzi? – spytałem. – Czy można się skontaktować z jego bliskimi albo kimś z dalszej rodziny? Próbowaliście to zrobić?

– Skąd tyle pytań? Jesteś gliną?

Chłopak zaśmiał się i przełożył jajecznicę na talerz.

– Przyznaj się, pracujesz w policji?

– Jestem jego znajomym. Poznaliśmy się na studiach i od dawna nie miałem z nim kontaktu. To wszystko.

– Długo czekałeś, żeby się nim zainteresować – stwierdził chłopak. – Zniknął miesiąc temu.

– A ja uważam, że to ładnie z twojej strony, że tu przyszedłeś i o niego pytasz – powiedziała ciemnowłosa i spojrzała na chłopaka twardym wzrokiem. – Nie każdy martwi się tak o los swoich kumpli z roku albo z akademika.

– Henrik wyjechał do swoich rodziców – wyjaśniła ciemnowłosa. – Mieszkają w Varbergu. Tak przynajmniej mówił. Na początku myślałam, że po weekendzie wróci, ale już się nie zjawił.

– Próbowaliśmy się z nim skontaktować, ale usunął swoje konta z Facebooka i Snapa – dodała blondyna.

– Jeśli go znajdę, poproszę, żeby się do was odezwał – obiecałem. – Pewnie faktycznie jest teraz u swoich rodziców.

– Lubił surfować – dodała na koniec blondynka. – W Varbergu też można to robić.

– Prawda – odparłem i przełknąłem ślinę. – Słyszałem, że można.

Wyszedłem z mieszkania i ledwie zdążyłem dotrzeć do drzwi wyjściowych z klatki, kiedy usłyszałem za sobą kroki. Spojrzałem przez ramię i ujrzałem ciemnowłosą dziewczynę, która za mną biegła.

– Poczekaj! – zawołała. – Znasz Charlesa?

Drgnąłem na dźwięk tego imienia.

– A czemu pytasz?

Dziewczyna obejrzała się za siebie, jakby chciała sprawdzić, czy nikt za nią nie szedł.

– Na początku wiele osób w akademiku uważało Henrika za dziwaka – wyjaśniła. – Ale to dlatego, że był nowy i wszyscy postrzegali go jako wycofanego i nerwowego. Wiosną się zmienił: był otwarty i radosny. Polubiłam go. Latem, kiedy poznał tamtą dziewczynę, znowu się zmienił. Po prostu dla niej zwariował. Dziewczyna mieszkała w Miasteczku Profesorskim. Henrik miał się do niej wprowadzić, ale nic z tego nie wyszło. Po tym wszystkim stał się innym człowiekiem, całkowicie zrezygnował z życia towarzyskiego. Myślę, że ta dziewczyna go pogrążyła.

Zabrzmiało to tak znajomo, że prawie zaniemówiłem.

– Jak miała na imię?

– Henrik nam nie powiedział, jakby to była jakaś tajemnica.

– A czemu spytałaś mnie o Charlesa? – rzuciłem na pozór obojętnym tonem.

– Tuż przed wyjazdem Henrik przyszedł do mojego pokoju i powiedział, że gdyby ktoś go szukał, mam spytać, czy ten ktoś zna Charlesa.

– Znam go – odparłem po chwili wahania.

Słyszając te słowa, dziewczyna podała mi złożoną wpół kartkę formatu A4, którą trzymała w ręce. Przypominała biblioteczną fiszkę z informacją, gdzie można znaleźć daną książkę. Zdanie, które na niej widniało, brzmiało: „Victor Serge: Wspomnienia rewolucjonisty”. Przełknąłem ślinę. Próbowałem sobie przypomnieć, czy gazety cytowały napis, który Max zostawiła na bramie garażu w domu rodziców Ludwiga, a jednocześnie się zastanawiałem, czy dziewczyna, która mi tę kartkę dała, słyszała o tym zdarzeniu i w związku z tym skojarzy fakty. Popatrzyłem jej w oczy, ale ich wyraz świadczył o tym, że o niczym nie wie.

– Henrik powiedział, że szukasz tej książki i jeśli nie zdąży jej znaleźć, mam ci dać tę kartkę, żebyś sam mógł ją wypożyczyć w Miejskiej Bibliotece.

Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie i dodała:

– *Sorry*, Henrik zachowywał się pod koniec trochę dziwnie.

– Być może, ale w książkach zawsze miał porządek. Sprawdzę to.

W recepcji Miejskiej Biblioteki panowała senna atmosfera. W środku zastałem tylko kilku emerytów i dwie licealistki z kulturalnymi ambicjami. Dziewczyny oglądały stojące na regałach książki, nowe nabytki biblioteki. Tak samo było w Miejskiej Bibliotece w Norrköpingu w czasach, kiedy prowadziłem inny tryb życia. Podszedłem do recepcji. Za ladą stała sztywna bibliotekarka z włosami obciętymi na pazia i w okularach z cienkimi, okrągłymi oprawkami. Podałem jej kartkę z tytułem książki.

– Książka znajduje się w magazynie na dolnej kondygnacji – westchnęła kobieta. Zabrzmiało to tak, jakbym ją wysyłał w długą, niebezpieczną podróż z niepewnymi widokami na powrót. – Proszę poczekać, zaraz ją przyniosę.

Wróciła po pięciu minutach. Minę miała jeszcze bardziej zrezygnowaną niż przed chwilą. Położyła książkę na kontuarze i powiedziała:

– Wygląda na to, że to dość popularna pozycja. Nie wiem, czy nie lepiej byłoby ją postawić na którymś z regałów w głównej czytelni, żeby za każdym razem, kiedy ktoś chce ją wypożyczyć, nie schodzić na dół.

– Naprawdę jest aż tak popularna? – spytałem.

– Myślę, że to chyba lektura na którejś uczelni, bo w ciągu ostatniego miesiąca już drugi raz ktoś o nią pyta.

Kobieta uniosła głowę i popatrzyła na mnie tym samym sztywnym wzrokiem, jak na początku rozmowy.

– Czy mógłby pan spytać któregoś z wykładowców, czy ta książka jest na liście obowiązkowych lektur? Dzięki temu nie będę musiała za każdym razem schodzić po nią na dół.

– Obiecuję, że to zrobię.

Książka miała białe okładki, czarne litery i zdobiło ją czarno-białe zdjęcie. Domyśliłem się, że przedstawia Victora Serge'a z rodziną.

Na końcu czytelni, przy wychodzącym na mały park oknie, znalazłem wolny stolik. Wysunąłem spod niego krzesło – kiedy na nim siadałem, zatrzeszczało. Otworzyłem książkę na chybił trafił. Druk był prosty i surowy, jak w wielu starych książkach. Ta miała ponad czterdzieści lat, ale wyglądało na to, że nie była zbyt często wypożyczana ani zbyt dokładnie czytana.

Wróciłem na stronę tytułową. W prawym górnym rogu zauważyłem sporządzoną ołówkiem krótką notatkę: s. 87.

Głęboko odetchnąłem. Puls mi przyspieszył, poczułem się jak średniowieczny mnich z książki Dana Browna albo Umberta Eco, który stara się zgłębić wielką tajemnicę. Ostrożnie przerzucałem kolejne kartki, ale kiedy minąłem stronę osiemdziesiątą piątą, okazało się, że następna ma numer osiemdziesiąt osiem. Dwie poprzednie były ze sobą sklezione. Wyczułem, że coś się między nimi znajduje, bo były grubsze od innych. Próbowałem je rozdzielić, ale bez powodzenia. Kartki w książkach czasem mocno do siebie przylegają, ale w takiej sytuacji wystarczy je potrzeć palcami. W tym wypadku okazało się to niemożliwe, bo były ze sobą mocno sklezione.

Uniosłem głowę i rozejrzałem się po sali. Było w niej tak samo pustawo jak przed kwadrans, a w pobliżu miejsca, w którym siedziałem, nikogo nie było. Z kieszeni kurtki wyjąłem klucze. Jeden z nich, ten od mieszkania, wydał mi się bardziej ostry

i szpiczasty od pozostałych. Udało mi się go wsunąć między dwie sklezione kartki w lewym dolnym rogu, tuż przy szyciu. Jednym pociągnięciem rozdzieliłem je na dole, ale na górze nadal do siebie przylegały. Przyszło mi na myśl, że to nie przypadek, że ktoś celowo je połączył klejem albo przy pomocy innego środka. W ten sposób powstało coś w rodzaju kieszonki albo koperty. Przesunąłem czubkiem klucza wzdłuż długiego boku sklejonnych kartek i nagle tuż za sobą usłyszałem ostry głos:

– Przepraszam, co pan wyprawia?

Wzdrygnąłem się i uniosłem głowę. Klucz nadal tkwił między kartkami, a obok mnie stała bibliotekarka i patrzyła surowym, karcącym wzrokiem.

– Kartki się skleily, próbuję je rozdzielić – wyjaśniłem.

– Takie sprawy należy mi zgłaszać – odparła kobieta i wyciągnęła rękę po książkę. – Zniszczy ją pan.

Patrzyłem na kobietę i czułem, że ogarnia mnie irytacja. Nie spuszczać z niej wzroku przeciągnąłem kluczem wzdłuż kartek i do końca je rozdzieliłem.

– Ja jej nie niszczę, tylko rozdzielam kartki – odparłem.

Kobieta spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym się dopuścił niewybaczalnego występku. Przez chwilę stała w milczeniu, a potem odwróciła się na pięcie i odeszła, stukając pantoflami o podłogę. Poczekalem, aż zniknie za regałami, i zajrzałem do książki. Między osiemdziesiątą szóstą a osiemdziesiątą siódmą stroną znajdowała się złożona wpół kartka formatu A4. Chciałem ją wyjąć, ale w tym momencie zadzwonił mój telefon. Spojrzałem na wyświetlacz: numer nieznany. Odebrałem i usłyszałem głos Max. Poczułem się tak, jakby moja pierś miała za chwilę eksplodować.

– Zrobiłam to – oznajmiła Max. – Zostawiłam ich.

W jej głosie, który brzmiał tak, jakby dochodził z daleka, wyczułem zdenerwowanie. Zaschło mi w gardle, nie mogłem wydobyć z siebie słowa.

– Przyjedziesz do mnie? – spytała.

– Dokąd? – zdołałem wykrztusić.

– Do Sztokholmu. Zarezerwowałam ci bilet na pociąg i pokój w hotelu. Potrzebuję cię, *baby*. Bez ciebie sobie nie poradzę.

– Bałem się, że przepadłaś bez śladu i że zostanę tu sam.

– Przestań – szepnęła Max. – Przecież obiecałam, że gdy będzie to możliwe, od razu się odezwę. Wiesz, że nie zostawiłabym cię samego.

Zamknąłem oczy i rozkoszowałem się tymi słowami. Wszystko inne przestało się liczyć. Miałem wiele pytań, ale wierzyłem, że kiedy się spotkamy, wszystkie nasze problemy rozwiążemy razem. Tylko ja i ona. Nikt inny.

– Co się stało? – spytałem.

– Wszystko ci opowiem, kiedy się spotkamy.

Westchnąłem i przełknąłem ślinę.

– Przyjadę. Dobrze wiesz, że to zrobię.

– Pokój masz zarezerwowany w hotelu Ett Hem. Wszystko jest zapłacone. Przyjdę o siódmej. Zamelduj się i czekaj na mnie w pokoju.

– Oczywiście. Zrobię wszystko, czego sobie życzysz.

– Rezerwacja jest na nazwisko Bonnot. Tak się nazywał pewien anarchista.

Nie mogłem się powstrzymać uśmiechu.

– Jasne.

– Nazwa hotelu: Ett Hem – powtórzyła Max.

– Zapamiętam.

– Bilet prześlę ci na telefon.

– Do zobaczenia jutro.

Przez chwilę panowała cisza.

– Tęsknię za tobą – powiedziała Max.

Serce waliło mi jak młotem. Nabrałem głęboko powietrza i odparłem:

– Ja za tobą też.

Powoli wypuściłem powietrze, spojrzałem na kartkę, którą wyjąłem z książki i zapytałem:

– Kim jest Henrik?

Ale Max nie odpowiedziała, bo chwilę wcześniej się rozłączyła.

CZEŚĆ TRZECIA

O wpół do dziesiątej wieczorem wysiadłem z pociągu na dworcu w Norrköpingu. Panował tu znacznie większy chłód niż w Lundzie. Niebo było jasne i roziskrzone, z kominów unosił się biały gęsty dym. Max wysłała mi bilet do Sztokholmu, ale zmieniłem rezerwację, żeby pojechać wieczorem przez Norrköping. Przepęniała mnie dziwna mieszanina niepokoju, nadziei i oczekiwań, która nie dawała mi spokoju. Nie mogłem usiedzieć w miejscu dłużej niż przez kilka sekund. Sama myśl, że mógłbym zostać w Lundzie o dobę dłużej, wydała mi się nie do zniesienia. Widząc, że ulicą Norra Promenaden nadjeżdża taksówka, machnąłem ręką, by ją zatrzymać.

– Pora do domu? – spytał ożywionym głosem taksówkarz, nie odwracając się. – To musiał być długi wieczór, prawda? Przyjechał pan pociągiem?

Mężczyzna posługiwał się rozwlekłym dialektem używanym w Östergötlandzie. Poczulem dławienie w gardle, dopadła mnie nostalgia. Skinąłem głową.

– Tak to można określić – odparłem. – To był nie tylko długi wieczór, ale także długi tydzień.

Oparłem się o siedzenie i poczułem na głowie chłód czarnego obicia. Wydał mi się dziwnie nienaturalny. Chciałem zamknąć oczy, ale nie mogłem.

– Gdzie mieszkasz, kolego? – zapytał taksówkarz.

Minęliśmy dworzec kolejowy i komendę policji i skierowaliśmy się na drogę wylotową na Sztokholm.

– W Söderköpingu. Proszę mnie tam zawieźć.

Kierowca zawrócił na rondzie i jeszcze raz minęliśmy dworzec kolejowy. Wjechaliśmy w Östra Promenaden, przejechaliśmy nad Strömmen i dalej wzdłuż kąpieliska, aż znaleźliśmy się na autostradzie E22. Minęliśmy Navestad i ruszyliśmy na południe.

Siedziałem ze wzrokiem wpatrzonym w ciemność. Zdawałem sobie sprawę, że jedziemy koło pól i drzew, ale ich nie widziałem, tak jak księżyc. Na skrzyżowaniu w Tingstad mignęły mi wysokie lampy uliczne, które zalewały okolicę żółtym blaskiem. Taksówka przejechała przez most na kanałem Göty i wjechała do Söderköpingu, który od Norrköpingu dzieli około szesnastu kilometrów. Światła na skrzyżowaniu zmieniły się z czerwonych na żółte, a potem na zielone. Przejechaliśmy koło kościoła Drothemskyrkan, którego białe ściany lśniły w świetle lamp, minęliśmy

Bibliotekę Miejską, salon sprzedaży samochodów należący do Tage Rejmesa i znaleźliśmy się w centrum miasta. Obok stacji paliw OKQ8 skręciliśmy w lewo, pokonaliśmy Länsgatan i Älgsgatan i wjechaliśmy w jednokierunkową Renstigen. Kiedy taksówka się zatrzymała, otworzyłem drzwi i zapłaciłem kierowcy za kurs.

– Spokojnego odpoczynku, kolego – powiedział. – Jutro też jest dzień.

Po tych słowach zawrócił do Norrköpingu, a ja zostałem sam. Przy ulicy rosły nagie, pokryte jesiennym szronem żywopłoty. W ogrodzie naszych sąsiadów, państwa Svenssonów, leżały kupy liści. Z Fridą Svensson chodziłem w podstawówce do jednej klasy. Była pierwszą dziewczyną, w której się zakochałem. Razem jeździliśmy rowerami do szkoły i razem z niej wracaliśmy. W siódmej klasie Frida była już tak ładna, że zaczęła chodzić z chłopakiem z dziewiątej, podczas gdy ja dopiero wyrastałem z *Gwiezdných wojen* i Harry’ego Pottera.

Na naszej ulicy uczyłem się jeździć na rowerze, grałem w hokeja na trawie, a kiedy byłem małym chłopcem, razem z Eliasem i Johnem szukaliśmy pokemonów. Z czasem każdy z nas poszedł własną drogą, a gdy mijaliśmy się na ulicy, ledwo się ze sobą witaliśmy. Ceglane domy przy tej ulicy miały czarne dachy i drewniane ściany pomalowane na brązowy, czerwony albo żółty kolor. W ogródkach stały trampoliny dla dzieci, a budynki były ogrzewane energią geotermalną. W piątkowe wieczory wszyscy oglądali *Idola*. Nudy na pudy. W tamtych czasach chciałem stąd uciec jak najdalej, żebym przy jakiejś wizycie nie został ponownie wessany przez to miejsce, które działało jak czarna dziura. I właśnie teraz wróciłem.

Dom moich rodziców też stał przy tej ulicy. Głęboko odetchnąłem i powoli ruszyłem w jego stronę. Ze zdziwieniem spojrzałem na wysypany żwirem podjazd garażowy: powinien na nim stać należący do rodziców samochód marki Kia, bo zwykle tam parkowali. Pojazdu nie było, za to dostrzegłem płytkie ślady opon. Zawahałem się i zadałem sobie w myślach pytanie, co ja tu robię. Nagle jak jakaś powłoka zawisło nade mną poczucie nierzeczywistości. Dotknąłem słupka furtki i zakręciło mi się w głowie. Na chwilę straciłem równowagę. Poczułem się tak, jakby chłopak, którym byłem w tamtych czasach, zderzył się ze studentem, którym się stałem po pierwszym semestrze studiów. Świadomość tego faktu przyprawiała mnie o zawrót głowy.

Poszedłem alejką pod drzwi i nocną ciszę zakłócił na chwilę brzęk kluczy. Jeden z nich wyuczonym ruchem wsunąłem do zamka i tak jak zawsze bezszelestnie obróciłem. Wrócił zapach mydła, jedzenia i lat dzieciństwa. Musiałem się bronić, żeby wspomnienia całkiem mną nie zawładnęły. Buty, które rodzice wkładali, wychodząc do ogrodu, jak zwykle stały w rzędzie. Na tych samych co dawniej wieszakach wisały kurtki.

Wszedłem do środka i skierowałem się do kuchni. Zlewozmywak lśnił czystością, kwiaty były podlane, sosnowy stół wytarty. Nagle poczułem się tak, jakbym wkroczył w głąb siebie, do jądra swojego jestestwa. Uczucie było tak intensywne, że z trudem chwytałem powietrze. W pewnej chwili musiałem się nawet oprzeć o ławę, żeby nie upaść.

– Co ty tu robisz?

Odwróciłem się i zobaczyłem, że w progu stoi moja siostra Emma. Miała rozczochrane włosy i zaspane oczy, była ubrana w długi T-shirt firmy Adidas. Przypomniało mi się, że zwykle w nim spała.

– Obudziłem cię? – spytałem, spoglądając na telefon. Kwadrans po dwudziestej drugiej. Jak zwykle położyła się wcześniej.

– A jak myślisz? – spytała.

Dopiero teraz zobaczyłem, że w ręce trzyma kij do brännbolla²⁶.

– Chcesz mnie zaatakować? – spytałem.

– Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że to włamywacz. Co ty tu robisz?

– Taki kij odstraszy każdego włamywacza. Wszyscy o tym wiedzą.

Emma nadal patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby zobaczyła upiora. Może faktycznie nim byłem?

– *What the fuck?* – spytała.

– Jesteś sama? – odparłem, zmuszając się do uśmiechu. – Gdzie rodzice?

– Na wsi. Wiedzieli, że przyjedziesz? Jeśli tak, to czemu wyjechali na wieś i nie uprzedzili mnie, że u nas będziesz?

– Nie wiedzieli. Zdecydowałem się w ostatniej chwili.

– Tak po prostu? W samym środku nocy? Przez cały miesiąc nie dawałeś znaku życia i nagle spotykam cię w kuchni. Mama próbowała się do ciebie dodzwonić. Zauważyłeś? Prawie nigdy nie odpowiadasz na esemesy.

Emma podeszła bliżej, przekrzywiła głowę i zrobiła taką minę, jakby poddawała mnie dokładnym oględzinom.

– Fatalnie wyglądasz – stwierdziła. – Spotkało cię coś złego?

Pokręciłem głowę. Czułem, że wszystko się we mnie kotłuje. Włamanie, dom, impreza halloweenowa, kradzieże, studia, życie i szaleństwo, a zwłaszcza Max.

– Nie wiem, czy coś mnie spotkało – mruknąłem. – Przyjechałem z Lundu.

– Owszem.

Emma rzuciła kij na klinkierową podłogę i rozległ się trzask. Potem do mnie podeszła i mocno mnie objęła. Pachniała szamponem i snem. Staliśmy tak, aż w końcu się wysunąłem z jej objęć.

– Chyba nie chcesz mi wmówić, że przez cały czas zakuwałeś? – spytała.

- Robiłem też inne rzeczy – odparłem.
- Dobrze. Zawsze to coś.

Kiedy następnego dnia obudziłem się w swoim dawnym pokoju, na dworze było już jasno. Na ścianach pozostały tylko poprzekrzywiane cienie z lat mojego dzieciństwa, białe czworokąty na tapetach. Kiedyś wisiały tam afisze przedstawiające znanych futbolistów, później zastąpiły ich zespoły The Clash i Wu-Tang Clan. Któregoś dnia, w nagłym przypływie energii, pozrywałem je ze ścian, bo postanowiłem maksymalnie zredukować wyposażenie pokoju.

Ubierałem się, stojąc w słabym, prążkowanym blasku światła, które wpadało do środka przez poźółkę żaluzje w oknie. Serce biło mi w nieregularnym rytmie. Odnosiłem wrażenie, że nie mogą sobie we mnie znaleźć miejsca różne wersje tego, kim jestem. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym mógł wsunąć dłoń do kieszeni kurtki i poczuć w niej znajomy kształt spreju. Wystarczyłoby jedno, maksymalnie dwa psiknięcia i miałbym spokojną noc. Uznałem jednak, że słusznie go wyrzuciłem, bo nie byłem pewien, czy przed wieczornym spotkaniem z Max zdołałbym się powstrzymać przed sięgnięciem po niego, żeby zapewnić sobie spokój.

Zapiąłem koszulę. Podciągając żaluzje, czułem się tak, jakby moje palce poruszały się niezależnie od mojej woli. Wykonywałem te ruchy tyle razy, że odnosiłem wrażenie, iż wraz z tym, co mnie otacza, są częścią kodu źródłowego. Ogród wyglądał o tej porze dnia szaro i beznadziejnie. Świeżo skoszoną trawę pokrywała cienka warstwa szronu, w plastikowym koszu przy najdalszym fragmencie żywopłotu gniły ostatnie jabłka. W szopie z narzędziami stały grabie i kosiarka do trawy – na pewno z pełnym pojemnikiem benzyny na następny sezon. Wszędzie panował porządek będący swego rodzaju nagrodą za piątek. Obudził we mnie pewną nostalgię.

Usiadłem przy swoim dawnym szkolnym biurku i zacząłem szukać w szufladach starych notesów. Zawierały odręcznie spisane pomysły na bezwartościowe scenariusze, których nigdy nie rozwinąłem. Wziąłem pierwszy z nich do ręki, wyrwałem wszystkie zapisane kartki i wrzuciłem do kosza na śmieci. Następnie wyjąłem długopis, w którym wbrew moim obawom nie skończył się wkład, i zacząłem opisywać wszystko, przez co ostatnio przeszedłem: znajomość z Ludvigiem i Victorem, spotkanie z Max, demonstrację w Malmö, willę w Miasteczku Profesorskim, Charlesa, Robina, Gustafa i Dinah, skradzione w Kopenhadze zegarki, włamanie do willi w Bellevue, pistolet, Joyce, którą z niego postrzelono i groźby Robina pod moim adresem. Wszystko to starałem się przedstawić jak najbardziej

obiektywnie. Na końcu wyznałem, że znowu mam mętlik w głowie i gdybym stracił grunt pod nogami, coś po mnie przynajmniej zostanie.

Wziąłem do ręki kartkę formatu A4, którą tajemniczy Henrik zostawił w książce o Victorze Serge'u, i powoli ją rozłożyłem. Były na niej cztery linijki tekstu zawierające cztery nazwiska pisane ładnym charakterem pisma. Obok każdego z nich znajdował się numer osobowy. Wyglądało to bardzo konkretnie i nieromantycznie.

Na kartce widniały prawdziwe imiona i nazwiska Max, Dinah, Robina i Gustafa. Wyglądały niegroźnie, odarte z fałszywej powłoki ludzi. Przez chwilę im się przyglądałem, po czym wziąłem telefon, sfotografowałem je, złożyłem kartkę i wsunąłem do notesu, który następnie postawiłem na starym regale, między *Ulissesem* Jamesa Joyce'a a *Wściekłością i wrzaskiem* Faulknera. Uznałem, że to najlepsze miejsce. Charles powiedział, że uczę się chronić samego siebie. Pewnie miał rację. W każdym razie coś się we mnie w końcu obudziło. Czułem, że po raz pierwszy samodzielnie decyduję o tym, w którym kierunku mam podążać. Być może nie wiedziałem, jaki przyświeca mi cel albo dokąd mam się konkretnie kierować, ale najważniejsze było to, że przestałem płynąć głównym nurtem.

Godzinę później, kiedy wyszedłem na korytarz, poczułem zapach kawy i usłyszałem cichą muzykę płynącą z kuchni. Zawahałem się, bo nagle sobie przypomniałem, że Emma lubi długo sypiać, a ja chciałem się wymknąć z domu po cichu, żeby nie musieć przed nią się tłumaczyć. Potem wysłałbym jej esemesa z informacją, jakiej pomocy potrzebuję, ale bez wyjaśnień. Westchnąłem, przeszedłem kilka kroków i zajrzałem do kuchni. Emma stała przy oknie z kubkiem kawy i czytała wiadomości sportowe w „Norrköpings Tidningar”.

– Od kiedy pijesz kawę? – spytałem.

Emma uniosła kubek i spojrzała na mnie obojętnym wzrokiem, który zawsze miała zarezerwowany tylko dla mojej osoby.

– A od kiedy wracasz najarany w środku nocy? – odparła.

Podszedłem do ekspresu i nalałem sobie kawy do kubka.

– Nie byłem najarany. O co ci chodzi?

– Nie mam dziesięciu lat, więc od razu zauważyłam, że byłeś na haju. Gdzie ty się podziewałeś?

Wypiłem trochę kawy. Głowa nadal mnie bolała, ale słabiej niż wczoraj.

– Zdawałem pierwszy egzamin, ale kiepsko mi poszło. Trochę się pogubiłem.

– Trochę? Wziąłeś prochy i wróciłeś do domu.

– Żadnych prochów nie brałem, małpo.

– To nie ja jestem wrakiem człowieka, braciszku, tylko ty. Powinnaś się zacząć niepokoić?

– A kiedy ty się o mnie niepokoisz? Chyba nigdy.

– Tata jest przygnębiony, prawie nie wstaje z łóżka. Nie szuka pracy, nie robi nic. Słyszałam rozmowę rodziców. Może ich nie być dłużej stać na utrzymanie domu. Mama zamierza przejść na cały etat.

– Wow, to będzie dla niej trudne – stwierdziłem i poczułem ucisk w piersi.

– Daj spokój, wiesz, co mam na myśli. Rodzice są z ciebie dumni. Wolę sobie nie wyobrażać, co będzie, jeśli się pogubisz do końca.

– Nie zamierzam się pogubić i na pewno nie do końca. Wprost przeciwnie.

Usiadłem na drugim końcu stołu i zacząłem dmuchać na gorącą kawę.

– Ja po prostu nie wiem, czy zdołam być tym, kim, jak mi się wydawało, byłem.

Emma złożyła gazetę i się wyprostowała.

– Najważniejsze, żebyś nic nie brał. Tylko tyle ci powiem. Bądź, kim chcesz, ale nie bierz.

Spojrzała na telefon, a potem na mnie.

– Muszę już iść, mam dzisiaj mecz. Jak długo zostaniesz?

– Zaraz wyjeżdżam. Mam coś do załatwienia.

– Teraz?

Emma pochyliła się nad zlewozmywakiem i wstawiła do niego kubek.

– Zjawiasz się w środku nocy i już chcesz wyjechać? I ty masz czelność twierdzić, że się nie pogubiłeś?

Emma znowu się wyprostowała i odwróciła do mnie. Wyglądała tak łagodnie, sensownie i niewinnie, że nie mogłem na nią patrzeć. Dlaczego ja taki nie jestem?

– Przestań się wygłupiać, bo mam do ciebie prośbę – powiedziałem. – Pewnie pomyślisz, że jak zwykle przesadzam, ale czy mogłabyś się nie wygłupiać, kiedy cię o coś proszę?

Emma otworzyła usta i oczy jej rozblęły. Pewnie szykowała się na jakąś zabójczą albo ironiczną ripostę, ale spojrzała mi w oczy i na widok tego, co w nich zobaczyła, powstrzymała się przed wygłoszeniem swojego szyderczego komentarza. Westchnęła tylko i wzniosła oczy do nieba.

– Sure, *drama queen*²⁷ – odparła.

– Nie chcesz, to nie – odparłem i wstałem z krzesła. Powinienem był wiedzieć, że niepotrzebnie tracę czas. Nagle ku memu zdziwieniu Emma wstała od stołu, podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Przepraszam, wysłucham cię i zrobię, o co poprosisz, ale byłoby chyba dziwne, gdybym sobie jak zwykle nie zażartowała. Zwłaszcza jeśli chcesz mi się zwierzyć z jakiejś bolesnej sprawy.

– Jesienią w moim życiu wydarzyło się wiele rzeczy – zacząłem, kiedy znowu usiedliśmy przy stole. – Gdybym ci o nich opowiedział, nie uwierzyłybyś, przez co przeszedłem.

Emma obrzuciła mnie czułym, szczerym spojrzeniem.

– Widać to po tobie – odparła.

– Kiedyś o wszystkim ci opowiem, ale to jeszcze nie koniec, bo żeby osiągnąć cel, który sobie wyznaczyłem, muszę przejść całą drogę. Rozumiesz?

– Nie, ale to bez znaczenia. Mów dalej.

– Jeśli z jakiegoś powodu wpadnę w poważne tarapaty albo przez długi czas nie będę dawał znaku życia, albo jeśli zatrzyma mnie policja, albo...

– *Sorry*, braciszku, ale nie takiego cię zapamiętałam – przerwała mi Emma.

– Nieważne. Pamiętasz, ile czasu poświęciłem w liceum na Joyce’a i Faulknera? Jak bardzo chciałem ich polubić?

Emma pokręciła głową.

– A nie sądzisz, że w tych okolicznościach wizyta na ostrym dyżurze w psychiatryku byłaby dla ciebie najlepszym rozwiązaniem? Wyglądasz na wykończonego.

– Chciałbym cię poprosić o jedno: jeśli coś mi się przydarzy, zajrzyj do książek, które stoją na regale w moim pokoju.

– Poważnie? O co tu chodzi?

– Po prostu powiedz, że to zrobisz.

Emma skinęła głową i poklepała mnie po policzku.

– Obiecuj, że nie zapomnisz – naciskałem.

– Jak sobie życzysz, palancie. Joyce i Faulkner. Jestem twoją siostrą, bracie.

Uśmiechnąłem się i poczułem, jak ogarnia mnie fala ciepła. Właśnie tak mawiała Emma, kiedy byliśmy dziećmi. *Jestem twoją siostrą, bracie.*

Odwróciła się i podeszła do drzwi.

– Późno już – powiedziała. – Zadzwoń do mamy, bo oszaleje i wszystko skrupi się na mnie.

– Czy możesz mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę?

Emma odwróciła się i popatrzyła na mnie niecierpliwie.

– Nie zabiłam cię wczoraj kijem, a teraz mam się uzależnić od twojej psychozy? Czego jeszcze ode mnie chcesz?

– Nie wspominaj rodzicom, że tu byłem.

Pociąg wtoczył się na dworzec w Sztokholmie tuż przed piętnastą, pokonawszy po drodze liczne w mieście mosty i wyspy. Patrzyłem przez okno na Södermalm i kanał Riddarfjärden i obserwowałem, jak wiatr tworzy na powierzchni wody krótkie szare fale, a one stają na baczność. Jak zwykle nie zwracałem uwagi na to, co piękne. Sztuka, a zwłaszcza muzyka i film, nigdy mnie nie interesowały. Przez całe życie, które przed wyjazdem do Lundu spędziłem w izolacji, tak naprawdę poruszały mnie tylko słowa. Być może nic się w tej kwestii nie zmieniło, ale nie byłem tego pewien. Tak czy inaczej, chciałem zachować w pamięci widok, który się rozciągał za oknem pociągu. Przypominał mi o szkolnej wycieczce w drugiej klasie, w czasie której zwiedziliśmy Parlament i wystawę o zagładzie Żydów. Kupiłem wtedy kanarkową kominiarkę, podobną do tych, których kiedyś używały aktywistki z Pussy Riot. Miałem ją na głowie, kiedy rok później poznałem Lydię. Teraz wydawało mi się to dziecinne i naiwne. W tamtych czasach byłem znudzony życiem i przed wyjazdem do Sztokholmu jedynie udawałem zblazowanego, bo w środku cały się trząsałem.

Kiedy dwa lata temu jechaliśmy pociągiem w przeciwnym kierunku, czułem się tak, jakbym zmierzał na własny pogrzeb. Teraz niespodziewanie tęskniłem za tym, co było kiedyś, chociaż nie za tym, żeby znowu być znudzonym i samotnym, bo prowadziło to do powolnej, prawie niezauważalnej śmierci. Brakowało mi jednak tamtej prostej wiary i pewności, że swoje życie można zbudować jak domek z klocków Lego. Wystarczy dokładać jeden element po drugim, żeby pokonać kolejne trudności i wspiąć się na sam szczyt. Najpierw dzieciństwo, później studia i kariera. Powolne, nieustanne pięcie się w górę. Powolne, ale być może właśnie dlatego bardziej szczęśliwe. Wzór, który miał z takich klocków powstać, nie był dla mnie jasny, ale za to klocki były dokładnie ułożone i uporządkowane według kształtu i koloru. Nigdy by mi jednak do głowy nie przyszło, że któregoś dnia zjawi się ktoś taki jak Max, kto jednym kopnięciem przewróci wszystkie pudełka i te klocki porozrzuca. Nie wyobrażałem też sobie zawalonych studiów, kradzionych zegarków ani tego, że któregoś dnia zobaczę na podłodze kobietę z raną postrzałową.

Po wyjściu z dworca poszedłem nad wodę i zatrzymałem się koło Tegelbacken. Patrzyłem na prostą, piękną fasadę urzędu miejskiego na wyspie Kungsholmen i nagle sobie uświadomiłem, że jestem zwykłym wsiakiem. Jak często byłem w Sztokholmie? Pierwszy raz, kiedy przyjechałem tam z wycieczką szkolną, i drugi, kiedy byłem

młodszy i z rodzicami odwiedziłem Gröna Lunden. Zapamiętałem, że nocowaliśmy wtedy w jakimś schronisku, a palce kleiły mi się od waty cukrowej. Później byłem stolicy chyba tylko raz.

Patrzyłem na wodę i mrużyłem oczy, żeby je ochronić od wiatru i słońca. Przede mną rozciągał się widok na Parlament i zamek królewski. Wcześniej prawie nigdzie nie byłem, więc chłonałem to, co mnie otaczało, zwłaszcza teraz, kiedy nie wiedziałem, po co tu przyjechałem.

Może Max i jej kumple faktycznie są drapieżcami, jak określił ich Charles? Po tym, co się wydarzyło, znalazłem się w Sztokholmie w sposób dla siebie niezrozumiały, ale uznałem, że to bez znaczenia, bo miałem się spotkać z Max.

Wyjąłem telefon i zacząłem szukać w internecie hotelu Ett Hem. Okazało się, że stoi po drugiej stronie placu Stureplan i ogrodu Kungsträdgården. Z żadnym z tych miejsc nic mnie nie łączyło, ale odnosiłem wrażenie, że poprzez jakąś formę kulturowej osmozy stanowią część mojej osoby. Zastanawiałem się, czy nie pojechać metrem, ale w końcu zdecydowałem się dotrzeć tam piechotą. Pomyślałem, że dzięki temu poznam trochę Sztokholm. Miałem przed sobą całe popołudnie, bo z Max umówiłem się dopiero na siódmą wieczorem.

Było zimno. Idąc przez miasto, kuliłem się przed wiatrem i starałem się trzymać jak najdalej od wody. Po drodze minąłem Segerska Huset, Operę Narodową i dzielnicę rządową Rosenbad. Przy Grand Hotelu skręciłem w stronę nabrzeża Nybrokajen i parku Berzeliusa. Poszedłem Birger Jarlsgatan, skręciłem do Teatru Dramatycznego, a w Seven Eleven koło restauracji Riche kupiłem dietetyczną colę. Na Stureplan wszedłem na kawę do niewielkiej włoskiej kawiarni. Ogrzałem dłonie o kartonowy kubek i wyszedłem na ulicę. Minąłem klub nocny Sturecompagniet, Tawernę Brillo i wszedłem do parku Humlegården. U moich stóp fruwały liście, drzewa szumiały w porywach jesiennego wiatru. Ładnie tu, pomyślałem. Sztokholm to zimne, ale piękne miasto.

Budynek, na którym zatrzymała się czerwona strzałka w Google Maps, był pałacem z brązowej cegły z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Stał między dwiema cichymi ulicami i niewielkim parkiem. Dzięki wykuszom, żeliwnym balkonom i pokrytym patyną miedzianym ornamentom w budowlu było coś gotyckiego. W ogóle nie przypominała hoteli, które widziałem wcześniej. Obiekt wyglądał raczej jak dawna siedziba rodowa niemieckiego księcia zamieniona w ambasadę na potrzeby filmowców realizujących produkcję z gatunku indie art.

Zacząłem się rozglądać za logo, szyldem albo jakimś innym dowodem na to, że trafiłem we właściwe miejsce, ale nic takiego nie znalazłem. Nie było nawet drzwi od strony ulicy. Funkcję głównego wejścia mogła pełnić łukowata drewniana brama

w murze, która prowadziła na wewnętrzny dziedziniec. Ale i tam nie zauważyłem żadnego szyldu. Był tylko numer budynku nad bramą i niewielki mosiężny dzwonek. Nic więcej.

Hotel, w którym miałem zarezerwowany pokój, funkcjonował chyba na znacznie bardziej ekskluzywnym poziomie niż ten, do którego byłem przyzwyczajony. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Jakim cudem Max było stać na takie miejsce? Powiedziała, że pokój załatwiła jej jakaś kumpela. Sprawdziłem w internecie i okazało się, że ceny zaczynają się od zawrotnej kwoty czterech tysięcy koron za dobę – mniej więcej tyle płaciłem miesięcznie za swój pokój. Max musi mieć niezłych przyjaciół.

Hotel coś w sobie miał. W pewnym momencie zaświtało mi, że gdzieś go już widziałem. Cegły i narożniki sprawiały, że wyglądał jak większy, bardziej luksusowy wariant willi Charlesa.

Już chciałem przejść na drugą stronę ulicy, gdy coś mnie zatrzymało. Zza rogu wyjechał duży, czarny jak węgiel SUV i zatrzymał się przed bramą. Postanowiłem zostać na swoim miejscu, żeby zobaczyć, co będzie dalej.

W chwili, gdy otworzyły się tylne drzwi wozu, z bramy wyszła jakaś kobieta, okrążyła samochód, i wsiadła na tylną kanapę. Ubrana była w miękkie beżowe spodnie, śnieżnobiałe najki i obszerną ciemną kurtkę. Długie kasztanowe włosy miała zebrane w imponujący koński ogon. Nie widziałem jej twarzy, ale cała scena wyglądała jak demonstracja przywilejów. Nonszalancki styl bycia, kurtka, włosy, czarny samochód, hotel... Czułem się jak paparazzi, który stracił okazję, bo nie wiedział, kim jest kobieta.

Wewnętrzny dziedziniec wyglądał jak skandynawskie marzenie: zwirowe alejki, idealnie przystrzyżony żywopłot, rośliny w doniczkach i zimne, popołudniowe światło. Poczujęm się tak, jakby rozciągające się za murem miasto przestało nagle istnieć, jakbym trafił do wiejskiej idylli, na przykład na Gotlandię albo do Österlenu w Skanii. Ujrzałem dużą ogrzewaną szklarnię lub oranżerię z czymś, co przypominało długi stół jadalny. Stałem w miejscu i wprost chłonałem ten widok. Wąskie schody prowadziły do umieszczonych na pewnej wysokości drzwi. Wszedłem na pierwszy stopień i z wahaniem ruszyłem na górę.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc je pchnąłem i czekałem, co będzie dalej. Byłem przygotowany na to, że będę musiał je zamknąć i stamtąd odejść. Zastanawiałem się, czy trafiłem we właściwe miejsce i czy Max na pewno skierowała mnie pod właściwy adres.

Wszedłem do środka i się rozejrzałem. Pomieszczenie, w którym się znalazłem, nie przypominało typowego hotelowego holu, tylko luksusowy, ze smakiem urządzonej salon. Stały w nim niskie, głębokie kanapy, nietypowe fotele, regały z książkami

i dyskretnie rozmieszczone dzieła sztuki. W głębi przy wykuszu okiennym zauważyłem mały fortepian. Pomieszczenie było zupełnie bezosobowe, więc od razu się domyśliłem, że nie trafiłem do zwykłego domu mieszkalnego.

– Witam! – powiedział na mój widok mężczyzna w białej koszuli. Był po trzydziestce, miał potargane włosy i okulary w szylkretowych okrągłych oprawkach. – Co mogę dla pana zrobić?

Zaprojektować dom, zażartowałem w myślach, ale nie powiedziałem tego na głos. Mężczyzna wyglądał tak, jak wyobrażałem sobie typowego architekta.

– Czy to jest hotel? – spytałem. Zabrzmiało to tak głupio, że aż poczerwieniałem. Co to za pytanie? Przecież wiedziałem, że to hotel. Mężczyzna uśmiechnął się i chciał coś powiedzieć, ale go uprzedziłem. – Przepraszam, ale czy to jest hotel Ett Hem? Nigdy wcześniej tu nie nocowałem, a przy wejściu nie ma szyldu z nazwą.

– Wiem, to trochę myślące. Nie jest pan pierwszą osobą, która zadała mi to pytanie. Ale jakim bylibyśmy „Domem”²⁸, gdyby przy wejściu wisiał szyld?

– Takim, do którego łatwo trafić.

Mężczyzna się roześmiał, ale chyba tylko z grzeczności. Odniosłem wrażenie, że uznał mnie za kogoś zabawnego. Być może bardziej przywykł do zarozumiałych gwiazd filmowych i ohydnych Rosjan, którzy tu nocowali w czasie podróży służbowych.

– Czy ma pan u nas rezerwację? – spytał.

– Tak, na nazwisko Bonnot – odparłem.

Wypowiadając to zdanie, spodziewałem się, że mężczyzna wskaże mi drzwi i każe wyjść. Chybabym to zrozumiał, bo znajdowałem się w miejscu bardzo odległym od środowiska, z którego się wywodziłem, co na pewno nie uszło jego uwadze. Tymczasem mężczyzna się odwrócił i wziął swojego iPada, który leżał na pięknym biurku z czerwonego dębu. Postukał w ekran i spojrzał na mnie z uprzejmym uśmiechem, a ja poczułem się tak, jakbym był jego przyjacielem albo przynajmniej członkiem ekskluzywnego klubu, którym zarządzał.

– Pokój numer dwanaście. Wszystko jest opłacone z góry.

Mężczyzna ponownie kliknął kilka razy na ekranie tabletu, otworzył szafkę i wyjął z niej klucz przymocowany do cienkiej metalowej blaszki.

– Pierwsze piętro, balkon wychodzi na ulicę. Mówiąc między nami, to jeden z moich ulubionych pokoi. Proszę iść za mną, oprowadzę pana po budynku. Bagaż może zostać tutaj.

Po tych słowach wyszedł z holu, a ja ruszyłem za nim.

– Tu mamy kuchnię – wyjaśnił. Rozejrzałem się i wewnątrz nowocześnie urządzonego pomieszczenia zobaczyłem dwóch kucharzy w fartuchach, którzy stali

w otoczeniu sprzętów i mebli jakby żywcem wziętych z czasopisma poświęconego wyposażeniu wnętrz. Na mój widok pozdrowili mnie z uśmiechem.

– Dziś wieczorem serwujemy tatar cielęcy i dorsza z chrzanem – oznajmił jeden z nich. – Proszę tylko powiedzieć, czy będzie pan tu jadał, a jeśli tak, to o której godzinie. Jeśli ma pan ochotę na coś innego, wystarczy powiedzieć, spełniamy większość życzeń. Jeśli woli pan zjeść w pokoju, przyniesiemy zamówienie na górę.

– Wystarczy powiedzieć – dodał mężczyzna w okularach, którego uznałem za recepcjonistę. – Jeśli pan zgłodnieje, a w kuchni nikogo nie będzie, może pan wziąć to, co jest w lodówce. Zazwyczaj nie oferujemy room service’u, więc może pan sobie przygotować kanapkę lub cokolwiek innego.

– My w ogóle nie oferujemy room service’u – mruknął jeden z kucharzy, a recepcjonista uśmiechnął się ze skruchą.

– To prawda... Ostatnimi czasy sprawy mają się trochę inaczej niż zwykle, więc liczymy na zrozumienie. Proszę pójść za mną, wskażę panu pokój.

Na piętro weszliśmy pięknymi, solidnymi schodami, które ani razu nie zaskrzypiały. Można było odnieść wrażenie, że każdy stopień został wymierzony i wykonany wprost idealnie, jakby miał służyć całą wieczność. Recepcjonista szedł przodem i otworzył drzwi mojego pokoju.

– Tak naprawdę to mały apartament – wyjaśnił. – Jeden z dwóch pokoiów z balkonami, jakie tu mamy. Rozumiem, że jest to dla pana ważne?

– A powinno? – spytałem.

Wszedłem do pokoju i rozejrzałem się po nim.

– Wiem o tym od pańskiej sekretarki albo dyrektorki, która robiła tę rezerwację.

Z trudem się powstrzymałem, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Czy ja naprawdę wyglądałem na kogoś, kto zatrudnia sekretarkę albo dyrektorkę?

Pokój był ogromny, a balkon faktycznie wychodził na ulicę. Drzwi balkonowe były ukryte za grubymi zasłonami w naturalnych kolorach. Na ścianie wisiał duży, utrzymany w żółtych barwach obraz. Akrylowe pociągnięcia pędzla rozjaśniały całe pomieszczenie. Z trudem się powstrzymałem, żeby nie rzucić się na zasłane białą kołdrą i białymi poduszkami łóżko.

– Piękny pokój – stwierdziłem.

Mężczyzna stał nieruchomo, a ja czułem, jak ogarnia mnie coraz większa panika. Zastanawiałem się, czy powinienem mu dać napiwek, chociaż i tak nie miałem gotówki. Poza tym był ode mnie o dziesięć lat starszy i pod względem finansowym na pewno stał wyżej. Ale czy to miało jakieś znaczenie? Przecież nawet nie wiedziałem, czego ode mnie oczekiwano w tym egzotycznym dla mnie świecie finansów sfery usługowej.

– Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy dać znać – zadeklarował. – Na dole mamy bar, w którym oferujemy rewolucyjne Negroni.

Po tych słowach się odwrócił i ku mojej uldze wyszedł z pokoju. Ledwo zamknął za sobą drzwi, osunąłem się bezwładnie na chłodną, miękką kołdrę.

Nie wiem, jak długo przeleżałem na łóżku, gapiąc się w wysoki sufit. Po pewnym czasie przewróciłem się na brzuch i wyjąłem telefon. Wyszukałem w internecie stronę hotelu i dowiedziałem się, że będę nocował w pokoju, który kosztuje osiem i pół tysiąca koron za dobę. Zakręciło mi się w głowie. Rezerwację zrobiła Max. Wciąż nic z tego nie rozumiałem. Wszystko przypominało mi jakiś dziwny sen.

Obróciłem się przodem do drzwi balkonowych i popatrzyłem na park, w którym drzewa kuliły swoje pożółkłe gałęzie pod wpływem wiatru. Na krótką chwilę udało mi się wyłączyć ze świadomości wszystko to, co ostatnio było w moim życiu dziwne i niepewne, i udawać, że jestem kimś innym. Na przykład gwiazdą, gangsterem, oligarchą albo znanym, szanowanym zagranicznym pisarzem, który zmierza po prestiżową nagrodę. Przez chwilę prawie uwierzyłem, że posiadam pewne przywileje, że nie muszę walczyć ani niczym się przejmować, a zwłaszcza że należę do wąskiej, kilkuprocentowej grupy osób, które okupują miejsca na samym szczycie.

W końcu udało mi się na krótko zasnąć, a kiedy się obudziłem, było późne popołudnie. Leżałem na miękkiej kołdrze, światło wpadało do pokoju przez drzwi balkonowe pod trochę innym kątem niż wcześniej.

Wstałem i je otworzyłem, ale silny podmuch sprawił, że musiałem je przytrzymać, żeby wiatr mi ich nie wyrwał. Ulica była pusta, jakby leżała na uboczu. Stało na niej kilka samochodów, ale nie zauważyłem ani jednego przechodnia. Trudno było uwierzyć, że to Östermalm, samo centrum stolicy. Zmarzłem od panującego na zewnątrz jesiennego chłodu, więc szybko zamknąłem drzwi.

O szóstej zszedłem do eleganckiego salonu, w którym mieścił się bar z recepcją, i usiadłem w niskim, wygodnym fotelu. Przed wyjściem z pokoju włożyłem chinosy i jasnoniebieską, zapinaną na guziki koszulę od Ralphi Laurena. Ludvig też taką miał, więc w Lundzie rzadko ją nosiłem. Żałowałem, że nie mogłem jej wkładać, bo czułem się w niej jak elegancki światowiec. Zawsze marzyłem o tym, żeby posiedzieć samotnie w hotelowym barze, chociaż nigdy tego nie doświadczyłem. Teraz jednak nie myślałem o tym, kim w swojej własnej opinii jestem. Jeśli Max mogła zamówić szampana w Grand Hotelu albo w barze w centrum handlowym Illum w Kopenhadze, ja mogłem sobie posiedzieć w salonie hotelu, w którym zarezerwowała dla mnie pokój.

– Czy mogę panu coś podać? – Usłyszałem nagle głos recepcjonisty. Mężczyzna stał swobodnie obok mojego fotela. Oprócz mnie w salonie przebywali jeszcze dwaj brodaci mężczyźni w dżinsach, siedzieli koło drzwi wejściowych pochyleni nad MacBookiem. – Jak już wcześniej wspominałem, naszą specjalnością jest mocne Negroni. Jeśli nie ma pan ochoty na coś innego, mimo jesieni polecałbym właśnie ten drink.

Wiedziałem tylko tyle, że Negroni to rodzaj koktajlu, ale nic poza tym.

– Brzmi nieźle, niech będzie.

– Coś więcej?

Zastanawiałem się, co jeszcze można zamówić w barze.

– Orzeszki?

– Oczywiście.

Drink był mocny i słodki, a ja poczułem się prawie jak w domu. Smakiem przypominał ten, który Charles przyrządził nam w bibliotece. Ta sama moc i słodycz.

Teraz wydawało mi się to odległą przeszłością. Przeszedł mnie dreszcz.

Do salonu schodzili kolejni goście: jedni zamawiali drinka przed kolacją, inni wychodzili z hotelu. Wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych z życia, jakby byli całkowicie niezależni od pieniędzy albo od ich braku.

Przypomniała mi się kupiona na stacji Statoil kanapka, biegnąca przez Söderköping droga E22 i pozamykane restauracje przy nieuczęszczanym o tej porze roku przez turystów kanale wodnym Götakanalen. Wróciła pamięć o ponurych, niemodnych sklepach, które po kolei bankrutowały, o traktorach z EPA, które stały na placu Rådhusorget i wyglądały jak graty, o rodzicach i ich nieskomplikowanym codziennym życiu, o każdym groszu, z którym musieli się liczyć. Wszystko to nie miało żadnego odniesienia do miejsca, w którym teraz przebywałem. Trafiłem w towarzystwo takich ludzi jak Ludvig, Victor i ich kumple, którzy siedzieli na piramidzie społecznej na tak dużej wysokości, że to, co się działo na samym dole, w ogóle do nich nie docierało. Kiedy następowało trzęsienie ziemi, ci, którzy się tak wysoko znajdowali, w ogóle go nie doświadczali, bo wsiadali do swoich helikopterów i nie czuli zagrożenia. Przebywanie w ich towarzystwie dawało poczucie bezpieczeństwa. Dziś wieczorem wyglądałem na jednego z nich, niezależnie od swojej przeszłości, pozycji finansowej i pochodzenia klasowego.

O wpół do siódmej odezwał się mój telefon, który leżał przede mną na stole. Dostałem wiadomość. Spojrzałem na wyświetlacz: numer nieznany.

Przepraszam, będę dopiero po dziewiątej. Spotkamy się w pokoju. Tęsknię.

Poczułem się lekko rozczarowany, że Max się spóźni. Ale cóż, i tak się spotkamy, a ona za mną tęskni.

Zacząłem myśleć o Charlesie, Henriku i kartce z książki. Nurtowały mnie pytania i wątpliwości, powinienem odczuwać niepokój. Może jednak zdołam w końcu zrobić to, o co Max prosiła mnie od samego początku? Przestanę myśleć o tysiącu różnych spraw naraz i zacznę planować swoje życie.

Niestety, wiedziałem, że jest dokładnie odwrotnie. Odczuwałem spokój, bo byłem przygotowany dosłownie na wszystko. Wszystko mogło się okazać cudowne albo pójść nie tak, jak powinno. Nie przestawałem myśleć o ryzyku ani o konsekwencjach, ale już ich nie unikałem. Zacząłem planować.

Kiedy obok mojego stolika przechodził recepcjonista, zamówiłem jeszcze jednego drinka, chociaż już po pierwszym byłem lekko wstawiony. Ceną nie musiałem się przejmować, bo wszystko zostało opłacone z góry.

Alkohol sprawił, że zaczęło mi szumieć w głowie. Z niewidocznych zamontowanych w salonie głośników płynęła muzyka jazzowa. Dominowały w niej dźwięki tuby i perkusji. W pewnej chwili drzwi po drugiej stronie salonu się otworzyły i do środka

weszła grupka ludzi. Serce mi zadrżało, bo zauważyłem wśród nich kobietę z kasztanowatymi włosami, w beżowych spodniach i długim, ciemnym płaszczu, którą wcześniej widziałem przed wejściem do hotelu. Teraz, kiedy stała naprzeciwko mnie, od razu ją rozpoznałem. Była to Maria Conti.

Tuż za nią do salonu wszedł jej przyszły mąż – inwestor z branży IT. Towarzyszył im umiejętny facet, który wyglądał na ochroniarza. Przypomniały mi się słowa Ludviga, który wspomniał, że Conti będzie mieszkać jesienią w różnych hotelach w Sztokholmie, ponieważ jej przyszły mąż pracuje nad jakąś aplikacją. Wyglądało na to, że zamieszkała w tym samym hotelu, co ja. Recepcjonista podał jej klucz od pokoju.

– Dziękuję, Calle – powiedziała z uśmiechem Conti.

Obnażyła przy tym swoje równe zęby, które warte były więcej niż napiwki całego świata. Kiedy razem ze swoim miliarderem szła w stronę schodów, minęła mój stolik. Poczulem bijący od nich zapach wanilii i ciemnego drewna. Pomyślałem, że tak pachną pieniądze i wielkie dochody. Z trudem się powstrzymałem, żeby nie musnąć ich dłoni. Impuls był absurdalny, ale przez chwilę mi się wydawało, że jeśli tego nie zrobię, nie uwierzę, że naprawdę istnieją, jakby bijąca od nich ekskluzywność nie mogła być rzeczywista bez namacalnego dowodu w postaci dotyku.

Weszli na górę i znikli mi z oczu, a ja poczułem silne pulsowanie w skroniach. Byłem poruszony tym spotkaniem. Zauważyłem, że moja szklanka jest pusta. Podszedł do mnie recepcjonista – teraz już wiedziałem, że ma na imię Calle.

– Podać coś jeszcze? – spytał z uśmiechem.

Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że jest za kwadrans dziewiąta.

– Ładny zegarek – dodał.

– Naprawdę? – spytałem i uniosłem rękę, jakbym się chciał upewnić, że chodzi mu o moją certinę.

– Nie jest pospolity i dlatego mi się podoba – odparł.

– Czy można się do nich przyzwyczaić? – spytałem, wskazując w stronę schodów. – Mam na myśli celebrytów, którzy tu nocują.

Moje pytanie mogło zabrzmieć komicznie, ale poczułbym się śmieszniej, gdybym go nie zadał. Trochę już wypięłem i było mi to obojętne.

– Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Rzeczywiście, mieszka u nas wiele znanych osób, ale dla mnie to element pracy.

– Czy są tacy sami jak wszyscy inni ludzie?

Calle uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

– Mam rację? – Nie odpuszczałem.

Calle wyprostował się i odparł:

– Nikt, kogo stać na ten hotel, na pewno nie jest taki sam jak inni ludzie.

Zamówiłem piwo i wziąłem je do pokoju. Jeden z foteli ustawiłem przed wiszącym na ścianie telewizorem, usiadłem i wypłem trochę piwa. Max mogła się zjawić w każdej chwili. Na myśl o tym serce zaczęło mi walić jak młotem.

Włączyłem telewizor i na ekranie wyświetlił się komunikat z życzeniami przyjemnego pobytu od dyrekcji hotelu. Cały ekran wypełniało zrobione z góry zdjęcie. Widać na nim było zielony dach, balkony, ogród i zarys całego budynku. Wszystkie elementy układanki złożyły się w jeden obraz, a ja nagle sobie uświadomiłem, że już gdzieś to widziałem.

Było to tak nienormalne, że musiałem wstać, żeby się pozbyć niepokoju, który mną nagle zawładnął. Przypomniałem sobie zdjęcia, które widziałem w laptopie Max, kiedy byłem w jej pokoju w willi Charlesa.

Puls jeszcze bardziej mi skoczył, ale starałem się kontrolować sens tego, co przed chwilą do mnie dotarło. Nagle drgnąłem, bo usłyszałem dźwięk, który przypominał bębnienie palcami w okienną szybę. Był natarczywy, ale dyskretny.

Na początku pomyślałem, że to wiatr uderza w drzwi balkonu. Odwróciłem się, ale nic nie zauważyłem, bo bijące z pokoju światło odbijało się w szybie. Kiedy dźwięk ucichł, ponownie odwróciłem się do telewizora.

Znajdowałem się w tym samym hotelu, którego zdjęcia widziałem w laptopie Max. Przypomniałem sobie, że jedną z fotografii wykonano z zewnątrz. Drzwi balkonowe były na niej zakreślone kolorowym flamastrem. „Rozumiem, że to dla pana ważne”, powiedział recepcjonista, kiedy wydawał mi klucz do pokoju.

Po chwili znowu usłyszałem ten sam dźwięk co poprzednio. Tym razem trwał dłużej i był bardziej intensywny. Odwróciłem się i spojrzałem na drzwi balkonowe. Mógłbym przysiąc, że w ciemnościach widzę jakiś ruch. Zerwałem się z fotela i podszedłem bliżej. W ciemnościach ujrzałem czyjąś dłoń uderzającą w szybę. Ogarnął mnie niepokój, nie wiedziałem, co o tym myśleć. Chwilę później zauważyłem za szybą kolejny ruch i ludzką twarz.

Max.

Stała przy szybie i dawała mi ręką znak, żebym jej otworzył. Chwyciłem za klamkę i pociągnąłem. Ledwo to zrobiłem, Max pchnęła drzwi w moją stronę.

– Co ty wyprawiasz? – spytałem. – Jak się dostałaś na balkon?

Max wepchnęła mnie do środka i z poważną miną wskazała ręką łóżko.

– Usiądź – powiedziała.

Zawahałem się, rozłożyłem ręce i spytałem:

– O co chodzi?

Max podeszła do mnie i ostrożnym, acz zdecydowanym ruchem popchnęła mnie na łóżko. Usiadłem, a ona kucnęła przede mną. W wypełniającym pokój przytłumionym świetle ujrzałem jej błyszczące oczy.

– Nie mamy chwili do stracenia – oznajmiła. – Za dziesięć sekund wpuszcę przez balkon Robina i Gustafa, a za dziesięć minut tą samą drogą opuścimy hotel.

Głos miała bardziej przytłumiony i konkretny niż zwykle. Słowa wypowiadała dobitnie, jakby chciała się upewnić, że dotarł do mnie ich sens i nie zachodzi choćby najmniejsze ryzyko, że czegoś mogłem nie zrozumieć.

– O czym ty mówisz? – wykrztusiłem.

Powinienem był powiedzieć coś więcej, ale Max uniosła dłoń i zasłoniła mi usta. Poczułem zimny, szorstki dotyk rękawiczki z goreteksu.

– Kiedy my będziemy zajęci tym, po co tu przyszliśmy, ty zostaniesz w pokoju. Potem natychmiast stąd znikniesz i nigdy więcej nas nie zobaczysz. Będziesz żył, jakby nic się nie stało, a o tym, co tu się wkrótce wydarzy, będziesz do końca życia opowiadał na przyjęciach swoim kolegom prawnikom.

Stałem w milczeniu i tylko na nią patrzyłem. Czułem się tak, jakby nagle mnie zatkało, a cały mój świat wywrócił się do góry nogami. Pokręciłem głową, próbując złożyć to wszystko w całość. Dopiero teraz zrozumiałem, że właśnie przed tym próbował mnie ostrzec Charles.

– Co wy planujecie? Chcecie porwać Conti?

Byłem już tak zdesperowany, że wypowiedziałem te słowa bardziej podniesionym głosem, niż zamierzałem. Max zakryła mi usta dłonią, żeby mnie uciszyć, a ja rozumiałem, że zegarki i pieniądze z włamania w Malmö były jedynie wstępem do czegoś większego. Chodziło tylko o zdobycie pieniędzy na skok, który zaplanowali na ten wieczór, a ja miałem ich wpuścić do hotelu przez balkon.

– Nikogo nie zamierzamy porywać – odparła Max. – Chcemy tylko zabrać to, co jest nam potrzebne, i zostawić nasze przesłanie dla innych.

– Mówisz o jej pierścionku i innej biżuterii? – spytałem.

Max popatrzyła na mnie ostrym wzrokiem. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. Rozmawiałem z obcą osobą. A może właśnie teraz była sobą? Prawdziwą Max? Dopiero w tej chwili zrozumiałem, w co dałem się wplątać.

– Owszem. Chyba rozumiesz, że to idealna okazja?

– Taki mieliście plan od samego początku?

Nagle coś we mnie pękło. Od kiedy zniknęli, szykowałem się na to, że znowu mnie zdradzą. Cała trójka: Robin, Gustaf, a nawet Dinah. Nic dla nich nie znaczyłem. Podejrzewałem, że Max zachowa się podobnie, ale do końca miałem nadzieję, że tego nie zrobi. Nie chciałem w to uwierzyć.

– Od dawna się szykowaliście na ten dzień. Latem poznałaś jakiegoś Henrika, ale coś poszło nie tak i zdecydowałaś się na mnie.

– Skąd o nim wiesz? – spytała Max, ale ja nie odpowiedziałem, tylko pokręciłem głową. Max spojrzała przez ramię. – Nie mamy czasu, ale skoro chcesz uchodzić za ofiarę, przyznaję: tak, planowaliśmy to od samego początku.

Przez moment ujrzałem w jej oczach dawny błysk. Dotknęła mojego policzka odzianą w rękawiczkę dłonią.

– Żałuję, że to się tak potoczyło – stwierdziła.

W tej samej chwili ujrzałem trzy ciemne, skulone postacie, które weszły do mojego pokoju. Cała trójka miała na twarzach kominiarki.

– Fajnie cię znowu widzieć – powiedział Gustaf, obrzucając mnie szybkim spojrzeniem.

Robin skinął mi głową.

– Myślałem, że jestem jednym z was, i naprawdę w to uwierzyłem – stwierdziłem. Byłem tak zszokowany, że mój umysł pracował na zwolnionych obrotach. Rosło we mnie poczucie rozczarowania i poniżenia, ale nie tylko. Czułem też coś silniejszego, potężniejszego. – Teraz już rozumiem, że ściągnęłaś mnie do tego hotelu wyłącznie z powodu tego skoku.

Max popatrzyła na mnie zimnym wzrokiem.

– Przykro mi, ale to prawda: oszukałam cię.

– Miałeś pecha – stwierdził Robin.

– Oszukaliście Charlesa. Pewnie nie wie o tym skoku, a kiedy będzie po wszystkim, po prostu go zostawicie.

– Charles sobie poradzi – odparła Max. – Nie musisz się o niego martwić. Swoją dolę już dostał. Ty też sobie poradzisz.

– Jemu nie chodziło o pieniądze.

– Nam też nie. Nie tylko.

– Max, nie mamy czasu – wtrącił stojący za mną Gustaf.

Max nie zwracała na niego uwagi. Kucnęła przede mną i spytała:

– Czy ty albo twoi koledzy z roku prowadzicie uczciwe życie? Czy to uczciwe życie oczekiwaniemi i konwenansami, stać z boku i udawać, że kiedy tacy jak Conti wysysają z ludzi wszystko, co mogą, nic złego się nie dzieje? Uważasz, że takie zachowanie jest bardziej moralne?

Nie mogłem tego dłużej słuchać i wstałem z łóżka. Teraz nad nią górowałem.

– Jesteś zwykłą złodziejką – odparłem. – Nie jesteś ani uczciwa, ani wolna. Jesteś kupą gówna, niczym więcej.

– Zamknij gębę – powiedział zniecierpliwionym głosem Robin.

Max popatrzyła na mnie z wyższością. Wzrok miała zimny, może nawet pogardliwy.

– Nie potrafisz być uczciwy nawet względem siebie – odparła. – Nie masz pojęcia, kim jesteś. Po tym wszystkim, co się stało, nadal wierzysz, że o tym, co jest słuszne, prawdziwe i uczciwe powinien decydować ktoś inny. Dlatego tak to się dla ciebie kończy. Zasłużyłeś na taki koniec.

– Plecak – wtrącił Gustaf.

Max wyprostowała się i zdjęła plecak.

– Jak się dostaliście na balkon? – spytałem.

– Po drabinie – odparła Max. – Na dole stoi Dinah. Sam wiesz, jak to jest... Wy macie balkony, my mamy sznury.

– Jasne. Mój balkon, wasze sznury.

Max otworzyła plecak, a Gustaf zaczął w nim czegoś szukać. Na widok tego, co z niego wyjął, cofnąłem się o krok. Był to duży, czarny matowy pistolet. Bez chwili wahania odwrócił go lufą w kierunku ściany, odciągnął zamek, wykonał ruch, jakby oddał z niego strzał, i podał broń Robinowi. Max wyjęła z plecaka taki sam pistolet, również odciągnęła zamek, wzięła magazynek i wprawnym ruchem wsunęła do chwytu.

– Co zamierzacie zrobić? – spytałem.

Max włożyła kominiarkę. Wyglądała teraz jak w Malmö, gdzie zobaczyłem ją pierwszy raz. Powinienem być sparaliżowany tym widokiem, ale czułem się dziwnie spokojny.

– Oddaj mi swój telefon – powiedziała, wyciągając do mnie rękę. – To na wypadek, gdybyś wpadł w panikę i postanowił zadzwonić do niewłaściwej osoby.

Kątem oka zauważyłem, że Gustaf przecina nożem kabel stojącego na szafce telefonu.

– Zostań tu i zachowaj spokój, a szybko się nas pozbędziesz.

– Czy za to, co zamierzacie zrobić, odpowiedzialność też spadnie na mnie? – spytałem. – Jak zamierzacie to załatwić?

– Jeśli zrobisz to, co każemy, będziesz tylko ofiarą i wyjdiesz z tego bez szwanku – odparła Max. – Oddaj mi telefon.

Wyjąłem z kieszeni komórkę i przez chwilę się zawahałem, a potem jej podałem. Spostrzegłem, że Gustaf patrzy na zegarek.

– Cztery minuty i ani sekundy dłużej – oznajmił. Wbił wzrok w Max i dodał: – I żadnych własnych pomysłów.

Max skinęła głową i wyjęła z plecaka czerwony pojemnik ze sprejem.

– Mówię zwłaszcza o tym. Żadnych takich idiotyzmów. Wchodzimy, załatwiamy sprawę i wychodzimy.

– Dobrze wiesz, że to jedyny powód, dla którego to robimy – odparła Max i wsunęła sprej do bocznej kieszeni spodni. Spojrzała na mnie i tonem wyjaśnienia dodała: – Nie jesteśmy zwykłymi złodziejami.

– Ruszamy – rzucił stanowczo Robin.

– Cztery minuty i ani sekundy dłużej – powtórzył Gustaf.

– Zaraz wracamy – powiedziała do mnie Max.

Skinęła głową Robinowi i Gustafowi, głęboko odetchnęła i otworzyła drzwi na korytarz.

Max, Robin i Gustaf wyszli z pokoju i prawie bezszelestnie zamknęli za sobą drzwi. Miętko, a zarazem pewnie stąpali po drewnianej podłodze.

Wstałem z łóżka i przyłożyłem ucho do drzwi. Z początku nic nie słyszałem, więc doszedłem do wniosku, że poszli na wyższe piętro albo na dół. Wszędzie panowała cisza, dopiero po dłuższej chwili usłyszałem natarczywe i stanowcze pukanie do drzwi pokoju na końcu korytarza. Dwa razy po trzy uderzenia.

– Room service.

Poznałem głos Gustafa, który przebił się do mnie przez drzwi. Jego słowa zabrzmiały prawie śmiesznie. Udawanie pracownika room service to najstarsza sztuczka złodziei hotelowych. Zwłaszcza w obiekcie, który takiej usługi nie oferował. Chyba jednak zadziało, bo w ciągu sekundy sytuacja uległa gwałtownej zmianie. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jak drzwi na końcu korytarza się otwierają, ale hałasu, który nastąpił chwilę później, nie dało się nie słyszeć. Gustaf zawołał po angielsku podniesionym głosem:

– Do łazienki! Natychmiast! Ręce za głowy!

– Ruszać się! – zawołała Max. – Do łazienki! Ogłuchliście?

Rozległ się kobiecy krzyk, któremu towarzyszył męski oburzony głos, słowa wypowiedziane amerykańską angielszczyzną. Wiedziałem, że to Conti i jej partner. Nacisnąłem klamkę i ostrożnie, niezbyt szeroko, otworzyłem drzwi.

– Nie ruszać się! Ani kroku!

To był głos Robina. Spojrzałem w jego kierunku i zobaczyłem, że stoi przodem do pokoju znajdującego się naprzeciwko pokoju Conti i mierzy do kogoś z pistoletu trzymanego w obu dłoniach. Gustafa i Max nie było już na korytarzu.

– Rzuć mi swój telefon! – kontynuował po angielsku Robin. – Natychmiast, bo wpakuję ci kulę w łeb! Przysięgam.

Robin wypowiadał te zdania podniesionym, ale opanowanym głosem. Byłem pewien, że nie żartuje. Chwilę później telefon wylądował u jego stóp. Być może należał do ochroniarza, z którym wcześniej widziałem Conti i jej faceta.

– Połóż się na brzuchu!

Robin opuścił pistolet, odwrócił głowę i nagle spojrzał na mnie. Stałem jak skamieniały, ale ponieważ Robin żadnym gestem nie kazał mi wrócić do pokoju

i zamknąć drzwi, czekałem, co będzie dalej. Z wnętrza drugiego pokoju dobiegał głos Gustafa, który krzychał po angielsku z dziwnym akcentem.

– Do wanny! Oboje! Pierścionek! Gdzie jest pierścionek?

– W sejfie. Proszę, bardzo proszę...

Poznałem zmieniony strachem i szokiem głos Conti.

Zapadła cisza i przez chwilę mi się wydawało, że słyszę tykanie zegarka Gustafa.

– Podaj kod!

W następnej chwili usłyszałem kroki na schodach prowadzących z salonu na piętro. Robin machnął mi ręką, żebym się cofnął w głąb pokoju, więc to zrobiłem. Przymknąłem drzwi, ale zostawiłem w nich wąską szparę, żeby móc przez nią obserwować, co się będzie działo.

Na korytarzu pojawił się Calle. Pewnie usłyszał hałas i dobiegające z góry podniesione głosy, a być może wszedł na piętro przypadkiem. Stał i popatrzył na zamaskowanego Robina.

– Podejdź tu i połóż się na brzuchu! – rozkazał mu Robin.

Jego głos nie był już spokojny, tylko podniesiony i zdesperowany. Zszokowany i spanikowany recepcjonista zamiast uczynić to, co kazał mu Robin, uniósł ręce na wysokość ramion i cofnął się o dwa kroki. Z drugiego pokoju dobiegał przytłumiony głos Conti:

– Proszę... – szlochała. – Nie zabijajcie nas... proszę... Weźcie, co chcecie, ale pozwólcie nam żyć.

– Do wanny! – zawołała po angielsku Max. – Podaj kod do sejfu!

Wypowiedziała te słowa ostrym, bezlitosnym głosem, trudnym do skojarzenia z osobą, którą była na co dzień.

– Kładź się na podłogę! – powtórzył do recepcjonisty Robin. Wypowiedział to zdanie jeszcze bardziej podniesionym, ale nadal opanowanym głosem. – Jeśli tego nie zrobisz, przysięgam, że strzelę.

Niestety, recepcjonista był tak przerażony, że to, co mówił Robin, w ogóle do niego nie docierało. Może z powodu szoku w ogóle go nie słyszał. Obserwowałem, jak nadal się cofa z uniesionymi rękami i prawie słyszałem, jak zegarek Gustafa odmierza kolejne sekundy.

Robin spojrział przez ramię i mocniej ujął pistolet w dłonie. Przypomniało mi się jego zachowanie w czasie włamania do willi w Bellevue i na autostradzie, gdy zatrzymała nas policja. Wiedziałem, że kiedy wpada w panikę, żadne bariery dla niego nie istnieją. Nagle usłyszałem swój własny głos.

– Nie strzelaj do niego! – zawołałem, otwierając szerzej drzwi.

Niestety, w momencie gdy przekroczyłem próg, padł pierwszy strzał. Rozległ się głuchy, stłumiony dźwięk, który wypełnił wąski korytarz. Chwilę później Robin strzelił drugi raz. Odrzucony siłą pierwszego pocisku recepcjonista poleciał do tyłu. Po chwili trafiony drugą kulą z trzaskiem upadł na podłogę.

Leżałem na brzuchu, dzwoniło mi w uszach i huczało w głowie. Robin podszedł bliżej leżącego recepcjonisty i przyłożył mu lufę do głowy. Widząc, co robi, zawołałem na cały głos:

– Nie strzelaj do niego! Nie strzelaj!

Niestety, padł kolejny strzał. Na korytarzu zapadła cisza. Robin uniósł głowę i wymierzył we mnie. Wzrok miał pusty, pozbawiony uczuć, jakby przebywał gdzie indziej. Zakryłem rękami głowę i zaszlochałem.

Recepcjonista leżał na podłodze, a wokół jego głowy na eleganckim parkiecie powstawała kałuża krwi. Robin nadal mierzył do mnie z pistoletu.

– Kod! – Usłyszałem głos Gustafa. – Podajcie nam kod do sejfu!

– Opuść pistolet – rzuciłem w kierunku Robina. – Na miłość boską opuść pistolet! Nie stanowią dla was zagrożenia!

Ale on nadal stał wyprostowany i z obojętną miną celował we mnie. Szczęki chodziły mu ze zdenerwowania, może dopiero teraz do niego dotarło, że zabił człowieka. Odwrócił głowę w lewo i spojrzał w głąb pokoju, w którym przebywał ochroniarz Conti.

– Zachowuj się spokojnie, bo ciebie też zastrzelę! – krzyknął w moim kierunku.

Potem usłyszałem, jak Amerykanin dyktuje Gustafowi kilka cyfr. Chwilę później rozległ się dźwięk, który przypominał uderzenie. Towarzyszyły mu kroki i jęki. Spanikowana Conti zaczęła krzyczeć. Ktoś przeszedł przez pokój i otworzył sejf.

– Macie to?! – zawołał przez ramię Robin.

Mijał czas, a on coraz mocniej zaciskał szczęki. Krew recepcjonisty rozlewała się szeroko po podłodze. Rozległ się elektroniczny dźwięk aktywujący system i metalowe drzwi sejfu się otworzyły. Minęła sekunda albo dwie.

– Mam! – zawołał Gustaf. – Wycofujemy się!

W tej samej chwili moich uszu dobiegł metaliczny stukot, jakby ktoś potrząsał metalowym pojemnikiem. Domyśliłem się, że to brzęk podskakującej w pojemniku ze sprejem kulki. Potem dobiegł mnie syk spreju. W tym samym momencie rozbrzmiał minutnik kuchenny, który miał ze sobą Gustaf. Po chwili umilkł.

– Wycofujemy się! – powtórzył Robin. – Natychmiast.

W jego głosie wychwyciłem desperację, jakby Robin dopiero teraz w pełni sobie uświadomił, że zabił leżącego człowieka. Minęło kilka sekund, które wydały mi się wiecznością.

– Cztery minuty! – krzyknął Robin. – Czas minął! *Let's go!*

– Gdzie twój telefon? – spytała Max, kierując to pytanie w głąb pokoju. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, jej głos brzmiał dziwnie spokojnie. Potem znowu usłyszałem dźwięk, który przypominał uderzenie. Towarzyszył mu krzyk i jęk.

– Daj spokój z telefonem! – rzucił przez ramię Robin. – Musimy wiać!

– Koło łóżka! – krzyknęła Conti. – Nasze telefony ładują się koło łóżka. Nie róbcie nam krzywdy!

– Jeszcze chwilę! – odpowiedziała Max Robinowi.

Rozległ się tupot stóp po podłodze, a mnie się wydawało, że czas stanął w miejscu.

– Gotowe! – zawołała Max.

Minęła kolejna trwająca wieczność sekunda, po której Max i Gustaf wypadli z pokoju. Przebiegli kilka kroków i zobaczyli ciało recepcjonisty.

– Co to, kurwa, jest?! – zawołała przerażonym głosem Max. Pomogła mi wstać i wepchnęła do pokoju.

– Co się stało? – spytał Gustaf.

Nie patrzył na mnie ani na Robina, tylko od razu podszedł do drzwi balkonu.

– Zastrzeleń go, ty pieprzony psychopato! – zawołałem do Robina. Chciałem się na niego rzucić, ale Max w ostatniej chwili mnie powstrzymała. Próbowaliśmy się uwolnić z jej uchwytu, czułem buzującą w moich żyłach adrenalinę. – Zabiłeś go, jakby to była egzekucja. Jesteś taki, jak opisał cię Charles. Pieprzony drapieżca.

– Uspokój się wreszcie – powiedziała Max i w końcu mnie puściła. – Musimy się zwijać.

Gustaf stał już na balkonie. Rozejrzał się po ulicy, przeszedł przez poręcz i zniknął mi z oczu.

Na dole, w ciemnościach, ujrzałem jakąś postać. Domyśliłem się, że to Dinah, która pilnuje drabiny.

Robin wszedł na balkon, odwrócił się, spojrzał na mnie i rzucił spokojnym tonem:

– To koniec... dla ciebie. Jesteś martwy, ty mała, pieprzona cioto.

Przeszedł przez poręcz i już go nie było. Max ujęła moje nadgarstki w swoje mocne dłonie i powiedziała:

– Nie masz wyboru, musisz pójść z nami. Jeśli gliny cię tu zastaną, szybko cię z nami powiążą, a wtedy Robin opublikuje w internecie zdjęcia i nagrania, które widziałeś. Źle się to dla ciebie skończy, bo dzisiaj doszło tu nie tylko do napadu, ale i do zabójstwa.

– On też dostanie za swoje, jeśli spróbuje mnie wysłać do więzienia.

– Być może, ale to impulsywny facet. Jakoś to rozwiążemy, ale nie mogę cię tu tak zostawić.

– Kłamiesz. Ja stoję na balkonie, ty na dole ze sznurem.

– Nigdy nie chciałam, żeby tak się to skończyło.

Max nadal miała na głowie kominiarkę. Spojrzałem jej w oczy, ale nie dostrzegłem w nich pogardy, którą widziałem kwadrans temu.

– Ale tak się właśnie stało.

– Nigdy nie zamierzałam cię skrzywdzić, *baby*. To nie może się skończyć teraz i tutaj.

– To się nie skończy ani tu, ani teraz – odparłem i wszedłem na balkon.

Kiedy znaleźliśmy się na dole, pozostałej trójki już nie było. Max złożyła drabinę i przeszła przez ulicę do pobliskiego parku. Wbiegłem za nią w ciemność. Jakiś czas szliśmy zwirową alejką. W pewnym momencie Max się zatrzymała i wyjęła z kieszeni szmatę. Wytarła nią drabinkę i chwilę później wrzuciła ją w gęste, kolczaste krzaki. Czuję się tak, jakbym obserwował to wszystko oczami innej osoby, jakbym był nieobecny ciałem, przez co nie mogłem reagować ani włączyć się w działania Max. Nadal miałem przed oczami obraz leżącego w kałuży krwi recepcjonisty.

W milczeniu towarzyszyłem Max na Östermalmsgatan, gdzie stał zardzewiały damski rower. Max rozpięła blokadę, zdjęła kominiarkę i bluzę, wcisnęła je do plecaka i wyjęła z niego różowy płaszcz i zieloną, robioną na drutach czapkę. Włożyła ją na głowę, zakrywając swoje krótkie kręcone włosy. W kilka sekund zamieniła się z bandyty w zwykłą sztokholmską dziewczynę, która idzie do kina albo na imprezę do znajomych. Miała spokojną minę.

– Ukryj się, a ja zrobię wszystko, żeby Robin trzymał gębę na kłódkę. Będę cię chronić.

Spojrzała w głąb ulicy, chwyciła kierownicę i zaczęła się szykować do odjazdu. Chwyciłem ją za rękę i spytałem:

– Co napisałaś w ich pokoju?

Max wyjęła z kieszeni telefon, weszła na Instagram i kilka razy dotknęła niecierpliwie ekranu. Ostatnie zdjęcia Marii Conti pojawiły się na jej profilu przed trzema minutami bez żadnego komentarza. Zresztą nie był potrzebny, bo zdjęcia mówiły same za siebie. Widniała na nich leżąca w wannie Conti. Związane kolorową taśmą ręce unosiła w błagalnym geście w kierunku obiektywu. Miała spanikowany wzrok, w blasku flesza była upiornie blada. W drugim końcu wanny leżał dziwnie poskręcany Amerykanin. Miał zamknięte oczy i związane ręce, umieszczone jakby w błagalnym geście na piersi. Nad obojgiem widniał angielski napis, który Max wykonała na kafelkach ciemnoczerwonym sprejem.

WY MACIE BALKONY, MY MAMY SZNURY I SZTYLETY.

Post zyskał tysiące lajków. Komentarze pełne były znaków zapytania i emotikonów, które wyrażały szok albo zdziwienie. Niektórzy z komentujących myśleli, że to prowokacja artystyczna jakiejś firmy reklamowej, a inni umieszczali pod zdjęciem emotikony płaczu, jakby komentowali zabawny żart.

– O rany! – zawołałem.

– Naszą akcję można by nazwać idealną, gdyby Robin znowu kogoś nie postrzelił.

Minęła sekunda i nagle usłyszałem za nami pierwszą syrenę.

– Musimy zniknąć – powiedziała Max. – Nie mamy czasu.

Ale ja stałem w miejscu. Max patrzyła na mnie zniecierpliwionym, prawie zrozpaczonym wzrokiem.

– Nie bądź głupi – ostrzegła. – Czegoś nie rozumiesz? Jeśli tu zostaniesz, będzie to oznaczało twój koniec. Wina za wszystko, w czym brałeś udział, spadnie na ciebie i na nikogo więcej. Może ci się uda z czegoś wywinąć, ale twoje anonimowe, codzienne życie dobiegło końca. Być może stało się tak w chwili, w której mnie spotkałeś. Jedyna twoja szansa to wydostać się stąd i trzymać kciuki, żebym zdołała powstrzymać Robina.

Przez moją głowę przepływały różne obrazy. Byłem przerażony i zszokowany.

– Robin go zastrzelił. Zrobił to z zimną krwią, na moich oczach.

Dźwięk syren był coraz bliżej.

– Wiem, ale musisz to schować w swojej szufladce – odparła Max. – Dobrze wiesz, że tak będzie najprościej. Stała się rzecz straszna, ale nie tak bardzo, jak bierne stanie z boku i przyglądanie się, jak ci, co mają dużo, dostają jeszcze więcej.

Jej słowa zabrzmiały pusto, po raz pierwszy od naszego pierwszego spotkania. Max miała rozbiegany wzrok.

– Sam musisz wybrać. Próbuję ci pomóc, ale jeśli nie chcesz być chroniony...

Dopiero teraz zauważyłem, że Max trzyma coś w ręce. Nie dokończyła zdania i podała mi to.

– Weź je. Leżały w sejfie i w pełni na nie zasłużyłeś. Przynajmniej na nie, jeśli można tak powiedzieć.

Instynktownie wyciągnąłem rękę, a Max podała mi plik dwudziestu albo trzydziestu banknotów o nominale pięciuset koron. Popatrzyłem na nie, a potem na nią. Pieniądze paliły mnie w dłoń, nie mogłem ich utrzymać. Rzuciłem je na ziemię i wiatr rozrzucił kilka z nich po mokrym asfalcie. Max pochyliła się, żeby pozbierać resztę.

– Zgłupiałeś? Kompletnie ci odbiło?

– Oddaj mi telefon – odparłem i wyciągnąłem rękę. – Zabrałaś mi go, zanim poszłiście do pokoju Conti.

Max włożyła rękę do kieszeni, wyjęła aparat i mi go podała.

– W takim razie żegnamy się na zawsze – powiedziała, wyciągając do mnie rękę na pożegnanie. – Przykro mi, że ci zaszkodziłam.

Chciała wsiąść na rower, ale położyłem jej dłoń na ramieniu.

– Wiem, że nie masz na imię Max – odparłem. – Dinah to nie Dinah, Robin to nie Robin, a Gustaf to nie Gustaf. Odgrywaliście przede mną teatr.

– O czym ty mówisz? Co masz na myśli?

W odpowiedzi wyrecytowałem ich prawdziwe imiona i nazwiska. Zrobiłem to dokładnie w takiej kolejności, w jakiej były zapisane na kartce znalezionej w książce. Potem wyświetliłem na ekranie telefonu kartkę, którą na wszelki wypadek sfotografowałem i przeczytałem na głos numer osobowy Max. Zauważyłem, że pobladła. Widać było, że jest zszokowana i przerażona.

Za to ja stawałem się coraz spokojniejszy. Pojawiło się też inne uczucie, które we mnie rosło od czasu, gdy ją poznałem. Przybierało na sile, aż zagnieździło się we mnie na dobre, kiedy byłem w pokoju hotelowym, tuż przed napadem na Conti i Amerykanina. Uświadomiłem sobie, że nie mogę im ufać, tak jak nie mogę ufać Lundowi i prawu, które studiowałem. Zwykle życie dobiega końca w pustce, która je zabija, podczas gdy rewolucja kończy się w chwili, kiedy jakiś człowiek umiera w kałuży krwi. Nie miałem się na kim wesprzeć ani komu zaufać, nie miałem grupy ani organizacji, z którą mógłbym się utożsamić. Nie istnieją ofiary ani usprawiedliwienia. Jestem tylko ja. Liczy się tylko moje życie i to, co sam z nim zrobię. Świadomość tego faktu powinna być dla mnie przerażająca, ale czułem tylko ulgę.

– Co to wszystko znaczy? Mówisz poważnie?

– To wasze prawdziwe imiona i nazwiska, prawda? – odparłem spokojnym tonem.

Usłyszałem, że po drugiej stronie parku zatrzymują się policyjne radiowozy, trzaskają drzwi i milkną syreny. Uniosłem telefon i zrobiłem Max kilka fotek *en face*.

– Teraz ja też mam twoje zdjęcie. Zrobiłem je w odległości dwóch minut piechotą od miejsca napadu – wyjaśniłem. Odniosłem wrażenie, że Max po raz pierwszy, od kiedy ją znałem, nie wiedziała, co powiedzieć. – Dla twojej wiadomości: informacje na wasz temat przekazałem godnej zaufania osobie. Jeśli coś mi się stanie, zostaną ujawnione.

Czułem, jak rośnie we mnie chęć zemsty. Max i jej towarzysze obsadzili mnie w pewnej roli, ponieważ myśleli, że jestem naiwny, i będą mogli ze mną zrobić, co tylko im się spodoba.

– Nauczyłem się od was więcej, niż ci się wydaje.

– Skąd znasz nasze prawdziwe nazwiska?

– Dostałem je od Henrika.

Po jej twarzy przemknął smętny uśmiech. Pokręciła głową i stwierdziła:

– Henrik... Bez względu na to, jak bardzo staramy się zatrzeć ślady, zawsze znajdzie się ktoś, kto je odkryje.

Spojrzała na mnie wzrokiem, w którym dostrzegłem coś na kształt podziwu. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Teraz ty też masz coś na nas. Jesteś górą i sam zdecydujesz, co z tymi informacjami zrobisz. Jesteś twardszy, niż mi się wydawało.

Wzruszyłem ramionami.

– Byłem w tobie zakochany... A właściwie nadal jestem. Tak mi się w każdym razie wydaje. Ale chyba od samego początku wiedziałem, że tak się to wszystko skończy: zostanę sam, a jeśli coś pójdzie nie tak, winę zwalicie na mnie.

Max spojrzała na mnie i próbowała się uśmiechnąć. Z drugiej strony parku dobiegały podniesione głosy i trzaskanie drzwi samochodów.

– Na czym stanęło? – spytała Max. – Teraz to ty o tym decydujesz.

– Chcę być wolny i tylko to wiem.

– A co to dla ciebie znaczy?

Park rozjaśniło światło reflektorów. Cofnąłem się o dwa kroki.

– Nie wiem.

– Przekonam Robina, żeby cię nie łączył z naszymi sprawami. Tylko tyle mogę zrobić. Czy możesz obiecać, że ty też nie upublicznisz naszych nazwisk?

– Nie powinno nas tu być.

Max spojrzała w kierunku hotelu i wsiadła na rower.

– W takim razie pora się pożegnać – stwierdziła.

Skinąłem głową, bo nagle poczułem w gardle tak silne dławienie, że nie potrafiłem wykrztusić słowa. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, która wydała mi się wiecznością. Nagle Max pochyliła się i mnie pocałowała. Wargi miała chłodne i miękkie, a ja przez moment pomyślałem, że to nie musiało się tak skończyć. Mogło trwać albo dopiero się zacząć.

Max odwróciła się ode mnie, a kiedy wjechała na asfalt, rower zazgrzytał. Przez chwilę obserwowałem ją w blasku latarni, a potem widziałem tylko jej sylwetkę. Stałem w milczeniu i patrzyłem za nią, aż wchłonął ją cień. Max już się nie odwróciła.

EPILOG

Po spotkaniu wychodzę z hali Kampnagel z osobą, która kiedyś posługiwała się imieniem Max. Idziemy poszukać miejsca, w którym będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Wybieramy ogródek przy restauracji nad kanałem, którego wody uchodzą do jeziora Außenalster. Na naszym stoliku stoją dwie szklanki z piwem.

– Powinniśmy raczej zamówić szampana – mówi Max, pochylając się ku mnie. – Wypijmy za stare czasy i za twoją książkę.

Max unosi szklankę, ale ja się waham i dopiero po chwili się z nią stukam. W ogródku oprócz nas niemal nikogo nie ma, pora jest późna, a ja czuję się wykończony. To moja normalna reakcja po godzinnym siedzeniu na scenie.

– Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę – mówię.

– Przytyłeś – słyszę w odpowiedzi. Max pochyla się i głaszcze mnie po policzku. – Na dodatek zapuściłeś brodę.

Rozpina guziki lewego rękawa mojej koszuli i go podwija. Przekręcam dłoń, żeby mogła zobaczyć mojego rolexa.

– Pamiętam, że jeden z twoich kumpli nazywał swój zegarek Hulk.

– Oni nie byli moimi kumplami.

Max rozpina pasek zegarka i zdejmuje mi go z nadgarstka, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Tarcza ma taki sam zielony kolor jak jej oczy.

– Widzę, że też sobie taki kupiłeś.

W jej uśmiechu dostrzegam cień pogardy. Ze złości robię się czerwony na twarzy. Max przyłapała mnie na próżności. Odbieram jej zegarek i zakładam go z powrotem na rękę.

– Kupiłem go, kiedy dostałem zaliczkę za książkę. Miał być czymś w rodzaju pamiątki... ironicznego symbolu... Sam nie wiem.

Max kiwa głową i wypija łyk piwa. Na jej ustach nadal błąka się uśmiech.

– Co robisz w Hamburgu? – pytam.

– Nie zorganizowali ci spotkania promocyjnego w Berlinie, więc przyjechałam tutaj.

– Przeniosłaś się do Berlina?

– Tak. Zrobiłabym wszystko, żeby się znaleźć w pobliżu królowej Nefretete. Mieszkam z Dinah w Kreuzbergu. Ona...

Max nie kończy zdania, więc robię to za nią.

– Nie czuje się najlepiej?

Ostatni goście siedzący przy stoliku obok drzwi wstają z krzeseł i wychodzą. Jesteśmy w ogródku sami.

– Za dużo imprezuje i za bardzo się boi – wyjaśnia Max. – Po tym, co się stało w Sztokholmie, rozstałyśmy się z Gustafem i Robinem, jeśli cię to interesuje. Przez pewien czas mieszkaliśmy przy plaży w Maroku, ale nie mogliśmy sobie tam znaleźć miejsca.

– Bo życie z surfingiem to coś nie dla ciebie? Podobnie jak życie anarchistki?

Max znowu się uśmiecha, ale nie z wyższością, tylko smutno.

– Nie na cały etat. Tamto życie odcisnęło na nas piętno. Ciągły stres i strach... Możesz mi wierzyć albo nie, ale tak właśnie było. Dinah miała jakieś plany związane z Berlinem, chciała się spotkać ze swoim starym kumplem. Myślała, że stanie się bogata. Pojechałyśmy tam i zostałyśmy.

– A co z pieniędzmi za pierścionek Conti? Czytałem, że był wart kilka milionów.

Patrzę na wodę, w której odbijają się srebrny księżyc i łuna miejskich świateł.

– Nie wierz we wszystko, co piszą gazety. Pieniądze się skończyły, jak wszystko inne. Robin zginął kilka lat temu w wypadku samochodowym, a Gustaf prowadzi pizzerię w Halmstad.

Max wyjmuje paczkę cameli, zapala jednego, zaciąga się i wydmuchuje dym. Pochyla się i patrzy na mnie. Przez chwilę siedzimy bez ruchu i milczymy.

– Czy to, co o mnie napisałeś, jest prawdą?

Między nami unosi się chmurka dymu, podmuch powietrza kieruje ją w stronę kanału. Dochodzę do wniosku, że Max wcale się nie zmieniła. Nadal składa się z prawdy i manipulacji.

– Czytałaś książkę, więc powinnaś wiedzieć.

Max wypija łyk piwa i niedbałym ruchem sięga po paczkę z papierosami.

– Książka urywa się jakby w połowie – słyszę w odpowiedzi. – Nie ma w niej słowa o tym, co się z nami stało.

– Może koniec nie zawsze jest ciekawy? A jeśli chodzi o kontekst moralny, mam go gdzieś. Chcecie żyć swobodnie, a płacić mają za to inni. Zabijaliście ludzi i uchodziło wam to płazem. Wam, a raczej nam. Co więcej można powiedzieć?

– Że dzięki tobie zakończenie mogło być inne. Niestety, nie napisałeś, kim się w końcu staliśmy. Być może to miał na myśli prowadzący spotkanie dziennikarz, kiedy stwierdził, że jesteś niemoralny, bo nas chronisz. Mam ci dziękować?

Wzruszam ramionami, biorę szklanekę i wypijam łyk piwa.

– Sprytnie, a zwłaszcza bezwzględnie powiedziane, bo nikomu nie uszło to płazem bardziej niż tobie.

– Nieźle na tej książce zarobiłeś – mówi z uśmiechem Max.

Nie komentuję jej słów, bo wiem, że ma rację.

– Opisałeś mnie w niej tak, jakbyś się nade mną użalał. Na końcu stwierdziłeś, że byłeś naiwny i zakochany, co rzekomo wyznałeś mi po napadzie na Conti. Ja tego nie pamiętam.

Czuję silne pulsowanie w skroniach.

– Po co miałbym o tym pisać, gdyby nie było to prawdą?

– Bo to powieść. Niektóre rzeczy w książce są prawdziwe, inne nie.

Max trzyma w jednej dłoni żarzącego się papierosa, drugą robi coś przy moim nadgarstku. Zmuszam się, żeby spojrzeć jej w oczy, podczas gdy ona dotyka palcami mojego zielonego rolexa.

– To, co napisałem o tobie, jest prawdą. Ale to powieść, nie biografia.

Nad kanałem wieje wiatr. Moja odpowiedź zabrzmiała chłodno, właśnie taki miałem zamiar. Max kiwa głową i gasi papierosa.

– Jedynym, na czym ci zależy, jest prawda – mówi. – Powiedziałeś to na dzisiejszym spotkaniu, ale nie napisałeś prawdy. Nie byłeś Patty Hearst, nie wypraliśmy ci mózgu ani cię nie oszukaliśmy. Oczy miałeś otwarte.

– Starałem się, jak mogłem. Napisałem tę książkę najszczerzej, jak potrafiłem. Byłem szczery, jak tylko się dało.

Max kiwa z uśmiechem głową.

– Ja bym raczej powiedziała, że nie mogłeś wytrzymać ze swoim poczuciem odpowiedzialności.

Biorę paczkę cameli i wyjmuję jednego papierosa.

– W książce nie palisz – komentuje Max.

– Pokazałaś mi, że można żyć inaczej. Niewykluczone, że twoje uwodzenie okazało się bardziej skuteczne, niż sobie wyobrażałaś.

Zapalam papierosa i głęboko się zaciągam. Przez chwilę milczę i tylko palę. W tym momencie prawie jej nie widzę.

– Nie powinnaś się wypowiadać na temat odpowiedzialności. Za wasz bunt konsekwencje ponosili inni. Sami siebie oszukiwaliście, twierdząc, że uderzacie w wyższe klasy. Tymczasem konsekwencje waszych czynów ponosili tacy ludzie jak Joyce i Calle, to znaczy ci, którzy na nie w ogóle nie zasłużyli.

– Co my uczyniliśmy? Ty też z nami byłeś.

– Nawet nie wiedziałaś, jak się nazywali, prawda?

– Piękne słowa, ale wcale mnie nie dziwią. W końcu jesteś pisarzem.

Opieram się plecami o krzesło, palę papierosa i patrzę na wodę. Po chwili obracam się i mówię do Max:

– To było najlepsze, co mogłem zrobić, *baby*.

– Nigdy mnie tak nie nazywałaś. To ja tak się do ciebie zwracałam.

– Może nasze role się odwróciły?

Przy stoliku zapada cisza. Słysząc jedynie odgłosy miasta, szum ruchu ulicznego i warkot gwałtownie przyspieszającego motocykla. Z otwartego okna jednego z mieszkań nad kanałem dobiegają dudniące tony niemieckiego rapu.

– Dlaczego nie zrobiłaś z nas jeszcze większych potworów? – pyta Max. – Przecież właśnie tak chciałaś opowiedzieć naszą historię. Na pewno nas nienawidziłaś. Dlaczego nie sprawiłaś, żeby wszyscy nas znienawidzili?

– Nie napisałem tej książki ze złości na was.

– Tylko po co?

– Zrobiłem to, bo w końcu udało mi się stworzyć opowieść.

Gaszę papierosa i patrzę Max prosto w oczy.

– A także dlatego, że byłem wolny.

Piwo jest już prawie wypite. Świeci księżyc, twarz Max jest blada w jego blasku, z końcówki jej papierosa unosi się niebieski dym. Bierze do ręki paczkę z papierosami i patrzy na mnie. Jej oczy są teraz mniej zielone, jakby ktoś je rozcieńczył albo rozpuścił.

– A teraz spotykamy się tutaj – mówi. – Dzięki książce masz perły i balkony, pieniądze i prestiżowe sceny, na których występujesz. A my? Dalej stoimy z naszymi sznurami i sztyletami tam, gdzie kiedyś. Dziś wieczorem pięknie mówiłaś o tym, że ci, którzy mają niewiele, chcą zabrać coś tym, którzy mają wszystko. To, o czym mówiłaś, jest prawdą. Fajnie było usłyszeć, że ktoś, kto stoi na samym szczycie piramidy, troszczy się o innych. Masz wielkie serce.

– Daj spokój. Rola ofiary zupełnie do ciebie nie pasuje. Przykro mi, jeśli książka cię rozczarowała.

Kelner daje nam dyskretnie znak, że pora kończyć. Max bierze moją książkę, pochyla się i znowu głaszcze mnie po policzku.

– Może jednak twoja książka jest prawdziwa? Okazałaś się drapieżcą, bo ostatecznie to ty wykorzystałaś nas bardziej niż my ciebie. Odebrałaś nam naszą historię i uczyniłaś ją swoją.

– To moja historia. Ty możesz opowiedzieć swoją.

– Może to, co robiliśmy, było więcej niż słuszne? – pyta. Kiwa głową i uśmiecha się blado. – Robiliśmy dla siebie wszystko, co mogliśmy, ale żadnemu z nas nie zostało nic, z czego moglibyśmy skorzystać.

Max nadal się uśmiecha, ale minę ma zatroskaną. Dopija piwo i wstaje od stolika. Za chwilę znowu zniknie z mojego życia.

– Mimo to cała ta historia nadal może się skończyć inaczej – mówi. – Na pewno mieszkaś w eleganckim hotelu, w pokoju z minibarem. Ostatni raz widzieliśmy się dawno temu. Noc jest jeszcze młoda. To nie musi się skończyć tu i teraz. Może to początek czegoś nowego?

Miasto zasypia, jego odgłosy cichną. Wstaję z krzesła, wyciągam rękę i głaszczę Max po policzku.

– Nie – odpowiadam. – To się skończy tu i teraz.

-
- ¹ *Don't be late, honey* (ang.) – Nie spóźnij się, kochanie. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- ² *Mansplaining* (ang. *man* – mężczyzna, *explaining* – wyjaśnianie) – termin z dziedziny socjolingwistyki, który oznacza objaśnianie czegoś w sposób protekcjonalny, poniżający dla odbiorcy. Zazwyczaj odnosi się do tłumaczenia czegoś kobiecie przez mężczyznę. Po polsku termin jest tłumaczony jako *panjaśnienie* i *tłumaczym*.
- ³ *Let's go!* (ang.) – Chodźmy!
- ⁴ *Bien sûr* (fr.) – oczywiście.
- ⁵ *Call me by your name* – nawiązanie do filmu o takim tytule (polski tytuł *Tamte dni, tamte noce*).
- ⁶ Polski tytuł filmu to *Masz wiadomość*; słowa *mail* (poczta) i *male* (męski) wymawia się tak samo.
- ⁷ *Change of plans* (ang.) – zmiana planów.
- ⁸ *Sure* (ang.) – pewnie.
- ⁹ *What the fuck?* (ang.) – Co, do cholery?
- ¹⁰ *No big deal* (ang.) – To nic wielkiego.
- ¹¹ *Grey Gardens* – liczący czternaście pokoi dom na skrzyżowaniu ulic 3 West End Road i Lily Pond Lane w Georgica Pond, w sąsiedztwie East Hampton w Nowym Jorku.
- ¹² *Fair enough* (ang.) – Nie ma sprawy.
- ¹³ Wszystkie cytaty na s. 128–129 pochodzą ze zbioru wierszy Charles'a Baudelaire'a *Paryski splin*, przeł. R. Engelking, Wydawnictwo Officyna s.c., Łódź 2020.
- ¹⁴ *Practical joke* (ang.) – psikus.
- ¹⁵ *No questions asked* (ang.) – Bez zbędnych pytań.
- ¹⁶ *Eat the rich* (ang.) – Zjadajcie bogatych.
- ¹⁷ *I carry the weight* (ang.) – Dźwigam ciężar.
- ¹⁸ *I carry the weight for the both of us* (ang.) – Dźwigam ciężar za nas oboje.
- ¹⁹ *Night swimming deserves a quiet night!* (ang.) – Nocne pływanie zasługuje na spokojną noc.
- ²⁰ Wszystkie cytaty ze s. 204 pochodzą ze zbioru wierszy Charles'a Baudelaire'a, op. cit.
- ²¹ *Deal?* (ang.) – Umowa stoi?
- ²² *Whatever* (ang.) – nieważne.
- ²³ *Mad night* (ang.) – szalona noc.
- ²⁴ *Walk on the wild side of life* (ang.) – Krocz dziką stroną życia.
- ²⁵ *Fuck them!* (ang.) – Pieprzyć ich!
- ²⁶ *Brännboll* – popularna w Szwecji gra, której zasady przypominają zasady baseballu, krykieta czy softballu.

²⁷ *Drama queen* (ang.) – dosłownie „królowa dramatu”, osoba, która przesadnie dramatyzuje i z byle powodu robi sceny. Swoim zachowaniem stara się przyciągać uwagę innych.

²⁸ *Ett Hem* (szw.) – dom.